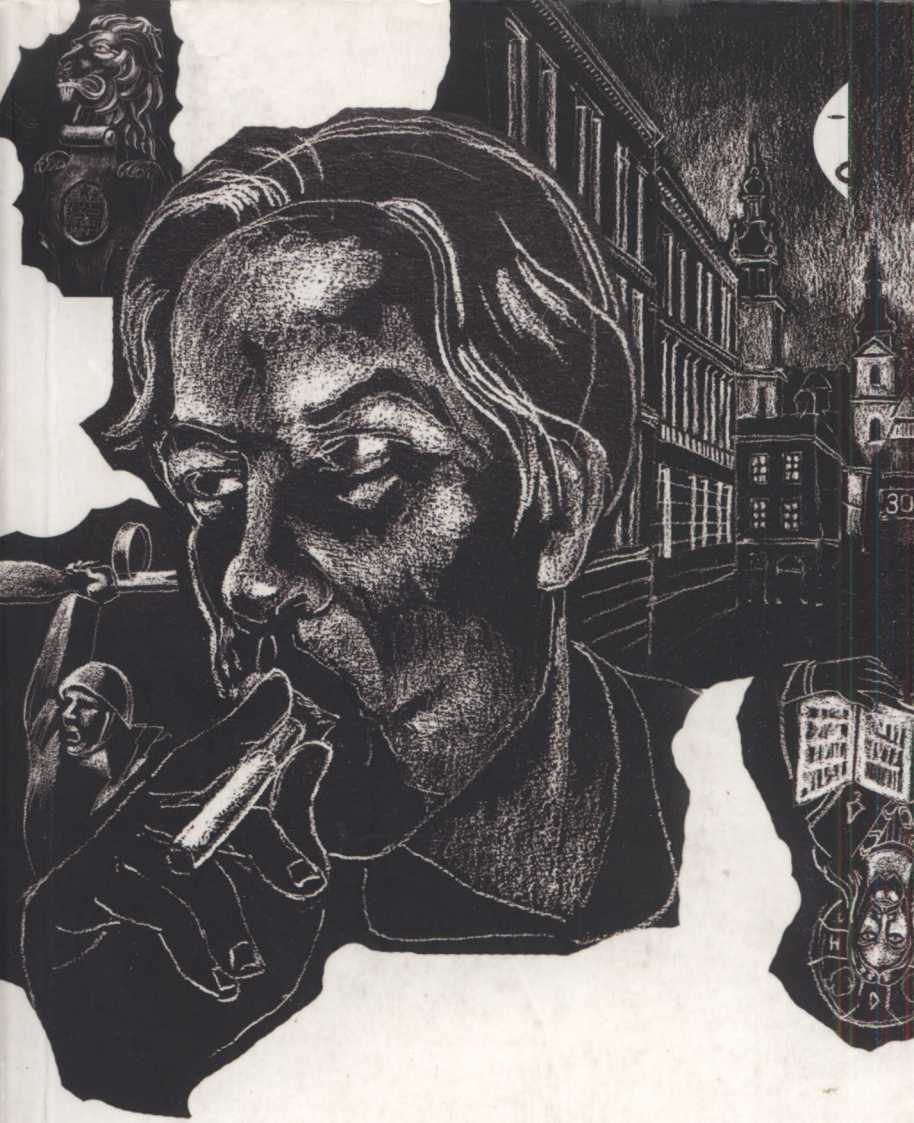
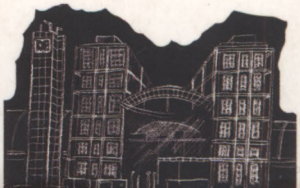


Jurij Andruchowycz

Tajemnica





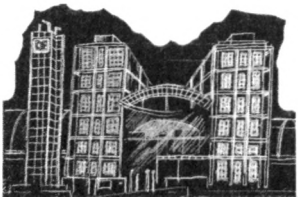
© Rita Galli-Jost

Jurij Andruchowycz (1960); prozaik, poeta, eseista, tłumacz. Założyciel grupy poetyckiej Bu-Ba-Bu. W Polsce ukazały się cztery jego powieści: *Rekreacje*, *Moscoviada. Powieść grozy*, *Perwersja* oraz *Dwanaście kręgów*, za którą otrzymał w 2006 roku Leipziger Buchpreis, przyznawaną za dzieła przyczyniające się do porozumienia europejskiego, oraz Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus; tomy esejów: *Erz-herz-perc*, *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem), *Ostatnie terytorium. Eseje o Ukrainie* i *Diabeł tkwi w serze*; tom poezji *Piosenki dla martwego koguta* i płyty *Samogon* (z muzyką zespołu Karbido) oraz *Andruchoid* (słowa: Jurij Andruchowycz, muzyka: Mikołaj Trzaska, Wojciech Mazolewski, Macio Moretti).

czarne.com.pl



Tajemnica



Jurij Andruchowycz

Tajemnica

Zamiast powieści

Przełożył Michał Petryk

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2008

Tytuł oryginału ukraińskiego ТАЄМНИЦЯ. ЗАМІСТЬ РОМАНУ

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ
Zdjęcie Autora © by RITA GALLI-JOST

Copyright © by JURIJ ANDRUCHOWYCZ, 2007
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2008
Copyright © for the Polish translation by MICHAŁ PETRYK, 2008

Redakcja MAŁGORZATA POŹDZIK | d2d.pl
Korekta MAŁGORZATA PASZ | d2d.pl
MAGDALENA KĘDZIERSKA | d2d.pl
Projekt typograficzny, redakcja techniczna i skład
ROBERT OLEŚ | d2d.pl

ISBN 978-83-7536-033-2

Drżę, żeby tylko nie zamknęły się drzwi,
bo otwarte drzwi – to niepojęta radość.

ROBERT DUNCAN

I o tym właśnie porozmawiamy.

SERHIJ ŻADAN

Przedmowa, jedna z możliwych

Prawie całą jesień 2005 roku, z krótkimi przerwami, spędziłem w Berlinie. Właśnie w tym czasie, gdzieś pod koniec września, po raz pierwszy odezwał się do mnie nieznany mi wcześniej krytyk literacki i dziennikarz Egon Alt. W wyjątkowo obszernym jak na pocztę elektroniczną liście pisał o tym, że marzy (właśnie tak!), by przeprowadzić ze mną „nieco dłuższą rozmowę, a właściwie serię rozmów", i że w ogóle specjalizuje się w tak zwanych portretach, przede wszystkim pisarzy. Mogłem się o tym przekonać dzięki wspomnianym w tym samym liście publikacjom, na czytanie których zresztą i tak nie miałem czasu. Egon Alt nalegał, byśmy koniecznie się spotkali – „i to nie raz", a na zakończenie dodał coś takiego: „Szanowny Panie, proszę w żadnym razie nie odmawiać! Zdaję sobie sprawę, jak nadzwyczajnie, wręcz piekielnie jest Pan zajęty, i gorączkowo zastanawiam się nad tym, jak mogę mimo wszystko zachęcić Pana do współpracy. Czy mam napisać, że dziesiątki razy czytałem wszystkie Pana książki w niemieckich i angielskich przekładach? Że już trzykrotnie odwiedziłem Pański kraj i trzykrotnie, za każdym razem inaczej, byłem nim zaskoczony i zachwycony? Że jestem Pana rówieśnikiem, najpewniej więc od dzieciństwa słuchaliśmy tej samej muzyki i dzięki temu w naszych rozmowach na pewno pojawi się niemało wspólnych, boleśnie słodkich tematów? Nie, oczywiście, nie przeczę – ma Pan pełne prawo odmówić, ale jeśli się tak stanie, popełni Pan jeden z największych błędów swego życia".

Teraz jestem już pewien, że co do ostatniego miał całkowitą rację. Chociaż właśnie to zdanie w pierwszej chwili nastroiło mnie skrajnie negatywnie i do niego samego, i do jego agresywnych zamiarów. Na dodatek zdążyłem się już wtedy mocno zniechęcić do samego pojęcia „portret literacki" z jego

nieodłącznymi ozdobami w rodzaju „szerokie spodnie z mnóstwem kieszeni, kolczyk w lewym uchu, nawyk odrzucania do tyłu niesfornego pasma włosów, podarte pomarańczowo-czarne trampki". Wysłałem mu w odpowiedzi kilka niezbyt optymistycznych słów, coś w rodzaju: nie wiem, jak się to wszystko ułoży, najpewniej nie ułoży się nijak. Chociaż z jakiegoś powodu, na wszelki wypadek, podałem mu swój numer telefonu. Muszę przyznać, że jego list naprawdę bardzo wyróżniał się na tle tych, które zwykle przysyłają niemieccy dziennikarze, kiedy proponują wywiad. Zresztą wtedy niemal drażniło mnie to słowo, a mój terminarz zapełniał się coraz to nowymi obietnicami i zobowiązaniami.

Właśnie dlatego, gdy niebawem, w ciągu kilku następnych miesięcy, przypominał o sobie mejlami i – nieco rzadziej – telefonami, wolałem odpowiadać w sposób nieokreślony, odkładając nasze spotkanie „na potem", czasami po prostu broniłem się przed jego coraz bardziej natarczywymi namowami. Pozostawał mi zawsze mój koronny argument – jesienią wciąż marzyłem o tym, by zabrać się do pisania nowej powieści. Odmawiałem mu zatem, powołując się przede wszystkim na to. Wtedy on przepraszał i na jakiś czas milkł. Przy czym niemal widziałem, jak skruszony kręci głową i z zakłopotaniem rozkłada ręce – gdzieś tam w swoim zapuszczonym mieszkaniu na Prenzlauer Berg.

Moja nowa powieść jednak nijak nie chciała do mnie przyjść. W takim wypadku najlepiej jest bez wahania wszystko wokół siebie zmienić. Pod koniec grudnia na kilka tygodni uciekłem do domu, a w styczniu 2006 w drodze powrotnej z Franka do Berlina nagrałem we Wrocławiu album z Karbido. Ze słowem karbid kojarzy mi się przede wszystkim nieznośny samogon z okolic Hajsyna w obwodzie winnickim. Skąd takie właśnie skojarzenie, dowiecie się w trzecim rozdziale tej książki. W każdym razie nazwa naszego wspólnego z Karbido albumu przyszła sama z siebie – „Samogon". Pomyślałem, że to właśnie jest nowa powieść, którą obiecałem sobie napisać w Berlinie. W ten sposób, sam przez siebie

zwolniony z najważniejszego z wewnętrznych zobowiązań, po 20 stycznia wróciłem do niemieckiej stolicy na kolejne trzy miesiące. W swoim dzienniku z tych dni zanotowałem: „Chłody przesuwają się ze wschodu na zachód tą samą trasą, ale nieco mnie wyprzedzają". I naprawdę – w chwili gdy mój pociąg wyłonił się z dworca na Friedrichstraße, zupełnie dziwnie było zobaczyć z okna wagonu całkowicie zamarzniętą, pokrytą grubym lodem Sprewę. Ale wszystko to nie ma nic do rzeczy.

W lutym – trochę niespodziewanie dla siebie samego – zgodziłem się, najpierw w mejlu, a potem potwierdziłem telefonicznie. Moje pierwsze spotkanie z Egonem Altem odbyło się nieopodal miejsca, gdzie mieszkałem, też na Stuttgarter Platz, w kawiarni „Miró", która z jakiegoś powodu oficjalnie uważana jest za artystyczną, być może dlatego że nocą raz po raz wpadają do niej, by trochę się rozluźnić, półnagie tancerki z okolicznych klubów. Otóż Egon Alt okazał się „nie taki". Nie pozostał nawet cień egzaltowanego i szaleńczo zakochanego w moim pisaniu dziwaka, który w mojej wyobraźni gestykulował tak wyraziście przez te wszystkie bez wyjątku mejle. W rzeczywistości Egon Alt był całkiem przytomnym, pragmatycznym i niepozbawionym ironicznego dystansu facetem, moim, jak słusznie pisał, rówieśnikiem i starym wróblem. Już na początku znajomości z łatwością przeszliśmy na „ty", po trzeciej brandy okazało się, że nasze ulubione napoje znalazłyby się w mniej więcej tych samych i sąsiadujących ze sobą kratkach alkoholowego układu okresowego, gdyby taki istniał. Świadectwem naszej zażyłości stało się to, że po dwóch godzinach znajomości kupiliśmy paczkę czerwonych gauloises'ów i od razu zaczęliśmy ją chciwie wypalać, chociaż tak w ogóle obaj rzuciliśmy te sprawy parę lat temu. Pamiętam wydobyte przez Egona Alta z jakiejś olbrzymiej kieszeni spodni pudełko zapałek z napisem „Sojuz wietieranow Afganistana". Wydawało nam się ono wyjątkowo śmieszne. W ogóle Egon Alt nosił w kieszeniach mnóstwo różnych absurdalnych, ale jednocześnie

jakoś tam funkcjonalnych przedmiotów – był pośród nich gwizdek z łuski, przedpotopowa talia kart z czarno-białą pornografią i serowy konik z Kosowa. Do tego miał ze sobą cały plecak moich książek – rozmaitych, wydanych w różnych latach i w różnych językach. Każdą z nich zmuszony byłem podpisać, a w dodatku każdą inaczej. W trzeciej godzinie naszego spotkania wyszła z tego niezła zabawa, dla mnie jednak dosyć wyczerpująca. Tego wieczora nie mogliśmy nie umówić się, że koniecznie *to* zrobimy. *To* miało stać się książką. Ale nie całkiem tą, którą teraz czytacie.

Wybraliśmy ostatni tydzień marca, siedem dni. Co rano przychodził do mojego tymczasowego afrykańskiego mieszkania na Stuttgarter Platz 22 i co wieczór wracał do siebie na wschód Berlina. Codziennie przegadywaliśmy po osiem, dziesięć godzin, a między nami stał jego dyktafon. Oczywiście określenie „przegadywaliśmy" jest nieścisłością: mówiłem przeważnie ja, a on przeważnie stawiał pytania. Przy czym stopniowo opróżnialiśmy od jednej do dwóch i pół butelki którejś z naszych ulubionych brandy. Każdego z tych dni przeżywaliśmy (ja powtórnie) kawał mojego życia. Ostateczne zrozumienie wszystkiego, co się ze mną naprawdę działo przez wszystkie te lata, dalsze i bliższe, przychodziło, tak jak i upojenie, dopiero pod koniec dnia, wieczorem. Kolejnego, oświeceni i oczyszczeni, braliśmy się do następnego kawałka. I tak było przez wszystkie dni z wyjątkiem siódmego. Siódmego dnia umówiliśmy się, że pojeździmy po Berlinie. Gwałtownie zmienialiśmy krajobrazy, warstwy społeczne, kierunki ruchu i środki transportu, rozmawialiśmy o wszystkim na świecie, a jego dyktafon – mimo oficjalnie ogłoszonego przez nas dnia zasłużonego odpoczynku – był zawsze włączony.

Jeszcze tego samego, ostatniego dnia zapytałem go, między innymi, o to, kiedy zamierza opublikować *całą tę książkę*. Moim kolejnym pytaniem powinno być, w jakim wydawnictwie. Ale odpowiedź na pierwsze okazała się taka, że stawiać następnego nie było sensu. „Kiedy? – powtórzył

pytanie. – Wiesz, na razie nie wiadomo. Chyba zapomniałem cię na samym początku uprzedzić o jednej takiej rzeczy. Postanowiłem to opublikować dopiero po twojej śmierci. W ten sposób stanie się to bardziej wartościowe". Pośmieliśmy się wesoło z takiego obrotu sytuacji i zmieniliśmy temat. Chociaż muszę przyznać – zrobiło mi się trochę przykro, przede wszystkim z powodu *braku* mojego *dalszego uczestniczenia w projekcie*.

Dlatego tak bardzo zdziwiłem się, kiedy po kilku tygodniach dostałem od niego pocztą wszystkie te siedem przegadanych dni, całą ich mowę-trawę, to co ślina na język przyniosła, wszystko, co wtedy zabrzmiało, od pierwszego do ostatniego zdania, z wszystkimi pauzami, dłużyznami, eee i iii, czyli w absolutnie pierwotnej formie, zapisane w formacie mp3 i nagrane na kompakty, każdy dzień na oddzielnej płycie, zatem płyt było też siedem. Oprócz tego w paczce znajdował się list – pierwszy raz dostałem list napisany przez niego odręcznie. Zrobiło to na mnie wrażenie dosyć niezwykłe. W tym momencie po raz pierwszy pomyślałem, że ja jego, Egona Alta, zupełnie nie znam. Pisał między innymi: „Jestem prawie pewien, że to ci się może i powinno przydać. W każdym razie masz pełne prawo to zachować – no, chociażby na pamiątkę. Albo jako pamiątkę pamiątek, czy może wspomnienie wspomnień. Bo czy to nie ty napisałeś, że twoja pamięć pozwala ci robić wszystko to, co zechcesz? Więc rób, co zechcesz, bohaterze!".

Ostatnie zdanie brzmi jak błogosławieństwo. Ten napisany odręcznie list okazał się pożegnalny. Kilka dni przed moim ostatecznym wyjazdem z Berlina, to jest na samym początku maja 2006 roku, przypadkowo dowiedziałem się o śmierci Egona w wypadku samochodowym. Zdarzyło się to nocą, jeśli się nie mylę na trzydziestym siódmym kilometrze autostrady A93 pomiędzy Norymbergą a Schwandorfem. Siedział za kierownicą i, jak to się nazywa w komunikatach policji drogowej, stracił panowanie nad pojazdem. Znam tę trasę – niewiele wcześniej, a dokładnie 26 kwietnia, występowałem

we wspomnianym Schwandorfie z fragmentami *Dwunastu kręgów*, mojemu czytaniu towarzyszyła gra Norberta Vollatha na kilku saksofonach i wielu innych, dosyć śmiesznych instrumentach. On sam, Norbert Vollath, właśnie wiózł mnie w dzień tą drogą, po tym jak wyszedł po mnie na lotnisko w Norymberdze. Dlatego pamiętam dobrze ten odcinek autostrady A93 i mogę stwierdzić z całą pewnością: tam nie ma nic szczególnie trudnego, tam w ogóle nie ma nic trudnego. Najprawdopodobniej Egonowi Altowi przytrafiło się tak zwane „przyśnięcie". Zresztą teraz nikt już nie ustali prawdziwej przyczyny. Nikt nie dowie się też, po jaką cholerę tam jechał w nocy, przez ten Oberpfalz, swoim rozklekotanym starym citroenem, tym samym, którym sześć wieczorów pod rząd odjeżdżał z rykiem spod moich okien – nie zważając na znaczne przekroczenia dopuszczalnej normy alkoholu we krwi. I za każdym razem mu się to udawało – dojeżdżał szczęśliwie do domu. No i pewnej nocy mu się nie udało. Ale mogę tylko przypuszczać. Nawet nie wiem, gdzie go pochowano. To znaczy od znajomych jego znajomych niebawem dowiedziałem się, że miał to być cmentarz Nordend w Berlinie i ta jego część, która po naszemu nazywałaby się Getsemańska. Wyobraźcie sobie – pod koniec sierpnia przyleciałem do niemieckiej stolicy na kilka dni przede wszystkim po to, żeby go odwiedzić. Jednak nic, co przypominałoby jego grób na tym cmentarzu, się nie objawiło. Opróżnioną do połowy butelkę brandy zostawiłem na środku głównej alei. Tak jakby nigdy nie było go na tym świecie.
Właściwie nie jego, ale jego ciała ze zmiażdżoną przez kierownicę klatką piersiową. Kierowcy mówią, że to typowy przypadek – klatka piersiowa zmiażdżona przez kierownicę.

* * *

Trzeba było trochę pożyć z tą historią, przywyknąć do niej, od czasu do czasu przesłuchując szczególnie ulubione i szczególnie znienawidzone kawałki. Tych drugich – dodam dla

wyjaśnienia – było znacznie więcej. Wreszcie gdzieś pod koniec lata doszedłem do wniosku, że nie mam innego wyjścia: żeby się od tego uwolnić, muszę zrobić to, czego on nie *zdążył*, czyli zrobić z tego książkę. Przy tym długo przekonywałem samego siebie, że to może okazać się potrzebne nie tylko mnie.

Całą jesień 2006 roku rozszyfrowywałem nasze rozmowy (przeważnie własną, czasami nieznośnie wielosłowną gadaninę) i spisywałem je. Przy tym jego zamysł stopniowo stawał się moim. Chociaż co ja tak naprawdę wiem o *jego* zamyśle?

Zrozumiałe, że zapisywanie tego wszystkiego tak, jak nagrywało się z powietrza i ust, czyli zachowując proporcje jeden do jednego, było niemożliwe i na szczęście niepotrzebne. Moja obróbka nagadanego *materiału* polegała na tym, że po pierwsze, przekładałem go z niemieckiego na ukraiński, po drugie, usuwałem to, co zbędne, pozbywałem się luk w treści i – po prostu – wspomnianych już pomrukiwań, po trzecie, starałem się zapisywać go w taki sposób, żeby z jednej strony nie utracić potoczności i bezpośredniości, a z drugiej – uczynić zdatnym do czytania, czyli w znacznym stopniu usztuczniałem (literaturowałem?) powiedziane. Do swoich zasług chcę dodać, że nie upiększałem moich wypowiedzi, nie czyniłem ich w żaden sposób rozsądniejszymi czy mądrzejszymi, niż były w rzeczywistości – więc wypowiedziane przeze mnie głupoty zostały na widoku.

I po czwarte. Nie mogłem powstrzymać się przed pewną autocenzurą, ukrywaniem, wygładzaniem, po prostu usuwaniem wielu fragmentów, które wydawały się szczególnie szkodliwe albo przykre dla niektórych wspomnianych w tej książce osób.

À propos, jeśli już o nich mowa. Na wszelki wypadek przypomnę: „*wszyscy bohaterowie tego utworu są fikcyjni, a jakiekolwiek podobieństwo imion czy sytuacji do rzeczywistości – przypadkowe*". Tylko mnie, jednemu z jego współuczestników, mogą się mylnie zdawać nieprzypadkowe

i niefikcyjne, lecz strasznie bliskie i prawdziwe, jakby *to* było jedynie możliwe życie.
Ale to wyłącznie mój problem. W rzeczywistości coraz bardziej oczywisty staje się fakt, że my wszyscy i ten świat razem z nami należymy do innego, znacznie większego od nas Autora i jesteśmy jego całkowicie przypadkowym wymysłem. Dlatego właśnie on powinien ponosić za nas wszystkich pełną prawną odpowiedzialność.

24 grudnia 2006

1. Mój martwy przyjaciel Radu Teodor

Zaczynamy?

Zaczynaj, ale od samego początku.

Kiedy to się wszystko zaczęło?

Zdaje mi się, że wiosną 2003 roku, dwa lata temu. W Heidelbergu. Tam jest taka knajpa na starym mieście, naprawdę starym, i ona jakoś tak po amerykańsku się nazywa – „Drugstore".

Wiem, to jest na Kettengasse.

Możliwe. W każdym razie to kilka minut od Rynku i od uniwersytetu, i od tego trochę cukierkowego średniowiecza. W tej knajpie spotykają się różni miejscowi szachiści. A może nie szachiści, może kolekcjonerzy znaczków pocztowych. Czy jakiś tym podobny sort zamkniętych we własnym kręgu półidiotów. Można tam siedzieć godzinami i niczego nie zamawiać – tylko gazety. Przyjechałem do Jackoba na mój wieczór poetycki, ale zostało mi jeszcze kupę wolnych godzin. Byłem ze Stefą Ptasznyk, chodziliśmy we dwoje w długim i całkiem beznadziejnym deszczu, bo to było gdzieś pod koniec października i wreszcie dobiliśmy do tego „Drugstore". Spodobało mi się to, bo ja głównie tłumaczyłem bitników, a Stefa powiedziała mi, że ta knajpa jest jakoś związana z ludźmi 1968 roku i dlatego ma taką amerykańską, niby trochę bitnikową nazwę. I tak posiedzieliśmy tam jakąś godzinę, potajemnie oglądając wszystkich tych freaków, którzy w odpowiedzi tylko zerkali na nas i szeleścili wyschniętymi październikowymi gazetami. Poza tym omawialiśmy przekłady piosenek dla martwego koguta, które zrobiła Stefa, piłem herbatę z gigantycznej filiżanki, to już nawet nie filiżanka była, lecz jakaś miska, czyli nawet nie piłem, ale siorbałem, no a potem poszedłem do kibla się odlać i całkiem niespodziewanie pomyślałem, że to tak naprawdę taki film

ze mną – oto z jakiegoś powodu jestem w Heidelbergu w kawiarni z amerykańską nazwą, idę, wykonuję jakieś ruchy, myślę o gwałtownym zatrzymaniu pracy serca, wchodzę do ubikacji i tak dalej, i w tym samym czasie wszystko to oglądam – niezupełnie z boku oczywiście, ale i niezupełnie od środka. I śladem przyszła myśl, że w finale tego filmu bohater musi umrzeć i co w takim razie zrobimy z widzem?

Zatem na wszelki wypadek spróbuję z całych sił korzystać z tego twojego wewnętrznego kinematografu – póki działa. Tak więc kiedy starasz się przypomnieć sobie jakieś pierwsze najwcześniejsze przeżycia, co staje ci przed oczami?

Podłoga, deski podłogi w takim brudnym ciemnoczerwonym kolorze, mocno podrapane deski, szpary między nimi. I w tych szparach czaiła się otchłań! Żartuję – otchłani jeszcze nie było. Zdaje się, że pełzałem po tej podłodze. Miałem na sobie grube flanelowe spodnie w przybliżeniu takiego samego, malinowego, koloru. Nigdy ich nie widziałem, to znaczy nigdy ich świadomie nie zarejestrowałem, ale jestem pewien, że je miałem.

Było ci dobrze czy źle?

Ani tak, ani tak. Nie chcę niczego dorysowywać, domyślać, dodawać jakichś szczegółów. I tak byłyby wymyślone.

Ale oczywiście pamiętasz momenty, kiedy było naprawdę dobrze?

Wiele lat później, latem 1970 roku. Jedziemy z rodzicami do Pragi. No tak, najpierw cały dzień we Lwowie, takim strasznie pochmurnym, szarym, i znów deszcz, który nie przestawał i nie zamierzał przestać padać. Tak że wewnątrz dworca pachniało wilgocią, jakąś taką mokrą, bezdomną psiną. Jeszcze ciepłym jedzeniem z bufetu, tymi potwornymi kotletami. Do dziś nimi pachnie ta cała poczekalnia pomiędzy salą podmiejską i główną. Tego zapachu już nigdy stamtąd się nie wywietrzy. Po południu odjeżdżał pociąg Moskwa–Praga, ale nie było na niego biletów i nigdzie nie pojechaliśmy. Jacyś ludzie kręcili się koło kasy *międzynarodowej* i energicznie dawali moim rodzicom – przede wszystkim mamie, bo

ona sama ich wszystkich zagadywała – wszelkie typowo radzieckie rady, jak mamy się teraz wywinąć. Ojciec regularnie gdzieś znikał, podejrzewam, że w bufecie. Ojciec był na granicy. I tak ledwo namówiliśmy go, żeby jechał z nami, potem ta wyczerpująca tajniacka procedura z wyrobieniem paszportu i pozwolenia na wyjazd. A teraz jeszcze taki porąbany początek. Byłem niemal zrozpaczony – co będzie kiedy pewnego razu zniknie w bufecie i nie wróci?

Muszę przypomnieć moje pytanie: czy pamiętasz chwile, kiedy było ci dobrze?

Zaraz do tego dojdę, nie śpiesz się. Gdzieś pod wieczór mama wpadła na to, żeby kupić bilety na nocny pociąg do Czopa. Ktoś jej coś takiego poradził: „No – mówił – dojedziecie do Czopa, granicę przejdziecie piechotą, a tam z pierwszej lepszej czechosłowackiej stacji pierwszy lepszy pociąg do Pragi". Ile miała lat? Równo trzydzieści, młoda piękna kobieta, cała ta hałastra wokół kasy *międzynarodowej* starała się jakoś do niej przylgnąć. Było mi przykro, że ojciec tego nawet nie widzi.

Dlaczego jechaliście do Pragi?

Jechaliśmy w gości do rodziny. W tym czasie mieszkały tam dwie ciotki ojca, rodzone siostry jego ojca. Starsza z nich była żoną profesora biologii, nazywaliśmy go wujek Eugen (właśnie Eugen, a nie Jewhen – zupełnie jak Małaniuk), mieszkali na przedmieściu Modřany razem z drugą, niezamężną siostrą i starszym synem. Sąsiedzi mówili o nich, że profesor Eugen Małyk żyje z dwiema kobietami – starsza mu gotuje, a z młodszą śpi. Całkiem niezły pomysł. W rzeczywistości nie mógł spać z siostrą własnej żony, dlatego że był typem absolutnie moralnym, bardziej moralni się nie zdarzają. Pochodził z Bohoduchowa we wschodniej Ukrainie i szkolenie wojskowe odbył w carskiej armii. Do Czechosłowacji zaniosło go, jak mnóstwo innych emigrantów z UNR, po ostatecznej porażce Petlury. Nie wiem, jak do tego doszło, ale podczas drugiej wojny światowej, czyli już w latach czterdziestych, spotkał ciotkę Adę, siostrę mojego

dziadka. Oboje byli katastroficznie niemłodzi i samotni, dlatego czym prędzej się pobrali i zrobili sobie pierwsze dziecko. Urodził się im chłopczyk, któremu z jakiegoś powodu wujek Eugen kategorycznie chciał nadać jakieś biblijne imię – Dawid, Izaak albo Abraham. „I co może jeszcze, Szmul?" – protestowała ciotka Ada. Oboje zgodzili się na Daniela. Pewnego razu w nocy wujek Eugen wymruczał przez sen: „Sprzedałbym duszę Mefistofelesowi, żeby tylko dożyć chwili, kiedy *on* skończy szkołę". Ale i bez Mefistofelesa dociągnął do znacznie późniejszych czasów. Chociaż, kto go tam wie, może, akurat...? Latem sześćdziesiątego ósmego roku pierwszy raz pojechaliśmy z mamą do Pragi i mieszkaliśmy u nich na Modřanach. Wujek Eugen twierdził, że jesteśmy straszliwie zrusyfikowani, i poprawiał prawie każde nasze słowo. „Lekarnia – mówił – lekarnia, a nie lecznica, bo lecznica – to tam gdzie leki, czyli apteka, a lekarnia – tam gdzie leczą. W ostateczności – szpital". Był takim stuprocentowym profesorem: łysina, siwa bródka hiszpanka, zajebiście grube okulary. A i tak gazety czytał jeszcze z lupą. I zawsze zwracał mamie uwagę na wszelkie moje braki, to znaczy braki w moim wychowaniu. Na przykład nie umiałem prawidłowo trzymać widelca. Jak się go prawidłowo trzyma, nie wiesz? Albo wtrącałem się w rozmowy dorosłych bez pozwolenia. Nie mogę powiedzieć, że go bardzo lubiłem. Dobrze, że Petlura przegrał tę wojnę, inaczej wujek zostałby może jeszcze ministrem. Na przykład ministrem biologii. Był z tych, którzy zawsze zostają ministrami socjalistycznych rządów.

Ale Praga i sześćdziesiąty ósmy rok – to przede wszystkim inna stała historyczna konotacja...

Tak, absolutnie. Pojechaliśmy tam z mamą w lipcu, a miesiąc później, w sierpniu, doszło do *wiadomych wydarzeń*. Byliśmy już w domu, kiedy usłyszeliśmy, że naród Czechosłowacji poprosił, by wspomóc go czołgami i powstrzymać natowską agresję. Ojca nagle wzięli do wojska, powstrzymywał natowską agresję, jak mógł – nosił drelich z czarnymi arty-

leryjskimi insygniami, na pagonach miał trzy gwiazdki, co znaczyło *towarzysz porucznik*. Jego dywizję z wszystkimi ciągnikami i armatami przeciwlotniczymi rozlokowano na wszelki wypadek w okolicach Stanisławowa, chociaż już wtedy Franka, nad rzeką i nieźle tam popijali. Mój ojciec był żartownisiem, czasami uciekał z tego obozu wojskowego na parę godzin do domu, przeważnie nieźle wstawiony, i wciąż powtarzał o nas z mamą coś takiego, że „No, puściłem ich do Pragi i oni tam tak zamącili, a ja muszę po nich cały ten bardak sprzątać". Przesiąknięty był zapachem wojskowych butów, onuc, pasów i propagandy. Dawał mi do potrzymania swój pistolet, pewnego razu w niedzielę strzelaliśmy z niego w pień orzecha na naszym podwórku, wielki był ten orzech i wysoki. Razem z ojcem waliliśmy nadspodziewanie celnie, raz za razem odstrzeliwując uschnięte gałęzie. Zdaje się, że wystrzelaliśmy kilka magazynków, dopiero wtedy do ojca dotarło, że będzie musiał rozliczyć się z każdego naboju.

A gdyby musiał tego lata strzelać do Czechów? Jak myślisz, strzelałby?

Myślę, że by strzelał. Armia istnieje po to, by strzelać. Nie, nie wiem, nie mogę stwierdzić z pewnością. W tym czasie miał trzydzieści osiem lat i nieźle namieszane. Z jednej strony, zawsze pamiętał, czyim jest synem i przez czyją kulę odszedł na tamten świat jego ojciec. Z drugiej jednak, jak mógł stawiać opór? System wziął go do wojska i z pewnością musiałby wykonywać jego rozkazy. Na szczęście rozkazu strzelania do Czechów nie dostał. Ale podobało mu się bycie oficerem rezerwy Armii Czerwonej, to na pewno. Nosić – niechby tymczasowo – pistolet, pendent, pachnieć brezentem i wodą kolońską „Szipr". W pewnej mierze wychodziło z niego przy tym dzieciństwo, którego nie przeżył do końca – taka sobie zabawa w wojenkę.

W jednym z esejów, zdaje się …no strannoju lubowju, piszesz, że niby wtedy, w sześćdziesiątym ósmym roku, kiedy radzieckie czołgi wjeżdżały do Pragi, nie byłeś po stronie czołgów. To znaczy, nie byłeś po stronie własnego ojca?

Mhm, jakoś tak w przybliżeniu. Po prostu wtedy zdążyłem już być w Pradze, a on jeszcze nie. Czyli jeśli chodzi o Czechów miałem więcej doświadczeń niż on. Lubiłem ich Orloj, wszystkich tych lalkowych apostołów, ich Wełtawę, ich język, wszystkie te zdrobnienia w rodzaju smrtička. Podobało mi się, że gotują gulasz z kotów. Lubiłem most Karola, watę cukrową, Małą Stranę, „Laterna Magika", zoo i park imienia Juliusa Fučika z jego potwornymi atrakcjami, bardzo lubiłem kofolę. To taki napój, czechosłowacka odpowiedź na coca-colę. Jaro Rudiš mówi, że niby znów ją wypuścili na rynek. Bardzo cieszyłem się z pistoletu na wodę i kilku figurek Indian, z których jeden klęczał na kolanie i wiosłował w kanoe. Wszystkim na świecie opowiadałem o Náprstkovo Muzeum, gdzie można było obejrzeć obcięte ludzkie głowy z Amazonii – prawdziwe, wyobrażasz sobie? Ale spreparowane, czyli zmniejszone do wielkości pięści, jednak z zachowaniem wszystkich rysów twarzy i proporcji. Prawdziwe ludzkie głowy wielkości pięści z zaszytymi ustami!

Po co je zaszywali?

O tym przeczytałem kilka lat później w książce Arkadego Fiedlera. Robiono to, żeby duch zabitego nie wydostał się na zewnątrz i się nie mścił. Mniejsza z tym. Byłem szczęśliwy w Pradze i bardzo mi się nie podobało, że zaczęły tam rządzić jakieś pieprzone radzieckie czołgi. Można powiedzieć, że Zachód kupił mnie bez reszty właśnie tego lata. Dla nas to był Zachód – Praga. Zresztą ona i wtedy, i teraz znajduje się nieco dalej na zachód niż Berlin, o czym nie zapomina wspomnieć Jachimek Topol*.

Nie miałeś takiego dziecinnego odczucia, jakby zaczynała się wojna?

Zdaje się, że miałem. Pamiętam taki jeden niedzielny wczesny wieczór – gdzieś na początku września czy jakoś tak. Mieszkaliśmy przy ulicy Harkuszy, to niedaleko dworca

* Nie, nie znajduje się – sprawdziłem później na mapie. Jachimek Topol umyślnie tak sobie walnął.

kolejowego, cały ruch, który sunął przez miasto, pchał się zawsze tą ulicą, bo żadnych obwodnic wtedy jeszcze we Franku nie było. Ale tego wieczora, to była kolumna, cała kolumna czołgów – wyobrażasz sobie? I wszystkie zapieprzają w kierunku dworca, gdzie je potem ładują na takie specjalne wagony-platformy. I – naprzód, na Czechów. Pamiętam, że sąsiedzi powybiegali z domów i stali po obu stronach ulicy. I nam wszystkim – wliczając w to małych chłopców – udzieliło się jakieś takie zaciekawienie dorosłych. Bo dorośli wtedy w siedemdziesięciu procentach to były osoby, które miały za sobą doświadczenie ostatniej wojny. Moja babcia na przykład miała wtedy sześćdziesiąt sześć lat i doświadczyła całych dwóch wojen. I wszyscy ci ludzie z doświadczeniem wojny zamarli tak wśród tego warkotu w zachodzącym słońcu, gapiąc się na brudnozieloną kolumnę. Większość z nich była pewna, że to już wojna. Przy czym znów zwycięska. A potem była jeszcze taka scena na dworcu (bo my po jakąś cholerę posunęliśmy za tymi czołgami na dworzec, jak szczury za szczurołapem). A na dworcu wszystko kipiało od milionów kobiet, które dostały się tu samodzielnie, żeby ostatni raz pożegnać się ze swoimi walecznymi czołgistami. Bo to nie było regularne wojsko, ale tacy sami jak mój ojciec *partyzanci*, czyli dorośli faceci, wyrwani z rodzin przez powszechny obowiązek służby wojskowej, miałeś tam prawie wyłącznie wieśniaków z buraczanych łanów Banderlandu. No i w jednego z nich na peronie po prostu wczepiła się żona, wisiała na nim, lamentowała ze wszystkich sił, padała przed nim na kolana, łapała go za nogi i o mało nie tłukła głową o ziemię. Nie, jednak tłukła, tłukła. Kolesiowi nieszczególnie pasowało, że z jego baby taka histeryczka, co chwilę jakoś niezdarnie odpychał ją na bok, tym bardziej że oficerowie już zaczynali na niego pokrzykiwać z pewnym rozdrażnieniem. Wreszcie ostatecznie wyrwał się z mokrych objęć i wepchnął się jak najgłębiej do wagonu, a potem wystawił głowę z okna – jakby mówił: „Jak tam moja histeryczka?". A ta znienacka wydusza z siebie przez tragiczne szlochy: „Iwasiu, szłyszysz?

A kaj będziesz w Pradze, to kup mi fajne pantofle! Trzydziesty siódmy rozmiar!". W tym momencie pociąg ruszył.

W porządku, ale umówiliśmy się, że będziesz mówił o chwilach, kiedy było ci dobrze.

Pamiętam, że się tak umówiliśmy, i do tego zmierzam, nie śpiesz się. Teraz musimy przeskoczyć dwa lata i wrócić na ten inny, lwowski, dworzec, gdzie pełno ohydnych typów i śmierdzi rybnymi kotletami w panierce. Ale jedziemy z rodzicami do Pragi i mama kupiła nam bilety na nocny pociąg do Czopa. A Czop – to taka najbardziej zachodnia stacja Związku Radzieckiego, wyobrażasz sobie, jak to wygląda na mapie – Zakarpacie, Czop i w nim schodzą się razem granice trzech krajów. Zresztą, wiesz o tym. Tak jak i o tym, że Czop – to swego rodzaju koniec świata. W dziewięćdziesiątym piątym roku jechaliśmy z Irwanem – znowuż – ze Lwowa do Pragi i wsiedliśmy do tego samego moskiewskiego pociągu, bilety tym razem z jakiegoś powodu były. Irwan wchodzi do swojego przedziału, a tam już imiejet miesto byt' jeden pasażer – jakaś taka śmiertelnie zapita morda, ledwo ciepły, cały w więziennych tatuażach, rozchełstany, poci się na dolnym łóżku, a po podłodze tam i nazad przetaczają się wszystkie bez wyjątku wypite przez niego butelki. Poczuł, że ktoś wszedł – oni przecież wszyscy są czujni jak zające – i przetarł oko. Potem pyta: „Sasied?". Irwan: „Aha". On: „Dalioka?". Irwan: „Aha". On: „I ja dalioka. Da samawo kanca". Jakoś tak uroczyście to wymówił, intonując. Saszko wrócił do mojego przedziału i mówi: „Kurwa, do samej Pragi w jednym przedziale z mordercą jechać!". Ale przed Czopem ten ruszył się, pozbierał, zaczął pakować manatki, wypił jeszcze jedno piwo i w Czopie wysiadł w nieznane. Oto co znaczyło „da samawo kanca" – Czop. Czop, a nie Praga. W ten sposób, z punktu widzenia sojuzowej geografii, Czop – to *kaniec*. I tamtego wieczora z rodzicami w końcu wyruszyliśmy nocnym pociągiem do Czopa.

I właśnie w tym pociągu zrobiło ci się jakoś niezapomnianie dobrze?

A gdzie tam! Prędzej niezapomnianie źle. Trafiliśmy do jakiegoś straszliwego wagonu – u nas takie nazywają plackartami – z tych gdzie światła jest akurat tyle, żeby nie zasnąć i nie czytać, dokładnie tyle, żeby się powiesić. A więc półmrok i niewywietrzony smród masy ludzkich ciał, no i jeszcze skarpetek, majtek, podpasek, jajek na twardo, samogonu, wszystkiego tego, co czyni nasze plackarty właśnie plackartami, ale przede wszystkim – zapach ludzkich ciał, bo to była, zgodnie z definicją Josifa Brodskiego, epoka przeddezodorantowa, czyli czasy zupełnie innej świadomości higienicznej, obecnie już praktycznie zaginiona cywilizacja. Psychiczna wagonowa ciotka od razu nas rozdzieliła, bo nie znalazła trzech miejsc, które byłyby razem, nawet dwóch wolnych miejsc nie było obok siebie, i pamiętam, znalazłem się gdzieś na górnej półce, a pode mną młody oficerek w rozpiętej do samego pępka koszuli częstował wódką z piwem dwie damy, również młode, i stawał się przez to coraz bardziej pijany. Jedna z nich była bezceremonialnie tłusta, w okularach i ani trochę ładna, mocno się pociła w swoim szlafroku frotté i chłodziła się własnej roboty papierowym wachlarzem. Druga była drobna jak mysz i odpowiednio, też jak mysz, chichotała, kiedy oficer silił się na coś dowcipnego w rodzaju: „Wies' zielonyj, w żopie wietki, kapitan idiot rozwiedki" (Cały w ziołach, trawa z zadu, to kapitan jest z wywiadu). Ta mysz jawnie go kokietowała i wciąż powtarzała: „A mnie wajennyje nrawjatsja kak mużciny". Ale oficer bez wątpienia leciał na pierwszą – grubaskę, i mysz tylko mu przeszkadzała. Zasypiając na swojej półce, pomyślałem jeszcze, jaka to niesprawiedliwość – on taki młody, smukły i dzielny, a ona taki pasztet i dlaczego on właśnie jej tak chce? Wtedy nie znałem surowego męskiego powiedzenia, że „brzydkich kobiet nie ma". Kiedy po godzinie, dwóch się obudziłem (może to była stacja Stryj, a może już Ławoczne, nie wiem), układ pode mną zmienił się tak, że mysz, obrażona brakiem uwagi i ostatni raz na siłę chichocząca: „wies' w gawnie, w rukach

topor, pradwigajetsja sapior" (cały w gównie, w łapach siekiera – to pobudka jest sapera) – wracała na swoją górną półkę naprzeciwko mojej, a oficer od razu przesiadł się bliżej grubaski i spróbował położyć dłoń na jej kolanie wielkości piłki futbolowej. Powiedziała na to nerwowo i szorstko: „Nie nada Wadik" – i jak mówią, sniała rieszitielno pidżak nabroszenyj, czyli zdjęła z siebie marynarkę absztyfikanta, jak w radzieckiej piosence, bo porządną jest dziewczyną. Być może podniecał go jej pot. Być może węchem wyczuł w nim jakąś emanację namiętności. Zresztą, teraz teoretyzuję, a wtedy znowu zasnąłem. Potem od czasu do czasu się budziłem, a oni wciąż zmagali się tam na dole, ślepawa, brzydka nauczycielka w szlafroku frotté i podkolanówkach cielistego koloru i urodziwy oficer artylerii, który wracał z nadprogramowej przepustki w Riazaniu-Kazaniu do stałego miejsca odbywania służby w posiołku gorodskowo typu Czeskie Budziejowice. „Nie nada, Wadik" – szeptała. „A jesli ja po lubwi?" – odszeptywał i bekał aromatycznie. I za każdym razem budząc się w tym wagonowym mroku, znów i znów słyszałem te pełne szału i drżenia szepty: „Nie nada, Wadik". „A jesli ja po lubwi?". I po godzinie, i po dwóch: „Wadik, ja że skazała – nie nada". „A jesli ja? A jesli po lubwi?". Potem nadszedł świt, jakaś godzina jazdy do Czopa, czyli do *końca*. Dopił ostatnią setkę z papierowego kubka po lodach i ze słowami „Nu i paszła ty k jebieniemat', karowa aczkastaja!" wyszedł na korytarz, żeby w złości wypalać wszystko, co zostało w papierośnicy. A ona od razu jakoś tak żałośnie zachlipała i zdaje się, przebeczała resztę czasu – w Czopie okazało się, że wszystko jej bardzo spuchło – i nos, i oczy. Jeśli chodzi o oficera Wadika, to on już nie przemówił ani jednym słowem (do myszy też nie) – przetarł sobie tylko skronie „Rosyjskim Lasem", zapiął wszystkie guziki i tępo patrzył przez okno, jak dojeżdżamy – „wies' podtianut, wsiudy czist, wot kakoj artilieryst!" (cały niczym z galanterii, to oficer artylerii!). Tak dojechaliśmy do Czopa, ale do Pragi było jeszcze daleko aż strach.

W porządku, a teraz powiedz mi, jak daleko jeszcze jesteśmy od tego miejsca, gdzie było ci wreszcie dobrze?

A to właśnie ono. To znaczy jeszcze trochę – i będzie. Ale najpierw musimy z rodzicami przejść dwustronną kontrolę graniczną, której nie pamiętam, więc przechodzimy ją względnie szybko, nie zatrzymując się. Po czechosłowackiej stronie (Čierna nad Tisou) wsiadamy do czechosłowackiego pociągu i niebawem ruszamy. W tym wagonie wszystko było podobnie jak w naszych. Ale też całkiem inaczej. Powiedzmy, nie było smrodu. I wszystko było jakieś nowsze albo po prostu czystsze. Pasażerowie mówili w innym języku z wszystkimi jego zdrobnieniami w rodzaju smrtička, chociaż to był oczywiście nie czeski, ale słowacki. No tak, teraz pozostaje tylko to: wszystkie przeszkody pokonane i rączo mkniemy tam, gdzie tak chcę znów być. To było przeczucie kofoli i waty cukrowej w parku imienia Fučika. Czyli to było szczęście, dlatego że wszystko przede mną – Laterna magika, filmy o Indianach, jagodowe lasy nad Wełtawą. Można było od czasu do czasu zapadać w senne marzenia w tym wagonowym fotelu i znów budzić się, i widzieć za oknem niesamowicie piękne góry, prawdziwy słowacki raj. Jechaliśmy jakieś dziesięć godzin, jeśli nie dwanaście. I prawie bez przerwy za oknem były góry. Albo długie tunele, co na swój sposób oczarowywało. Do tego widziałem, że moi rodzice teraz kochają się z wzajemnością – zrobiło im się wyraźnie lżej na duszy, jak zawsze tę ulgę odczuwali wszyscy poddani radzieccy po przekroczeniu zachodniej granicy swojej ojczyzny. Nagle okazywało się, że jesteś na wolności, wyrwałeś się, wygrałeś na fantastycznej życiowej loterii. Zresztą nie tylko radzieccy poddani – Markiz de Custine zauważył ten efekt już za czasów cara Mikołaja I. Myślę, że za innych carów wszystko było dokładnie tak samo. Grunt – wyrwać się, jakoś uciec za miedzę. Zapamiętałem, jak biegały źrenice ojca, jak pożerał ten świat za oknem. Głaskał stopę mamy, zdjęła pantofle i wyciągnęła nogi na siedzeniu naprzeciwko. Ja wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tam za oknem ojciec

właśnie stara się coś rozpoznać. Już raz w swoim życiu mógł jechać tą trasą.

Opisana przez ciebie w Środkowowschodnich rewizjach *ucieczka do Wiednia?*

Tak, można to nazwać ucieczką do Wiednia, oczywiście. No, a oprócz tego, mój ojciec był leśnikiem, i to całkiem fanatycznym. Pamiętał nazwy setek roślin, przede wszystkim drzew, nie tylko ukraińskie, ale też łacińskie. On wszystkie te nazwy od czasu do czasu wymawiał, patrząc przez okno na czechosłowackie lasy. Jeśli wtedy był dla mnie na świecie ktoś taki, od kogo wszystko się zaczynało i na kim wszystko się kończyło, to był to ojciec. On pierwszy na świecie pokazał mi drzewo ginkgo. W koszmarnych snach już wtedy śniło mi się, że umrze, i aż dusiłem się z rozpaczy. Ale teraz nie o tym – mówię o tym, że tego dnia w pociągu do Pragi wszyscy byliśmy szczęśliwi.

Kiedyś pisałeś, że byliście z ojcem wielkimi przyjaciółmi, dlatego że podobały się wam te same książki.

No tak, o książkach, przeczytanych po ojcu, razem z ojcem, przeżytych z ojcem, znajdzie się niejedna historia. Teraz zbliżamy się do Pragi, tak? A ja jeszcze nie mówiłem, że wujek Eugen i ciocia Ada mieli dość poważną bibliotekę, nieszczególnie wielką, ale niezły wybór?

Nie, nie mówiłeś.

Więc – w tej bibliotece mogłem grzebać godzinami i wszystko, co tam było po ukraińsku, przeczytałem jeszcze za pierwszym razem, czyli w sześćdziesiątym ósmym roku: bajki wschodniej Słowacji, nowele Bohdana Łepkiego, a nawet wybór artykułów Doncowa wtedy przeczytałem i zrozumiałem, że treścią tych ostatnich lepiej z nikim się nie dzielić. A podczas następnej wizyty wziąłem się do lektury czeskich książek. Pełno tam było różnych atlasów biologicznych – stosownie do uczonego fachu wujka. Były albumy z fotografiami Pragi i okolic. Były różne zbiory, antologie, klasyka światowa, Cervantes, Balzak i *Anna Kareninová*. Potem przyszła kolej na literaturę przygodową i po prostu natknąłem się na przedwojenny (gdzieś

z końca lat dwudziestych) tom w brunatnej szagrynowej okładce – oczywiście pożółkły papier, zapach starości, ilustracje – *Buffalo Bill* Williama F. Cody'ego. Kilka dni się wahałem, podchodziłem do szafy z książkami, znów i znów brałem go do rąk, czytałem pierwsze dwa, trzy zdania po czesku. Nauczyłem się wtedy powoli czytać po czesku i chociaż nie rozumiałem w przeczytanym tekście bardzo wielu rzeczy, mogłem mniej więcej odtworzyć brzmienie i uchwycić najogólniejszą treść. Przecież bardzo lubiłem ten język ze wszystkimi jego zdrobnieniami! Pewnego razu postanowiłem, że nic nadzwyczajnego się nie stanie, jeśli ja tego *Buffalo Billa* ukradnę. I tak nikt go tu już nie czyta. Nikt nie zauważy. Dodam, że to nie była ostatnia ukradziona książka w moim życiu. I do tego zawsze mi się wydawało, że nikt by nawet nie zauważył. Bo w ogóle na świecie jest strasznie dużo książek. No i schowałem *Buffalo Billa* do dopiero co kupionego dla mnie tornistra – tam gdzie trzymałem wszystkie inne swoje skarby, które dostałem z różnych okazji, ale całkiem legalnie. Dzień przed odjazdem któryś raz coś dopakowywaliśmy – w salonie, na oczach wszystkich. Ojciec postanowił sprawdzić, czy jest jeszcze miejsce w tornistrze, włożył do niego rękę – i wtedy zrozumiałem, że jego dłoń namacała szlachetną, obciągniętą szagrynem okładkę. Na sto procent można to było wyczytać z jego twarzy. Przy tym jego dłoń nie mogła nie rozpoznać, co właśnie namacała – jakiś czas temu razem ze mną z lubością kartkował ten sam egzemplarz i zapamiętał go nawet na dotyk. Przygotowywałem się do publicznej egzekucji. Najgorsza była obecność wujka Eugena, który i bez tego uważał mnie za beznadziejnie zapuszczoną pedagogicznie poczwarę z piekła rodem. Z napięciem odczytałem z twarzy ojca chwilę walki. Przestał grzebać w trzewiach tornistra i rzucił tylko jedno, dwa szybkie spojrzenia na obecnych. A teraz powiedz mi, co było dalej?

Nic. Nie wydał cię.

Nie, nie wydał. Jego dłoń udała, że nic takiego w tym tornistrze nie znalazła. Przypuszczam, że przez te trzy tygodnie

w Pradze wujek Eugen zdążył i jemu dopiec swoimi reprymendami, pouczeniami. Po prostu ojciec wyobraził sobie jeszcze jedno, niewymownie długie kazanie – z rodzaju tych, przez które muchy padają. A oprócz tego byliśmy wspólnikami – nam obu strasznie się ta książka podobała. I przyjaźń ze mną, to znaczy kontynuacja tej przyjaźni, była dla niego ważniejsza i potrzebniejsza niż przykazanie „Nie kradnij", tak mi się wydaje. I to naprawdę wielkie, że człowiek staje ponad przykazaniami dla innego człowieka. Chociaż w ogóle, to jeszcze kilka razy przyłapał mnie na książkach.

Na kradzieży książek?

Nie, niekoniecznie. Pewnego razu na *Dekameronie*. Na tym, że czytałem *Dekameron* w niby nieodpowiednim wieku. Właściwie, gdybym robił to otwarcie, trzymając książkę na biurku, wszystko wyglądałoby nie tak peinlich*. Ale ja ją chowałem i ojciec przypadkowo znalazł tę kryjówkę.

Kryjówkę dla Boccaccia?

Właśnie ją. Z tego, że go chowałem, wynikało zupełne uświadomienie sobie całej głębi przestępstwa. Czyli świadome popełnienie zbrodni z kilkoma obciążającymi okolicznościami.

I ukarał cię?

Nie. To znaczy za karę wystarczyło samo wykrycie – mówiąc tradycyjnie po galicyjsku „twarz spłoniona ze wstydu". Karą stała się tymczasowa utrata twarzy.

Seks i erotyka były w waszej rodzinie tabu?

Raczej tak. Chociaż w przybliżeniu od szóstego roku życia wiedziałem, jak się to robi. Chłopcy-wychowawcy z sąsiedztwa, podglądanie życia dorosłych, ciasnota mieszkań, w których dzieci budzą się przestraszone zagadkowym poskrzypywaniem albo pojękiwaniem, pierwsze onanistyczne doświadczenie i różne takie. A przy tym w rodzinie wszyscy udawali, że ja o niczym nie wiem, bo nic takiego nie istnieje.

* Żenująco (niem.).

Moja babcia zgodnie z normami wychowawczymi pewnie jeszcze z DZIEWIĘTNASTEGO stulecia pilnowała, żeby moje dłonie w nocy obowiązkowo znajdowały się na kołderce. Czasem podkradała się do mojego łóżka i nachylała nad nim z zapaloną świeczką. Kiedy skończyłem dziewięć lat, mama zaszła w ciążę i uważała za konieczne wyjaśniać mi stopniowy wzrost swojego brzucha różnymi bzdurami w rodzaju: od czasu do czasu *ciocie* zaczynają coraz bardziej i bardziej gustować w jedzeniu i dzięki temu rodzi im się potem chłopczyk albo dziewczynka.

Jak to w ogóle wyglądało – wasz dom?

Zburzyli go zeszłego lata. Już mówiłem, ulica nazwana była imieniem jakiegoś Harkuszy, być może Rozbójnika Harkuszy... Tak się zresztą do dziś nazywa. Całkiem niedaleko od dworca kolejowego. Dlatego nocne gwizdy lokomotyw i szaleńcze potoki wymowy z megafonów dyspozytora stały się ciągłymi ścieżkami dźwiękowymi mojej podświadomości. To był piętrowy, bardziej niż typowy dla starego Stanisławowa budynek, zresztą „budynek" – to nie to słowo, jednak „chata", jej właścicielem był jeszcze mój pradziad, czyli ojciec mojej babci, malarz Karło Skoczdopol. Ale za jego czasów tam mieszkała tylko jedna rodzina – on z żoną i czworo ich dzieci. A kiedy władza radziecka po wojnie wszystko *znacjonalizowała*, dom podzielono pomiędzy trzy rodziny i mojej babci zostały dwa pokoje z dawnych ośmiu. Plus malutka weranda, połowę której wydarto na kuchnię. Mieszkaliśmy tak: w pierwszym pokoju spała babcia i w nim był stół, przy którym jedliśmy. W drugim spałem ja i rodzice, przy czym oni z jakiegoś powodu w oddzielnych łóżkach. Tam był inny stół, polerowany, a więc *świąteczny*, etażerka z książkami, radiola, a w 1967 roku pojawił się telewizor. Albo pojawił się już pod koniec sześćdziesiątego szóstego, mogę tylko stwierdzić, że jakoś koło Nowego Roku. Latem sześćdziesiątego szóstego jeszcze go nie mieliśmy, bo na finał mistrzostw świata Anglia–RFN ojciec chodził do sąsiadów. To było mieszkanie bez wody i kanalizacji. Wodę nosiliśmy z podwórka sąsiadów,

gdzie była studnia z metalową ręczną pompą. Brudną wylewaliśmy do spływu kanalizacji na ulicy. Toaleta, choć lepiej byłoby powiedzieć drewniany sracz, znajdowała się w głębi podwórza, za grządkami i olbrzymim orzechem, w zimową noc wyprawa do niej nie sprawiała wielkiej radości. Chyba że noc trafiła się gwiaździsta. Teraz trudno mi już wyobrazić sobie taki sposób życia, ale, o ile wiem, w podobnych warunkach w tych czasach żyła dobra połowa *heroicznego narodu radzieckiego*. Przy czym koniec lat sześćdziesiątych w pamięci zbiorowej uważany jest za czas wielkiego materialnego rozkwitu. Nie to co późne lata siedemdziesiąte z ich deficytem żywności! Tak i moi rodzice – najpierw kupili nową szafę, potem radiolę, potem lodówkę, a potem i telewizor. Kupowała, dokładniej mówiąc, mama z jej życiową zaradnością i umiejętnością wprowadzenia wszystkiego na czas do *harmonogramu*. Do tego ironicznie cytowała znaną piosenkę: *Pried rodinoj v wiecznom dolgu* – Przed ojczyzną wiecznie w długu.

Czym ogrzewaliście?

To takie ciekawe? Gazem. W każdym pokoju był piec kaflowy, a w nim paliło się gazem. Nie, o ile pamiętam, w ogóle było ciepło, chociaż zimy tych lat wspominam jako mroźne i śnieżne. Piece gazowe w środku dosyć wesoło huczały, już przez sam ten dźwięk robiło się ciepło. Dobrze się przy nim czytało *Królową Śniegu*.

Były jeszcze jakieś dźwięki?

Oczywiście. Akacja za oknem szeleściła i skrzypiała całą sobą. Wiatr i krople deszczu uderzały o szyby. Dworzec – jak już wspominałem – wszystkie te gwizdy, świsty, ta-tam-ta-tam. Rozmowy przechodniów, którzy szli ulicą Harkuszy na dworzec i z dworca, późno w nocy i wcześnie rano. Można było całymi dniami stać na werandzie przy oknie i patrzeć na przechodniów. Robiło się od tego nieznośnie wesoło. Przechodnie, wszyscy jak jeden mąż, zdawali się potwornymi wyrodkami, wystarczało przyjrzeć się, żeby takich ich zobaczyć. Aha, był jeszcze całkiem tajemniczy dźwięk, który pojawiał

się szczególnie w nocy, gdzieś koło jedenastej. Słyszałem go zawsze, odkąd siebie pamiętam, ale nigdy o niego nie pytałem. Aż pewnego razu rodzice zaczęli mówić o nim sami i zrozumiałem, że to nie jakiś mój osobisty haluk.

Co to było?

Stukot. Albo lepiej powiedzieć łupanie, dosyć miarowe, zawsze w tym samym rytmie – tak jakby gdzieś na dole pod nami pracował jakiś olbrzymi młot, być może, pneumatyczny. Moi rodzice mieli zwyczaj czytać w łóżkach przed snem. Kolejno pochłaniali te same pożyczone z biblioteki książki, najczęściej Jacka Londona i Remarque'a. W pewnym momencie zacząłem ich w tym naśladować. A więc w milczeniu leżeliśmy każde w swoim łóżku i w swoim tekście, aż nagle mama powiedziała coś w rodzaju: „Znowu to łupanie". I zaczęły się rozmowy – wystarczająco ożywione, by okazało się, że wszyscy latami tylko czekaliśmy na taką okazję. Spośród kilku hipotez (wbijanie pali – drążenie tunelu – serce pochowanego żywcem pod naszym domem czarownika) najbardziej prawdopodobna wydawała się ta ojca: podziemna fabryka, tajny obiekt strategiczny. Wyobrażałem sobie te olbrzymie, zalane neonowym światłem zakłady, długie rzędy tokarek, iskry, stal, blachy na poszycie rakiet. Tysiące robotników, którzy przez całe życie pracują tylko w nocy. Być może pośród nich są jacyś nasi znajomi, sąsiedzi? W dzień widzimy ich tuż obok, a w nocy schodzą pod ziemię. Albo nie – jacyś niewidziani nigdy przez nikogo mieszkańcy podziemi, którzy nigdy nie wychodzą na powierzchnię? To było zachwycające i trochę straszne. Zdaje się, ojciec zwrócił uwagę na to, że w noc z niedzieli na poniedziałek łupanie ustaje. To znaczy, że *oni* też mają wolne. Czyli to jednak fabryka. Bardzo mocny argument, ale nie jestem pewien, czy naprawdę w nocy z niedzieli na poniedziałek wszystko zamierało. W tym czasie w zeszytach szkolnych smarowałem jakieś historie przygodowe, więc ojciec poradził mi zabrać się do pisania powieści pod tytułem *Tajemniczy młot*.

I napisałeś?

Nie. Brakowało zakończenia. Poza tym dla dziesięcioletniego autora to był za trudny temat – wymagał znajomości zbyt wielu technicznych patentów, zaplątałem się i wymiękłem. W siedemdziesiątym pierwszym roku przenieśliśmy się do chruszczowki na Belwederze i prawie od razu zapomnieliśmy o tych dźwiękach. Aha! Właśnie przypomniało mi się coś takiego: ja tę tajemnicę kiedyś obgadałem z chłopakami z sąsiedztwa. Najstarszy z nas – z tych, którzy uczą młodszych *wszystkiego najgorszego* i po raz pierwszy pokazują, jak powinien wyglądać penis ze ściągniętym napletkiem – czynnie przepychał wersję z budową tunelu. Z tego co mówił, ten tunel latami budowali Chińczycy – z zamiarem, by pewnego dnia wyjść na powierzchnię i pokonać nas praktycznie gołymi rękami. To były czasy przesiąknięte duchem chińskiego zagrożenia. Wszyscy mówili o Mao Tse-tungu i hunwejbinach czy, jak to się zazwyczaj wymawiało, chujwejbinach. Wiadomo było, że mają potworne przeludnienie, że z głodu pożarli wszystkie wrony i wróble, a teraz nie mają innego wyjścia tylko nas zawojować. Napięcie polityczne między Sojuzem i Chinami rosło niemal z dnia na dzień. Mówiło się o wielotysięcznym ataku *chujwejbinów* na *nasz* posterunek graniczny. Miało się to stać gdzieś na Amurze, Wyspa Damańska czy coś takiego. I niby *nasi* wszystkich ich tam wykosili – promieniami lasera, czyli po prostu setki tysięcy Chińczyków zmieniło się w popiół. Inni co prawda twierdzili, że niby to nie był żaden laser, tylko *katiusze nowej generacji*. W każdym razie *nasi chłopcy* niekiepsko dowiedli *żółtej hołocie*, że wcale nie ilością się zwycięża. Po tym damańskim pogromie poziom agresji *żółtków* znacząco spadł, chociaż napięcie wciąż było odczuwalne i ostatecznie ulżyło nam wszystkim po śmierci Mao. Ta śmierć jakoś szczególnie ucieszyła moją babcię Irenę Karliwnę, na którą jedni sąsiedzi wołali „pani Irena", a inni po prostu „Karłowna". Ona nie lubiła Mao Tse-tunga.

Rozumiem, że to ta sama osoba, o której piszesz w Erz-herz-perc? *Ta, która jako dwunastoletnie dziecko oglądała Franza Ferdinanda von Habsburga w fiakrze?*

Tak, to ona. Ale nie w fiakrze, tylko w otwartym samochodzie, czyli w kabriolecie. Jechał w stronę stacji kolejowej obok tego naszego domu ulicą Romanowskiego, przyszłą Harkuszy. No tak – pani Irena. Królowa irysów. Niziutka dziwaczna istota: patetyczna, ironiczna, nerwowa, naiwna. W dzień musiała obowiązkowo pospać – z chustką zawiązaną na głowie tak, żeby oczom było ciemno. Zdawało mi się, że zamiast do snu przygotowuje się za każdym razem do publicznej egzekucji. Dzięki tej chustce spała strasznie głęboko – jacyś naukowcy mogliby badać na niej fizjologię snu. Pewnego razu powiedziała, wyraźnie się nie budząc: „Ale on zdenerwowany!". Kontynuowanie rozmowy wydało mi się ciekawe i zapytałem kto. Odpowiedziała: „Kot". Ale i tak się nie obudziła. Dużo więcej o niej napisałem w *Środkowowschodnich rewizjach*. Ale choćbym nie wiem ile o niej pisał, nigdy nie będzie dość. To ona nauczyła mnie najdłuższego słowa na świecie i jest to słowo niemieckie: Hottentottenpotententantenatentatentäter*. Dlatego zawszę będę miał wobec niej dług. Przez swoje niespełna osiemdziesiąt lat przeżyła sześć reżimów politycznych.

Pięć.

Jednak sześć: imperium austro-węgierskie, ZURL, Polska, pierwsi sowieci, reich, drudzy sowieci. Można pisać historię XX wieku.

Jaka jest różnica między pierwszymi i drugimi sowietami? Czy to nie ten sam reżim?

Pierwsi byli okupantami, a drudzy wyzwolicielami. I wszystko dzięki Niemcom. Oczywiście żartuję. Nie, to tak naprawdę jest różnica jak między przedwojennym i powojennym zetesererem. To dosyć odmienne systemy, chociaż niby częściowo

* Osoba, która dokonała zamachu na ciotkę hotentockiego możnowładcy (niem.).

z tym samym Stalinem na czele. Jakkolwiek by było, moja babcia – to taki fantastyczny szpagat nad rzeką czasu. Na jednym brzegu – fotoplastykon, Franz Ferdinand, nieme kino i taniec shimmy, na drugim – kosmonauci, Mao Tse-tung, centralna telewizja i śmierć Gagarina, którą ona ciężko opłakiwała. Wyobrażasz sobie – Franz Ferdinand i Jurij Gagarin w jednym i tym samym filmie! Brakowało tylko grupy „Franz Ferdinand".

Czyli ona, pani Irena, nie była antyradziecka?

Była sobą. Czyli kimś, kto zdążył pożyć w sześciu reżimach politycznych – ze wszystkimi tego następstwami. I ona jakoś tak przyciągała do siebie wszelkie odłamki zniszczonych poprzednich światów. Kiedy mieszkaliśmy na Harkuszy, często zachodziły do niej najróżniejsze półzwariowane stare *paniusie*, rzadziej *panowie*, przeważnie jednak *paniusie*, przeważnie damy, bo *panowie* na ogół z różnych przyczyn do takiego wieku nie dożywali. Poza tym prawie wszystkie były starymi pannami i prawie wszystkie mieszkały w parach ze swoimi siostrami. Teraz czasami przypuszczam, że może to nie były siostry, lecz tajemna lesbijska wspólnota. Wyobrażasz sobie – lesbijski ruch oporu na tle tych wszystkich dyktatur? I to było jakieś panoptikum – wszystkie te wytarte futra, strusie pióra, lisie ogony, błękitne wstążki i różowe kokardy, turbany z broszkami, kapelusiki. No tak – przede wszystkim kapelusiki. Pośród nich była jedna taka zupełnie głucha staruszencja, która zawsze opowiadała to samo: niby właśnie biegła za nią wataha „bękartów" i wrzeszczeli: „Pani w kapelusiku! Pani w kapelusiku!", więc nosiła pełne kieszenie kamieni, żeby ich odganiać. Babcię niespecjalnie cieszyły ich wizyty, ale zazwyczaj podawała im kakao i pączki. Przypominało to spełnianie obowiązku. Chodziło o to, że większość z nich nawet nie była jej przyjaciółkami, ale jeszcze jej matki, niektóre nawet zwracały się do niej – „dziecinko". Aż spadałem pod stół ze śmiechu: moja babcia – dziecinka! Dla mnie to w ogóle był niezły cyrk. Szczególnie kiedy one czegoś ode mnie chciały, a babcia nie kontrolowała sytuacji,

bo właśnie wychodziła na werandę, na przykład przygotowywać dla nich kakao. Wtedy robiłem sobie z nich jaja. „Co nowego w gimnazjum, Igorku?" – pytała któraś z nich, wyraźnie grzęznąc w dziesięcioleciach i myląc mnie z moim ojcem. „Rozdali wszystkim broń" – odpowiadałem i pokazywałem przywieziony z Pragi pistolet na wodę. „A jak ty się nazywasz?" – pytała znów za parę minut. „Maurice Gerald" – odpowiadałem i ona z uznaniem kiwała głową, bo i tak nic nie słyszała. Kiedy przeprowadziliśmy się na Belweder, znacznie ich ubyło. Może te czteropiętrowe bloki z czasów Chruszczowa jakoś je odstraszały. A może po prostu powymierały. Jedna z nich na pewno spaliła się w domu razem z wszystkimi swoimi kotami i kotkami. Pisze o tym Jurko Prochaśko, on też ją pamięta, tak jak i Taras.

Zanim ostatecznie przejdziemy do chruszczowek – przypominasz sobie coś jeszcze z tego pierwszego domu?

Tego wszystkiego jest tak wiele, że zostaje mi tylko linia przerywana. Pamiętam sąsiadów. Kiedy wychodziło się od nas na podwórko, to pierwsze były drzwi do mieszkania żydowskiej rodziny Drotów. Mieszkały tam dwie siostry – Ania i Sofa, dużo się ze mną woziły w czasach, kiedy jeszcze pełzałem. Jak wszystkie dziewczynki ciekawiła je zabawa taką żywą tłustą lalką. Potem uczyły mnie jeździć na trzykołowym rowerze. Pamiętam, że miały płytę z *Parasolkami z Cherbourga* i puszczały ją po tysiąc razy dziennie, raz za razem, znowu i znowu, tysiąc razy dziennie! Ich rodzice nazywali się Ida i Kopel, rozmawiali śmiesznie po rosyjsku, ale wtedy wszyscy rozmawiali po rosyjsku śmiesznie. Włącznie z samymi Rosjanami. Drotowie pierwsi mieli telewizor i czasem zapraszali sąsiadów na oglądanie – jeśli wieczorem pokazywali jakiś tam *Los człowieka*. Albo *Drogę przez mękę*. Do nich ojciec chodził na mecze w sześćdziesiątym szóstym roku.

Aha, mecze. Interesowałeś się piłką nożną?

To za słabe słowo. Ale zaczęło się w przybliżeniu od momentu, kiedy i w naszym domu pojawił się telewizor. Mniej więcej wtedy ojciec zaczął zabierać mnie na mecze naszego

Uraganu. Pamiętam, jak nasi dowalili 3:0 Naftowykowi (Drohobycz) i 4:0 Charczowykowi (Bendery). Szliśmy – jakieś pięć tysięcy krzykaczy – długaśną kolumną ze stadionu ulicą Szewczenki i skandowaliśmy coś w rodzaju: „Synowie Bandery pobili Bendery!". Oprócz tego szaleńczo kibicowałem jeszcze dwóm drużynom – reprezentacji ZSRR i kijowskiemu Dynamo. Czasem lwowskim Karpatom, ale bardziej Dynamo. Z nimi wszystko ułożyło się we właściwym czasie: zostałem ich kibicem akurat w latach, kiedy trzykrotnie zdobyli mistrzostwo Sojuza, więcej coś takiego się nie powtórzyło. Z wszystkich trzech *moich* drużyn mniej więcej stoicko znosiłem porażki reprezentacji i Frankowskiego Uraganu. Ale porażki Kijowa czasami doprowadzały mnie do płaczu. Zalewałem się łzami i w sześćdziesiątym siódmym, kiedy w Pucharze Mistrzów przerypali z Górnikiem, wcześniej fantastycznie eliminując z gry Celtic (Glasgow), i w sześćdziesiątym ósmym, kiedy wylecieli z tego samego Pucharu, przegrywając z Fiorentiną, ale najbardziej gorzkie – w sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy przejebali mistrzostwo Sojuza z moskiewskim Spartakiem. To był koszmar, a nie mecz. Żyliśmy nim kilka tygodni ciurkiem – to miał być kijowski rewanż za porażkę 1:2 w Moskwie z pierwszej rundy rozgrywek. Rywalizację kijowskiego Dynama i moskiewskiego Spartaka w starych radzieckich mistrzostwach trudno porównywać nawet z rywalizacją Barçy i Realu w hiszpańskich czy wspomnianego Celtica i Rangers w szkockich. Dla nas na Zachodniej Ukrainie to było coś na kształt wojny o niepodległość. I trzy razy pod rząd ją wygrywaliśmy. Dlatego przez kilka tygodni ględziliśmy tylko o meczu – w szkole i w domu, wszędzie. Ekstatycznie odliczałem dni do początku dramatu. Na lekcjach rysowałem w zeszytach schematy rozmieszczenia i współdziałania graczy i analizowałem wszystkie możliwe warianty. Scenariusz był jeden: Dynamo musiało wygrać i wyjść na pierwsze miejsce. Zamykałem oczy i widziałem przepiękne strzały, które wpadają w siatkę moskiewskiej bramki – Sabo, Turiańczyk, Byszowiec! Była

straszliwa jesień, jakiś koniec października czy już listopad, ciężki zimny deszcz nie przestawał padać ani na chwilę – jak w Kijowie, tak we Franku i całej Ukrainie. Mój ojciec sprowadził pełny dom swoich kumpli, zasiedliśmy przed telewizorem, z jakiegoś powodu prawie pewni, że Kijów zwycięży, bo inaczej być nie może. Zwycięży, ale w bardzo ciężkim boju, zgadzaliśmy się. W połowie pierwszej połowy Osjanin strzelił nam bramkę z kontry. Moskale sami nie wierzyli we własne szczęście. Z minuty na minutę czekaliśmy na wyrównującą bramkę Dynama, potem miała być druga, trzecia. Piłka ledwie toczyła się po boisku, grzęznąc w kałużach. Niemożliwa była gra w żaden z futboli – ani siłowy, ani kombinacyjny. Wszystko tonęło w nieznośnie grząskim błocku, w lodowatych strumieniach. Dynamo rozpaczliwie i spazmatycznie rzucało się na moskiewską bramkę, ale żaden przepiękny strzał tego wieczora jednak w nią nie wpadł. Ani żaden paskudny, ani po prostu żaden strzał. Jakieś dwadzieścia minut przed śmiercią zacząłem beczeć i potwornie blady ojciec warknął na mnie: „Przestań!". Nigdy w życiu na mnie nie krzyczał, to było po raz pierwszy. I nigdy w życiu nie widziałem go tak kurczowo skrzywionego i bladego. Ale ja nie przestałem, bo nie mogłem. I kiedy to się stało (końcowy gwizdek, ostatni śmiertelny wydech, ostatni jęk trybun, przemiana deszczu w mokry śnieg i zła tatarska radość na bezczelnych spartackich gębach), poczułem, jak coś we mnie pęka – stało się, kurwa, niemożliwe – ktoś umarł, coś umarło, czegoś na świecie zabrakło, Rosja, suka Rosja znowu nas wyruchała, moskale znowu nas zrobili, *hore-hore tij czajci nebozi, szczo wyweła czajeniatok* – mój płacz był płaczem Ukrainy, rozrósł się w wielki lament, ojciec trzasnął drzwiami i ruszył dokądś w deszczowy mrok razem z całym towarzystwem, w nocy dostałem gorączki i potwornie rzygałem, a on przywlókł się gdzieś nad ranem pijany w trąbę, czy nawet jak szpadel, przemoknięty do suchej nitki i zabłocony. Taka to była piłka.

I dalej płakałeś nad futbolem przez wszystkie następne lata?

Nie, z czasem chłopcy tracą tę zdolność – płaczu. Chłopaki nie płaczą, jak wiadomo. Gdzieś w wieku jedenastu, dwunastu lat to mija jak ręką odjął. Czasem nawet chciałbyś, ale już nie możesz, tylko pochlipujesz. To oczywiście początek dojrzewania płciowego, kiedy zasypia w tobie na długo jakieś centrum organizacji płaczu. Ono potem ożywa gdzieś po czterdziestce, ale jest już inne. Żeby zakończyć z futbolem: szczyt mojego kibicowania przypada na lata siedemdziesiąte. Na przykład mistrzostwa świata w siedemdziesiątym czwartym roku. Pamiętam z nich, zdaje się, wszystko. Powiedzmy: podczas meczu reprezentacji RFN z Chile turecki sędzia wyrzucił z boiska Chilijczyka Caszely'ego za symulowanie. A z Afryki przyjechała wtedy tylko jedna drużyna i był to Zair.

A kto strzelił Polakom w półfinale?

No, to bardzo łatwe! Müller, Gerd Müller. Ale gdybyś zapytał, który z Jugosłowian strzelił trzecią bramkę z dziewięciu w meczu przeciwko Zairowi, tobym musiał pomyśleć. A w ogóle moją miłością była wtedy Holandia, jednak najlepsza na świecie, po prostu im się nie poszczęściło – i w siedemdziesiątym czwartym w Niemczech, i w siedemdziesiątym ósmym w Argentynie musiała w finale grać z gospodarzami.

Dobrze, zostawmy futbol, bo za bardzo wciąga. Sam już zaczynam zamęczać się przypominaniem sobie, kto komu nie strzelił jakiegoś karnego. Nie skończyliśmy jeszcze z podwórkiem na Harkuszy.

Tak naprawdę tego nie uda się skończyć nigdy. Tak sobie teraz myślę, o czym jeszcze powiedzieć? O innych sąsiadach, o ich niewzruszonych, jakby nabitych na pale i podobnie też wykrzywionych głowach w oknach? O rodzinie wróżek w głębi podwórka? O zbieraniu orzechów albo czereśni? O placu zabaw z huśtawkami, gdzie letnimi wieczorami przenośna budka z projektorem za bezdurno pokazywała filmy animowane i stare rewolucyjne thrillery? O Małym Wołodce, którego ostro rąbnąłem kantem dłoni w szyję, od czego przestał oddychać, posiniał, a ja straciłem grunt pod nogami,

bo wyobraziłem sobie, że on zaraz umrze i któreś z moich rodziców zmuszone będzie siedzieć za mnie w więzieniu.

Obeszło się bez tego?

Wyskoczyła mama, która właśnie słuchała lwowskiego koncertu życzeń. Między trzynastą a czternastą co niedziela Lwów nadawał na średnich falach koncert. Muzyka Białasz, słowa Pawłyczko i różne takie, mama to lubiła. Wlała w Małego Wołodkę całą szklankę gazowanej wody z syfonu z sokiem malinowym, i oprzytomniał. Później, kiedy bywał u nas w domu, jeszcze kilka razy udawał, że coś mu utknęło w gardle i nie może złapać oddechu, i robi się siny. Bo dobrze zapamiętał tę wodę gazowaną z sokiem i w takich wypadkach zawsze ją dostawał. Aha, zdarzały się jeszcze powodzie – dwa lata pod rząd, latem. Jakoś tak wychodziło, że deszcze padały po czterdzieści dni i nocy, i wtedy obie Bystrzyce puchły i występowały z brzegów, i niosły na swoich zdziczałych falach kawałki domów, drzewa, snopki, pewnego razu ktoś widział, jak niosły krowę i ona była jeszcze żywa, ale miała połamane nogi, innym razem niosło samochód, Wołgę. Tak Wołga połączyła się z Bystrzycą. Zdziwaczałe przyjaciółki mojej babci mówiły, że to przez loty w kosmos. Może i miały rację. We wszelkich przejawach końca świata orientowały się najlepiej.

Były jeszcze jakieś znaki? Oprócz lotów w kosmos i Chińczyków?

Więcej niż dość. Czasami to było mięso, gnijące mięso – opylali je jacyś podejrzani chłopi, którzy nad ranem mijali nasz dom w drodze z dworca na bazar. Kiedy tylko odchodzili, mięso błyskawicznie pokrywało się gnilnymi plamami, zaczynało się ruszać i potwornie jęczeć. Czasami to były jajka – na pierwszy rzut oka zwyczajne kurze, ale w środku miały nieproporcjonalnie wielkie zarodki, jakby smocze. Potem jeszcze sznur – pewnego razu ojciec znalazł dwumetrowy sznur zapieczony w bochenku chleba. Pamiętam jeszcze wędrownego kaznodzieję z rozczochraną brodą i w wytartym kołpaku, zawsze pojawiał się na skwerze przed dworcem

na początku lata i kręcił się tam do połowy jesieni, rozdając na prawo i lewo jakieś stronice ze świętymi wierszami, niezbyt zrozumiałymi, takimi raczej dadaistycznymi. Ale one wszystkie wróżyły coś niedobrego, to było jasne. Biegaliśmy za nim nieco większą watahą i dręczyliśmy. To znaczy naśmiewaliśmy się. Albo doczepialiśmy się do niego, żeby wyznaczył, kto z nas „griesznik", a kto „prawiednik". Bo on to umiał jednym spojrzeniem.

I co powiedział o tobie?

Prawiednik. Cha-cha-cha-cha! Później często śniło mi się, że czymś go obrażam i mnie goni, o mało co nie doganiając. Śniły mi się też straszne sny z udziałem niektórych sąsiadów. Kilka budynków od nas mieszkały takie sobie Pilawskie, córka i matka, obydwie cienkonogie, chude jak tyczki, z jaskrawo wymalowanymi ustami, w międzywojennych beretach, trochę kosmitki. Córka miała ponad pięćdziesiąt lat, a matka odpowiednio pod osiemdziesiątkę. Żyły niby z tego, że późnymi wieczorami przyprowadzały z dworca wszelkich przypadkowych pasażerów, którzy musieli zatrzymać się na noc we Franku. Podobno proponowały im nocleg za wielce umiarkowaną cenę. W rzeczywistości mało kto wychodził z ich prześmierdniętego kotami i po prostu moczem barłogu cały i zdrowy. Obie były pajęczycami. Stara kilka razy starała się mnie zwabić do nich, pokazując z okna werandy jakieś pożółkłe polskie gazety, ale ja udawałem, że niby nie patrzę w jej stronę, i pochmurnie odchodziłem jak najbliżej swojego domu. Pewnego razu na dworcu obserwowałem, jak jej córka myszkowała po poczekalniach w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Byli to przeważnie młodzi chłopcy, niemal podlotki, zawsze w tym samym typie – z biednych wsi, jacyś tacy uczniowie technikum i szkół rzemieślniczych w kusych płaszczykach z niezgrabnymi, obitymi na rogach blachą walizkami. Pani Pilawska łapała ich za łokieć i coś energicznie mówiła swoimi jaskrawymi wargami. To był seans hipnotyczny – szli za nią, pokornie zwieszając głowy, tak się chodzi raczej na egzekucję.

A więc lubiłeś włóczyć się wieczorami po dworcu?

Zgódź się, że to nie najgorsza z rozrywek. Początkowo żądałem od babci albo od ojca, byśmy „poszli oglądać parowozy". To trwało w przybliżeniu, dopóki nie skończyłem pięciu lat. Bardzo lubiłem, kiedy przyjeżdżał „warszawski" – czyli ekspres Warszawa–Konstanca. W oknach wagonów zawsze stali jacyś trochę inni ludzie, być może Polacy.

Aha, siedemdziesiąty szósty?

Przypuśćmy, że tak. Pewnego razu ten pociąg przywiózł całą kupę naszych kuzynów z Krakowa. Było ich aż pięcioro i przyjechali do nas w gości, to był najmłodszy brat mojego dziadka, stryj Roman, z żoną i trojgiem dzieci. Babcia nie widziała go ze trzydzieści lat, omal nie zemdlała na peronie ze zdenerwowania, trzeba było ją podtrzymywać ze wszystkich możliwych stron. Ona w ogóle często traciła przytomność. I często padała z nóg. To była taka samoobrona, to znaczyło: mogę was w każdej chwili opuścić, to dla mnie nic trudnego. Od tej pory warszawski pociąg stał się dla mnie zwiastunem jakiejś przyjemnej niespodzianki – na przykład gości i prezentów. Wymawiałem „Warszawa" – i czułem jakieś perfumowo-mydlane wonie, zupełnie zagraniczne, u nas takich się nie spotykało. „Kon-stanca" natomiast była przede wszystkim stacją, cała w lustrach i palmach. Konstanca była na południu, a południe było morzem.

Dworzec – to coś jak port? Czyli można z niego zobaczyć morze?

Absolutnie. W dziewięćdziesiątym czwartym roku naprawdę trafiłem na kilka godzin do Konstancy i tam okazało się, że rzeczywiście jest trochę palm. Cała reszta była inna, ale ja oczywiście się nie zdziwiłem. Ogólnie rzecz biorąc, można to podsumować w ten sposób, że przeprowadzka z Harkuszy na Belweder to była przede wszystkim utrata dworca, jego bliskości. Wszystkich jego Cyganów.

Ale chyba to nie była tylko strata. Pojawiło się coś w zamian.

Rzeka, bliskość rzeki. Z Harkuszy mieliśmy do rzeki znacznie dalej. Była to też inna rzeka – Bystrzyca Nadwórniańska. Szło się do niej wiecznie nagrzaną kładką dla pieszych

nad torami, potem nad warsztatami zakładu remontu parowozów, ZRP (albo, jak mówiła babcia, zeterpe), potem jeszcze długo ulicą Miru i ówczesnymi przedmieściami Sofijówki czy Kasprówki, czy czegoś tam jeszcze. Chociaż przeważnie odjazdowo było – iść przez ten zapach rozgrzanych smołowanych podkładów, a potem tymi zakurzonymi uliczkami. A okazało się, że z mieszkania na Belwederze jest nie dalej niż dziesięć minut do Bystrzycy Sołotwińskiej. Ulicą Karmeluka (znowuż rozbójnika) do samego końca. W nowym (względnie nowym) mieszkaniu pokoi było o jeden więcej – całe trzy, a także wszystkie tak zwane *wygody* łącznie z wanną. Teraz rodzice mieli oddzielną sypialnię ze wspólnym łóżkiem. Z okna ich sypialni można było zobaczyć wąziutki przebłysk rzeki – wczesną wiosną kiedy nie było liści. A także cieniutką smugę przeciwnego brzegu. W dzień, kiedy rodziców nie było w domu, mogłem długo stać przy tym oknie w ich sypialni. W ogóle bywałem w niej codziennie po kilka godzin. Potajemnie czytałem książki mamy – jedna z nich, tłumaczona z francuskiego, zatytułowana była *Angelika*, inna zatytułowana *Gabriela*, napisał ją Jorge Amado. W obydwu wyszukiwałem sceny i opisy erotyczne, czyli czytałem tylko *wybrane fragmenty*.

Ile miałeś lat?

Kiedy przeprowadziliśmy się na Belweder, mijał mi dwunasty rok. Czyli zmiana miejsca zamieszkania nałożyła się w czasie na początek wiadomych zmian we mnie. Taka sobie osobista rewolucja seksualna, revolution number one. Nastaje pewien czas – i wszystko na świecie zaczyna się kręcić wokół twojego fleta. Książki były wtedy chyba jedyną zewnętrzną podnietą. Od dawna wiadomo, że w *ZSRR* początku lat siedemdziesiątych „sieksa jesz'czo nie było". Nie było go w telewizji, a w kinie – jeśli gdzieś tam w którymś zachodnim *progresywnym* filmie całowali się zbyt namiętnie czy, powiedzmy, bohaterka miała zbyt głęboki dekolt – ustanawiano drakońskie ograniczenie *od szesnastu lat*. Dodajmy tutaj nieistnienie wideo czy reklamy. Pornografia trafiała się

tylko na zasmarowanych kartach domowej roboty i wsadzano za nią do więzienia. Kostiumy kąpielowe były przeważnie zakryte, bielizna przeważnie potworna. A pierwsze spódniczki mini natrafiły na taki jednogłośny *sprzeciw obywatelski*, że do dzisiaj podziwiam szaleńcze poświęcenie ówczesnych *liderek*. Ile teraz mają lat? Gdzieś ponad pięćdziesiąt? W każdym razie tym pierwszym sezonom mini towarzyszyło jakieś takie bezustanne żmijowe syczenie śladem prekursorek. A przynajmniej minispódniczki wzbudzały obowiązkowe rozmowy przy stole na temat „Do czego to doprowadzi?". Mój ojciec występował z pozycji racjonalno-estetycznych. „Uważam – mówił – że jeśli dziewczyna ma ładne, smukłe nogi, to czemu by miała ich nie pokazywać?". „Posłuchajcie tylko! – reagowała mama. – Ty już za stary przecież jesteś, żeby się na nie gapić!". Przy takiej okazji nie zapominała zrobić aluzji do dziesięcioletniej różnicy wieku między nimi. W tym czasie, oczywiście, nie mogła wiedzieć, że u mężczyzn po czterdziestce wszystko zaczyna się z nową siłą, znów podniecają się łatwo, niczym nastolatki. I w tym samym czasie są całkowicie wolni od nastoletniego zdradliwego drżenia. W pewnym sensie stają się doskonali. Ale wróćmy do moich ówczesnych udręk. Właśnie w momencie naszej przeprowadzki na Belweder wszedłem w stadium, kiedy przestajesz interesować się Indianami, a zaczynasz dziewczętami. Albo w pierwszym momencie te rzeczy jako tako współistnieją, tylko Indianie ostatecznie przestają być czymś najważniejszym. Taka to kolejna zdrada białego człowieka. W ogóle podoba ci się jeszcze trzymanie w rękach wojennego tomahawka, ale z o ile większą radością potrzymałbyś cycki koleżanki z klasy – tym bardziej że zupełnie niedawno niczego przypominającego cycki wymacać by się u niej nie dało. À propos, w naszej klasie wszyscy chłopacy bez wyjątku dziko chcieli jednej i tej samej koleżanki. Taki dziwne skrzywienie libido – wszyscy byliśmy swoimi rywalami. Czyli za wszystkimi tymi naszymi codziennymi bójkami krył się całkiem szczególny sens.

Jak wyglądały twoje szanse?

Źle. Właśnie teraz należałoby chyba opowiedzieć o moich ówczesnych problemach: byłem grubasem. Nie wyglądało to strasznie, ale nie szczególnie seksy. Moja niezgrabność powodowała moje niezdecydowanie, a ono z kolei brak pewności siebie. Tymczasem, jak pewnego razu wyjaśniła Roma Woronycz, prawdziwa seksualność to przede wszystkim pewność. Pośród kolegów z klasy co prawda byłem dość lubiany – jako opowiadacz historii, które przeważnie wymyślałem spontanicznie, ale nazywałem *filmami*, których oni nie widzieli, a mnie niby udawało się to wszystko nie wiadomo jak obejrzeć. Na szybko przekazywałem wymyślone ciągi obrazów – w czasie teraźniejszym i trochę na role. Czyli gestykulowałem, robiłem miny i zmieniałem głos. To przykuwało ich uwagę, mogli słuchać godzinami. Ale trudno było zabłysnąć tą zdolnością przed dziewczętami czy, mówiąc zupełnie szczerze, przed jedną z nich; wolny czas, czyli przerwy i w ogóle czas poza lekcjami, spędzaliśmy absolutnie osobno, chłopcy tylko z chłopcami, dziewczęta tylko z dziewczętami. Do pewnej granicy wiekowej oczywiście. Ale kiedy ją przekroczyliśmy, już nie byłem grubasem. Mimo to *pierwsze* lata to jednak rzeczywiście była udręka: patrzeć tylko z daleka, tracić głos przy każdym zbliżeniu, chować się w sobie, znów i znów czytać *wybrane fragmenty* o *szeroko rozłożonych udach Gabrieli* i pogrążać się we własnych samozżerających się fantazmatach – na przykład, jak cudownie byłoby w razie potrzeby stawać się niewidzialnym i przenikać do jej domu, pokoju, łóżka – a wtedy? Co dalej? Dalej wszystko miałoby wyjść spontanicznie. Szczerze mówiąc, to było piekło, zgroza. Zdaje mi się, że dziecięce i nastoletnie lata to przede wszystkim piekło. Dorosłe głupki, którym zatarły się w pamięci *wybrane fragmenty,* zazwyczaj narzucają sobie samym fałszywe wyobrażenie o jakimś utraconym raju dzieciństwa. Możliwe, że ciągnie się to od tych średniowiecznych czasów, kiedy dzieciństwo uważane było nie za wiek, ale za swoisty stan, błogosławiony rozstrój psychiczny, z którego się wyrasta.

Ten stereotyp jest nie tylko błędny, ale i absolutnie okrutny wobec samych dzieci – zapytajcie je najpierw o te otchłanie rozpaczy, w które wciąż zaglądają każdej godziny, każdego dnia. Dzieciństwo – to właśnie jest zupełna otchłań, to po prostu katastrofa, nieprzerwany łańcuch katastrof, *najgorsze, co się może przytrafić.*

A starość?

Nie wiem. Pewnie też. Ale co do starości przynajmniej nie ma głupich iluzji, na starość wszystko jest uczciwsze. Śmieją się z ciebie, ale już nie tak bezlitośnie i cynicznie jak wtedy, kiedy byłeś dzieckiem.

Dobrze. Wracamy do szkoły. Przypuszczam, że nie byłeś nią zachwycony. Możesz trochę bardziej szczegółowo?

Obrzydliwie było. Obrzydliwe niewysypianie się, kiedy za oknem zimno i ciemno. Obrzydliwe uczucie, kiedy się nie odrobiło lekcji. Obrzydliwa pustka w żołądku. Obrzydliwe zapachy ze stołówki. Dodatkowe lekcje – siódma, ósma, dziewiąta, przedłużony dzień szkolny, wieczne zatruwanie nam głów wszelkim ideologicznym badziewiem w rodzaju wychowania ateistycznego albo egzaminu z leninizmu. Gorączkowe zrywanie i zawiązywanie znienawidzonej pionierskiej chusty. Chodzić w niej po mieście było szczytem hańby. Ale zjawienie się bez niej w szkole było po prostu śmiertelne. Sadyzm nauczycieli i kierowników nie znał żadnych granic. Z nieukrywaną rozkoszą podnosili na nas ręce i gnębili psychicznie. Wątpię, czy mam prawo mówić o nich takie rzeczy, ale nic nie mogę na to poradzić. Eva Karadi kiedyś mi napisała: „Kiedy nie wiecie, co powiedzieć, mówcie, co myślicie". To ten sam przypadek. Większość z nich bardzo dobrze się do mnie odnosiła, to prawda. Prawdą jest i to, że oni też byli ofiarami. Ale i to, że odgrywali się na nas, jest prawdą. I my odpłacaliśmy im, jak tylko mogliśmy, na przykład wymyślaliśmy okrutne i głupie przezwiska. Poza tym musztrowali nas. Dyscyplina była debilna i na pokaz: ubrania wyłącznie najpaskudniejsze, włosy wyłącznie najkrótsze. Nienawidziłem lustra, nienawidziłem swojego odbicia,

te potworne spodnie, ta fryzura na *jeża*, śniły mi się amerykańskie dżinsy, ale nie mnie jednemu – nam wszystkim. Jak takie straszydło mogło nawet marzyć o tym, by podobać się dziewczynom? A to przecież było najważniejsze na świecie – podobać się dziewczynom!

I jak długo to wszystko trwało?

Dziesięć lat, wyobrażasz sobie? Dziesięć lat surowego reżimu! Nawet budynek tej szkoły, nawet jej korytarze i wewnętrzne podwórko miały w sobie coś całkiem więziennego. Nic dziwnego, że w tym gmachu przed początkiem wojny mieściła się jedna z filii NKWD. W piwnicach naszej szkoły katowano ludzi, to było bezwzględnie złe miejsce. Później ludzie z Memoriału znaleźli tam pełno ludzkich czaszek z dziurami w potylicach. Wyszedłem na wolność z tego więzienia latem 1977 roku i – jak to się nazywa – strząsnąłem proch z nóg swoich. Czyli więcej nie przestąpiłem tych progów. Ta szkoła do dzisiaj uważana jest za najlepszą we Franku. Nie sądzę, że taka naprawdę jest.

Czyżby jednak nie było wtedy nic pozytywnego?

Wakacje, szczególnie letnie. To był odlot! Po pierwsze, trochę odrastały włosy, chociaż te trzy miesiące nie wystarczyły na fryzury jak u Rolling Stonesów ani nawet na beatlesa. O długości włosów jak u Roberta Planta po prostu milczę. Po drugie, można było nosić dżinsy, przeważnie nieamerykańskie, jakieś indyjskie albo polskie, z głupawym napisem „Szarotka" na tylnej kieszeni, ale jednak! I podkoszulki, dżinsy i podkoszulki, jaskrawe koszule w gorących odcieniach. Latem z Jurkiem Sokołowem dalej biegaliśmy rano dookoła jeziora, każdego poranka trzy kilometry, a potem kąpiel, pływanie w jeziorze. Zrzuciłem kilka kilogramów i gdzieś tak w wieku lat piętnastu stałem się bardziej wyrozumiały, jeśli chodzi o moje lustrzane odbicia. Pamiętam, jak w kabinie plażowej podglądaliśmy młodą kobietę. Zdjęła górną część kostiumu i zakołysała swoimi cudownymi piersiami. O tak. Zamarliśmy w oczekiwaniu, byliśmy wstrząśnięci. Jej pizdy jednak się nie doczekaliśmy, ale i tak wszystko poszło hu-

raganowo. Zobaczyłem to pierwszy raz. Zrobiło mi się radośnie – tak jakbym przeszedł inicjację płciową. Oto czym są wakacje – przeczuciem inicjacji. Co roku dawałem sobie słowo, że następnego lata na pewno uda mi się mój pierwszy seks. I potem rzecz katastroficznie szybko topniała, dzień po dniu, a ja z przerażeniem myślałem o zbliżaniu się przeklętego września z jego pierwszym szkolnym apelem. Ale i tak wciąż byłem prawiczkiem, żadnego współżycia, nigdzie i z nikim, z żadną owcą na świecie. Niektórzy z moich przyjaciół zdobywali swoją męskość już w wieku czternastu, piętnastu lat i można to było w nich dojrzeć, stawali się bardziej pewni siebie, spokojniejsi. A ja tylko miotałem się wewnątrz własnej klatki, pomiędzy książkowymi scenami erotycznymi i brytyjską muzyką. W rock'n'rollu strasznie lubiłem minory – wydawało mi się, że wszystkie te piosenki są o mnie, o mojej samotności. Można powiedzieć, że żyłem z *Angie* Rolling Stones w środku. Lubiłem wyobrażać sobie, jak bezgranicznie długo tańczę przy niej tak zwanego wolniaka. Oczywiście maksymalnie blisko przyciskając do siebie jakąś Nieznajomą z perłowymi włosami. Ha, tak przy okazji, ostatniej nocy dostałem mejla od Jarki, ona od czasu do czasu przypomina o swoim istnieniu tak, jakbyśmy rozmawiali o czymś pięć minut temu. Tym razem całkiem znienacka pisze o *Angie*. Ale to inny temat. No tak, była jeszcze taka ballada Eltona Johna – nazywała się chyba *I've Seen That Movie, Too*, z podwójnego albumu *Goodbye Yellow Brick Road* i ja się przy niej po prostu rozpływałem – to było tak moje, to byłem ja sam, po prostu ja. A w ogóle bardzo żałuję, że wtedy słuchaliśmy więcej The Beatles niż The Rolling Stones i więcej Deep Purple niż Led Zeppelin. Nasze gusta trochę nas oszukiwały.

W którymś ze swoich esejów, zdaje się w Środkowowschodnich rewizjach, *piszesz o zabronionej zachodniej muzyce i w ogóle o Zachodzie jako o dark side of the moon.*

Tak, muzyka stawała się równoległą rzeczywistością, takim sobie równoległym światem, do którego można było uciec przed szkołą, Sojuzem i zatruciem własną spermą. Jako czter-

nastolatek przylepiłem się do radioli, był to niewymownie masywny lampowy aparat, nazywał się chyba „Sierpuchow", na skali miał zaznaczone dziesiątki miast, między innymi takie jak Kopenhaga, Lizbona czy Edynburg. Ale ani razu nie udało mi się złapać nic takiego – skala po prostu blefowała. Wcześniej mama słuchała z niego niedzielnych koncertów życzeń ze Lwowa, a także puszczała sobie płyty Nikołaja Sliczenki, Georga Otsa i Mai Krystalinskiej. Oprócz tego do jej ulubieńców należał Batyr Zakirow, zasłużony artysta Uzbekistanu. Za każdym razem śpiewał jakieś wielce rzewne tango w języku hindi, bo pochodziło z jakiegoś indyjskiego filmu. Miało kolosalny pierwszy wers, ojciec dosłuchał się w nim czegoś w rodzaju „ja jutro tam, w pisuarze". Od tej pory ta płyta właśnie tak się u nas nazywała: „To co, posłuchamy «ja jutro tam, w pisuarze»?". No i Robertino Loretti, oczywiście. Sprawdzałem – nikt we Włoszech nic nie wie o tym Robertino Lorettim. A w zeteserer znał go i uwielbiał każdy, to cudowne dziecko z pierwszymi oznakami mutacji. Po przeprowadzce na Belweder zabrałem radiolę do siebie. Na średnich można było złapać Rumunię i anglojęzyczne Radio Luksemburg, ale ono ledwie odbierało, fala tylko wyślizgiwała się spod niego. Szumy, trzaski, nakładanie się innych stacji i różne takie z zagłuszaniem włącznie – no, sam wiesz. Za to na długich stosunkowo dobrze łapało się Polskę. Zachodniego rock'n'rolla Polacy mieli więcej niż Rumuni. Dlatego od pewnego momentu całymi dniami trzymałem się Polski, przy czym zupełnie mimowolnie wchodził we mnie język. Ale w niedziele przeskakiwałem na krótkie, które najbardziej zagłuszali, bo właśnie tam ustawiały się w szeregu, jedna po drugiej, wszystkie *wywrotowe radiostacje*: Swoboda, Wolna Europa, Głos Ameryki, Radio Watykan, jakie tam jeszcze? Aha, Deutsche Welle i BBC. I tak w niedzielne popołudnia zawsze parę godzin ciurkiem słuchałem „Metronomul duminical", audycji sekcji rumuńskiej radia Europa Liberă, to był program autorski pewnego niewymownie sympatycznego typa. Nazywał się Radu Teodor i był moim

najlepszym przyjacielem, bo co niedzielę przez trzy, cztery godziny z przerwami na kilkuminutowe wiadomości puszczał Pink Floyd, Grand Funk, Uriah Heep, Colosseum, Genesis, Jimiego Hendriksa, Petera Framptona, Franka Zappę, był jeszcze taki zespół Styx, którego piosenki też często puszczał. Muzyka leciała wprost z winylowych płyt, słychać było, jak trzeszczą pod igłą. Radu Teodor musiał być fantastycznym gościem, oddałbym pół życia za szansę poznania go. Nie mogłem zrozumieć jego komentarzy, ale czułem, że jest naprawdę wesołym i fajnym kolesiem. Jego audycja stała się dla mnie głównym wydarzeniem niedzieli, czekałem na ten „Metronom" sześć dni w tygodniu i żyłem tylko nim. Wiele lat później, zdaje się w dziewięćdziesiątym siódmym roku, mieszkałem w Wiedniu w jednym mieszkaniu z Danem Mihaltianu, rumuńskim artystą wizualnym. Pewnego razu rozpijaliśmy we dwóch wielką butelkę śliwowicy i zachciało mi się powiedzieć coś wielce ciepłego o Rumunii. W mojej pamięci na tę okazję znalazł się Radu Teodor. „Wyobrażasz sobie – mówiłem – kiedy pięć lat temu byłem w Monachium w Radiu Wolna Europa, to mogłem na tego samego Radu natknąć się gdziekolwiek, w windzie na przykład". Ale Dan zaprzeczył, że nie, że pięć lat temu już bym nie mógł. „Na osobisty rozkaz Ceauşescu zgładziła go Securitate – powiedział. – Podłożyli mu bombę w samym studiu. Rozerwało go na cząstki elementarne". Dan Mihaltianu przekonany był, że powinienem koniecznie o nim coś napisać. Na przykład jakąś nastoletnio-młodzieńczą powieść pod tytułem *Mój martwy przyjaciel Radu Teodor*. Być może, jeszcze do tego dojdzie. Taka historia o zakazanej muzyce*.

* Historia, jak okazało się niedawno, jest znacząco przekręcona. Teraz wiem na pewno, że Securitate zgładziła innego spikera radia Europa Liberă. Był to legendarny Cornel Chiriac, dziennikarz i muzyk jazzowy. Właśnie on był twórcą „Metronomu". Znaleziono go zarżniętego we własnym samochodzie. Zdarzyło się to 4 marca 1975 roku, kiedy jeszcze, jak mi się zdaje, nie słuchałem „Metronomu". Przypuszczam, że Radu Teodor zaczął prowadzić tę audycję po śmierci Chiriaca. Przypuszczam

Czyli w wolnym czasie słuchałeś muzyki...

...słuchałem albo nagrywałem. Na szesnaste urodziny dostałem magnetofon – był monofoniczny dwuścieżkowy, miał tylko dwie prędkości, nazywał się „Daina" i pochodził z Litwy czy z Łotwy. W wolnym czasie wkładałem go do specjalnego futerału i szedłem odwiedzić Turka, czyli Bohdana Tureckiego. Turek dysponował niedoścignionym „Jupiterem-stereo". Uważało się, że nagrania zrobione z „Jupitera" no, to po prostu *kropka w kropkę* jak z płyty, czyli z winylowego oryginału. Turek opowiadał, że ostatnio czasem czytuje książki filozofa Kanta, które szczególnie dobrze idą pod Genesis albo Yes. Nie wiem – Genesis może i słusznie, a jeśli chodzi o Yes... Mam wątpliwości.

I wreszcie – o książkach. Czytałeś?

Nie, Kanta nie czytałem. Ale wiele innych rzeczy.

Na przykład?

Nie chciałbym się teraz w to zagłębiać. Zbliża się wieczór, a ja i bez tego mam jeszcze co wspominać i wspominać.

Może dwa albo trzy tytuły – z tych najważniejszych.

Okej. O „Szwejku" i *Dekameronie* już wiesz, tak? Dodajmy Gogola – praktycznie wszystko, poczynając od *Wieczorów na futorze*. Gogola czytałem dziesiątki razy. Miałem takie stareńkie tomiszcze Gogola z wszystkimi jego powieściami. Ukradłem je u tegoż Turka z jego rodzinnej biblioteki, ale nie całkiem ukradłem, bo on sam się na to zgodził i dał mi to tomiszcze na zawsze, tylko jego rodzice o tym nie wiedzieli. Ale nawet nie musieli wiedzieć – i tak mieli tych książek od cholery, tysiące tomów. Jego rodzice byli scenografami w teatrze. I byłem pewien, że tego samego Gogola mają jeszcze kilkadziesiąt książek w różnych wydaniach i kombinacjach – i Gogola, i Mogola, i Szmogola. Książki nie powinny zasiadywać się na półkach, muszą wędrować od człowieka do człowie-

też, że mój znajomy Dan Mihaltianu mógł pomylić tych dwóch spikerów. Z czego wynika, że Radu Teodor, być może, wcale nie jest martwy. Jeśli tak, to sto lat! Spróbuję jeszcze dowiedzieć się więcej o jego losach (przyp. aut. z 23.02.2008).

ka, tak? Ten *mój* Gogol był taki solidny i grubaśny, zdaje się jeszcze stalinowski. Stalin lubił Gogola, tak jak i Szekspira. I Bułhakow też lubił Gogola. On go otwarcie naśladował, to nie tajemnica. Kiedy twoi koledzy, szczególnie tutaj na Zachodzie, nazywają mnie czymś w rodzaju „bułhakowca", to odpowiadam, że to nie całkiem tak, że tak naprawdę to nie ja jestem „bułhakowcem", tylko razem z Bułhakowem jesteśmy „gogolowcami". Stareńki Szerech wszystko absolutnie dokładnie prześwietlił. Po tym jak wyszła *Perwersja* napisał taki przewesoły artykuł pod tytułem *Ho-Haj-Ho – o trzech źródłach i trzech częściach składowych*. Oba „Ho" – to absolutny strzał w dziesiątkę, bo to Gogol i Hoffmann, wasz, niemiecki E. T. A. Ale Hoffmann pojawi się w moim życiu nieco później, w czasach studenckich. Jedyne, w czym Szerech się myli – to „Haj", czyli Heine, Heinrich, też wasz. Wstyd się przyznać, ale do dziś nie miałem w ręku jego włoskich dzienników, co do których Szerech ma taką stuprocentową pewność. Że niby musiałem być pod ich wpływem.

Koniecznie przeczytaj te dzienniki. One i dzisiaj powinny ci się bardzo spodobać. Wcale nie jest za późno. Ale to przy okazji. W Kryjówce dla Boccaccia *wspominasz Thomasa Wolfe'a.*

Tak, rosyjski przekład jego *Spójrz ku domowi, aniele*. Dla mnie był to absolutny wstrząs. Czasami patetycznie nazywam tę rzecz najważniejszą książką mojego życia. Otworzyła przede mną taką przestrzeń, że najpierw aż się zachłysnąłem. I od razu zacząłem zapisywać wierszami mój drugi tajemny notes.

Drugi? Czyli do tego czasu był już pierwszy? Od czego to się zaczęło?

Dobre pytanie. Dobre, bo wymaga długiej odpowiedzi. Jesteś pewien, że naprawdę tego chcesz?

Jestem pewien. Mnie już długością nie nastraszysz.

W takim razie, jak to mówią, wesołej zabawy – sam tego chciałeś. Latem siedemdziesiątego szóstego roku pojechaliśmy z mamą nad Morze Czarne, gdzieś w okolice Odessy. Który to już raz przysięgłem sobie samemu, że przez te

dwa tygodnie obowiązkowo stanę się mężczyzną. Chociaż w zasadzie to była straszliwa porażka dla szesnastoletniego chłopca – jechać nad morze z mamą! Ale nie miałem wyboru i były to ostatnie wakacje. Ostatnie szkolne wakacje, dokładniej mówiąc. Tak. I co dalej? Dobrze, opuszczamy ten cały pociąg z Franka do Odessy i rozmowy w nim. W tym czasie uważałem, że chcę zostać archeologiem, a jakieś kulturalne rosyjskie babki z przedziału intensywnie usiłowały mnie od tego odwieść. Nie wiem, czemu im aż tak zależało, żebym nigdy nie został archeologiem. Mniejsza z tym. Długo się to ciągnęło, ale do Odessy w końcu się dowlekliśmy. A tam okazało się, że do naszej – jak jej tam, Delfinowki? – trzeba jeszcze z godzinę dojechać autobusem. Rzecz jasna, że przepełnionym. Obok nas kręciła się jakaś dziewczyna, okej, młoda kobieta, miała może dwadzieścia sześć lat, jeśli w tym smarkatym stanie mogłem to właściwie ocenić. Z tych, przy których od razu i bezwarunkowo staje – i nic na to nie poradzisz. I nie interesuje cię, kim ona jest i skąd – stoi ci i basta. Przy czym ona przez cały czas nas zagaduje – jakaś taka z niej wspólniczka, bo ona niby też ma przydział do tejże Delfinowki. Teraz wyobraź sobie, że stoimy w tym rozepchanym w nieskończoność autobusie, szalenie blisko jedno drugiego, sto tysięcy pasażerów, nie mniej. I kiedy tylko łapię dłonią pionową poręcz, ona całym ciałem kładzie się na niej, to znaczy na mojej ręce. Czuję to, o jak ja to czuję – każdym paliczkiem! Jaki początek, dźwięczy we mnie, jaki super początek! I to jest całkiem nieprzypadkowe i nikt tego nie widzi, czyli to tylko między nami. To znaczy ona wie, że ja wiem. I ja wiem, że ona wie. I tak jedziemy z dziesięć minut – szum w uszach, iskry w oczach, krzyk i szał, sam rozumiesz. „To taka jesteś – powtarza się we mnie – taka to jesteś, to taka jesteś, taka to jesteś!". To stało się jej imieniem – Totaka Takato. Nie wiem, po co o tym opowiedziałem.

Ja też na razie nie wiem – mowa była o tym, jak się to u ciebie zaczynało z wierszami. Ale to też jest ciekawe, co dalej. Chociaż chyba już skończyłeś?

Można powiedzieć, że tak. Dalej był przystanek, na którym wysiadła dobra połowa pasażerów. I po prostu nie mogliśmy już stać tak blisko jak wcześniej. Żeby wszyscy tego nie zobaczyli. Jak najszybciej odkleiła się od tej poręczy i mojej odrętwiałej ręki. Potem były tylko spojrzenia. W ciągu następnych dni nad morzem to samo – czasami wymienialiśmy spojrzenia. Należała do *lekkich*, to znaczy lekko się prowadziła, bo za każdym razem spotykałem ją z innym kolesiem. I za każdym razem zdążałem zobaczyć w jej oczach coś jakby wyrzut, coś jak „widzisz, niemoto, nie zrobiłeś ani kroku, i teraz ja muszę chodzić z tymi wszystkimi pacanami". Czasem wypływałem daleko za boję i czekałem tam na nią. Ale ona nie podpływała. Do tego nasi przegrali z NRD w półfinale olimpiady i – co było zupełnie nie do pomyślenia – Kołotow nie strzelił karnego. Koniec, czas zamknąć ten temat.

A poezja?

Poezja – to niepowtarzalność. Żartuję oczywiście. Po prostu przez to wszystko niespodziewanie uświadomiłem sobie, że chcę zapisywać swoje wewnętrzne stany w odmienny od zwyczajnego mówienia sposób, czyli poetycko. Teraz trudno mi zrekonstruować w pełni wrażenie, jakie zrobiło na mnie to starannie ukrywane osobiste odkrycie. Jednak do dziś pamiętam jeszcze, że dominowała radość – było tak, jakbym nagle znalazł siebie. Oprócz tego, wolność zapierała dech – mogłem pisać cokolwiek, bo nie tylko nie miałem zamiaru tego publikować, ale i komukolwiek pokazywać. Jesienią zacząłem pisać w niewielkim notatniku, który ukryty był w bezpiecznym miejscu, w ten sposób jakbym zdobył kolejne życie – tajemne i najważniejsze. A więc poezja stała się dla mnie zamkniętym przed wszystkimi schronieniem, w którym toczyło się to najważniejsze tajemne życie. Rosyjskie słowo ubieżiszcze (tylko nie pomyl go z również rosyjskim ujebiszcze) jest tu na miejscu jak nigdy – właśnie tak, od *uciekać*, to była najprawdziwsza ucieczka – na wolność. *Kryjówka* też do pewnego stopnia pasuje, szczególnie w sensie tej samej wolności, zmaterializowanej w *ukrytym*

notatniku. Jak i w tym, że ukrywałem nie tylko notatnik, ale i samego siebie.

Twój pierwszy wiersz był o tej dziewczynie?

Ha, zupełnie nie o niej! O Napoleonie! Wiersz był satyryczny, o żądzy władzy.

Absolutna sublimacja! Klasyczne wypieranie postępującego niezaspokojenia w sferze erotycznej do sfery społeczno-obywatelskiej.

Możesz to nazywać, jak chcesz. Nie, o kobiecie też było – zdaje się wiersz numer pięć. „Znów smutno się stało | wspomniałem jak piana | morska zaszumiała gniewnie | Na piasku leżałaś ty moja kochana | ty moja królewno". Koszmar! Chociaż może jako tekst jakiejś tam akustycznej ballady byłoby to całkiem niezłe. Tak sobie to właśnie wyobrażałem – dwie gitary, wokal, kwartet smyczkowy. Po drugim refrenie gitary zmieniają się w elektryczne, dochodzi perkusja, słowem, *Stairway to Heaven*, wersja ukraińska, grupa Wertep. Wyobrażałem sobie, że występuję jako frontman w grupie, która nazywałaby się Wertep.

Pamiętasz, ile wierszy było w tym pierwszym zeszycie?

Gdzieś tak ze dwadzieścia. Na więcej nie starczyło w nim stron. To był, dokładnie mówiąc, nie zeszyt, ale taki sobie miniaturowy album, notes w formie albumu, szerszy niż dłuższy. Podwędziłem go z osobistych archiwów ojca. Na jego okładce napisane było DLA STICHOW i nie mogłem się temu oprzeć. Sądzę, że ojciec kupił go na początku lat pięćdziesiątych w sklepie garnizonowym. Podczas służby w wojsku ojciec zaczął pisać wiersze po rosyjsku, takie dosyć patriotyczne. Boże mój, jakie to pojebane, kurwa! Ciekawe, że stalinowscy oficerowie polityczni zachęcali do pisania wierszy. Żołnierz Armii Czerwonej musiał mieć liryczną duszę. Może chodziło im jednak o sublimację?

Twierdzisz, że pisanie wierszy cię niezwykle zmieniło.

Tak, niezwykle. W dziesiątej klasie nastąpił pierwszy przełom. To jakby nagłe i gwałtowne zdobywanie siebie. Zacząłem tańczyć, mniej więcej do rzeczy rozmawiać z dziewczynami i trochę używać alkoholu. Palenie uważane było wśród

nas za niemodne, ale do białego wytrawnego wina czasami paliliśmy. W dziesiątej klasie opuściłem mnóstwo lekcji i praktycznie przestałem się do nich przygotowywać w domu. Porzuciłem boks, od którego tylko wypadały mi włosy. To też wymagało zdecydowania – pewnego dnia przestać przychodzić do sekcji, gdzie nawet nie udało mi się sklepać nikomu maski. Zacząłem orientować się, że w sztuce jest jakaś awangarda czy jak to jeszcze nazwać, i to jest super. Próbowałem rozkochać w sobie naszą praktykantkę od niemieckiego, chociaż jej nogi wydawały się mi nieco zbyt cienkie. Była o cztery lata starsza, studiowała na uniwersytecie, nosiła takie dość wąskie spódnice i zachowywała się całkiem cool. Podobnie jak Eugene Gant widziałem już, jak zostaję z nią po lekcjach sam na sam i na początek nerwowo oblizujemy wargi. Na lekcjach lubiliśmy odciągać ją od niemieckich tematów, zaczynając rozmowy o muzyce, dawała się zagadać. W moich oczach nagle spaliła się do szczętu, kiedy pewnego razu całkiem ufnie zapytała: „Masz całą ABBĘ?". Jakby mnie prąd poraził. ABBA?!!! Jaka, do kurwy nędzy, ABBA, nienawidziłem tej błyszczącej szwedzkiej rodziny! Momentalnie przestałem kochać praktykantkę, sądzę, że nawet by mi nie stanął. Ciekawe, czy ona to wtedy odczuła?

Ale w ogóle to nadal nie uczyłeś się tak znowu źle?

W dalszym ciągu dostawałem nie takie znów złe oceny. W tym czasie już wiedziałem, że spróbuję się dostać do poligraficznego na tak zwane dziennikarstwo, dlatego po prostu olałem wszystkie te chemie, fizyki i geometrie. Przy czym kilka razy wygrywałem olimpiady z ukraińskiego, całą tę kurewską komisję z jakiegoś powodu mocno ruszyły moje dzieła, ostatecznie zrezygnowałem z bycia nieudacznikiem i uwierzyłem w całkiem oszałamiającą przyszłość. Tę, w której mieszkam teraz. Spełniła się. W ogóle już wtedy przyuczałem się do nieuchwytności, do tego, żeby być wszędzie i nigdzie jednocześnie. I żeby nikt na świecie nie mógł twierdzić, że niby mnie naprawdę zna. Pisałem wypracowania na piątki i smażyłem jointy z Gruzinem i jego załogą. Połowy z nich już nie

ma pośród żywych, a druga połowa nigdy nie wyjdzie z więzień i psychiatryków. Najczęściej zrywaliśmy się z historii, bo nasz siedemdziesięcioletni nauczyciel zbliżał się do uwiądu i łatwo go było oszukiwać. Wiosną siedemdziesiątego siódmego stałem się świadkiem i mimowolnym współuczestnikiem znanego zabójstwa Chemika.

Chemika? Co to było?

Chemik był niby naszym kolegą, takim sobie czterdziestoletnim głupkiem. Wcześniej już dwa razy siedział za małoletnich, a w kiciu zrobili z niego *cwela*. Czasami czepiał się nas, należał do takich bardzo przylepnych typów. Rosjanie powiedzieliby, że „uwiazywałsia". Chodził z nami do *dżungli* nad rzeką, czasem do lasu do Cenżowa. Na plaży lubił znienacka podbiec i ściągnąć któremuś z nas majtki, z takim głupawym rechotem. Nie mogę powiedzieć, że był dla któregoś z nas przyjacielem. Po prostu nie za bardzo go odganialiśmy i to wszystko. Do tego czasami miał pieniądze i przynosił jedną, dwie *flachy* dla nas wszystkich. Kiedy mieliśmy gitarę, potrafił nauczyć dwóch, trzech bandyckich piosenek. Jednak jakaś korzyść z niego była. Ale koniecznie trzeba było mieć się przy nim na baczności – za każdym razem próbował łapać kogoś między nogami i takie różne. Miał zawsze ze sobą wytartą talię kart pornograficznych, lubił nas prowokować. Tego wieczora, gdzieś pod koniec maja, jak zwykle ustawialiśmy się *na budowie*, mieliśmy tam ulubione suche miejsce pomiędzy siódmym i ósmym piętrem. Chemik przylazł koło dziesiątej – cały naelektryzowany, nakręcony – takiego go jeszcze nie widzieliśmy. I potem też nie, bo żadnego *potem* już nie było. Rozumiem, że wtedy walnął sobie albo w każdym razie zaszumiało mu w głowie statystycznego mieszkańca. To, że oczy wyłaziły mu z orbit, jeszcze dziś mogą potwierdzić ci, którzy żyją. Gorączkowo podał każdemu rękę (moją aż przypiekło) i gwizdnął na – hm, nazwijmy go tak – Małego: „Mały, chodźmy, pokażę ci coś!". Mały był naprawdę mały, ledwie co skończył dwanaście lat, taki sobie szczególny przypadek w towarzystwie, jego starszy

brat – powiedzmy – Bura, nasz rówieśnik, w tym czasie już siedział. Braliśmy Małego ze sobą z szacunku dla brata. No tak. Dalej trudno mi wspominać wszystko po kolei. Pamiętam, jak Mały zaczyna wrzeszczeć gdzieś wyżej – piętro albo i dwa. Pamiętam, jak wszyscy złapali metalowe pręty – z takimi przeważnie chodziło się *osiedle na osiedle*, Belweder na Górkę, a Kolonia Niemiecka na Majzle i tak dalej. Pamiętam, jak wszyscy suną na Chemika z tymi prętami w dłoniach i jak on krok po kroku się cofa, szczerzy zęby, strzyka śliną. Pręty ze świstem rozcinają powietrze i Chemik ma coraz mniej miejsca. Jeden krok, drugi. Obejrzyj się, jełopie! Ale zanim ktoś z nas zdążył to krzyknąć, Chemik leciał już w dół szybu windy. Jasne, że rozwalił się na strzępy. Andrzej Stasiuk powiedziałby: w drobne chujki.

Jak potem z tym żyłeś?

Teraz wydaje się to snem i nie mogę opisać tego stanu we wszystkich odcieniach. Zrozumiałe, że było źle. Chociaż z drugiej strony... Chemik sam był sobie winien, na sto procent. A nawet na sto dwadzieścia. Broniliśmy słabszego, racja? Nasze szczęście, że gliniarze nieszczególnie postarali się ze śledztwem i sprawę Chemika zaliczono do nieszczęśliwych wypadków. Dwóch z nas miało potem rozmowę z oficerem śledczym – gdzieś półtora miesiąca później, już po balu maturalnym. Podobno powiedział: „Wiem o wszystkim, no ale – mówił – nie chcę łamać waszych młodych życiorysów, dobrze, jeśli to będzie dla was lekcja". Jakoś tak. Nie za bardzo w to wierzę, to wszystko wymysły. Chyba że przy okazji wziął ich na haczyk, ale jeśli tak, to już inna historia.

Na balu maturalnym było wesoło?

Nieszczególnie, cieszyli się raczej *starzy*, czyli rodzice. Spóźnili się z szukaniem muzyków, wszystkie przyzwoite kapele trafiły do innych szkół, a dla nas grał jakiś bum-cyk-cyk z akordeonem, klarnetem i basem, jakieś takie beznadziejne retro z polkami i walczykami, tak że nasi rodzice natańczyli się do usrania, a my tymczasem, regularnie znikając małymi grupami, zdążyliśmy rozpić kilka niezłych flaszek. Wschód

słońca nad jeziorem wszyscy przywitali z mdłym otępieniem. Ale jeśli masz na myśli całą tę historię z Chemikiem, czyli jeśli masz na myśli sumienie…

Właśnie tak.

…to możesz mi uwierzyć, że w młodości, jak nigdy, silne są mechanizmy obronne. Wszystkie złamania zrastają się nadzwyczaj szybko. Powiedzmy, było mi o wiele bardziej gorzko przez myśl, że szkoła się skończyła, a ja dalej jestem prawiczkiem. No, nawet brałem udział w zabiciu człowieka – a wciąż jestem prawiczkiem. Zdawało mi się, że ostatni z ostatnich moich kumpli zdołali przejść inicjację. Jeden z nich przy tym nawet puknął koleżankę z klasy, która zaczynała mi się podobać. I przyjacielsko obwieścił mi, że jest *niezła*. Czyli przyszło mi zaznać jakiejś piekącej mieszanki: byłem zazdrosny o kogoś i zazdrościłem komuś jednocześnie – zgroza! Pozostawało mi liczyć na Lwów, na to, że wyjadę z domu i będę mieszkał w obcym mieście, i tam *one wszystkie* będą moje.

Wyimaginowany Lwów leżał na malowniczych zielonych wzgórzach i miał całkowicie zachowaną architekturę i układ miasta chyba jeszcze średniowiecznego. Z otwartych okien non stop dolatywała muzyka klawesynowa, albo choćby dobry rock symfoniczny, a długowłose dziewczęta w wiankach oczekiwały mnie na skwerze koło fontanny.

To bardzo do rzeczy, brawo!

Muszę wyjaśnić czytelnikom – to był cytat z Małej intymnej urbanistyki.

Którą napisałem dwadzieścia dwa lata później. Ale zdaje się, że udało mi się dokładnie to odtworzyć. Jakoś tak to było.

Jak myślisz, na czym dzisiaj się zatrzymamy?

Doprowadźmy rzecz do pożegnania z Frankiem. Ale najpierw trzeba, żebym jeszcze nie oblał matury. Najpierw te całe wstępne kwalifikacje, ocena „dobry" i głupawa pogadanka, podczas której okazało się, że pośród moich przyszłych wykładowców przeważają wszelakie monstra. Potem jeszcze cztery egzaminy, na ukraińskim trochę mnie przycięli, stawiając po czwórce i za pisemny, i za ustny. To rujnowało wszystkie moje

plany zdobycia jak największej liczby punktów w meczach na własnym boisku. Za to potem były zwycięstwa na wyjeździe. Na egzaminie z niemieckiego po prostu wyliczyłem nazwiska graczy Dynama – z niemiecką wymową. Dwa lata temu zdobyli Puchar Zdobywców Pucharów i Superpuchar i ich wszystkich bardzo lubiłem. Egzaminator lubił ich nie mniej niż ja. Rozstaliśmy się całkiem zadowoleni z siebie nawzajem. Dostałem się. Czekało na mnie Miasto.

Coś jeszcze?

Chyba. Tak. Ostatnie dni sierpnia, już pakuję się do Lwowa. Znajdują mnie za pomocą telefonu koledzy z klasy, teraz już byli. Pomysł: uczcić w knajpie (wtedy to słowo na określenie restauracji dopiero co się pojawiło) nasze powodzenie na wstępnych. Uzbierało się nas ośmioro, po równo. Jesteśmy bardzo piękni, bo mamy po siedemnaście lat. Nie ukrywając się, pijemy wódkę i wino. Nie ukrywając tego, palimy. Palą tylko chłopcy. Nasze włosy podrosły i nasze krawaty są właśnie takie, jak trzeba. Jeśli chodzi o dziewczęta, to tylko raz za razem podpalają nam papierosy. Wtedy właśnie pojawiła się jakaś taka moda – w towarzystwie każda dziewczyna powinna śledzić swojego chłopca, jego ruchy. Kiedy tylko wkładał do ust papierosa, miała od razu podać mu ogień. Był w tym jakiś rytuał. Wcześniej umawiały się między sobą, która komu podpala. To znaczyło: „chcę być z tym". Teraz wyobraź sobie: palimy coraz częściej, ogień rozpala się coraz jaśniej. Podpalała mi ta sama dziewczyna, która zaczęła mi się podobać. Wiem, że ją rypał mój przyjaciel, ale co tam, do diabła! Potem tańczymy i ona porusza się, oddycha, ociera się tak niedwuznacznie, że jest mi *słodko i strasznie*, i trzeba coś zrobić z erekcją. „Zadzwonię – szepczę – do ciebie ze Lwowa, przyjedziesz?". Wciska się we mnie z taką siłą, że jakiekolwiek „tak" blednie. Tańczymy jeszcze wiele razy, bo to jedyne, co mamy – taniec, i żadnej wolnej *chaty* na wieczór.

Dość na dziś?

Chyba tak.

2. Suita na Jethro Tull i orkiestrę

To był rok...

To był rok 1977, dwie siódemki na końcu. Zagęszczone lata siedemdziesiąte, największa koncentracja dziesięciolecia. W lipcu miał nadejść koniec świata – i nie po prostu w lipcu, a 7 lipca, siódmego siódmego siedemdziesiątego siódmego. Na naszych terenach widoczne było wielkie poruszenie – tysiące sekciarzy, dziesiątki, być może setki tysięcy. Ze wszystkich stron szli do podnóża pewnej góry – cholera, jakże ona się nazywa? – nie przypomnę sobie teraz, ale w każdym razie to miał być ich Syjon. Uważano, że ci, którzy przywitają tę datę – 7 lipca siedemdziesiątego siódmego roku – wspólną modlitwą u podnóża Syjonu, z pewnością uchronią się od ognia kary. Ale nastał 8 lipca i nic takiego się nie zdarzyło. Żadnego ognia, wyobrażasz sobie? Nikt z nas nie spłonął, choćby nie wiem jak bardzo tego chcieli. Ich prorocy, oczywiście, od razu jakoś im to wyjaśnili – myślę, że wytłumaczenie mieli przygotowane.

Zatem nowe życie zaczęło się od końca świata?

No tak. Który – nie jest to wykluczone – trwa do dziś. To znaczy wszystko, co się od tego momentu ze mną działo i dzieje, nie jest niczym innym niż halucynacją kogoś, kto tak naprawdę cały ten czas płonie. Już przez dwadzieścia osiem lat. I muszę przyznać, że to dla mnie niezły odlot. Papiery do instytutu we Lwowie zawiozłem 5 lipca. Tego dnia praktycznie pierwszy raz tam byłem – wszystkie poprzednie epizody były tylko przejazdem.

Podobało ci się?

Wiesz, jeśli na tym Świecie istnieje coś takiego, jak Miasto, dla mnie był to ówczesny Lwów. Praga była strasznie daleko – za granicą, a Lwów obok, w granicach całkowitej dostępności. Żeby zapewnić go dla siebie na co dzień, czyli

mieszkać w nim codziennie, trzeba było się skrajnie sprężyć, wpędzić w siebie z powrotem neurotyczne poranne mdłości i zdać na studia. Mnie się to udało, dostałem to Miasto na następne pięć lat – co najmniej.

Na czym to polegało? Dlaczego właśnie ono? Rozumiesz, twoje wyjaśnienia o jakimś takim „echu Pragi" nie całkiem mi wystarczają.

Dobrze, spróbuję rozłożyć to na części pierwsze. Wizualnie Lwów przypominał mi Pragę, bo w nim też dużo było starego europejskiego kamienia. I ten kamień wszędzie łączył się z roślinnością. To taki wieczny upadek Rzymu mrocznych wieków – kozy, które skubią rozmaite zielsko na potłuczonej ceramice. Rozumiesz, ogarnęło mnie to jak jakiś estetyczny kult, niedługo potem wyraziłem to w *Legendzie o dziwaku*: „Bardzo lubił blask starego kamienia | zrujnowanych wież i murów kolory". Jak tam jest dalej? Aha, no jakoś tak w przybliżeniu: „I zieleń, co nie spodziewa się skaszania, | wciąż pnie się po kamieniach do góry". À propos, to słowo – skaszanie – jest jakieś zupełnie niezdarne, zgroza. Kilka lat później (ale już w kolejnym, następnym życiu) mój redaktor z wydawnictwa, na szczęście, to był Hera, podkreślił mi w rękopisie to „skaszanie" falistą linią i napisał ołówkiem na marginesie: „koszenie" albo „kośba". Zmieniłem to potem na... Na co? Na „promienia", tak.

Zieleń, co nie spodziewa się promienia?

Nie, „zieleń, co do celu, niczym promienie...". To strasznie naiwny wiersz – dokładnie taki, jaki ja byłem w tym czasie. Już tylko tytuł jest coś wart – *Legenda o dziwaku*.

Czy można w związku z tym myśleć, że w taki sposób już wtedy szukałeś swojej Środkowej Europy?

We Lwowie? Żeby lepiej wyglądać w twoich oczach, mogę powiedzieć „tak". Ale wątpię, bym znał wtedy to sformułowanie. Chociaż już coś słyszałem, że *geograficzne centrum Europy* znajduje się w Rachowie czy jego okolicach. Tak przy okazji, pociąg, którym po raz pierwszy pojechałem z Franka do Lwowa, był właśnie stamtąd, z Rachowa. U nas

takie pociągi nazywa się albo kowbojskimi, albo cygańskimi. Pod pojęciem kowboje, oczywiście, rozumie się Hucułów. Mniejsza z tym. Na moje wielkie szczęście, nasz instytut poligraficzny, czyli – jak go zwykle nazywaliśmy – Poligraf, znajdował się na starym mieście, na Podwalu, zupełnie niedaleko od Ormiańskiej, Ruskiej, Rynku, Serbskiej, Żydowskiej. Masz tu całkowite średniowiecze, mijasz te spękane półmetrowej grubości mury, twoje obcasy stukają, ostrogi dzwonią, płaszcz rozwiany, szpada – no, cóż ona robi?...

Szpada krzesze iskry o kamienie...

...całkiem możliwe! – i coś w tobie bez przerwy rozbrzmiewa, jakiś taki Bach z Emersonem. Tak, to było właśnie to: miasto wyjątkowo dobrze pasujące do muzyki, której wtedy słuchałem. Wtedy jeszcze nie było walkmanów, nosiłem sam w sobie dziesiątki kompozycji i one same z siebie włączały się, czasami wszystkie naraz. Wystarczało chodzić i słuchać. Ba, nigdy nie zapomnę, jak jednego z wieczorów Smyczek opowiedział, że właśnie szedł starym miastem i było całkiem wymarłe – tylko on i nikogo więcej. No i słyszy – to oczywiście w czyjejś kuchni był uchylony lufcik – i słyszy dzwonienie, to znaczy podzwanianie, to znaczy stukanie łyżeczki o szklankę. Wyobrażasz sobie? Ktoś słodzi sobie herbatę i miesza ją, podzwaniając łyżeczką o szklankę. I to słychać we wszystkich przyległych kwartałach, idzie trzysta metrów, pięćset, a ono do niego wciąż dobiega i dobiega. Dla mnie w tym jest cały Lwów, niech go diabli. Tak naprawdę to szczególna akustyka. Lwów – to przede wszystkim audio, a nie wideo. Udało mi się wyjaśnić?

Nie za bardzo. Ale to nic. Jest kamień w połączeniu z zielenią. To – jak rozumiem – główne wrażenie wizualne? Jeśli jednak mówimy o wideo. Były jeszcze jakieś?

Zimą zieleń znikała. A Lwów pozostawał Lwowem. Chociaż bardziej do niego pasowała późna jesień, patyna smutku. I brudu. Inne wizualne połączenie to stary kamień i amerykański dżins. Okazało się, że we Lwowie jest strasznie dużo ludzi, którzy ubierają się *nie tak*. Że to jest taki tajemny port,

do którego spływa cała kontrabanda świata – zabroniona muzyka, ubrania, zwyczaje, fryzury. Długie włosy wtedy niby zaczynały wychodzić z mody, ale nie kategorycznie, niektórzy z nas całkiem nieźle trafili. Będę dozgonnie wdzięczny macierzystemu Poligrafowi za to, że mogliśmy do niego chodzić tak, jak chcieliśmy. I nikt się nie czepiał za długie włosy. W tym sensie panowała tam całkowita *libertucha*. No tak, jeśliby spróbować wyrazić to jednym jedynym słowem, ten stan, to będzie właśnie to – wolność...

Teraz się z tobą nie zgodzę. W tym celu sięgam po twój własny, już wspominany, tekst. Nazywa się Mała intymna urbanistyka. *Pamiętasz taką? I w niej czytamy: „Rzeczywisty Lwów w dziewięćdziesięciu chyba procentach składał się ze strasznych przedmieść i nowej architektury. Skupisko terenów przemysłowych, chaos zakamarków fabrycznych i kolejowych, monotonne budownictwo mieszkaniowe lat siedemdziesiątych i późniejszych, żelbet, wielka płyta, smród i zgrzytanie zębami. Fatalna bezradność władz miejskich w kwestii wody, kanalizacji miejskiej i komunikacji. Jeśli z otwartych okien dolatywała jakaś muzyka, to tylko radzieckiej estrady, a język rosyjski dał się słyszeć na każdym kroku. Ale jeszcze gorsze było to, że ci, którzy posługiwali się językiem ukraińskim, okazywali się niemal bez wyjątku dość ograniczonym i biernym wieśniactwem. Studenci uniwersytetu swoim wyglądem, poziomem i stylem życia przypominali raczej wychowanków zawodówki dla półgłówków. A tak zwana inteligencja narodowa prześcigała się w wiernopoddaństwie i serwilizmie, dokonując sublimacji swej ukraińskości w wyszywane koszule i dobrze odżywione facjaty. Wszystko to razem wzięte stanowiło najohydniejszą ze znanych mi odmian Sojuza"*. *Przepraszam za długi cytat, ale to ty to napisałeś.*

No i...?

Chodzi mi o to, co ty nazywasz rozczarowaniem. Ono, jak słusznie zauważasz w tymże tekście, przeważnie pojawia się na styku

* Wszystkie cytaty z *Małej intymnej urbanistyki* w tłumaczeniu Oli Hnatiuk.

wyobrażonego i realnego. Wtedy gdy wyobrażone zaczyna przegrywać z realnym, ustępować pod jego naciskiem.

W takim razie, jeśli można, przeczytaj, co tam u mnie jest dalej. Następne dwa, trzy zdania z tego tekstu…

Okej, czytam. Oto one: „Stąd też nie pozostawało mi nic innego oprócz wiary w jakiś inny, istniejący gdzieś tajemny Lwów. Od czasu do czasu to miasto wysyłało do mnie sygnały o swoim istnieniu".

No właśnie! Wysyłało sygnały, słyszysz? Nie należy zapominać o tym, że przez cały ten czas stawałem się poetą. Czyli w moim wypadku ustępowało akurat realne – pod naciskiem wyobrażonego. Co jest dalej?

„Czasem był to cień jakiejś nietutejszej i niedzisiejszej postaci z dalekiej ptasiej krainy…".

Dziękuję, dosyć. Właśnie tak – czasem. Czasem to byli ślepcy. We Lwowie spotykało się ich wszędzie, już od pierwszego dnia. Myślę sobie, że tam jest jakaś kolonia ślepców, cały internat albo coś takiego. Przy czym wydawało się, że oczy wykłuto im mniej więcej trzysta lat temu. Wszędzie ci mężczyźni – z jakiegoś powodu to byli sami mężczyźni – z białymi laskami, takie bezustanne wymacywanie ścieżek, węzłów, zakrętów, dotykanie rynien, progów, schodków w tramwajach, krawędzi chodników. Strasznie dużo ślepców na głowę mieszkańca. Więcej, zdaje się, jest tylko szaleńców. To typowe dla wszystkich represjonowanych miast – wielka liczba szaleńców albo *dziwaków*. We Lwowie szpital psychiatryczny mieści się przy ulicy Kulparkowskiej, dzielnica też nazywa się Kulparków. Ale czasem zdaje się, że ten Kulparków jest znacznie większy, że on jest większy od samego Lwowa, że tak naprawdę Lwów – to taka sobie filia Kulparkowa.

Wydaje mi się, że im większe miasto, tym więcej szaleńców.

Możliwe. Zgodnie z prawami statystyki, chyba tak. Wiesz, ilu jest ich u was w Berlinie? A w Moskwie? A w Nowym Jorku? W Nowym Jorku to po prostu total, przy czym oni są aktywni, przez cały czas szukają kontaktu. Taki już jest charakter tego

miasta – nawet szaleńcy zachowują się w nim jak brokerzy na giełdzie. Virliana Tkach opowiadała, jak pewnego razu w metrze zaatakował ją typ z martwym szczurem w ręku. Trzymał tego szczura za ogon i starał się walić nim wszystkich napotkanych. Ledwie przed nim uciekła, cała w szoku, oczywiście. Wtedy wreszcie spotkała policemana – wielkiego czarnego chłopaka, takiego ostentacyjnie spokojnego, opanowanego. Wszystko, jak przystoi policjantowi w Nowym Jorku – szczególnie kiedy jest czarnoskóry. Nie wiem, co on o niej pomyślał, gdy usłyszał, że niby po sąsiedniej stacji biega „maniak, który bije martwym szczurem". „Mam – mówi na to – niech się pani weźmie w garść, mam, głupoty pani w głowie, a my tu od rana łapiemy takiego jednego, który odcina napotkanym nosy!".

Ale we Lwowie coś takiego się nie zdarzało?

Nie, było raczej sympatycznie, zero agresji.

W takim razie, być może, stąd właśnie wolność, o której mówisz? Czyli nieagresywna wolność szaleńców?

Coś w tym rodzaju – szaleńców i pijaków. W tych czasach, czyli pod koniec lat siedemdziesiątych, po mieście przemieszczali się całkiem inni pijacy.

Dlaczego inni?

To były czasy tanich, wzmacnianych spirytusem win, tak zwanych *prytów* i *jaboli*. Niektóre z nich miały nadzwyczaj poetyckie nazwy – „Złota jesień", „Aromat sadów", „Soncedar". Wyobraź sobie to piękno – Soncedar, dar Słońca! To jakby nazwa stolicy jakiejś, na przykład państwa Scytów. Albo na przykład „Słońce w kielichu". Chociaż wszyscy na nie mówili „Mucha w kielonie". Istniały też całkiem surowe i niemetaforyczne nazwy – „Białe mocne", „Owocowo-gronowe", „Krasnoje wino". Albo „Portwein-72". Do dziś nie wiem czemu 72. Co to za liczba, czego dotyczyła. Chodziło o rok produkcji czy co? W każdym razie to nie mógł być rok zbiorów. O żadnych zbiorach tam w ogóle nie było mowy, tak jak i o żadnych winogronach. Istniały wszelkie egzotyczne nazwy. Powiedzmy z Azerbejdżanu dostarczali „Agdam". Przyjęło

się nazywać je „Agdam Iwanowycz". Ledwie doczekaliśmy się pierwszego stypendium, żeby nakupić jaboli i urządzić w akademiku krwawą imprę.

Krwawą?

No, z tym przesadziłem. W ogóle było tak. Na początku września dostałem tymczasowe miejsce w akademiku, tylko na trzy miesiące. Mieszkań, jak wszędzie w Sojuzie, nie wystarczało dla wszystkich. W grudniu musiałem zwolnić swoje łóżko w akademiku dla nowego studenta. Ty i tak tego nie zrozumiesz, przyjmij to na wiarę.

I co wtedy?

Szczególnie się nad tym nie zastanawiałem. Jasne było, że wynająć mieszkania się nie uda – to, jak mówicie w Niemczech, zrujnowałoby finansowo moich rodziców. Wydaje mi się, że był to czas najgorszej chujówy. Ojca zdegradowano i zarabiał znacznie mniej, a przepijał znacznie więcej, mama ciągnęła wszystko sama. Maksimum tego, co mogła mi dać do Lwowa, równało się mojemu miesięcznemu stypendium. Czyli do czterdziestu rubli dochodziło jeszcze czterdzieści. Plus trochę jedzenia z domu, nie zapominajmy o jedzeniu. Tak czy inaczej wynajęcie mieszkanie pochłonęłoby pewnie jeszcze całe stypendium. Natomiast akademik był fantastycznie tani – dwa ruble na miesiąc. Uświadamiasz to sobie? Dwa ruble na trzydzieści dni! Ale w nim oczywiście nie starczało miejsca dla wszystkich. Do grudnia mieszkaliśmy we czterech w jednym pokoju, potem ci z nas, którzy byli *tymczasowi*, musieli się przyczaić. Czyli zwolnić łóżka i zadbać o własny materac na podłodze. I w miarę możliwości mieszkać dalej w akademiku, ale się nie afiszować. W ten sposób już w grudniu siedemdziesiątego siódmego zostałem nielegalnym Orfejskim*. Niesprawiedliwość polegała na tym, że od samego początku nauki wyznaczono mnie na starostę grupy. Czyli z jednej strony włączono do

* *Нелеґал Орфейський* tytuł sztuki Jurija Andruchowycza na podstawie powieści *Perwersja* (przyp. tłum.).

jakiegoś takiego, kurwa, establishmentu, a z drugiej – skazano na nielegalny status.

Co znaczyło być starostą grupy?

To była groza. To coś takiego, jak kapo w obozie koncentracyjnym. Ale w zmiękczonej formie. Oczywiście żartuję. Starostę wyznaczano spośród studentów – jako tego, który wypełnia *administracyjne polecenia dziekanatu*. Nasi studenci uczyli się w grupach – jak uczniowie w klasach. Powiedzmy, nas w grupie było dwadzieścioro sześcioro. I ja byłem niby kimś ważniejszym, jakimś takim *przedstawicielem dziekanatu w grupie*. Ale jak uczyli mnie starsi i bardziej doświadczeni kumple przy szklance pryta, naprawdę chodziło o coś przeciwnego – być *przedstawicielem grupy w dziekanacie*. To znaczy prowadzić swoistą podwójną grę – udając, że sumiennie wykonujesz obowiązki administracyjne, chronić *swoich* przed wszelkimi dziekańskimi podstępami i represjami. Wszystko wyglądało niebywale miło i nawet honorowo, tylko chciało się wiedzieć dlaczego właśnie ja? Dlaczego właśnie ja mam być pelikanem ofiarnym? Starosta nie mógł opuszczać zajęć. Starosta prowadził *dziennik obecności* i przygotowywał *obiegówki*. Starosta musiał odciągać uderzenia od innych i przyjmować je na siebie. Starosta codziennie przepływał między Scyllą i Charybdą – w tę i z powrotem, po dziesięć razy na dzień. Moje studenckie lata okazały się potwornie zepsute tym przeklętym starostwem. Do dziś nie wiem, dlaczego wybór dziekana padł na mnie. Przeważnie na starostów wyznaczano różnych trepów – starszych wiekiem, partyjnych, takich, którzy odsłużyli wojsko i poznali smak rozkazów i poniżania sobie podobnych. Nie odpowiadałem żadnemu z tych kryteriów. Nawet brutalności nie było we mnie dość, tym bardziej karierowiczostwa. Moim marzeniem było zawsze zwolnienie. Niekiedy prowokowałem takie sytuacje, żeby koniecznie mnie zdjęli, odsunęli. Ale i tak pozostałem starostą przez całe pięć lat. Dziwaczne jest to, jak system radziecki wydumał, by dosłownie we wszystkim, w każdej

formie zbiorowego współistnienia, zastosować jeden i ten sam więzienno-obozowy model. Dla nas wymyślił *studrady* (które można nazwać *stuk-radami* – samo się prosiło! – od stukać, które tu znaczy donosić), wszystkie te *kontrole stanu sanitarnego pokoi*, dyżury na piętrach, zdzieranie ze ścian niepoprawnych plakatów, zakaz niesłusznej muzyki, podglądanie, podszeptywanie... Jedno i to samo, wszędzie jedno i to samo – tylko gdzieś słabiej, a gdzieś i...

Zdaje mi się, zacząłeś opowiadać jakąś historię, od której trochę się oddaliliśmy.

To nic, pamiętam – pierwsze stypendium i krwawy balet. Był, zdaje się, poniedziałek trzeciego tygodnia od początku zajęć. Wreszcie doczekaliśmy się pierwszej w życiu wypłaty stypendium. Przez kilka dni nerwowo zacieraliśmy ręce w oczekiwaniu. To musiała być świąteczna kolacja dla swoich – sześciu albo i siedmiu pierwszaków. Azjaci – ich w tej *grupie inicjacyjnej* była mniej więcej połowa – mieli ugotować pilaw. W naszym Poligrafie uczyło się od cholery mieszkańców Azji Środkowej, niektórzy nawet żartowali, że wielkie U w skrócie UIP (Ukraiński Instytut Poligraficzny) naprawdę należy rozumieć jako *Uzbecki*. Wyobrażasz sobie – stary Lwów, średniowieczne mury, ruiny Europy, a wszędzie pełno Uzbeków w pasiastych chałatach! Ostatni raz to miasto mogło przeżywać coś podobnego chyba w XVII wieku, kiedy Chmielnicki napuścił na nie swoich przyjaciół Tatarów. Odjazd!

Pamiętasz jeszcze tych chłopaków?

Kogo, Azjatów? Pewnie, tak jak i wszystkich innych! Pierwszy z tych Azjatów, Uzbek, nazywał się Szuchrat, ale prosił, żeby nazywać go Szurik. Nieco komiczny typ, taki trochę Hodża Nasreddin, fanatyk Koranu, szariatu i kandydat do ławy partyjnej. Z nimi coś takiego się działo – popatrz na wszystkich dzisiejszych rahmankarimowów. Skąd by się wzięli? Inny miał na nazwisko Rukawisznikow, pół Rosjanin, pół Tadżyk. Czy pół Turkmen? Nie, jednak pół Tadżyk – jakoś wbiło mi się w pamięć słowo – Duszanbe. Mieszkał w pokoju

ze starszakami z trzeciego roku, dlatego wcześniej niż inni przeszedł egzamin z winem. To znaczy nie to, żeby go z powodzeniem zdał, ale *starał się zdać*, i to nie jeden raz. Trzeci nazywał się Rizo Nazirow, taki dość charyzmatyczny typ basmacz i Pamirczyk. Właśnie wtedy dowiedziałem się od niego, że jest taki naród – Pamirczycy. Nie Wampirczycy, ale właśnie Pamirczycy – od Pamiru. Mieszkają wysoko w górach, które, jak wiadomo, są „Dachem Świata", i nie poważają Tadżyków z dolin. Mówił mi nawet, jak w ich języku jest „niewolnik", i wynikało z tego wszystkiego, że to synonim słowa „Tadżyk". Mówią jednym z afgańskich języków. Do tego pełno jest pośród nich niebieskookich blondynów, bo tak naprawdę są w prostej linii potomkami jakichś zabłąkanych niedobitków armii Aleksandra Macedońskiego. Poczekaj, trzeba jakoś wrócić do tej historii.

Ona donikąd nie ucieknie. Były jeszcze jakieś godne wspomnienia typy?

Jeszcze dwóch. Obydwaj porzucili Poligraf podczas pierwszego roku. Witunia uczył się razem ze mną na dziennikarstwie, był złośliwy jak opos i zawsze wdawał się w jakieś utarczki, szczególnie ze starszymi. Z jakiegoś powodu niezwykle podobał się dziewczętom. Pisały do niego długaśne miłosne liściki. Dlaczego? Ja tego wyjaśnić nie potrafię. Jednak rozchwiało to jego duchową równowagę tak bardzo, że przestał wychodzić na zajęcia, ugrzęznął w akademiku i stopniowo siniał od chlania. Teraz, zdaje się, jest prokuratorem, co w naszym kraju nie jest takie znowu złe. Drugi nazywał się aż do banału zwyczajnie – Sasza Szewczuk. Mimo banalności swojego imienia to był, jak mówią Amerykanie, character. Był od nas wszystkich starszy – zdaje się, że go już wyrzucili z historii w Leningradzie, po czym zdążył odsłużyć pełne dwa lata wojska. On też nie chodził na zajęcia. Zazwyczaj dużo czytał i palił. Możliwe, że po to wstąpił do Poligrafa, żeby się dostatecznie naczytać i napalić. I właśnie tak widzę go do dzisiaj: siedzi przy biurku, wyprostowana pozycja, na stole otwarta książka i paczka

papierosów. To wszystko. Czyta i pali. I do nikogo ani słowa. Całymi godzinami, całymi dniami.

Co czytał?

Wyobraź sobie, że różne rzeczy. Ale przede wszystkim *Kapitał* Marksa. Czytał go dla siebie, jego takie rzeczy z jakiegoś powodu interesowały – wartość dodatkowa i różne takie. Przy tym miał same dwóje z marksizmu, bo nigdy nie widziano go na zajęciach.

Dobrze, koło osób zostało określone. Teraz o tej imprezie.

No, oczywiście – nawet nie zaczęliśmy. W poniedziałek po południu do instytutu przywieźli pieniądze. Każdy starosta miał dostać gotówkę dla całej grupy. A potem wszystko to rozdać – dla każdego inną sumę. Czyli to była taka *żywa kolejka* do kasy. Od tego czasu będę w niej stać całe pięć lat – co najmniej pięćdziesiąt razy. Moje ręce przywykną do grubych bankowych paczek. To znaczy przywykną, by nie drżeć na szelest oszałamiającej ilości banknotów.

Co to były za sumy?

O ile pamiętam, przeważnie gdzieś koło tysiąca rubli – czasem więcej, czasem mniej. W każdym razie niemal dorównywały sumie rocznych zarobków mojego ojca.

Rocznych?

Tak. Nie przejęzyczyłem się. Więc, możesz wyobrazić sobie – taka długaśna kolejka, w której wszyscy powarkują, a starsi, oczywiście, rozpychają na wszystkie strony młodszych, wykorzystując do tego swe klaty i łokcie, totalny burdel, początek roku akademickiego, mechanizmy rozregulowane, administracyjny zgrzyt, maszyna wypada z rytmu, koła się nie kręcą, tłoki nie chodzą, psychiczna kasjerka z okienka wrzeszczy – i tak dalej. I żadnego ruchu do przodu. Po dwóch z hakiem godzinach przytupywania i wiercenia się zostawałem *faktycznie sam*: moim przyjaciołom i kolegom z grupy zbrzydło, rozchodzą się, ja i bez nich dam radę, dostoję się, a oni – niech już tak będzie – doczekają do jutra, jutro im wszystko oddam bez poszturchiwania i napięcia, niech tak będzie, kulturalnie i na talerzyku. Perspektywa nocowania

w akademiku z workiem cudzych pieniędzy pod poduszką nieprzyjemnie chłodzi wnętrzności. Ze mną zostaje chyba tylko Witunia, przyszły prokurator. Ale o tej jego przyszłości ani on, ani ja jeszcze nie wiemy. Otrzymuję *pełną kwotę* jako jeden z ostatnich, kiedy na dworze, tak jak i przed oczami, robi się ciemno. Niebieska paczka – to piątaki, zielona – trojaki. Wygląda na to, że razem jest tam osiemset. Oprócz tego, jakaś nieokreślona ilość *rublówek* – rozlatują się dookoła, niczym jesienne liście, spazmatycznie je zbieramy i wsypujemy w rozdziawioną paszczę mojego *krokodyla*.

Przypuszczam, że tego wieczora przepuściliście większą część worka...

Jakżeby tak! Szlachetnie oddzieliliśmy swoje od cudzego (swojego było żałośnie mało, wszystkiego tylko po osiem niebieskich banknotów) i nakupiliśmy wina. Jak to się wtedy nazywało w gazetach *na świąteczny stół*. Tego samego wieczora zjedliśmy przyzwoitą kolację w postaci tłustego uzbeckiego pilawu i jeszcze tłustszej pamirskiej çorby i nieprzyzwoicie słabo się spoiliśmy. Błąd polegał oczywiście nie tylko na tłustym jedzeniu, ale i na tym, że wina nakupiliśmy nie *mocnego* a *stołowego*. Ostatnią butelkę zresztą wlaliśmy do czajnika, podgrzaliśmy i hojnie wymieszaliśmy z papierosowym popiołem. Jakby wino z popiołem miało w sposób cudowny pourywać nasze głowy. Efekt okazał się nikczemny. Nasiorbaliśmy się ciepłego popielistego obrzydlistwa wcześniej zwanego „zakarpackim rkatsiteli" i tak niedopici, walnęliśmy się spać. Ktoś tylko zająknął się na temat *dziewczynek*, ale zgodnie został zbluzgany – jakie tam *dziewczynki* na trzeźwiaka?

Czyli jak – żadnych erotycznych porywów?

Z tym było wykurwiście ciężko. Rozumiesz, to był bardzo nielekki czas w życiu naszego kraju. Wszyscy utknęliśmy po uszy w tej potwornie ubogiej codzienności. Wyobraź sobie – wiecznie zapaskudzone korytarze, smród od koszy na śmieci, umywalek, sraczy, metalowe wojskowe łóżka, szara dziurawa bielizna, ocieplane spodnie od dresu, szlafroki, kurwa

mać, jakieś paskudne, szpitalne szlafroki! Z tych, w których się umiera! I kapcie, i pantalony, i papiloty! Rozumiesz, do tego wszystkiego trzeba było przywyknąć. Żeby wyobrazić sobie miłość w takich okolicznościach, trzeba było przejść stadium swoistego emocjonalnie-estetycznego otępienia. I zdradzić muzykę, swoją muzykę, bo te krowy słuchały wyłącznie wszelkich gówien w rodzaju radzieckiego bigbitu i Demisa Roussosa. Nie, oczywiście, tam, w tych korytarzach akademika, też trafiały się całkiem znośne (albo i całkiem nieznośne) damy, ale właśnie one okazywały się *zajęte*. Jak na przykład moja przyszła żona, o czym później. Do wszystkich innych kategorii trzeba było podchodzić jedynie pod wpływem silnej alkoholowej narkozy.

Okej, w takim wypadku co dalej z tym krwawym baletem?

Nie denerwuj się, sytuacja na razie jest pod kontrolą. Następnego dnia był wtorek i to znaczyło, że idziemy *do szkoły* dopiero na pierwszą trzydzieści. Pięć razy na tydzień zajęcia zaczynały się po południu, tylko w poniedziałek – o ósmej rano. W Poligrafie nie wystarczało sal, dlatego zajęcia odbywały się na zmiany. Mówię „do szkoły", bo tak ten nasz Poligraf przeważnie nazywaliśmy – „szkołą". Istniało takie wesołe powiedzonko: „po rubelku – i do szkoły nie idziemy". Istniało jeszcze weselsze: „po rubelku – i rzygniemy". Tego ranka tak się właśnie stało. Rukawisznikow (zwany Rukaw) z rana nasprowadzał do nas pełny pokój swoich starszaków – trzeci, czwarty, może nawet piąty rok, wszyscy zabijaki z wąsiskami, bokobrodami, w dżinsach i tielniaszkach, absolutnych masz weteranów niedawnej wojny w Wietnamie. Pomysł był humanitarny: zbliżenie między pokoleniami, solidarność studencka, *inicjacja młodych*. Ani się obejrzeliśmy, kiedy na stole, pod stołem i wszędzie po kątach zalęgły się niezliczone głowy butelek i z bliska wytrzeszczyły na nas. Co to było – „Grono Zakarpacia"? Teraz już nie do przypomnienia… Pamiętam tylko, jak gdzieś po drugiej szklance wszyscy zaciągnęliśmy się dymem i świat okazał się o wiele szybszą karuzelą. Efektywność prytów polegała

na tym, że kosztowały niewiele, piło się je stosunkowo łatwo i w wielkich dawkach, najczęściej pełnymi musztardówkami, a klepały praktycznie od razu. Lepiej niż ja może to wyjaśnić Indryk – on umie to uzasadnić z punktu widzenia biochemii: procent cukru, domieszki spirytusowe, współczynnik wchłaniania przez śluzówkę, tkankę nabłonkową, stężenie, konsystencja. Pamiętam, jak Rukaw wciąż biegał i biegał po nowe flaszki. Pamiętam, jak o wpół do dwunastej wyryczeliśmy starodawną machnowską pieśń *Lubo, bratcy, lubo!*. Ona do dziś jest dla mnie jedną z ulubionych, ta *Lubo, bratcy!*, ale weź pod uwagę: kiedy tylko zacznę ją śpiewać, to zawsze znak, że mam dość. Tak się już złożyło.

I właśnie wtedy polała się pierwsza krew?

Nie, co ty. Wyobraź sobie – dwunasta w dzień i wszyscy są gotowi, wszyscy – weterani i młodziaki – wszyscy gdzieś się rozłażą, pokój przemieniony został w totalny śmierdzący śmietnik: góry niedopałków, w głowie się kręci, puste butelki, aż chce się dodać – *puste dusze*. Leżę na jednym z łóżek, leżę na wznak, żeby się nie obrzygać, moje młode oczy, „oczi moi grusnyje, oczy moje tęskne", wpatrzone są w niebo, czyli w górę, w sufit, w pęknięcie. I myśl mam tylko jedną, ale wielce wątpliwą: praktycznie nie mogę ustać na nogach, a za pół godziny muszę wstać i wyjść, i wynieść swojego *krokodyla* z tysiącem cudzych rubli i iść całe piętnaście minut do pętli, a potem jeszcze jechać dwadzieścia minut tramwajem, gdzie ze wszystkich stron zacisną się wokół mnie zupełnie ohydni ludzie, lwowianie i lwowianki, przez których nie mogę nie zwymiotować, i oni wszyscy będą syczeć swoje „taki młody, a tak się napić", bo rzeczywiście taki młody (poeta!), siedemnastoletni (poeta!) i taki samotny pijany, i nawet jeszcze z nikim w życiu (poeta!) się nie całował, więc oni z łatwością wyrwą mi te pieniądze i całą moją duszę i radośnie poupychają (poeta!) po wszystkich swoich śmierdzących kieszeniach... A mnie oddadzą na mydło. Tego dnia jakbym znalazł jedno ze swoich stałych położeń na tej ziemi. Tak właśnie siebie widzę, leżę na wznak, zawsze

na wznak, twarzą do sufitu, na dziesiątkach innych łóżek i zwykłych materaców planety i świata – kiedy miałem siedemnaście, a potem osiemnaście lat, kiedy moja głowa wirowała w centryfudze, a przez mgłę w oczach zobaczyłem rozczochrane zarysy Dema, i dziewiętnaście, kiedy wszyscy po kolei schylali się nade mną i szeptali na pożegnanie, a ja tylko rozpływałem się w coraz szerszym uśmiechu, i kiedy miałem dwadzieścia, kiedy Sadowy ześwirował i do krwi tłukł talerze grzbietem dłoni, i znacznie później – zawsze, kiedy umieram od alkoholu i rozdziera mnie taki smutek, że... że chyba rozumiem, co miał na myśli Gombrowicz, pisząc o zapachu siarki z ciemnej – wyobrażasz sobie! – absolutnie ciemnej i całkowicie głuchej piwnicy.

Tego o zapachu siarki nie pamiętam. Ale jak skończyła się ta historia?

Hm, ona jest jeszcze dosyć daleka od zakończenia! Dobrze – w punktach. Wyobraź sobie, że po jakiejś godzinie jednak się podnoszę: czekają na mnie, są głodni, nie mają kopiejki przy duszy, muszę iść. Potem ten nieprawdopodobnie długi *historyczny spacer po Lwowie*. Majerówka, Wzgórze Chwały, groby radzieckich bojowników-wyzwolicieli. Z jaką pogardą oni na mnie patrzyli! Schodzenie ulicą Lenina (no, oczywiście, nie wsiadłem do tramwaju!), obok czołgu na postumencie, wzdłuż torów, jeszcze niżej, obok budynku, w którym mieszkał z rodzicami Diabo Łypa, dalej to kino – jak mu tam? Niebawem jednak znalazłem się w tramwaju, co prawda nie w dwójce, ale w siódemce, tam, naprzeciwko Piotra i Pawła z ich bezalkoholowymi aureolami. Potem – ciemność. Pamiętam tylko, że szybko zaczęło się ściemniać, a ja krążyłem labiryntowymi korytarzami Poligrafa, czy to w poszukiwaniu sali z moją grupą, czy to nie wiadomo gdzie porzuconej *dyplomatki* z krokodylej skóry (i tysiąca cudzych rubli w niej). Jakoś tak się okazało, że nie miałem jej ze sobą. Ile godzin byłem w drodze? Dokąd mnie nosiło? Pod Operę? Na cmentarz Janowski? Na Wysoki Zamek? To ostatnie było podpowiedzią: Wysoki Zamek. Skądś to wylazło jakoś tak

podprogowo. Niektóre wykłady z braku miejsca odbywały się nie w głównym budynku, lecz w okolicznych szkołach – dwudziestej ósmej i dziewiętnastej. Ta druga stała na zboczu zamkowej góry. Wspiąłem się do niej już niemal trzeźwy. „Koszeliok ili żizń", portfel albo życie – z jakiegoś powodu kołatało w mojej głowie. Pustka wieczornych, ledwie oświetlonych schodów i korytarzy budziła egzystencjalną grozę. Na drugim piętrze przeżyłem dreszcz déjà vu. Zdawało mi się, że już tu dzisiaj byłem. Mój nikomu niepotrzebny *krokodyl* czekał na mnie na jednym z parapetów. Ile czasu tak stał, przez nikogo niezauważony w swoim czwartym wymiarze? „Koszeliok ili żizń", wyrzuciłem z siebie i otworzyłem go. Kasa była na miejscu: niebieska paczka (rozpieczętowana), zielona (nietknięta) i zwitek jesiennych rublówek. Zwycięsko i nieco bezczelnie otworzyłem drzwi klasy naprzeciwko. Wykładowczyni literatury antycznej właśnie rozwodziła się nad *tarczą Achillesa*. Cały w zachwyconych błyskach dwudziestu pięciu par oczu (gieroj! gieroj!) niedbale zapytałem, czy mogę usiąść. „Proszę siadać, towarzyszu starosto" – odpowiedziała z tak srogim niezadowoleniem, że na zawsze zrozumiałem: przyjaciółmi nie będziemy. A przecież mogłem rzucić się z okna, Hałyno Stepaniwno.

Więc jednak happy end. Miałeś szczęście. Zawsze ci się tak szczęściło?

Szczęścić mi się zaczęło dopiero w grudniu. Tak, w grudniu jakbym trafił na inną planetę. Przy czym nawet bez wychodzenia z akademika. Po prostu zmieniłem pokój. Jednak przedtem w moje życie wdarł się Koloruk. To był ktoś, komu po raz pierwszy na świecie pokazałem swój zeszyt z wierszami. To był Ktoś.

W takim razie – o wierszach. Pisałeś je dalej?

Praktycznie nie. Zmiana krajobrazu na początku była paraliżująca. Jednak dalej żyłem z tajemną myślą, że jestem poetą. Zresztą zapisywanie wierszy nigdy nie jest decydujące. Ważniejsze jest ich przeżywanie. Poza tym przecież dręczyło mnie *przeczucie* i pewnie dlatego trzymałem zeszyt przy

sobie – zawsze na wyciągnięcie ręki. Jak to się stało, że jednego z wieczorów pokazałem go Kolorukowi? Ha, żebyś wiedział, jak się czułem w tamtej chwili – starałem się palić orbitę za orbitą i nawet nie patrzeć w jego stronę, póki czytał. Tak naprawdę i tak patrzyłem – nie oczami, ale całym sobą. Moje serce tłukło się jak *oszalały ptak*. Pozwalam sobie na to wyrażenie, bo wtedy jeszcze dopuszczałem się podobnych sformułowań. Ta męka trwała z pół godziny, nie mniej. Koloruk był instytutową znakomitością, monstrum i dinozaurem. Właśnie kończył ze dwadzieścia pięć lat, zdawał się wieczny w tych murach – wieczny student albo Wieczny Żyd, który przeszedł i Krym, i Rzym, latał w kosmos, palił się w czołgu i tak dalej. Z wyglądu przypominał trochę Tarasa Szewczenkę, a trochę Wołodię Muliawina z zespołu Piesniary. Tylko był znacznie chudszy i bardziej zachrypnięty od obydwu. Nie było takiej osoby w akademiku, która by chociaż raz nie była zmuszona posłuchać jego wierszy. Po prostu wdzierał się do pokojów albo zatrzymywał pierwszego lepszego na korytarzu – i zmuszał. Miał niesamowity głos i pisał w przybliżeniu coś takiego: „Trzymali chleb na zapiecku, | modlili się do Boga. | Małe-malutkie skrzypeczki | wyśpiewują błogo. | Smyczek niczym ptak po strunach – | hop-hop, ćwir-ćwir! | Sąsiadów dusz echa. | Cień". I właśnie jemu pokazałem ten zeszyt.

A wtedy on go przeczytał i...

Wiesz, wypowiedział się pochlebnie. Co prawda rzucił uwagę, że niby powinienem „więcej obrazów brać z życia", ale w tych czasach wszyscy rzucali takie uwagi, to było swego rodzaju sloganem: „literatura powinna czerpać z życia". Zresztą, ciężko temu zaprzeczyć. Literatura? Życie? Wszystkie te podziały są zbyt umowne. Ale ja nie o tym. Sytuacja z moim poetyckim samooskarżeniem wywołała niebawem – czy nie już następnego dnia? – cały łańcuch dalszych następstw. Koloruk nagle chciał mieszkać z nami w pokoju, więc korzystając z jakichś własnych administracyjnych wpływów, wymusił, by zabrano precz uzbeckiego Szuchrata. Wtedy wszystko

się zaczęło: preferans, wiersze, bezsenność, tysiąc papierosów na noc, *sprzedajni poeci lat sześćdziesiątych*, szukanie rymu, kłótnie z powodu Salvadora Dali albo komunizmu, rytualne słuchanie w ciemności Pink Floyd. To był album *Wish You Were Here* – zaczyna się i kończy taką kolosalną suitą, pamiętasz...

Shine on You Crazy Diamond...

Właśnie tak. To powtarzało się noc w noc – starszy sierżant rezerwy Koloruk rozkazywał się położyć, zgasić światło i puścić w ciemność Pink Floyd. Zamieraliśmy – każdy na swoim łóżku – z marzycielską cętką papierosa w zębach: ja, Witunia, Szewczuk i – zdaje się – Karlusza Wołoch. Po pierwszych gitarowych jękach, takich, przypominasz sobie, nieco ezoterycznych, Koloruk obowiązkowo wymawiał „pizdieeec". Noc w noc, zawsze w tym samym miejscu, wyobrażasz sobie? „Pizdieeec". Sasza Szewczuk wyraźnie za nim nie przepadał i wyśmiewał pod nieobecność. Było to jak znęcanie się nad obiektem mojego kultu. Wyznawałem Koloruka, w tym czasie był jednym z moich nielicznych świętych – aureola nad głową, głębokie oczodoły, drżenie pięknych nerwowych dłoni, tembr głosu. Jakiś taki wschodni prorok! Odszedłem od niego dopiero później – kiedy zbyt brutalnie wlazł w moją *pierwszą*, hm, *miłość*. Nawiasem mówiąc, *Czarną Księgę* Antonycza też od niego pożyczyłem – i żyłem z nią kilka miesięcy. Niech to diabli, jaki to nierozerwalny łańcuch! Tyle nowej poezji, tyle nocy, tyle przegranych przeze mnie preferansów, Antonycz, ręczne przepisywanie Antonycza. No i wreszcie ten grudzień.

Powiedz, co takiego przytrafiło ci się w grudniu?

Cud. Artyści zaproponowali, żebym mieszkał razem z nimi. Okazało się, że Koloruk, porzucając nas wszystkich na długo dla jakiejś tam kilkumiesięcznej praktyki dyplomowej, zostawił coś na kształt duchowego testamentu i puścił po akademiku info o mnie jako o „poecie z woli boskiej". Oddaję, co mu się należy – mnie prosto w twarz nigdy tego nie mówił, może ze względów pedagogicznych. Czyli w żywe oczy

przeważnie mieszał mnie z błotem i wiecznie powtarzał: „Ach ty, zgniły inteligencie". Za moimi plecami jednak opowiadał wszystkim, że jestem „poetą z woli boskiej". Chociaż on wtedy nawet nie wierzył w Boga. Ale może wierzył w wolę boską. W każdym razie właśnie dzięki jego, jak się domyślam, wielce wyrazistej *kampanii piarowej* trafiłem do tego mistycznego pokoju. Mieszkali tam *artyści* – wyjątkowy jak na Poligrafa sort ludzi. Studiowali sztukę książki i przypominali średniowiecznych rycerzy tajemnego zakonu – nosili grube swetry, wytarte płaszcze, długie włosy, brody i – czasami – berety. Chodziło im o to, żeby do nich na wolne *kojkomiejsce* tymczasowo nie przydzielili jakiejś jednokomórkowej poczwary, powiedzmy, z mechanicznego. Dlatego sami szukali *zgniłego inteligenta* do swojego towarzystwa. Bo stworzyli w tym pokoju zupełnie inny, przepiękny świat: regały z książkami, świece, reprodukcje, winyle, anioły, skrzydła, westchnienia, jabłka, herbata i wytrawne wino. Tak trafiłem do Kastalii. Pierwsze, co tam poczułem, to radość pracy. Wyobrażasz sobie? Oni lubili pracować, to znaczy godzinami, dniami i nocami dłubali w swoich projektach – ilustracji, czcionek, okładek, tytułów, inicjałów i kolofonów, pracowali tuszem, gwaszem, atramentem, ołówkami, pędzlami, pastelami – wszystkim co malowało. Praca uważana była za rozkosz. Ich życie codzienne było całkowicie podporządkowane tej rozkoszy, a więc uporządkowane. Jak wszyscy mnisi, odrywali się tylko dla dziewcząt – tych, które były najładniejsze. Chociaż i dziewczęta przyprowadzali do swojego pokoju przeważnie w jednym celu. Wiesz, o czym mówię?

Domyślam się.

Wcale nie. Częstowali je wytrawnym winem, herbatą, jabłkami i malowali ich portrety. Chciałem być artystą i zaczęło mi się dobrze pisać. Czasami prosili, żeby im coś przeczytać. Umierałem, zasychało mi w ustach, mój głos panicznie uciekał, cholera wie gdzie, kończyłem czytać z dna swojej najbardziej głuchej beczki, ale im i tak się podobało. Lubili mnie i uważali za równego sobie, z tego nie mogłem nie

być po kryjomu dumny. Oczywiście, tam pośród nich znalazłem sobie jeszcze jednego świętego. Był to Smyczek. On był – brak mi innego słowa – genialny. To było wszystko razem – rysunek, malarstwo, aktorstwo, śpiew, gra na wielu instrumentach muzycznych, surrealizm, humor i wolność. To był Hans Holbein młodszy – co najmniej! Słuchaj, wybierz się tutaj w Berlinie do muzeum i obejrzyj prace Hansa Holbeina młodszego, tylko w ten sposób zrozumiesz, kim był Smyczek! Czytał na głos zdania z pierwszej lepszej książki – i chciało mi się przeczytać ją całą. Umiał opowiadać filmy tak, że w sposób najbardziej oczywisty wyłaziło z nich wszystko, co było ukryte, a do tego okazywało się najważniejsze. Do dziś zawsze i wszędzie staram się śpiewać pożyczone od niego piosenki – czy to łemkowskie, czy jakieś kozacko-tureckie. Nauczył mnie bez reszty rozpływać się w chorałach, magnificatach i oratoriach. Był rockersem i beatnikiem, i przenikliwie trąbił na starodawnym rogu z jakiegoś południowego stepu. Wiele lat później napisałem *Elegię ponoworocznego ranka*: „Ty, Igorze, dąłeś w róg bez słowa, | wszyscy muzykanci już od trzystu lat | w tym znajdują czad i głębszy ład, | nam zostaje tylko krucza mowa, | zadziwienie, bójka i ponowa…", no i tak dalej, a potem, już pod koniec: „I wędrowni jak ptaki lub aktorzy | mieliśmy Igora, który dął jak as"*. À propos, niektórzy komentatorzy skłonni są widzieć w tym Igorze całkiem innych ludzi. Dlatego przy okazji oświadczam: ten Igor – to Smyczek! Żadnemu z was, palanty, nieznany geniusz.

Zdaje mi się, że dojrzałeś.

Do czego?

Wyliryzowałeś się. Akurat wystarczająco, żeby mówić o miłości.

Okej. Sam tego chciałeś! Chociaż pewnie wszystko wisiało w powietrzu. Na Nowy Rok urządziliśmy w naszym pokoju zabawę i który to już raz przyrzekłem… któryż raz przyrzekłem sobie, że stanę się mężczyzną.

* Tłum. Jacek Podsiadło.

A ty wciąż jeszcze nie…?

No, właśnie o to chodzi. Nie zapominaj, że jedno z moich imion – to jednak Narcyz. Czasami wystarczyło tylko wyciągnąć rękę. Ale nie wyciągałem jej. Dobrze, o tym jeszcze powiemy. Tej nocy przewaliło się pełno różnego luda, akademik całą dobę otwarty na oścież, tysiące gości i tak dalej, dyskoteki na każdym piętrze, pijatyki, flirty, konfetti, spódnice, zadki, dekolty, atmosfera skrajnie naelektryzowana, Brazylia, karnawał. Jakoś tak wszyscy znienacka umyli się i okazali się młodsi i piękniejsi. Bawiliśmy się w takim dosyć różnorodnym towarzystwie, z jakiegoś powodu były tam Koreanki z technologicznego i jedna z nich cały czas ocierała się o mnie. Postanowiłem, że ona to Yoko Ono, a ja John Lennon. Który wtedy, nawiasem mówiąc, jeszcze żył. Tańczyliśmy bardzo blisko siebie i przy wszystkim na świecie – nawet przy Bachu. Potem w zupełnie ciemnym korytarzu na całkiem nieznanym piętrze spróbowałem wpić się wargami w jej wargi. Ale Yoko z jakiegoś powodu się wyślizgiwała. Zdaje się, że nam obojgu bardzo chciało się spać. Taka to historia.

Ha! I to wszystko?

Okej, idziemy dalej. Następnego dnia, kiedy trochę się przespaliśmy, tańczymy i pijemy dalej. Następny dzień – to pierwszy stycznia, rozumiesz? 1 stycznia 1978 roku. I ta sama Yoko wciąż tak samo się o mnie ociera. Aż się nawet od całego tego ocierania spociliśmy. I nagle – bach! Skąd się jeszcze *ta* wzięła? Takie mi się tylko śnią, wyobrażasz sobie?

Znowu Koreanka?

Nie, lwowianka. I ona cały czas tańczy z innym, ale tak jakby tylko ze mną. You know what I mean. Jeszcze tego wieczora zdążyliśmy coś sobie powiedzieć. Ale jaką grozą było dowiedzieć się, że ona – wyobraź sobie – jest o całe cztery lata starsza! To znaczy, że już niedługo będzie miała dwadzieścia dwa lata, całe dwadzieścia dwa, to przecież jakaś dorosła, starzejąca się kobieta! Jako tako przeżyłem bez niej parę dni. Trzeciego zastukała do naszego pokoju właśnie wtedy,

kiedy byłem w nim tylko ja, sam jeden. Pojawił się co prawda Smyczek, ale – wierny druh – od razu zapadł się pod ziemię, odprowadzany sygnałowymi błyskami swej elektrycznej aureoli. Słuchaliśmy sonat Bacha na altówkę i klawesyn i o nich rozmawialiśmy, to znaczy o sonatach Bacha na altówkę i klawesyn. Gdzieś w ósmej minucie pomyślałem, że to całkowity idiotyzm – do tej pory nie zacząć się całować. Przestałem mówić i ona też. Zaciemnienie.

Rozumiem.

Nie tam, wątpię, czy ty to naprawdę rozumiesz. Ja sam już tego nie rozumiem. Kiedy wszystko to jest po raz pierwszy i pulsuje w tobie tyle głupawego szczęścia, i niemal pękasz przez jedno *aha*. Aha, przenika cię, aha, ona to robi językiem, aha, jak dobrze u niej pod swetrem, aha, jaki jestem, okazuje się, bezczel, aha, gdzie sięgnąłem, aha, a to, okazuje się, taki pipek, o jaki jesteś, aha, aha, aha. To było zupełne *aha*. Z boku musiało to wyglądać jak początek filmu pornograficznego *My First Sex Teacher* z kategorii tematycznej „Mum + Boy" – ale tylko jak początek. Potem wybiegliśmy z akademika na śnieg, było dziko i radośnie. W taki sposób dręczyliśmy się przez całą tę zimę plus dobry początek wiosny, totalny petting, wypatrywania w oknach i stracone spotkania. Choć tak naprawdę tylko styczeń był nasz. Potem coś się jednak zepsuło i poszło całkiem krzywo. Najgorsza była ta różnica wieku. Albo może lepiej powiedzieć – brak doświadczenia z mojej strony. Strasznie nie lubiłem być z nią przy ludziach. Wszyscy patrzyli na mnie z takim współczuciem, jakbym był jakimś królikiem doświadczalnym. Albo kozłem ofiarnym. Żeby się z nią zrównać, kłamałem wszystkim, że jesteśmy rówieśnikami. Rozgryzali mnie praktycznie bez wysiłku – jak orzech Krakatuka. („Tak? Ma pan już dwadzieścia dwa lata? A wygląda pan na jeszcze zupełnie młodego!"). Moje włosy na długość były muszkieterskie, ale wąsy im nie dorównywały. Wąsy dopiero sypały się w niepewności – nie wiedząc jeszcze do końca, czy mają rosnąć dalej, czy nie warto. Właśnie wtedy zapoznałem się trochę

z osobliwym gatunkiem ludzi – lwowskim mieszczaństwem. To kolosalne zjawisko, całe to bestiarium, ten nieskończony i nierozwiązywalny pasjans plotek, intryg, ukrytych skandali, małżeńskich partii, misterny splot zdrad, pielęgnowanie czystości aliansu, rasy, wyznania, czegoś tam jeszcze. Wyobrażasz sobie – mogłem się stać częścią tego wszystkiego! Mogłem się z nią ożenić jeszcze tamtej wiosny, w całkowitej tajemnicy przed moimi rodzicami, i wejść do tego dworu jako taki sobie osiemnastoletni książę znajda, parweniusz obcej krwi, zielony i przygłupi.

Chociaż w Małej intymnej urbanistyce *jakbyś bronił tej lwowskiej hermetyczności. Piszesz: „Dzięki temu miasto przetrwało i zachowało się w najgorszych nawet czasach. Bo prawdziwi lwowiacy to jedna wielka rodzina, la familia, mafia, gdzie każdy każdego wspiera swoim bezustannym plotkowaniem, zainteresowaniem, zazdrością, nienawiścią, graniczącą z miłością, wścibstwem. Jest szalenie żywotny, ten Lwów i nie przypadkiem jest z rodziny kotów*".*

Oczywiście i teraz go bronię. Zdaje się, że nie powiedziałem o nim złego słowa!

Co to było? Miłość?

Było to w każdym razie coś najdotkliwszego na świecie. Przy czym świadomie wybrałem ucieczkę, wiesz? I to niekoniecznie dlatego że na wiosnę spadł z nieba jak rozgniewany jeździec dżihadu Koloruk i zawołał z całych sił swoich wielce przepalonych płuc: „Durniu! Debilu! Uciekaj, póki nie jest za późno, uciekaj!". Ale jego akurat nawet nie chciało mi się słuchać, zbyt patetycznie chrypiał na całe swoje genialne gardło. Nie, coś wyczułem sam, absolutnie sam. Zbyt radykalnie to brzmiało – małżeństwo. A może i nic nie brzmiało?

W ogóle to nadzwyczaj ciekawe – wachlarz dróg. Jakbyś co chwila potykał się przy jakimś coraz to nowym wyborze i dokonywał go, kiedy tyle rzeczy niespróbowanych zostaje z tyłu. Nie szkoda ci wszystkiego tego, czym się nie stałeś? Powiedzmy, specjalnie

* Tłum. Ola Hnatiuk.

zaproszonym z prowincji księciem?

W ten sam sposób nie stałem się tysiącem innych osób. Nie zostałem oficerem armii radzieckiej, kloszardem, jehowickim kaznodzieją, inżynierem ludzkich dusz, łowcą głów, seryjnym mordercą, wykładowcą Kamasutry, nigdy nie wstąpiłem do zakonu i nie poszedłem pieszo do Tybetu, nie siedziałem w więzieniu za homoseksualizm ani bodaj za defraudację państwowych funduszy, nie kochałem się z Murzynkami, ani nawet z Mulatkami...

No ba, a scena pod prysznicem z Moskoviady?

O tym później, dobrze? Teraz ważne jest dla mnie, by powiedzieć co innego: ci artyści z ich slajdami, aureolami, płaszczami i winylami za każdym razem wyciągali mnie z kolejnej biedy – przede wszystkim Smyczek, chociaż Wano też. Niemal nieświadomie przejąłem od nich absolutną wiedzę o tym, że na świecie, gdzie tak wiele jest rzeczy zewnętrznych, naprawdę są niewyczerpane rezerwuary tego, co wewnętrzne – i w tym wewnętrznym można jako tako utrzymać się przez całe życie, jak robak w jabłku. Szczególnie jeśli dookoła – totalny sojuz, szara zona, którą szulerski system filuternie nazywa rzeczywistością. W ten sposób właśnie od nich przejąłem tajemną wiedzę o tym, że rzeczywistość jest gdzie indziej. Wiesz, pod ich wpływem tak się rozpisałem, że wczesną wiosną – w momencie najbardziej niszczącego krachu mojej pierwszej love story i związanego z nim upadku uczuć – popłynęła ze mnie jakaś taka całkiem ekstatyczna lwowska proza, bez początku i końca, pisana też takimi ekstatycznymi porywami pod Bacha, Pachelbela, Hendla, Purcella, Geminianiego, Marcellego, Telemanna, Schütza...

Vivaldiego?

Pewnie. Corelliego, Scarlattiego. Wszystko to strasznie pasowało do Lwowa, w którym mieszkaliśmy. Taki Lwów nie istniał naprawdę, ale my w nim mieszkaliśmy. To było życie w starych sztychach. Trzeba było trafić do środka, skurczyć się do rozmiarów *holenderskiej miniatury*, stać się postacią, bohaterem, wędrownym poganiaczem chartów.

Za każdym rogiem otwierała się ogłuszająca perspektywa dalekich wzgórz, w każdej chwili można było pójść w ich kierunku i zniknąć między nimi na zawsze. Wieczorem piliśmy lipową herbatę i czytaliśmy na głos Edgara Allana Poe, taki grubaśny tom z niemal tysiącem stron, wydany w serii „Literackie pomniki".

Po rosyjsku?

Tak. Najlepsze książki wychodziły wtedy po rosyjsku. Ukrainę cenzura miała w garści. Nauczyłem się czytać po polsku i przynajmniej dwa razy w tygodniu chodziłem na polowania do księgarni „Drużba", gdzie bez chwili wahania chapałem polskiego Carpentiera czy Cortázara, a potem biegłem do „Melodii" z jej śmiesznie tanimi pokładami renesansowo-barokowych winyli. Była jeszcze „Poezja", ale tam mi się nie szczęściło. Tak naprawdę to było coś jakby murowanie własnego świata. Od tego całego *domu bycia* miałem coraz większe jazdy. Chodziłem do lasu, tam był jakiś porzucony tor kolejowy, można było bez końca iść wzdłuż niego i komponować w sobie suitę na Jethro Tull i orkiestrę. W czerwcu, kiedy wszyscy porozjeżdżali się na praktyki i wakacje, staliśmy się z Ingą bratem i siostrą. Była trochę wyższa ode mnie, czterdziestoletni mężczyźni pożerali ją wzrokiem. Była kapitanką drużyny koszykarskiej i dziewczyną mojego kolegi Długiego, kolejnego artysty i kolejnego geniusza.

Jak się zostaje bratem i siostrą?

Trzeba było bardzo się wzajemnie lubić i rozmawiać o tym, co najintymniejsze. Podróżować razem na przykład do zamku w Olesku. Razem upić się tam czerwonym winem i razem wydostawać się z jakichś średniowiecznych fos porosłych łopianem i rzepami. Trzeba mieszkać w jednym pokoju, jeść z jednego talerza i z ręki sobie nawzajem. Trzeba pić sobie nawzajem z ust. A także spać w jednym łóżku i ani razu nie dotknąć się *inaczej*. Inga namówiła mnie, żebym zaczął zapuszczać brodę. Potworna była – ta moja pierwsza krzaczasta roślinność, ale Inga na wszystkie sposoby mnie

zachęcała i mówiła, że mi to pasuje. Długi miał – i ma do dziś* – fantastyczny, a lepiej powiedzieć – fantazyjny wygląd, coś pomiędzy wikingiem a templariuszem, do tego ze dwa metry wzrostu. Do dziś jest taki, oglądają się za nim nawet na Broadwayu, a tam zazwyczaj za nikim się nie oglądają. W dziewięćdziesiątym ósmym razem z nim maszerowaliśmy kilka godzin Broadwayem i to było something! Tak że nie zazdrościłem mu, bo Ingę kochałem inaczej. Ale we śnie widziałem siebie jako minstrela. Tak. A potem wydarzyła się rodzinna katastrofa.

?????

Mój ojciec o mało nie umarł w szpitalu. Było to dla mnie jak grom z nieba – nie, nie takiego znów jasnego – w każdej chwili mogłem oczekiwać jego gniewu. Ale jednak. Mama sama zaprowadziła go na leczenie. Ona zadecydowała, że to alkoholizm, i wreszcie postawiła na swoim. Ale w szpitalu zrobili mu coś takiego, przez co prawie umarł. Jakiś zastrzyk czy coś w tym rodzaju, do dziś nie wiem. Wyciągali go z tamtego świata punkcją rdzenia nerwowego. Przy swoich czterdziestu ośmiu latach, chociaż przeżył, już nigdy się stamtąd nie wygrzebał. Przede wszystkim porzucił las i leśnictwo. To tak, jakby przestać żyć jedynym możliwym życiem. Od tamtego czasu pociągnął jeszcze dwa dziesięciolecia, ale to było raczej jakieś takie ostateczne rujnowanie siebie. Kuzyni załatwili mu pracę operatora w ciepłowni – zdaje się, przyjął to z pokorą, ale i tak nikomu tego nie wybaczył. W lipcu, kiedy nareszcie zaczęły się moje wakacje, musiałem wrócić do domu. Szalałem bez Lwowa i ratowałem się tylko pisaniem o Lwowie. Oczywiście przy muzyce. Napisane kawałki wydawały mi się genialne, możliwe, że tak właśnie było – wtedy i tam. Geniusz jest subiektywny, czyż nie? Rozdzierała mnie samotność, nikogo nie chciałem widzieć, mieszkaliśmy we dwoje z babcią, której nogi coraz bardziej odmawiały posłuszeństwa i nie mogła już schodzić z trzeciego piętra.

* Już nie. W czerwcu 2006 roku utopił się gdzieś w Pensylwanii, fuck.

Mama była nad morzem, a ojciec w szpitalu. Moje wakacje upływały w kolejkach po jako takie żarcie, nienawidziłem tego spalonego lata i mojego spalonego domu, i tych codziennych odwiedzin w psychiatryku z paczkami dla ojca. Chciałem pójść rozpłynąć się w Świecie, we Lwowie, zniknąć pośród jego wzgórz. Chociaż, wiesz, czasami to lubiłem: pakowanie wszystkich tych szpitalnych słoików, przygotowany przez babcię *chudy* bulion, podobało mi się chowanie przed nią w plecaku kolejnej paczki Filtra dla ojca, lubiłem zbliżać się do murów szpitala, wywoływać go, czekać, dopóki on – nieznośnie wolno – odniesie wszystkie te słoiki do swojej sali, a potem potajemnie palić z nim w jakichś krzakach i na wszelkie sposoby podtrzymywać jego żarty na temat alkoholików w szpitalnych piżamach. Zapominał, że już zdążyliśmy o tym porozmawiać, i powtarzał się. „Wiesz – mówił, mrużąc oko przez dym – jeszcze trochę, i nie miałbyś taty". Obydwaj udawaliśmy, że wesoło śmiejemy się z tego powodu, śmieliśmy się do łez i wycieraliśmy oczy. Czasami zastawałem go przy podwieczorku w stołówce, siedział przy jednym stole z kilkoma innymi mężczyznami w piżamach i to było potwornie dzikie – widzieć, jak je przy jednym stole z obcymi ludźmi, tak jakby już odszedł z domu i na wieki trafił do jakiejś innej wspólnoty. Jeśli mam być szczery, doprowadzała mnie do rozpaczy ta jego niespodziewana utrata samego siebie. Dotarło do mnie, że już nigdy nie poboksujemy się w wolnej chwili. I nie pójdziemy we dwóch popływać w jeziorze. Albo powiedzmy na stadion – popatrzeć, jak Uragan skopie dupę jakiemuś Kołchozczi z Aszchabadu. Nie mówiąc już o wyścigach motocyklowych po pionowej ścianie albo motokrosie w Wowczynieckich Górach.

I właśnie wtedy go porzuciłeś?

To znaczy?

Mam na myśli to, o czym piszesz w Środkowowschodnich rewizjach *– o tutaj: „...oddalałem się od ojca zgodnie z nieubłaganym prawem czasu. [...] Być może było to moje pierwsze wielkie wyzwolenie – wydobywałem się z jednej z najsilniejszych zależności.*

Chociaż niekoniecznie: było to nie tyle wyzwolenie, ile rozczarowanie. Leśny bohater i charyzmatyczny narrator dematerializował się na moich oczach, znikał w przeszłości. Pozostawał niepowstrzymanie starzejący się człowiek, zapominalski i powolny, skłonny do przykrego powtarzania jednych i tych samych opowieści (zbyt często używane – marniały, ścierały się, blakły, gubiły dawną prężność i niepodważalną pewność), pozostawał chroniczny układacz pasjansów i odludek".*

No tak, tak to jest. Nie, to nie tak. Niezupełnie tak. Prawda, z jednej strony porzucałem go, jak wszyscy synowie marnotrawni, to jasne. A z drugiej – i tak nie mogłem bez niego żyć. Kilka lat później, znów podczas wakacji, natrafiłem na jego notes. Z jakiegoś powodu zostawił go w domu. Przypuśćmy, że go zapomniał. Pracując jako operator w kotłowni, musiał czymś wypełniać czas. W tym notesie były wszelkie jego rysunki, humoreski, wierszyki, nawet krzyżówki, które próbował układać. No i znajduję tam jego list pożegnalny. W nim dosyć oficjalnie zwraca się do swojej żony, wyjaśnia, dlaczego porzuca życie, życzy jej, by czym prędzej odnalazła się w tym świecie bez niego, ma nadzieję, że ja, syn, chociaż trochę go zrozumiem. Była piąta po południu, jego zmiana trwała do ósmej wieczorem. Rzuciłem się dzwonić do niego do ciepłowni. Kiedy to napisał? Rok temu? W zeszłym tygodniu? Zeszłej nocy? *Już to* zrobił? Właśnie dwie minuty temu? Dlaczego jeszcze nie podszedł do telefonu? Piąty sygnał, szósty. I kiedy wreszcie odebrał, wydusiłem tylko coś w rodzaju: „Eeee, tato? Jest taka sprawa... Przyjdziesz z pracy – zagramy w szachy, okej?". Był wyraźnie w szoku – co ja tak, jakie znów szachy, nie graliśmy w nie trzysta lat. Wieczorem o tym nie rozmawialiśmy. I nigdy w życiu nie rozmawialiśmy. Bardzo chciałem otoczyć go zainteresowaniem i odwieść jak najdalej od myśli o samobójstwie. Możliwe, że ten list podrzucił mi umyślnie. Jako sygnał, że jest *zawsze gotowy*. Ale nigdy go o to nie zapyta-

* Tłum. Lidia Stefanowska.

łem, wydawało mi się ryzykowne nawet samo poruszenie tego tematu. Nie tam, po prostu i tak nie zdołałbym czegoś takiego wymówić – ustami, wargami, językiem. Dzięki Bogu, ta bomba o opóźnionym zapłonie nie zadziałała. My ludzie żyjący wymyślaniem historii co i rusz rysujemy sobie jakieś nowe potworności, coś takiego, co może tu i ówdzie przytrafić się tym, których kochamy, jakieś nieszczęśliwe wypadki, choroby, komety, klęski żywiołowe. Dla mnie to jedna z niezaprzeczalnych oznak miłości. Pamiętam, jak latem siedemdziesiątego dziewiątego w Kijowie mieliśmy się z Niną rozstać na jakieś półtora miesiąca. Ona wyruszyła autobusem do Czernichowa, a ja tramwajem na dworzec kolejowy. Jeszcze zanim dojechałem, pomyślałem, że jej autobus najprawdopodobniej przewrócił się i spłonął, a ona najpewniej zginęła. To było jasne jak słońce, bo jakże mogłoby być inaczej? W siedemdziesiątym dziewiątym roku nie było jeszcze komórek – i nie to, że tylko u nas, ale nawet u was. To znaczy, że z myślą o jej śmierci wierciłem się z piętnaście godzin jak na rozżarzonych węglach w pociągu. Rano, już w domu, ostrożnie zapytałem babcię, czy nie było jakichś informacji o wypadkach autobusów. Ale wtedy w ogóle ich nie było, takich informacji. To znaczy wypadki i katastrofy mogły zdarzać się tylko na Zachodzie. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko potajemnie do niej zadzwonić. I kiedy usłyszałem w słuchawce jej głos, nawet nie zdołałem nic z siebie wydusić.

Jak to się zaczęło?

Zaczęło się tak, że znaliśmy się już rok. I każde z nas miało swoją historię. Moją już mniej więcej znasz. Okej, zaczniemy gdzie indziej. Tak – zaczęło się od tego, że razem leżeliśmy na sianie. We wrześniu zawieźli nas na tak zwaną *akcję żniwną* na wieś. Było ciemno, wilgotno i wesoło – piliśmy jabłkowy poncz, obserwowaliśmy ciała niebieskie, przede wszystkim UFO, bo tamtego sezonu wszyscy z całych sił je wzywali. Założyliśmy zespół rockowy Włosy Anioła i staraliśmy się przyciągnąć uwagę kosmitów nocnymi koncertami.

Z Niną, Darą i Sadowym co wieczór wyślizgiwaliśmy się w ciemność. W ciemności rozmawialiśmy o Joysie, Freudzie i Bogu, obłaziliśmy wszystkie okoliczne ruiny, płosząc nietoperze na walących się dzwonnicach. Negowaliśmy Marksa. Poza tym chodziliśmy wzdłuż nocnej szosy. Prześladowały nas błyski reflektorów i błękitnych ogni na cmentarzach. Nie minęły nawet trzy wieczory, kiedy do mnie dotarło, że przepadłem. A gdzie tam – nawet dwa takie wieczory nie minęły, a ja już przepadłem! Potem wpadłem do dołu z nieczystościami, pomyłkowo biorąc go w ciemności za twardy grunt. Potem wpadłem pod ciężarówkę z pięcioma tonami mokrej deszczowej kapusty. Moją nogę koło wgniotło w błoto i maszyna z piskiem (moim?) zahamowała. Gdyby to był asfalt, najprawdopodobniej zostałbym bez nogi, uratowało mnie metafizyczne błoto naszych dróg. Leżałem z nogą pod kołem i krzyczałem „job twaju mat'" – dziesiątki razy jedno i to samo, pewnie zapętliłem się w tej magicznej formule – JTM, może właśnie ona mnie uratowała. Cisnąc na gaz ze wszystkich sił i zjeżdżając z mojej nogi, ten szoferzyna był bardziej blady niż ja. „Umrę na tężec, a ty i tak nie dowiesz się o mojej ostatniej miłości, kochana" – zwracałem się do Niny tej nocy w gorączce. Potem wpadłem do otwartego grobowca na cmentarzu Janowskim. Było nas pięcioro i szukaliśmy grobu Antonycza. Znaleźliśmy go, choć poszukiwanie to było beznadziejne, prowadziło nas jednak *sto czerwońców szaleństwa*, rozsypanych tu i tam na cmentarnych alejkach. Zachwyciłem się bocznymi ścieżkami i od razu zostałem ukarany upadkiem do śmierdzącego grobowca. Tego sezonu jedyne co robiłem, to latałem i padałem. Stałem się kaskaderem z dziesięcioma złamaniami rąk, nóg i żeber, moje ciało czterdzieści razy szczepiono przeciw wściekliźnie. Na początku listopada, chwytając wyschniętymi ustami resztki powietrza, zmusiłem się do oświadczyn. Nina odpowiedziała cytatem: „Możesz uważać, że sama dałam sobie po twarzy". Kto nie widział filmu *Pies na sianie* z Bojarskim i Tieriechową, ten nie zrozumie, że w taki sposób mi odmówiono.

Dlaczego?

Ja też nie wiem dlaczego. Ale stało się: pewnego dnia rano obudziłem się w potwornie zimnym, wypełnionym wyblakłą listopadową szarością pokoju. Patrzyłem w sufit akademika, którego co prawda nie pamiętam, ale jestem pewien, że był równie nieznośny, jak cały ten pokój, cała ta jesień. I w mojej głowie pulsowało jedno jedyne zawołanie: „Dzień dobry, moja samotności"*. Właśnie to zdanie w tamtej chwili było najdoskonalszą formułą mnie określającą, bo w niej zawierałem się, skoncentrowany i boleśnie skurczony, cały ja. Minęło kilka bezsensownych dni, wypełnionych boleśnie ściśniętym Niczym, a potem do naszego Poligrafa przyjechała wielka brygada ludzi w rytualnych maskach i flanelowych fartuchach śmiertelnie brudnego koloru. Zapachniało czarnymi afrykańskimi kultami. To byli medycy ze stacji poboru krwi, cała stacja lekarzy, wszyscy co do jednego. Przyjechali po naszą młodą głupawą honorową krew. Razem z kolegą – to był ten sam Sadowy, z którym nieco bardziej się zbliżyliśmy po wszystkich eskapadach – oddaliśmy po dwieście mililitrów i dostaliśmy zwolnienie z zajęć, kupiliśmy dwie butelki jabola i rozpiliśmy je na Wysokim Zamku. Siedzieliśmy na przyprószonych pierwszym śniegiem korzeniach starego dębu (graba? buka?) i patrzyliśmy na miasto w dole. Nasze oczy zaczynały się szklić i *z miłości można było umrzeć*. Potem w zagadkowy sposób dowlokłem się do akademika i padłem na łóżko w moim pokoju. W tym czasie nikogo więcej w nim nie było – wszyscy mieszkańcy gdzieś się porozłazili. Zapadał wczesny listopadowy zmrok. Za ścianą ktoś bezlitośnie słuchał *Wariacji Goldbergowskich*. Zacząłem zdejmować sweter i przy tym od ranki, która została w żyle po igle, odlepił się tampon. Zobaczyłem, jak z żyły pociekła krew, i postanowiłem, że tak właśnie będzie najlepiej. Moje oczy kleiły się ze zmęczenia, alkoholu i nieszczęśliwej miłości. Było całkiem przyjemnie – tak

* Lina Kostentko.

w sensie fizycznym, jak i psychicznym. W ostatniej chwili ktoś jakby krzyknął „Stop!", zastopował Bacha i rozkazał mi otworzyć ciężkie, niezwykle ciężkie powieki, a potem znaleźć w półmroku ten sam tampon i przyłożyć go do tejże ranki i zdecydowanie zgiąć rękę w łokciu. I tak zostałem przy życiu. Następnym razem już nie męczyłem się żadnym oświadczaniem – po prostu zaczęliśmy się całować i koniec. Ale to stało się dopiero w lutym, po feriach zimowych. A pomiędzy listopadem i lutym byliśmy *represjonowani*, ja, Nina i Major.

Po pierwsze, w jaki sposób, a po drugie, kto to taki Major?

Major był jednym z nas, on też uczył się w naszej grupie. A w jaki sposób nas represjonowali – to historia, która wymaga zbyt długiej przedmowy. Na jej marginesach muszą pojawić się dwaj Jurkowie, jeden z nich K., a drugi F., Diabo, Dżana, Połamany, ktoś jeszcze. A w centrum pojawia się Sierioga. Wszyscy byliśmy tej jesieni, tej samej jesieni, na *wykopkach* na wsi, tylko Sieriogi nie było. Zresztą to nieważne. Ważne, że pewnego popołudnia zawitał do naszej wsi i wypiliśmy nie tylko morze wódki, ale i resztki ponczu jabłkowego ze sklepu. „Potem nic już nie pamiętam", jak śpiewali Hadiukinowie. To znaczy pamiętam, ale coś zupełnie innego: jak leżeliśmy na sianie – ja, Nina, Dara, Sadowy – patrzyliśmy w nocne niebiosa i uczyliśmy się łemkowskiej piosenki: „Liubuj że nia, chłopku, | W stodoli na snopku, | liubuj że nia pyl'no | Bo my w nożky zymno". Myślę, że im, dziewczynom, naprawdę było trochę zimno w *nóżki*, dlatego piosenka niezwykle się im podobała.

Na razie jednak nie widzę nic niebezpiecznego.

Nasza czwórka też niczego takiego nie widziała, dobrze nam było na nocnym polu – i koniec. Tymczasem jednak we wsi miały miejsce wielce złowieszcze wydarzenia. Tym zdaniem trzeba zakończyć poprzedni rozdział powieści przygodowej: „Tymczasem jednak we wsi miały miejsce wielce złowieszcze wydarzenia".

Aha. Jakie?

Nie chciałbym się w to zagłębiać. Rano dowiedzieliśmy się, że Sieriogę zgarnęła milicja. Podobno w nocy chodził po wsi i kogoś bardzo poważnie *obraził swoim zachowaniem*. Rano skręcili go i oddali w ręce *prawa*. Kiedy siedział w okręgowym areszcie, do nas nazjeżdżało się kupę wszelkiego naczalstwa z Instytutu. Zaczęli na nas naciskać, przesłuchiwać po kolei, czy to, czy sio. Poza wszystkim innym przeprowadzili gwałtowne przeszukanie w koszarach, gdzie my, chłopcy, spaliśmy, i oczywiście odkryli fantastyczną ilość butelek po wódce i ponczu. Ciekawe, że wszyscy oni byli jakimiś tam naukowcami, docentami, doktorami, a prawdziwe ich powołanie to – okazuje się – *sekcja śledcza*! Zbyt profesjonalnie wszystko to przeprowadzili – przesłuchania z *konfrontacjami*, przeszukania z *torturami*. Masz prawdziwą szkołę Porfirego Pietrowicza!

Okej, jakoś was potem ukarali.

W tym właśnie cały cymes, że niby nie, początkowo. Nawet Sieriogę wypuścili z kozy. W październiku wróciliśmy do Lwowa – i nic. Dopiero w listopadzie, kiedy spadły pierwsze śniegi, naszą trójkę zaczęto represjonować. Zabrali nam mieszkanie. Podczas przeprowadzki ze starego akademika na Majerówce do nowego na Pidhołoską okazało się, że nie *ma nas na liście*. Rozleźliśmy się tu i tam. To znaczy gdzie kto mógł. We Lwowie robiło się coraz ciemniej i zimniej, trzeba było przeczekać zimę w jakimś zakamarku, gdzie by przynajmniej woda nie zamarzała w rurach. Sierioga, dobra dusza, zaprosił mnie, żebym mieszkał razem z nim i jego rodzicami – wina leżała przede wszystkim po jego stronie. Ale tam udało mi się wytrzymać tylko jeden wieczór. Ogólnie ten czas bezdomności okazał się czasem nadspodziewanie pięknym. Moje rzeczy leżały w dworcowej przechowalni, a ja co wieczór w napięciu knułem intrygę, dokąd teraz pójść. To jak Marmieładow u Dostojewskiego, pamiętasz? Oho, znów Dostojewski, drugi raz pod rząd – czy nie za często? Może pamiętasz: „Wied' nada żie czełowieku imieť kuda pajti!" – Człowiek musi mieć dokąd pójść. Czy jakoś tak.

I dokąd?

O, to było każdego wieczora inaczej. Czasami właziłem przez okna, czasami wpychałem się przez tylne drzwi. Kilka nocy po prostu chodziłem ulicami i placami *starodawnego, ale wiecznie młodego miasta Lwa*. Najgorzej stałem z butami. Trzeba było zarobić pieniądze i wynająć sobie mieszkanie. Mając niecałe dziewiętnaście lat, wylądowałem jako wyrzucony na ulice obcego miasta student. Wtedy też Długi poradził mi, bym poszedł do kostnicy, gdzie zawsze potrzebowali sanitariuszy. Z tego co mówił, tym chlorom nawet nieźle płacą, a oni spirytus lutują litrami. Spirytus – to jedyne co trzyma ich przy zdrowych zmysłach. Po mieście krążyły plotki o nieoficjalnym malarzu przezwiskiem Sur, który rzekomo zarabiał na życie właśnie pracą w kostnicy. Charakteryzował zmarłych przed ich ostatnim party. Pewnie, idź, mówili mi najlepsi przyjaciele w ślad za Długim. Wyobrażasz sobie, jak po tym zaczniesz pisać, nastawiał mnie najbardziej wymagający z nich. Ani on, ani ja wtedy nie wiedzieliśmy, że na świecie już był jeden taki poeta i nazywał się Gottfried Benn. Pewnego dnia jednak doszedłem do *tych* drzwi.

Do drzwi kostnicy?

Do drzwi Tajemnicy. A potem postanowiłem wyjechać precz. Nadciągała zima, a ja nie miałem gdzie mieszkać, nauka szła w chuj, moja ukochana „dała sobie po twarzy", nic nie zatrzymywało mnie we Lwowie. Zachciało mi się uciec do Moskwy i wstąpić tam do Instytutu Literatury. Ciekawe, czy przyjęliby mnie wtedy, gdybym zgłosił swoje teksty z tamtego czasu? Pewnej soboty przyjechałem do domu i oświadczyłem, że wyrzucono mnie na ulicę. Wreszcie siedziałem w cieple w domowych kapciach. Jadłem jakąś olbrzymią jajecznicę z kaszą, potem kanapki z kiełbasą i serem, dziesiątki kanapek i jakieś podgrzane półprodukty, znów z kaszą, wszystko to jadłem i jadłem, i jadłem, w oczach przemieniając się w Pantagruela, a mama Pantagruela wciąż coś dokładała na talerz i wciąż coś mówiła, mówiła i mówiła, a potem piłem herbatę z sokiem malinowym i oczy kleiły

mi się z sytości, spokoju i ciepła, zapadając się więc pod pierzyny snu, obiecałem, że wrócę do Lwowa i zamieszkam u jej starych znajomych, i będę uczył się dalej. Pod koniec grudnia zlitowano się nade mną i Majorem, i dostaliśmy pokój w nowym akademiku na Pidhołoskiej.

A twoja przyszła żona?

Nad nią, zdaje się, ulitowano się nieco wcześniej. Do dziś nie wiem, co jej *inkryminowano*. Mnie i Majorowi – pijatykę, na skutek której Sieriogi o mało nie wsadzili. A jej? Trochę dziwnie było słyszeć odpowiedź dziekana: „Ona sama wie za co". Nie, tak naprawdę nas obserwowali. My przecież jednak czytaliśmy *nie to*, słuchaliśmy *co innego*, *rozpuszczaliśmy języki* na śliskie tematy. Na przykład, lubiliśmy wdawać się w sprzeczki na temat komunizmu. Ja dowodziłem, że on nigdy nie nadejdzie, bo rację ma Freud. A ona – że nigdy nie nadejdzie, bo rację mają indyjscy joginowie. Siadała w pozycji lotosu, kiedy słuchaliśmy wierszy Tuwima i Różewicza. Zaczytywaliśmy się E.T.A. Hoffmannem, znajdowaliśmy w każdej jego bajce absolutnie przejrzysty hinduistyczno-brahmaniczny model Świata. U Hoffmanna naprawdę jest strasznie dużo reinkarnacji. A także wręcz wirtuozerskiej gry pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi sensami. Później godzinami, całymi wieczorami czytaliśmy na głos Bułhakowa – to była nawet nie kserokopia *Mistrza i Małgorzaty* z czasopisma, mocno ocenzurowanego, ale i tak zabronionego. Wtedy jeszcze nie było kserokopiarek, za to istniała maszyna kopiująca „Era". Więc nieznani zuchwalcy w nieznanych instytucjach naukowo-badawczych, podejmując zajebiste kryminalne ryzyko, kopiowali na państwowym powielaczu dla nieznanych konsumentów wszelakie tajemne teksty. Jak na przykład *Drogi dojścia jogów indyjskich* Rama-Czaraki. Ta rzecz, którą przestudiowałem całkiem dogłębnie, przyczyniła się do istotnego uporządkowania mojego obrazu świata. Znienacka zobaczyłem Sens Wszystkiego. Najważniejsze było uświadomić sobie Świadomość. I odkryć dla siebie, że wszystko na świecie – jest Strukturą, w której jedno

nieodmiennie wyrasta z drugiego, a mniejsze nieodmiennie należy do większego. Moje ówczesne wiersze przesycone były mistycznymi aluzjami: Brahman, Atman, Ocean, Kropla, Drzewo, Liść, Całe, Cząstkowe. Ihor Połomany – święta dusza, gdzież on jest teraz? – wysłuchawszy z tuzin tych opusów (pisałem wtedy czemuś przeważnie wiankami sonetów), pewnego razu powiedział: „Nie, stary, jednak zostaniesz głównym kaznodzieją baptystów".

Kogo jeszcze czytaliście? Nie, może tak: czyich książek nauczyłbyś się na pamięć, jeśli zaczęliby je palić?

Dostojewskiego. Kurwa, już po raz trzeci! Ale to zrozumiałe. Hesse. Hesse był dla mnie wszystkim. Kilka lat temu, na któryś z jego jubileuszy, napisałem taki esej – *Pół życia plus minus Hesse*. Nazywam go „nauczycielem zbawczego eskapizmu". Dzięki niemu mnie i w ogóle nam udawało się uciekać znacznie dalej, głębiej i konsekwentniej.

Tobie i wam?

Tak, było nas mało, przeważnie pięcioro: Nina, Dara, Oksana, Sadowy i ja. Od czasu do czasu przy udziale Majora i Wierki Bratczyk. Dłuższy czas trzymaliśmy się razem w różnych kombinacjach, czasem mocno bolesnych. Można oszaleć – Oksany i Wierki już nie ma! Możliwe, że ta piątka powstała od czasu grobu Antonycza. Już mówiłem, jak go znaleźliśmy na cmentarzu Janowskim? Poruszaliśmy się według logiki księgi cmentarnej z 1937 roku. W księdze z lipca trzydziestego siódmego roku całkowicie dokładnie zaznaczony był sektor z miejscem pochówku Antonycza, Bohdana Ihora. Pozostawało przeczesać ten sektor, przedarliśmy się przez jego jesiennie zagracony dekadencki teren. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że znaleziony przez nas grób nie był autentyczny, że odnowili go *inni młodzi ludzie* dwa dziesięciolecia wcześniej. Ówcześni młodzi ludzie.

Jak to wyglądało – przyjaźń, miłość?

Czasami wyglądało to dziwnie. To znaczy wewnątrz pięciokąta, czasami siedmiokąta, od czasu do czasu formowały się inne figury. Z Niną byliśmy w parze, Sadowy miał jakieś

porywy w kierunku Oksany, ale one z Darą lubiły go drażnić. One też były w parze – Dara i Oksana. Kiedy latem osiemdziesiątego roku trafiliśmy na praktykę do Użhorodu, początkowo nie mieliśmy gdzie mieszkać i wynajmowaliśmy jakiś olbrzymi pokój na całą piątkę. Ten hotel „Werchowyna" był taki, że bez wątpienia kiedyś musiał nazywać się „Habsburg" albo „Savoy" – taki, kurwa, całkowicie zaniedbany cesarsko-królewski hotel. Spaliśmy więc wszyscy w jednym olbrzymim pokoju z oknami na plac Centralny i most dla pieszych przez Uż, a baby z hotelu były przekonane, że niby nic innego tam nie robimy, tylko kochamy się ze sobą w piątkę. Jedna z nich mówiła mi na dzień dobry: „Oj, riebiata, ot was tak pratiwna niesiot winom" – Oj, dzieci, jak od was ohydnie winem zalatuje. Chociaż rano piliśmy tylko kawę, na dodatek rozpuszczalną. W naszym kraju do dziś zachował się ten typ radzieckich kobiet – jakieś przeważne oficerskie żony, byłe pokojówki, bufetowe i tajne agentki. Co do ostatniego, to jeszcze nie wiadomo, czy byłe. Są obrzydliwe, tłuste, rosyjskojęzyczne, no dobrze – w większości rosyjskojęzyczne, i ze wszystkiego na świecie niezadowolone. Są patologicznie rozpustne i dlatego uważają, że wszyscy na świecie tylko się pieprzą – ale, kurwa, bez ich udziału! Dlatego są takie potworne – z zazdrości. Jako tako przekupywaliśmy je pudełkami lwowskich czekoladek „Switocz". Mniejsza z tym. Ale teraz nie o nich, teraz o nas. Byliśmy młodzi i weseli. I przy każdej okazji podróżowaliśmy razem.

„Pewnego deszczowego lata dawno, dawno temu wędrowałem z przyjaciółmi po zarośniętym winoroślą pogórzu w poszukiwaniu starych, zrujnowanych zamków. Byliśmy studentami, i dlatego oczekiwaliśmy, że świat da nam wszystko: wrażenia, przyjaźń, seks, wino, muzykę". Środkowowschodnie rewizje.

One. I ono. Zakarpacie. O piątej rano wysiedliśmy z pociągu na dworcu w Użhorodzie – i trafiliśmy do raju. Było nas w nim tylko pięcioro, pomiędzy wszystkimi tymi kamieniami i różanymi krzakami. Z wyjątkiem bezsennego dziadka z niewieloma zębami, który zapytał: „Wy skąd?", ale wyszło mu jak:

„Won stąd!" – przyjęliśmy to jako groźbę i zostawiliśmy go samego w jego piaskownicy. Tego lata rzeczywiście spadło diabelnie dużo deszczu. Żeby nie umrzeć z głodu, bo prawie nie mieliśmy pieniędzy, razem z Sadowym tłukliśmy się podmiejskim pociągiem do Cehłowki, gdzie, przeskakując nad kałużami od chaty do chaty, skupowaliśmy tanie *stare krumple*. Dwa plecaki wystarczały nam na kilka dni. Ale miejscowi nie bardzo chcieli nam je sprzedawać. Coś odpowiadali po węgiersku, nie rozumieliśmy nic z wyjątkiem słowa *chujowo*.

A wino? Czerwone i białe wino, domowe, kupione od chłopów? A potem zmieszane razem – czerwone z białym?

O nie, to wydarzyło się już w Serednim. Taka wieś – naprawdę Serednie, bo pośrodku starej drogi między Użhorodem i Mukaczewem. Właśnie tam można zobaczyć te niedoburzone resztki rycerskiego zamku. Mówią, że jeszcze templariuszy. Oczywiście, dwadzieścia pięć lat temu można było je jeszcze zobaczyć. To znaczy ruiny, nie templariuszy.

A teraz?

Nie wiem. Nigdy tam drugi raz nie byłem.

Jakieś jeszcze przygody?

Pewnie. Emanowaliśmy czymś takim, że garnęły się do nas dzieci, szaleńcy i kryminaliści. To znaczy przyciągaliśmy uwagę, to jasne. Koniecznie musiało nam się coś przydarzyć. Następną praktykę – jesienią osiemdziesiątego pierwszego – odbywaliśmy w Leningradzie. Mieszkaliśmy nielegalnie w jakimś akademiku na Wyspie Wasyljewskiej, wszystkim tam zarządzała taka dość atrakcyjna kierowniczka i ona łatwo ulegała tym samym czekoladkom „Switocz". To była niezawodna lwowska waluta tych dni – czekoladki Switocz. Do tego kupowaliśmy jej jeszcze koniak i ona rozpijała go z Walierą, oficerem kontrwywiadu. Nawet nie domyślaliśmy się, że sam Brodski w tym czasie już chciałby tam umierać. Także tym razem mieszkaliśmy wszyscy w jednym pokoju – ale znacznie mniejszym, przeznaczonym najpewniej dla dwóch osób. Sadowy spał samotnie na oddzielnym wąskim łóżku, a ja w jednym szerokim z trzema dziewczynami.

O, naprawdę?

Tak. To znaczy ja leżałem z brzegu, za mną Nina, za nią Dara, potem Oksana. Albo odwrotnie – Oksana, a potem Dara. Nie pamiętam która gdzie, bo między nami była Nina. W nocy zdawało nam się, że robimy *to* niepostrzeżenie. Nie sądzę, żeby tak było naprawdę. Niepostrzeżenie mogłyby tylko anioły, ale one się nie kochają. Jak zawsze cierpieliśmy z głodu i braku pieniędzy. Pewnego razu po drodze do Peterhofu dziewczyny z okna podmiejskiego pociągu zauważyły jakieś nieskończone pola kapusty. Taka bezkresna, szara rosyjska równina, która przechodzi w bezkresne, szare niebo – i zielone głowy w ziemi aż po horyzont. Całkiem surrealistycznie. Setki wiorst kapuścianego pola! Zapamiętaliśmy stację i w drodze powrotnej wyskoczyliśmy na niej. Kapusta była potwornie mokra i ciężka, ale zwędziliśmy jej cały wielki worek. Ha! Czy to nie wtedy do mojej podświadomości zakradł się wers z przyszłego *Did'ka*, „panny szmaragdowe jak kapusta"? Ciekawe przypuszczenie.

Worek mieliście ze sobą?

Niepostrzeżenie zdjęliśmy go w Peterhofie z jednej parkowej rzeźby, zdaje się z Laokoona.

W takim razie to musiał być wielki worek.

Jeśli w Peterhofie jest Laokoon. Cały tydzień żywiliśmy się tylko tą kapustą. Żyliśmy kapustą i poezją. To znaczy kapustą – przez tydzień, a poezją zawsze. Czytaliśmy wtedy przepisanych na maszynie Achmatową, Pasternaka i elegię Cwietajewej do Rilkego. A dokładniej do jego śmierci.

Rosyjska literatura, jak widzimy, dominowała.

Trochę tak, a trochę nie. Nie, wcale nie. Wszystkie te nazwiska przyszły mi do głowy wyłącznie w kontekście Leningradu. Przez pięć studenckich lat przeczytałem tysiące stron. Nie sądzę, że część rosyjska to więcej niż dwadzieścia procent tych lektur. Czasami stawiałem przed sobą całkiem naiwne *profesjonalne* zadania i decydowałem: tego lata czytam wyłącznie francuską klasykę. Następnie obkładałem się dziesiątką tomów i wypuszczałem się w podróż, od powieści do

powieści – Mérimée, Flaubert, Maupassant, France. Czy powiedzmy bez reszty zanurzałem się we wszelkie starodawne blockbustery w rodzaju Erazma, Cervantesa, Rabelais'go. Albo Gozzi, cały ten pokręcony teatr, wyobrażasz sobie? *Kota Mruczysława* Hoffmanna czytałem trzy razy. I napisałem coś na kształt poematu pod tytułem *Prawdziwa historia zagadkowej śmiertelnej choroby E.T.A. Hoffmanna, lunatycznego kapelmistrza*. Jeśli chodzi o Rosjan, to interesowałem się przede wszystkim zabronionymi. Podczas ostatniej praktyki przed dyplomem, na którą znów udałem się do Użhorodu, mój ówczesny guru Petro Iwanowycz objuczył mnie Sołowjowem. Filozofem Sołowjowem. Petro Iwanowycz dysponował pełnym zbiorem jego dzieł, oczywiście przedrewolucyjnym. Ekstatycznie pokonywałem tę fenomenalną prozę z wszystkimi jej jaciami, znakami twardymi i od razu przepisywałem do notesu najbardziej bombowe, moim zdaniem, cytaty, jak na przykład o tym, że właśnie w kształtach kobiecego ciała, we wszystkich jego zaokrągleniach, wypukłościach i łukach, osiągnięte zostało całkowite pojednanie najwyższych przejawów naturalnego piękna w świecie roślinnym i zwierzęcym. Jakoś tak to brzmiało, w przybliżeniu. Moja religijność była skrajnie erotyczna. Nie wytrzymałem, zrobiłem gwałtowną przerwę w swojej tak zwanej praktyce (czyli tak naprawdę w *studiach sołowjowskich*) i pomknąłem na ferie do Lwowa. Był luty, mniej więcej połowa lutego, zima, ciemność i całkiem pusty akademik na zaśnieżonych wzgórzach pod lasem. Z zachwytem rzuciliśmy się na siebie i nie wychodziliśmy z łóżka kilka dni i nocy pod rząd. Za każdym razem nieznośnie długo i słodko kończąc w niej, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to nieuchronnie *na dziecko*. W marcu wszystko się potwierdziło.

I jak zareagowałeś?

Okrzykiem radości. To uczucie mógłbym porównać chyba tylko z tym pierwszym razem, kiedy *wszystko się udało*. Albo tym najpierwszym momentem, kiedy *się udaje*. To tak samo, jak poczuć związek ze wszystkimi radościami świata. Ale

być związanym z pojawieniem się nowego życia – to radość absolutna. Pozostało nam się pobrać i jakoś dać sobie radę z przyszłością. Życie momentalnie stało się dorosłe. Trzeba było myśleć o tysiącach koniecznych rzeczy, z których każda mogła okazać się katastrofą. Ponad wszystko chciało się mieszkać we Lwowie, inne miasta wydawały się kupą gówna, wszystkie oprócz Użhorodu, ale do Użhorodu się nie nadawaliśmy, bo nie byliśmy z Zakarpacia, a Lwów nas nie przyjmował. Spazmatycznie szukaliśmy pracy, żeby się *zaczepić*. Wcześnie rano wychodziliśmy na łowy. Jak piszą w mądrych książkach, padaliśmy z nóg. Istniały dwa warianty: znaleźć pracę chociaż dla jednego z nas i *nic już na to nie poradzą*. Albo znaleźć mieszkanie, kupić w diabły pół domku z szaloną staruszencją gdzieś na Zboiszczach i nosić wodę wiadrami od dobrych ludzi z sąsiedniego podwórza. Nie wspominając o nocnikach spod szalonej staruszencji. Nawet się nie domyślaliśmy, ile takie dobro mogłoby kosztować. I tak pieniędzy nie mieliśmy, więc interesować się nie było sensu. Od drugiej połowy marca Ninę zaczęło męczyć potworne zatrucie ciążowe. Wymiotowała i chudła, wymiotowała i chudła. Nasz *płód* sugerował, że ma zamiar ze sobą skończyć. Jakiś moralizujący potwór powiedziałby, że to kara za niemoralne stosunki pozamałżeńskie. Ktoś bardziej cyniczny, że za seks bez prezerwatywy. W każdym razie mówiliby, że to kara. Ale tak naprawdę to była nagroda. Nie wiem, czy zauważyłeś pewne echo tych dni w *Perwersji*. Czytałeś chyba *Perwersję*, prawda.

Tak jak mogłem.

Mniejsza z tym. Tam jest ten stan – „idiotyczna gonitwa i ciągłe nienadążanie, jakieś przeskakiwanie z autobusów do trolejbusów, wpadanie do bram, poszukiwanie bezpiecznego podwórza, schronienia pod drzewem czy po prostu ciemności. Jakieś pełne potępienia spojrzenia przechodniów, że niby co oni tu robią we dwoje. Psy urywające się z łańcuchów na nasz widok, obcych dwunogich stworzeń, w kontrolowanej przez nich strefie, wzywanie milicji przez jakiegoś

niewidzialnego obserwatora, który przylepiony do okna, zapamiętuje każdy krok podejrzanej pary na dole. Ukrywanie się przed patrolami – za pniem drzewa, za rogiem przybudówki, za rozwieszonymi prześcieradłami, za pojemnikami na śmieci". I trochę dalej: „Wciąż Jej było niedobrze, traciła przytomność w zatłoczonych (a także w pustych) autobusach, czasem ustępowano Jej miejsca koło okna, ale to nie pomagało, trzymałem Ją za rękę, choć powolna szarość już nasuwała się na Jej twarz, wyskakiwaliśmy na przystanku, biegliśmy do pierwszej lepszej bramy, w końcu wybuchała dawno wstrzymywanymi wymiotami, biedna, bezdomna i chora, a ja krążyłem wokół Niej niczym kruk, niczym stróż, niczym niewolnik, niczym właściciel*". Tak, sama historia z *Perwersji* – to oczywiście coś zupełnie innego, ale te motywy – bezdomność i wymioty – to oczywiste echo.

Dlaczego tobie, wam tak zależało właśnie na Lwowie?

Dlatego że Lwów to magiczne miasto. Okej, bez żartów. To było nasze miasto – w żadnym innym jeszcze razem nie mieszkaliśmy. Być może to była w większej mierze moja fiksacja: dotykać codziennie starych europejskich kamieni. Ha, to strasznie ciekawe zajrzeć w siebie z tamtego czasu i zobaczyć, jak ówczesny ja wyobrażał sobie przyszłość. Przede wszystkim istniał system, to znaczy nie system, ale nawet cały System, który wiosną osiemdziesiątego drugiego zdawał się wieczny. Zatem musiałem przyjąć za surowy pewnik, że na powierzchni mnie nie będzie. Nie zdołam publikować swoich tekstów, dlatego że one absolutnie nie pasują Systemowi. Oczywiście, mogę zacząć pisać *pod System*, ale to jest niedopuszczalne. Nienawidziłem oficjalnej literatury ukraińskiej tamtych lat i w żadnym razie nie chciałem stawać się jej kolejną integralną cząstką. W swoich listach z Użhorodu mój guru wyrażał się mniej więcej tak, że chęć zobaczenia swoich tekstów w druku nigdy nie powinna być silniejsze niż inna chęć – pisania. Ta myśl spodobała mi się

* Tłum. Ola Hnatiuk.

przez to, że wyraźnie rozgraniczone było w niej to, co zewnętrzne i wewnętrzne – na korzyść wewnętrznego. W ten sposób widziałem już, jak całe życie świadomie będę pisać do szuflady i dla koła *niezdradliwych najbliższych*, jak będę niezwykle intensywnie żyć wnętrzem i całkowicie ignorować to, co na zewnątrz, dla odwrócenia uwagi wrogów i kawałka chleba na co dzień wykonując jakąś tam niepozorną pracę w rodzaju sumiennego redagowania recept aptecznych. Jak mówił duński książę Hamlet, „O Boże! ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszcze bym się sądził panem niezmierzonej przestrzeni, gdybym tylko złych snów nie miewał"*. Jasne, że taka droga wymagałaby emocjonalnych kompensacji. Jedną z nich – i to najważniejszą – miało się stać Miasto, to znaczy jego środowisko, czyli życie w takim krajobrazie, który byłby niewyczerpany, zdolny bezgranicznie długo stymulować i odnawiać. Ale System rozgryzł ten mój tajemny plan i władczo powiedział swoje „a figę", zamykając drogi do jednego z takich Miast.

Aż tak?

Aż tak. Okazało się, że miejsca na kryjówkę na całe życie faktycznie nie da się wybrać. Tak jak w ogóle z zasady nie da się niczego wybrać. No tak, na tym polegał wtedy sens Sojuza – maksymalnie zawęzić możliwości twojego wyboru. Zmusić cię, byś przyjął to, co dają, nie wybierając. Nas – i Ninę, i mnie – zewsząd po prostu wyrzucali za drzwi. System dysponował całym zestawem pułapek i pułapeczek na nas: meldunek, staż, obowiązek wojskowy, tysiąc i jeden rejestr, pierwszy oddział, drugi oddział, trzeci szmoddział. Wyglądało na to, że metody walki o własne Ja musiały być jeszcze bardziej partyzanckie, niż z początku się wydawało. To znaczy, że okopać się przeciwko Systemowi można było nie w zawczasu wybranym przez siebie miejscu, lecz wyłącznie tam, gdzie on sam tobą ciśnie. I tak pogodziliśmy się z myślą, że będziemy mieszkać we Franku. W ogóle się pogodziliśmy. Po-

* Tłum. Józef Paszkowski.

godziliśmy się z myślą, że od teraz przyjdzie nam coraz częściej *godzić się z myślą*. Najważniejsze było urodzić. A także odsłużyć wojsko, żeby *oni* wszyscy wreszcie się odpierdolili ze swoimi obowiązkowymi powinnościami i żeby wreszcie można było zamknąć się w swojej własnej niszy.

I jak ono wyglądało – twoje pożegnanie ze Lwowem?

Być może – jak nasze wesele. To stało się pod koniec kwietnia, zdaje się, że w czwartek. Odstaliśmy w kolejce do pałacu Potockich i wpisaliśmy się do księgi. Nasze mamy, oczywiście, roniły łzy, a ja czemuś przy tych folklorystycznych śpiewankach potwornie się garbiłem – w ciągu tej całej ceremonii. Być może przez uświadomienie sobie niewymownej egzystencjalnej *wagi* wszystkiego, co się z nami dzieje. Nie ma nic głupszego od tej roli – państwa młodych na własnym weselu! Wiesz, z jaką dziką radochą wiele lat później tłumaczyłem *Mariage* Gregory'ego Corso? Do tego my naprawdę byliśmy młodzi, i to nawet bardzo. Wykręcaliśmy się, jak mogliśmy. Na przykład, cicho zaprotestowaliśmy w ten sposób, że nie zechcieliśmy ubrać się tradycyjnie: Nina nie była na biało i nie miała welonu, a ja byłem cały na brązowo jak żuk skarabeusz. Oprócz tego olaliśmy wieczny ogień, to znaczy nie pojechaliśmy do niego z kwiatami. Z jakiegoś powodu uważało się, że wszystkie młode pary powinny po ceremonii złożyć kwiaty pod potwornym patriotycznym pomnikiem na początku Stryjskiej. My zamiast tego pojechaliśmy do całkiem ciasnej i wielce podejrzanej knajpy na Krakowskim Przedmieściu, gdzie poszliśmy w tany z niewielką zgrają przyjaciół i kuzynów. Tamtejszy *administrator* wyglądał na skończonego pijusa i cwaniaka, bez końca rozgrywał jakieś ciemne i tylko dla niego zrozumiałe kombinacje. Na przykład zaproponował mojemu ojcu, by dyżurował ze dwie godzinki pod drzwiami, przedstawiając się każdemu, kto spróbuje się przez nie przedrzeć, jako pułkownik milicji. Ojcu pomysł się nie spodobał i go posłał... To znaczy ojciec posłał go w cholerę. Nerwy ojca i bez tego były nie na żarty rozchwiane. *Administrator* czemuś się obraził i straszliwie

nażłopał, a potem napuścił pół knajpy jakichś tylko jemu znajomych typów i lasek, którzy bez mrugnięcia okiem zaczęli wymiatać wszystko, co widzieli, ze stołów i – co gorsze – tańczyli w naszym kole. Było absolutnie wesoło – bez ironii. *Noc poślubną* spędziliśmy w hotelowym luksie, który zawczasu wynajął mój teraz już teść. Ze względu na *płód* i jego bezpieczeństwo, święty sakrament odbył się wyłącznie na poziomie oralnym. Objęliśmy się na całą szerokość po królewsku nieogarnionego łóżka, na którym swego czasu spoczywał pilot, kosmonauta Walerij Bykowski, i lekko odbiwszy się od ziemi, polecieliśmy w kosmos. Nasze jęki były dziecięce, a język nocy słowiczy. W tym pokoju przemieszkaliśmy jeszcze dwie doby, póki wszyscy się od nas nie rozjechali. Później zostaliśmy we Lwowie jeszcze dwa miesiące.

Na dzisiaj więcej historii nie ma?

Jeszcze tylko jedna. Właściwie to nie żadna historia, ale coś więcej. Myślę, że zdarzyło mi się to na samym końcu, powiedzmy tydzień albo dwa przed ostatecznym wyjazdem. Jakoś tak wyszło, że obudziłem się w środku nocy. W moim i Majora pokoju na oknie nie było nic, żadnej firanki czy zasłony. Obudziłem się więc i zobaczyłem za oknem niebo. Wysypały się na nie gwiazdy, to było, hm, „niebo gwiaździste nade mną". To, co stało się później, nie ma z tym gwiaździstym niebem nic wspólnego. Albo przeciwnie – ma związek tylko z nim.

I co się właściwie stało?

Mnie całego – po raz pierwszy w życiu – ścisnął lęk przemijania. Przy czym tak bezlitośnie, takimi – jak to nazywają w powieściach? – lodowatymi szczypcami, że nie wiem, jakim cudem nie krzyknąłem. Przypomniało mi się, że mój wiek – to aż dwadzieścia dwa lata. I że za kilka miesięcy, już jesienią, zgarną mnie do armii, gdzie razem z duszą wyciągną ze mnie całe półtora roku mojego życia. I kiedy znów wyjdę na *wolność*, będę miał prawie dwadzieścia pięć, wyobrażasz sobie? Dwadzieścia pięć lat! Absolutna starość, koniec wszystkiego, finito.

3. Piosenka o niezniszczalności materii

Dzisiaj spróbuję wyciągnąć z ciebie całą kupę tajemnic wojskowych. Hasłem rozmowy będzie you're in the army now. Musisz pamiętać tę piosenkę w wykonaniu...

Status Quo.

Jawohl. Wzięli cię do wojska kilka miesięcy po zakończeniu studiów, czyli jesienią 1982 roku...

Nie, to nie tak. Wedle wszystkich praw powinienem zacząć służbę jeszcze jesienią, ale wojskowi biurokraci natrafili na pewne przeszkody...

Przeszkody dla wojskowych biurokratów? Przeszkody, by wziąć cię do wojska?

Pierwszą z nich stało się to, że czekaliśmy na dziecko. Był tam jakiś podparagraf, że *poborowi*, którym w okresie poboru ma się urodzić dziecko, mogą otrzymać *odroczenie* do czasu następnego *poboru*, czyli jeszcze na pół roku. Do wojska wzięli mnie dopiero następnej wiosny, na początku maja 1983 roku.

Jasne. W takim razie spytam o co innego. Ze wszystkiego, co do tej pory opowiedziałeś, powstaje wrażenie, że dosyć konsekwentnie i całkiem świadomie odrzucałeś System ze wszystkimi jego składnikami. Armia – to jeden z najbrutalniejszych elementów tego brutalnego Systemu. Brakuje mi teraz dokładnego cytatu, ale któryś ze znanych dawnych anarchistów, zdaje się Camus, pisał o szczególnym męstwie – byciu dezerterem na wojnie. Jego zdaniem naprawdę nie ma niczego bohaterskiego w tym, by zorganizowanym stadem atakować wrogie szańce, bo tak rozkazali twoi zwierzchnicy. Natomiast droga dezertera – to droga zrezygnowanego samotnika, przeciw któremu są wszyscy: własne dowództwo, towarzysze broni, wroga armia, ludność cywilna. Wybór dezertera – to wybór osobisty, to bunt osoby. Naprawdę, gdyby wszyscy mężczyźni zostali dezerterami, na świecie byłoby

o jeden rodzaj przemocy – tej wojskowej – mniej. Dlaczego nie zostałeś dezerterem?

Nie zostałem dezerterem, ale śniły mi się dezerterskie sny. W ciągu pierwszych tygodni służby kilka razy widziałem w snach, jak zapędzony w pułapkę i całkowicie otoczony, zamierzam ostrzeliwać się do końca. Oczywiście, miałem przy sobie automat. Moją pierwszą ofiarą padał dowódca czwartego plutonu kapitan Riadnow. Czemuś on. Czemuś on pierwszy wyłaził z ukrycia i dawał znak do ataku. Jego zabijałem na początku.

Ale dlaczego nie zostałeś dezerterem na jawie?

Dlatego że armia była mniejszym złem niż więzienie. À propos, los dezerterów w radzieckich więzieniach wyglądał podobnie do losu tych, którzy siedzieli za gwałt – *cwelono* ich. To znaczy z punktu widzenia kryminalistów dezercja opuszczała osobę na samo dno nawet więziennych stosunków i stawiała poza jakimikolwiek prawami czy zasadami. Co zresztą było jeszcze jednym potwierdzeniem tego, że w zeteseerze świat kryminalny był elementem Systemu i działał razem z nim. „Najpierw uczciwie oddaj swój żołnierski dług ojczyźnie, potem siadaj do kicia" – mniej więcej tak było to sformułowane. Kiedy Andrzej Stasiuk w *Jak zostałem pisarzem* opowiada o falach współczucia i sympatii, którymi jako dezerter otoczony był w polskim więzieniu przez tamtejszych kryminalistów, to nam pozostaje tylko zazdrościć. To oznacza, że kryminalny świat Polski był tak samo opozycyjny wobec reżimu, jak i Polacy w ogóle. Natomiast radziecka grypsera to byli patrioci Systemu, tatuowali sobie na piersiach portrety Lenina-Stalina i świadomie wykonywali najbrudniejsze polecenia władzy.

Bardzo ciekawie jest się o tym dowiedzieć, ale ja miałem na myśli nie aż tak radykalną drogę. Nie miałem na myśli wyboru pomiędzy armią a więzieniem. Musiało być coś jeszcze.

Mniej radykalnym wariantem byłoby na przykład jakieś medyczne fałszerstwo. Niektórzy z nas rzeczywiście szli do lekarza, ale to były potwornie marudne i niebezpiecz-

ne historie. Ostatnie słowo i tak miała wojskowa komisja medyczna, a ona z zasady, uznawała za *zdolnych* nawet naprawdę chorych poborowych, nie mówiąc o wszelkich symulantach. Można było oczywiście rozegrać partię psychiatryczną, jednak doprowadziłoby to do jeszcze większego zła niż armia, czy nawet więzienie – do psychuszki. I dożywotniego wyroku, z którego wynikałoby, że nadajesz się wyłącznie do zeskrobywania psiego gówna z trotuarów. Mnie taka perspektywa nie wydawała się warta uwagi. Dobrze by było też odkroić sobie połowę palców prawej dłoni, ale to pociągnęłoby za sobą absolutnie surowe śledztwo, skutkiem którego mogła znowuż być odpowiedzialność karna – za *samookaleczenie*. I to nawet, jeśli tę połowę palców straciłbyś uczciwie, czyli w nieszczęśliwym wypadku. Bo w sytuacji radzieckiej byłeś podejrzany a priori, panowało w niej domniemanie winy. Oszukiwanie Systemu na tym poziomie było nie tyle trudne, ile praktycznie niemożliwe i wielce ryzykowne, chociaż *wielce ryzykowne* – to zbyt delikatne sformułowanie.

W takim razie musimy skonstatować, że nie było wyjścia.

Ha, wyobraź sobie – jednak była jedna możliwość, jedna jedyna, bardzo przyjęta i w oczach Systemu całkowicie legalna. Trzeba było mieć dwoje dzieci. Gdyby 17 listopada 1982 roku Nina raptem urodziła bliźnięta, to nikt by mnie nigdzie nie zabierał. Całkiem poważnie dopuszczaliśmy taką ewentualność ze względu na genetykę. Nina sama jest jednym z bliźniąt, w ich żeńskiej linii rodziły się one niejeden raz. Ale mówią, że to jakoś tam idzie po pokoleniach. I tak kiedy późnym wieczorem 17 listopada jakaś praktykantka zadzwoniła do mnie ze szpitala i powiedziała *ma pan dziewczynkę*, niemal automatycznie spytałem *ile*? I usłyszałem w odpowiedzi *jedną*. Wtedy jeszcze nie istniały takie urządzenia, jakie umożliwiają zobaczenie wszystkiego z wyprzedzeniem, intryga trwała do ostatniej chwili. Nie, naprawdę, kiedy pytałem *ile*, miałem na myśli oczywiście wagę. Jednak studentka medycyny, która tego wieczora poinformowała

mnie o moim ojcostwie, zdaje się, emocjonalnie połączyła się z moją, naszą podświadomością.

W taki sposób przezimowałeś w domu i...

...i wiosną przekonałem się, że jednak nic nie zdziałam. Zresztą, chciało się przejść ten *etap* jak najszybciej. Istnieje u nas takie więzienne powiedzonko „rańsze siadiesz, rańsze wyjdiesz" – wcześniej siądziesz, wcześniej wyjdziesz. Okej, myślałem, półtora roku życia stracone. Ale półtora roku – nie dwa. Mogło być gorzej. Mój ojciec, jak już mówiłem, o dziwo, zachował z armii jasne wspomnienia. Służył jeszcze za Stalina, to był początek lat pięćdziesiątych. Tysiąc razy opowiadał, jak witał nowy rok w radiostacji pułku artylerii przeciwlotniczej w białoruskich lasach i jakie trzymały trzaskające mrozy, i jak on z koleżkami zrobił zapasy spirytusu na tę okazję, jak ponalewali go do cynowych bojowych kubków i zgodnie walnęli pod kuranty o dwunastej, a wcześniej posłuchali radiowych życzeń od samego Mołotowa. Wszystko to brzmiało dosyć sympatycznie: minus dwadzieścia za oknem, ciepłe potrzaskiwanie drew w kozie, szum eteru – też ciepły – w odbiorniku, do woli makaronu po marynarsku, flacha ze spirytusem, młoda męska przyjaźń i pouczające słowa legendarnego ministra. Szkoda tylko, że jego partner, Ribbentrop, nie mógł już nic do tych życzeń dodać.

Czy można przypuszczać, że wasza armia czyniła ludzi lojalniejszymi?

W tamtych czasach – tak. Jeśli nawet mój ojciec z jego potajemną nienawiścią do reżimu z takim zachwytem opisywał swoją służbę wojskową... Możliwe, że chodziło tylko o głód? Możliwe, że właśnie w armii po raz pierwszy od wielu lat dostał dość jedzenia? Zresztą nie on jeden. Zanim mnie zabrali, niemało nasłuchałem się na ten temat od starszych. Wszystko sprowadzało się do tego, że to piękne, bo armia – to cudowna *szkoła życia*. I tam *o ciebie dbają*. Za to od innych, trochę młodszych poprzedników, słyszało się, że nie tyle dbają, ile *jebią*. Różnica pomiędzy *dbają* i *jebią* – to

ogólnie różnica kolosalna. Zdaje mi się, że gdzieś musiała istnieć linia podziału, być może czasowa. Można przypuszczać, że stało się to w latach siedemdziesiątych, może trochę wcześniej: a priori pozytywny stosunek do żołnierza zmienił się w negatywny, *szkoła* zmieniła się w *więzienie*, a szkolenie w znęcanie. Przy czym znęcanie się stało się celem samym w sobie, znęcanie dla samego znęcania. I jeszcze jedno: niebywała degeneracja oficerstwa. Wyobrażasz sobie, mój ojciec nie chciał mi wierzyć, kiedy niebawem opowiedziałem mu, że nasi oficerowie otwarcie zabierali papierosy, a czasami nawet ciastka z żołnierskich paczek. Zgodnie z regulaminem musieli sprawdzić zawartość każdej paczki, którą żołnierz dostał z domu – a nuż jest tam samogon, konopie czy cyjanek potasu. To było zrozumiałe, okej. Ale kiedy demonstracyjnie zabierali sobie przy tym papierosy czy słodycze albo jakieś zupełnie dozwolone rzeczy, jak na przykład pasek do zegarka albo długopis, demaskowało to do reszty cały System. To, że tracił grunt pod stopami. W odpowiedzi na moje historie, ojciec stwierdzał, że *takich oficerów nie ma*, i się marszczył. Pozostawało mu tylko przyjąć drugą możliwość – że jego jedyny syn zacięcie szkaluje jego tak ulubioną armię. To był dramat. Niczym dobrym te nasze rozmowy się nie kończyły.

Poprzednio wspominaliśmy dosyć często radziecką agresję w Czechosłowacji. Czas, kiedy szedłeś do wojska, to czas Afganistanu. Jak to odbierałeś?

Trochę wcześniej była jeszcze Polska. Mogła być Polska. W grudniu osiemdziesiątego pierwszego, kiedy Jaruzelski wziął na siebie *zaprowadzenie porządku*, byłem jeszcze studentem ostatniego roku. Mówią, że radzieckie jednostki urządziły w tym czasie pokazowy marsz ze Lwowa do Mościsk, czyli do polskiej granicy. Mówią, że w oczach przypadkowych przechodniów od sprzętu bojowego aż biło barwami maskującymi. We Lwowie stacjonowała tak zwana Żelazna Dywizja, Żieliezka – pewnie wtedy w grudniu zmobilizowano właśnie ją. Ale najpewniej Jaruzel przekonał Moskwę,

że wystarczy mu własna armia. Nie bacząc na obecność w jej oddziałach szeregowego Stasiuka. Afganistan?

Tak, Afganistan.

To było zbyt daleko, żeby rozumieć jak należy, o co tam chodziło. Zresztą u nas i jeśli chodzi o sąsiednią Polskę nieszczególnie się to wszystko pojmowało. Miałem dwadzieścia lat, kiedy *to* się *u nich* zaczęło – i nie miałem nic wspólnego z żadnym dysydenckim czy jakimkolwiek innym ruchem opozycyjnym. Wszystko, co mogłem, to pisać wiersze do tajemnego notesu. Były stuprocentowo apolityczne i nie było w nich miejsca na takie słowo, jak *solidarność*. Nie lubiłem tego słowa – kojarzyło mi się z *międzynarodowym dniem solidarności robotników*, to znaczy zdawało mi się zbyt oficjalne i czerwone. Po sierpniu osiemdziesiątego roku po kryjomu uczyłem się je lubić, bo stawało się dla mnie jasne, że może zawierać w sobie coś zupełnie przeciwnego do mętnej komunistycznej nudy. Pamiętam, jak starałem się dorwać w kioskach ostatnie dopuszczone do nas numery „Szpilek" i słuchałem muzyki Niemena z wierszami Norwida. I pamiętam jeszcze, jak wszystko *to* niby się skończyło, a mój dziadek, ojciec matki, który prawie nie odchodził od swojego antyradzieckiego radioodbiornika w piwnicy, uspokoił wszystkich słowami „Nic to, nic to. Na wiosnę tam się zacznie partyzantka". Znał się na tym lepiej od swojego zięcia.

I wreszcie – Afganistan.

Wiadomo było, że nasi żołnierze wracają stamtąd martwi. Właściwie, niektórzy z nich wracają stamtąd martwi. A tym, którzy wracali żywi, dosyć często pozostawało zazdrościć martwym. To był cytat. Jasne, że naród po cichu pomstował. Objawiało się to raczej na poziomie folkloru. Na przykład samoloty, którymi od czasu do czasu dostarczali kolejną partię zaspawanych cynkowych trumien, wszyscy nazywali *czarnymi tulipanami*. Ale oczywiście żaden zorganizowany sprzeciw nie istniał. Nie występowali w przyrodzie tacy rodzice, którzy staliby w pikietach, żądając odesłania ich synów do domu. Wysłanie do Afganu tego i właśnie tego

chłopca odbierane było w rodzinie jako fatalność – taki los i tyle. Teraz musisz przeżyć. Poza tym pogrzebowej tematyki było wszędzie strasznie dużo, nie przesadzę, mówiąc, że ludność po prostu nią żyła. Zdawało się, że tam wojuje co najmniej połowa wszystkich naszych chłopców. Do dzisiaj dziwi mnie, gdy gdzieś natrafię na liczbę trzynastu z czymś tysięcy. Właśnie tyle strat w ludziach podobno poniósł zeteserer w ciągu niecałych dziesięciu lat inwazji. Dziwi mnie, bo – przepraszam za taką statystyczność myślenia w tym wypadku – to niedużo. To niedużo jak na jego rozmiary, powiedzmy, jak na te nastroje z codziennym oczekiwaniem na *czarne tulipany* z nieba. To znaczy jeśli nazywać rzeczy po imieniu, to mocno wątpię w prawdziwość tych trzynastu tysięcy z hakiem.

W dzień, kiedy szedłeś do wojska, do... jak to się nazywa...

Miejsce zbiórki.

...do miejsca zbiórki, już wiedziałeś, że nie trafisz do Afganistanu?

Nie. Skąd mogłem to wiedzieć? To dopiero później, w czerniowieckiej *szkółce*, usłyszałem taki nieoficjalny pogląd, że moje szanse na trafienie tam były faktycznie zerowe. Przez to, że miałem jednak za sobą studia. To znaczy, że w ciągu tych pięciu lat państwo jednak włożyło w moją oświatę diabelnie dużo grosza i całkiem słusznie nie zamierzało już na początku skończyć ze mną przypadkową mudżahedińską kulą. Mimo wszystko żaden rekrut nie wiedział, dokąd go dzisiaj *odtransportują*. Jeśli był to nie samolot, ale pociąg – a przeważnie to były jednak pociągi – powiedzmy, z naszego Franka odchodziło ich kilka. Kijowski, moskiewski, odeski, koziatyński i dwa lwowskie. Wojskowe trasy okazywały się tak pojebane, uwarunkowane tysiącem nieznanych wewnątrz wojskowych okoliczności, że samo w sobie trafienie do właśnie tego, a nie innego pociągu absolutnie nic nie znaczyło. Mogli cię zapakować do pociągu Lwów–Rachów, potem z całą *drużyną* wysadzić w Nadwórnej, przerzucić z wojskowego lotniska helikopterem do jakiegoś tam

Mohyłowa albo Owrucza, stąd zawieźć – znów pociągiem – do, powiedzmy, Saratowa, a już stamtąd na przykład do Samarkandy. I to ostatnie oznaczało dosyć wysokie prawdopodobieństwo Afganu – mięso armatnie do niego przerzucali najczęściej z baz szkoleniowych w Azji Środkowej. Tak że nikt nie mógł nic wiedzieć na pewno. Jadąc w stronę Środka Europy, mogłeś jutro znaleźć się pod Kandaharem czy Dżalalabadem – no i co?

I co?

To, że drogi ministerstwa obrony są nieprzeniknione. Mam nawet bardzo mocne podstawy, by myśleć, że tam, jak i w ogóle w armii, panował absolutny burdel, skutkiem którego wszystkie te przerzuty rekrutów przez przestrzenie *umiłowanego kraju* były najczystszą improwizacją. Możliwe, że to była jedyna sprawdzona metoda zmylenia obcych wywiadów. To, że 8 maja 1983 roku o godzinie dwudziestej trzeciej z minutami ja i jeszcze kilkuset ostrzyżonych młodych ludzi ruszyliśmy właśnie moskiewskim pociągiem z dworca we Frankowsku, także nie oznaczało, że dojedziemy aż do Moskwy. Wysiedliśmy z niego już po kilku godzinach – w Czerniowcach.

I tak się wszystko zaczęło?

Mniej więcej. Na punkt zbiórki przyszedłem koło siódmej rano. A z Franka odprawili nas dopiero przed północą. Cały dzień trzymali nas za betonowymi murami ośrodka kulturalno-sportowego „Patriot". Czuliśmy się jak prawdziwi internowani. Łaziliśmy tam i z powrotem po asfaltowym placu, szukaliśmy schronienia, pluliśmy, drapaliśmy się po dupach, zaglądaliśmy do sali kinowej, gdzie bez przerwy puszczali wszelki patriotyczny szajs o czekistach, zaczepialiśmy cycate podoficerki w obcisłych spódnicach. Kadra prawie cała bez wyjątku wyglądała na nawaloną, choć dzień ich zwycięstwa, 9 maja, miał nastać dopiero nazajutrz. Od czasu do czasu jakiś dureń z pagonami porywał się, by nas musztrować i nam porozkazywać, ale z ludźmi, którzy na razie jeszcze ubrani byli po cywilnemu, to nie przechodziło.

W odpowiedzi chichotaliśmy i udawaliśmy imbecyli. Gdzieś o trzeciej po południu na teren naszego obozu przywieźli cysternę z ciepłym kapuśniakiem i ciężarówkę chleba. Prawie wszyscy przywitali taki poczęstunek gwizdami i pierdzeniem. Wieśniacy natomiast zżarli wszystko, co im dano. Nawet ci, którzy mieli pełne torby z domu. Nie miałem zamiaru nawet patrzeć w stronę tej cysterny – i bez tego mój własny żołądek skręcał się szaleńczo. Sądzę, że to była nerwica. Tymczasem okazało się, że za parę papierosów można umówić się z wartownikiem przy bramie i nie wychodząc poza teren, porozmawiać ze *swoimi*. W moim wypadku była to Nina z dziecięcym wózkiem, a także moi rodzice, kilku kuzynów i Kubyk. Ten ostatni był kurduplowatym i mocno pomarszczonym od alkoholu typem, niespełnionym poetą i zdegradowanym nomenklaturowym dziennikarzem. Swego czasu służył z moim ojcem w jednej jednostce. Pewnie mu się wydawało, że sama jego obecność przy mnie tego dnia ma głęboko symboliczne znaczenie *sztafety pokoleń*. Na pewno napisałby o tym notkę do gazety, ale jego notek już dawno redakcje nie przyjmowały. Razem z ojcem właśnie zdążyli dziabnąć po kielichu za moje sukcesy bojowe i teraz wypytywali, czy mieliśmy już *apel*. Bez złości kazałem im się zamknąć. Nie mogę powiedzieć, że mojej duszy nie rozdzierały potworne koty. Nina udawała, że wszystko jest w porządku, i trochę na siłę opowiadała ostatnie śmieszne nowiny o Sofijce w wózku. Rozmawialiśmy przez bramę i rozdzielał nas mur „Patriota". Obiecałem sobie, że wrócę do nich żywy.

Aż tak dramatycznie?

Dramatycznie czy nie, oceń sam. W wojsku spędziłem całe osiemnaście miesięcy, tak? Dziko mi się sfarciło i nie trafiłem ani do Afganu, ani do jakiegokolwiek innego gorącego kraju. Ani razu nie brałem udziału w działaniach bojowych. Stosunkowo dużo strzelałem, ale wyłącznie do tarczy. Według miar ówczesnego imperium służyłem praktycznie w domu – pierwsze pół roku jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od mojego miasta, a potem – jakieś dwieście

pięćdziesiąt czy maksimum trzysta. Powtarzam: dziko mi się sfarciło. Ale w tym czasie byłem świadkiem trzech śmierci, rozumiesz? W ciągu niecałych osiemnastu miesięcy w całkiem pokojowych ani trochę nieekstremalnych warunkach! Chcę powiedzieć, że sensem tych osiemnastu miesięcy stało się przeżycie, ni mniej, ni więcej – przeżycie jako takie.

Co było przyczyną tych śmierci?

Przyczynami. Każda z nich miała inną. Choroba, nieszczęśliwy wypadek i samobójstwo. O *nieszczęśliwym wypadku* napisałem jedno z pierwszych opowiadań – *Jak zabiliśmy Piatrasa*. To znaczy nie taki to znowu był *wypadek*.

A inne? Choroba?

Ten chłopczyna kilka dni narzekał na coraz mocniejszy ból głowy, ale nikt mu nie wierzył, bo wszyscy uważali go za bumelanta. Na dodatek za karę cały czas wyznaczali go na dyżurnego – cztery zmiany pod rząd! Tego i zdrowy by nie wytrzymał. Pewnego ranka w końcu zwalił się z nóg, dostał drgawek, rzucili się, żeby go zawieźć do szpitala, bo nikt naprawdę aż tak bardzo nie chciał jego śmierci. Ale to zapalenie opon mózgowych zaszło już tak daleko, że się z niego nie wygrzebał.

Nie tak dawno oglądałem Głód tlenowy. *Ten film był nakręcony według twojego scenariusza, prawda? Tam jest taka scena, w której rekruci zrzucają z siebie cywilne ubrania i zanim po raz pierwszy założą cały wojskowy rynsztunek, nadzy kierują się do łaźni. W tym czasie jacyś inni żołnierze, z wyglądu tacy trochę debilni, rąbią siekierami porzucone ubrania na drobne kawałki. Przeżyłeś coś takiego osobiście?*

Nie, na tę scenę nalegał Andrij Donczyk, reżyser. Zresztą, co to znaczy *nalegał*? Kino – to sztuka reżyserska, autor scenariusza jest tylko wykonawcą pomocniczym. Andrijowi ten obraz – niszczenie cywilnych ubrań – był strasznie potrzebny, tę scenę nazwał „maszynka do mielenia mięsa". Łączy się w niej kilka dość drastycznych wątków. Po pierwsze, to jak pozbawianie warstwy ochronnej – pierwszego, czyli zewnętrznego poziomu obrony. Po drugie, spalenie mostów –

nie ma drogi powrotnej, you're in the army now. Po trzecie, to brutalne wtargnięcie obcego w twój prywatny świat – te debilowate *dziadki*, które w uniesieniu rąbią twoje rzeczy osobiste. No i tak dalej. Bardzo głębokie kadry.

A jak to wyglądało u ciebie?

Trochę inaczej. Opowiedzieć dokładniej?

Jeśli zdołasz.

W nocy wysiedliśmy na stacji w Czerniowcach i stamtąd podrzucili nas ciężarówką transportową pułku artylerii bliżej sztabu dywizji. Nie, wtedy jeszcze się na tym wszystkim nie znałem; pułk artylerii, sztab dywizji – to mi jeszcze nic nie mówiło. Ot, trafiłem do jakiegoś miejsca, paskudnego, bo silnie wiało od niego pastą do butów. Przekimaliśmy kilka godzin na podłodze w sali gimnastycznej. To znaczy na materacach, rzuciwszy pod głowę swoje polowe plecaki. Od czasu do czasu ktoś wbiegał z dworu i wrzeszczał, żebyśmy wychodzili na *zbiórkę*. Ale gwizdaliśmy na to. Rano porozsiadaliśmy się na trawie niczym tacy sobie całkiem cywilni ludzie i zaczęli do nas po jednym przyłazić *kupcy*. Znaczyło to, że rozdzielają nas po jednostkach wojskowych dywizji. Kupcy zainteresowani byli przede wszystkim *specami*.

Zaczekaj, co to za kupcy?

Oficerowie, którzy wybierają rekrutów do swoich jednostek. Odpowiedzialni za kadry. Powiedzmy, ktoś potrzebuje kierowców, ktoś tynkarzy, a ktoś inny puzonistów. Ogólnie w wojsku zawsze potrzebni są spece – kucharze, felczerzy od zębów, akuszerzy, kapelani pułkowi, astrolodzy, jasnowidze. A zupełnie nikomu nie są potrzebni przedstawiciele koczowniczych plemion z Zakaukazia i Azji. Dlatego kupcy przeważnie gryźli się między sobą o słowiański towar. Przypominało to trochę targi niewolników w śródziemnomorskich portach. Jakiś major w mundurze piechoty zapytał, czy jest wśród nas ktoś, kto umie pisać na maszynie. Zgłosiłem się.

Naprawdę umiałeś?

Jak się okazało, nie za bardzo, chociaż do tej chwili sądziłem, że niby umiem. Maszynę kupiliśmy z Niną kilka miesięcy

wcześniej za resztę weselnych pieniędzy. To była jakaś taka inwestycja w moją podziemną twórczość. Nauczyłem się pomalutku coś na niej wystukiwać i na początku z wielką rozkoszą przepisywałem całą swoją prozę – tę samą, lwowską. Przepisywałem ją na czerwono, bo podobało mi się, że taśma w maszynie ma dwa paski, czerwony i czarny. Od tej pory pisanie na maszynie stało się prawdziwą intymną radością. Lubiłem te kontury liter, ten dotyk, dźwięki, uderzanie w klawisze, ciężkie zgrzytanie wałka, podzwanianie karetki. W kwietniu przepisałem ze sto wybranych wierszy, nazwałem to wszystko magicznym, jak mi się zdawało, słowem *Kałamarz* i oddałem Mykole Riabczukowi. Zresztą to właśnie on przekonał mnie do tego, że trzeba kupić maszynę i nauczyć się widzieć własne teksty z dystansu. Jedno, mówił Mykoła, kiedy widzisz to napisane własnoręcznie. Co innego – przepisane na maszynie. Ale o tym wszystkim pewnie później. W tej chwili kiedy major Dierjabin zapytał, czy ktoś z nas pisze na maszynie, nieomal podskoczyłem z radości. Zdawało mi się, że to moja złota rybka.

Ale złota rybka okazała się piranią?

Niemalże. Następne pół roku rzeczywiście dużo i często przepisywałem, wszelkie pułkowe bzdety. Ale to praktycznie nie zwolniło mnie od całej reszty. To znaczy, w dzień tak czy inaczej kopałem rowy, a na maszynie pisałem w nocy. A jednak w jakiejś nieznacznej mierze mnie to uniezależniało. Ten major Dierjabin okazał się całkiem znośnym chłopakiem, czasami swoim pilnym wezwaniem do sztabu uwalniał mnie od jakiegoś przesadnie nudnego *zadania* – jak na przykład przeciąganie starego żelastwa z jednej kupy na drugą. Częściej niż on, ale w jego imieniu, robił to Bob. Byliśmy z nim, z Bobem, dobrymi znajomymi jeszcze w Poligrafie, był artystą i – w tym kolejnym wcieleniu – pułkowym pisarzem z nieograniczonym polem manewru. Umiał po mistrzowsku wykorzystywać ogólnowojskową tępotę i zmieniając w telefonie tembr głosu, z generalskim tupetem żądać natychmiastowego *przesunięcia* mnie do sztabu w celu przepisywania

jakichś pilnych papierów. Ale tego pierwszego dnia, odpowiadając na pytanie majora Dierjabina, oczywiście nie mogłem wiedzieć, czym to w rzeczywistości się stanie.

Czym?

Pułkiem szkolenia piechoty w Sadhorze. Coś ci mówi ta nazwa – Sadhora?

Zdaje się, że nic.

Kiedyś to było miasteczko na przedmieściach Czerniowiec. Właściwie sztetl. Jedno z centrów chasydyzmu w jego szczególnie orientalnej, egzotycznie-bujnej odmianie. W Sadhorze mieścił się tak zwany Dwór – bajkowa rezydencja potomków Wunderrabbiego Israela Ruschinera. Nie możesz o tym nie wiedzieć.

Sadhora?

No tak. Widzisz, ty nie możesz o tym nie wiedzieć. Ale ja zupełnie przypadkiem dowiedziałem się o tym wiele, bardzo wiele lat po tym, jak przeumierałem tam sześć najstraszliwszych miesięcy mojego życia. W naszej rozmowie to nic nie oznacza. Prócz autentyczności miejsca. Czyli jego magii.

Co masz na myśli, mówiąc „najstraszliwsze"?

Powiedziałem „najstraszliwsze"?

Dopiero co powiedziałeś „sześć najstraszliwszych miesięcy mojego życia".

Zaraz wszystko zrozumiesz. Popatrz. Przywożą nas z pułku artylerii – kilkadziesiąt wystrzyżonych czaszek. No i wjeżdżamy w bramę wartowni, i wyskakujemy z paki ciężarówki. Wyskakujemy na komendę. To po raz pierwszy. Wydaje się nam komendę i my ją wykonujemy. Nie ma nikogo, kto by jej nie wykonał. Żadnemu z nas nawet nie przychodzi do głowy taka myśl, nawet cień takiej myśli. Każą nam się ustawić – zdaje się w kolumnie po trzech. Pospiesznie się ustawiamy. Rozkazują nam ruszyć z lewej nogi, narzucają nam rytm. Wszyscy co do jednego ruszamy właśnie z lewej. Czemu by nie z prawej, hę? Prowadzą nas pomiędzy wszelkimi niezbyt zrozumiałymi budynkami. Nasze pojawienie się powoduje absolutnie wroni rejwach. Starzy wojacy z kompanii zmechanizowanej

grzeją bebechy na słońcu. Zaczynają gwizdać i robią hałas, a my instynktownie się kulimy. Drą się do nas „Wieszajties', duchi!" – Powieście się, koty. Nie rozumiemy tego języka (czemu „duchy", jakie znów „duchy"?), ale już go czujemy. Nie powieszę się, mówię do siebie, choćby nie wiem ile razy te pojeby powtórzyły swoje „wieszajsja". Tydzień, dwa później ich język stanie się naszym i zaczniemy tak samo rzucać jeden do drugiego ich „wieszajsja". W czasach represji najszybciej przejmuje się język. Mniejsza z tym, nam teraz nie do głębokich myśli. Kulawy – czemuś kulawy – porucznik, który wziął się za nas, rozkazuje nam, oczywiście, żeby zarobić punkt u tej hałastry z kompanii zmechanizowanej, *biegom*. Nie jesteśmy pewni, czy on to na serio. Czemu nagle? Ociągamy się, bo wciąż jesteśmy półcywilami. Co to za gra, dlaczego ten kulawy pryszcz chce, żebyśmy biegli? Nie dociera do nas sens takiego poniżenia. Szlag go trafia przez naszą tępotę: „Biegom-ja-skazał-biegom-urrrrrody-synki--wanjuczije!" – biegiem-powiedziałem-biegiem-pokraki-koty--śmierdzące! Kompania zmechanizowana ryczy ze swojej bydlackiej rozkoszy. Wciąż się ociągamy – ktoś już pobiegł, a ktoś nie, kolumna się rwie, *duchy* potykają się i potrącają, *urodami wanjuczimi* w życiu ich nikt nie nazywał, za tydzień, dwa przyzwyczają się do tego, ale nie teraz, nie teraz. To dopiero za tydzień, dwa do tego przywykną. Kto ty jesteś? Urod i duch, synek, kot i młody. Tym czasem porucznik wścieka się i po prostu sra ze złości, zaczynam biec, żeby nie rozsadził go od środka śmierdzący dynamit, jest po prostu psychiczny, rozbryzguje swoje zielone smarki na asfalt, na trawę, na drzewa, na nas, jeszcze trochę – i wylezą z niego jadowite afgańskie węże: „W-Afgan-urrrrrody-wsiech-jebieniemiet--w-Afgan!" – do-Afganu-pokraki-wszyscy-kurwamać-do--Afganu! Mniej więcej tak to wyglądało tego najpierwszego dnia, w momencie kiedy wszyscy w końcu pobiegliśmy.

Dokąd?

To dobre pytanie. Dokądkolwiek. Grunt – żebyśmy biegali. Nie powinniśmy po prostu chodzić. To znaczyłoby, że za

dobrze nam się powodzi. Kursant – a nazywali nas kursantami – musiał przemieszczać się tylko biegiem albo krokiem *marszowym*. Tamtego razu pognali nas do łaźni. Naprawdę to się tylko tak nazywało: rząd otwartych kabin, wysypana żwirem podłoga, zimna woda, szare mydło – ugotowane chyba z bezdomnych psów. Każdemu dali pięć minut. Okazało się, że to jedna z najpopularniejszych sztuczek, to była strategia, to była taktyka – na wszystko dawać jak najmniej czasu. Nierealnie mało czasu. Trzy minuty na szamkę, trzy minuty na mycie, pół minuty na defekację, czterdzieści sekund *capstrzyk*. Jeśli cię na każdym kroku postawić pod czasową ścianą, sam tępiejesz. Zdążasz tylko kręcić głową. Ale słyszysz na to: „Głową nie kręcić!". Aha, wspominaliśmy maszynkę do mielenia mięsa Donczyka. Więc u nas to wyglądało inaczej. Kazali nam zebrać cywilne ubrania – wszystko łącznie z majtkami. I wrzucić do pieca. Spaliliśmy swoją przeszłość, drzwi się zamknęły. Pół godziny później znowu pognali nas przez teren pułku obok tej rozszczekanej zmechanizowano-pojebanej. Znów gwizdali i darli się – oczywiście tym razem było im jeszcze weselej: pokraki ubrane w wory, w ich pokraczne wory w kolorach maskujących. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem siebie takim w lustrze, naprawdę o mało nie zawyłem. Tak, rzeczywiście można się było przez to powiesić. Stuknęły mi dwadzieścia trzy lata, bardzo dbałem o to, żeby moje odbicia mi się podobały, żeby wszystko we mnie mi się podobało, starałem się tak żyć i udawało mi się to, podobałem się innym ludziom, miałem cudowną młodą żonę i całkiem malutką córkę, pisałem wiersze i czytałem dobre, mądre książki, słuchałem muzyki i nie chciałem od tego świata nic innego, bo nauczyłem się nawet w nim być szczęśliwy. Ten, którego zobaczyłem w lustrze, był kimś innym i co najważniejsze naprawdę był *pokraką*. Niczym w przerażającej bajce, w której bohater nagle zostaje przemieniony w straszydło. Pozostawało zacisnąć pięści i czekać na dzień, kiedy to się skończy. Jeśli taki dzień kiedykolwiek nadejdzie – dzień powrotu do dawnego

ciała, do dawnego spalonego ubrania. A jeśli to na zawsze? Jeśli włosy już nigdy nie odrosną? Jeszcze tego samego wieczora rozkazano nam usunąć z czaszek ich resztki. Są takie ręczne maszynki, wymyślone dla owiec i żołnierzy, one nie tyle strzygą, ile wyskubują. Torturowaliśmy się nawzajem, jak tylko mogliśmy. Dali nam po sześć minut na głowę. Po nich dowiedziałem się, że moja czaszka ma idealnie kulisty kształt. A uszy, wbrew wszelkim oczekiwaniom, mam jednak dość duże. To znaczy nie, to nie moja głowa, już nie moja głowa. Mieli rację, że poili nas bromem.

Bromem?

Wiadomo, że brom uspokaja. Chociaż nie tylko uspokaja, w znacznej mierze paraliżuje. Poza tym pozbawiony jest koloru i wyraźnego zapachu. Więc łatwo domieszać go do zup i kompotów. Każdy z nas czuł ten metalicznie apteczny posmak w ustach. Oficjalnego pozwolenia na to nie było – brom należał do tajnych metod. Chodziło niby przede wszystkim o to, żeby nikomu nie *chciało się baby*. Uważano, że młody żołnierz z wyłączonym basic instynktem jest społecznie pewniejszy. Od bromu ogarniało nas totalne zobojętnienie. Stawaliśmy się zakładnikami apatii. To było coś na kształt stuporu. Chciało się tylko jednego – żeby dali ci spokój. Nie chciało się ruszać i o niczym myśleć. O erekcji po prostu zapomnieliśmy. Pamiętam, jak pewnego ranka Borys Kozelecki zwycięsko zawołał na całe koszary: „Chłopaki, stanął mi!". To było wydarzenie sezonu, to budziło nadzieję.

To znaczy basic instinct jednak wracał, jakoś o sobie przypominał?

Pewnie. Myślę, że to zdolność organizmu do stopniowego przestawiania się. Najpierw jest mu źle, złapano go w całkiem nowych dla niego kleszczach, uciskają go kiepskim jedzeniem, bromkami, obciążeniem fizycznym, psychicznym znęcaniem się, bezsennością...

I bezsennością też?

O, bezsennością przede wszystkim. To też należało do technik wychowawczych. Nie dawali nam spać. Nie tylko przez

gwarantowane regulaminem osiem godzin, ale nawet przez cztery, pięć. Zawsze można było wymyślić jakieś nocne zadania. Na przykład czyszczenie podłogi w *pomieszczeniu sypialnianym* za pomocą kawałków potłuczonych butelek. Sierżanci rysowali perspektywy nadzwyczaj jasno: im szybciej skończymy, tym szybciej się *walniemy*. Skończymy o drugiej – położymy się o drugiej, skończymy o piątej – odpowiednio o piątej się położymy. Te sztuczki bazowały na totalnej zbiorowej odpowiedzialności. Ktoś nie zdąży – cała kompania nie będzie spać. Ktoś nie wybiegnie punktualnie na *zbiórkę* – cała kompania będzie przez dwie godziny czołgać się na brzuchach w deszczu. I tym podobne. Sądzę, że w ten sposób szczuli nas przeciwko sobie nawzajem. Wśród nas, tak jak pośród niewolników, nie mogło być żadnej jedności w proteście. Mogliśmy się konfliktować tylko między sobą, horyzontalnie. Robili nas, jak chcieli – tak to się teraz nazywa. Choć chyba już powinniśmy byli sobie to jakoś uświadamiać. Nasza kompania – szósta – była na swój sposób uprzywilejowana i całe jej dwie trzecie składały się ze starych wyg i ostrzelanych wróbli – takich, którzy mieli już za sobą studia. Skończyliśmy dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, niektórzy, tak jak ja, byli już po ślubie, mieli dzieci. Arkasza Czajkowski miał dwadzieścia siedem lat i był dyrygentem orkiestry symfonicznej. Wyobrażasz sobie, dyrygenta orkiestry symfonicznej, którego zmusili o trzeciej nad ranem zeskrobywać z podłogi kawałkiem tłuczonego szkła przylepioną do niej krew i pastę do butów? Było wśród nas kilku dyrektorów szkół i nawet jeden dyrektor spożywczego, a raczej restauracji, a także rozmaici główni księgowi, agronomowie, weterynarze z inżynierami. Oleh Ciapa był dentystą i od razu zabrali go do lazaretu, gdzie plombował zęby samemu naczelnikowi sztabu. Rostek był doktorantem i mógł absolutnie do rzeczy ględzić na każdy temat. Z nim nawet kanalizację czyściło się całkiem przyjemnie, bo przez cały czas cytował *Alicję w Krainie Czarów*. I oczywiście Szwejka. Takie diamenty trafiały się w tym gównie! Wszyscy

oni byli strasznie fajnymi chłopakami z takimi nieprzyzwoicie typowymi ukraińskimi nazwiskami – Boliuk, Duliuk, Pałahniuk, Neznajuk, Onufrak. Ale przeważnie dawaliśmy Systemowi się robić, nasze doświadczenie gdzieś uciekało, zaczynaliśmy gryźć się nawzajem.

A kto był dla ciebie wcieleniem zła?

To była taka wielostopniowa piramida. Najbliżej nas przebywali sierżanci. Oni dowodzili. Ówczesny minister obrony pewnego razu powiedział, że w *jego* armii dowodzi on i sierżanci. Niektórzy z nich jeszcze pół roku wcześniej byli tacy jak my. To wcale nie znaczyło, że z nimi na pewno uda się porozumieć – raczej odwrotnie. Szczególnie kuriozalne były stosunki pomiędzy byłymi kolegami ze studiów. W takich wypadkach całkiem naoczne stawało się wewnętrzne prostytuowanie się. Do sierżantów musieliśmy się zwracać wyłącznie na „wy" i wyłącznie po rosyjsku. A oni do nas – niemal bez wyjątku na „ty". Wyglądało to wyjątkowo potwornie w stosunkach między ludźmi, którzy przez pięć lat siedzieli w jednej studenckiej ławie i – jak się to u nas nazywa – jedli z jednej miski. Chociaż właściwie grzech narzekać na naszych sierżantów. Powinienem przyznać, że między nimi faktycznie nie było sadystów. Tak po prostu – trochę wojskowego moczu uderzyło im do głowy, nic więcej. A w czwartej kompanii – tam to były zwierzęta! Czwarta kompania uważana była za najbardziej porąbaną, do niej naprawdę wybierali samych degeneratów. Tak się nam przynajmniej zdawało. Sierżanci z czwartej kompanii wymyślili sobie całą kupę rozrywek, przeważnie nocnych. Powiedzmy, w środku nocy zaganiali swoich łepków – dziesiątkę za dziesiątką, oddział za oddziałem – do toalety i zmuszali, by robili bez liku pompek z twarzą nad – jak by to nazwać – sraczem. Jak to jest po niemiecku – taka dziura w podłodze, do której załatwia się potrzeby.

Scheißloch.

No, coś takiego. Trwało to tak długo, aż ręce ostatecznie osłabły i każdy z tych biedaków zwalił się twarzą w nieczystości. To prawda, nic nie zmyślam.

Skąd się to brało?

Co właściwie – potrzeba znęcania się?

Tak.

Myślę, że to wszystko jest bardzo proste. Armia dawała idealną możliwość wyzwolenia wszystkiego, co najnikczemniejsze. Nad sierżantami byli oficerowie – dowódcy plutonów i kompanii. Pijaki i łazęgi jakich mało. Przy swoich dwudziestu pięciu latach ta junta z wyglądu przeważnie skłaniała się ku pełnej czterdziestce. Głównie z powodu popijania, bo co innego miała robić? Sierżanci jebali nas, a ona i nas, i sierżantów. Przede wszystkim z nudów – ot, co jest typowe! Nad nią byli wyżsi oficerowie, dowództwo pułku, przed którym nasi oficerowie – z kompanii – absolutnie bezwstydnie się uginali, to znaczy stawali na czworakach i kręcili dupami. I ci wyżsi oficerowie jebali nie tylko nas i naszych sierżantów, ale i naszych oficerów. A także dość często – ich żony. No i tak dalej. Piramida zła zwieńczona była jakimś tam towarzyszem Andropowem na niebiańskim Kremlu. Jakimś takim złym czarnoksiężnikiem-kagiebistą. Chociaż nie wiem, czy właśnie jego można uważać za ostateczne wcielenie zła absolutnego. Raczej nie – za duży to zaszczyt.

Ciekawe, że po niemiecku czasownik „jebać" nie ma przenośnego znaczenia „poniżać".

Za to po angielsku ma.

Możliwe. To tylko uwaga na marginesie. Wspominałeś bezsenność. Chciałbym o niej usłyszeć trochę więcej.

Pozbawiano nas snu tak bezlitośnie bez sensu, że nasza senność stawała się chroniczna. Zasypialiśmy ciągle i wszędzie – na trzy sekundy, na pięć. W trzy sekundy zdążał mi się przyśnić cały sen. Udawało nam się zasypiać we wszelkich pozach i konfiguracjach. Spać, siedząc. Spać, stojąc – *na dyżurze* przy drzwiach albo na posterunku z karabinem. Szczególnie na pierwszym posterunku, koło flagi pułku. Albo spać, idąc. Kiedy idziesz w kolumnie i rytm kroku się nie zmienia, można cudownie spać po trzy, pięć sekund.

Co ci się śniło?

Teraz już nie pamiętam. Za to pojawił się wtedy na dalsze życie sen, który śni mi się od czasu do czasu – o tym, że znów jestem w wojsku. Okazuje się, że coś się jednak zmieniło, w prawodawstwie czy jakoś tak, że znowu mnie wzięli do wojska. I to jest groza, że aż chce się krzyczeć z całych sił. To straszliwa niesprawiedliwość – przecież już tam byłem! Cały dostaję skurczy na samą myśl o tym, że ktoś po raz drugi mógłby skraść lata z mojego życia. Przy czym jest jedna pocieszająca okoliczność: we śnie wiem, że teraz mam jednak doświadczenie i nie dam się tak łatwo. Znam wszystkie słabe miejsca tego prześmierdłego truchłem monstrum.

Jak na przykład?

To, że jest ociężałe i tępe. To znaczy, że gra z nim jest całkiem realna. Trzeba tylko otrząsnąć się z pierwszych poniżeń – przekleństw, rzygliwego jedzenia, bezsenności, absurdu. Absurd – to najcięższa próba. Pewnego razu z *odprawy* posłali mnie, żebym przeciągał jakieś zardzewiałe żelastwo. O, powiedzieli mi, widzisz tę kupę zardzewiałego złomu? Masz przenieść to wszystko o-o-o tam. Splunąłem w dłonie i zacząłem. Przy czym twardo pamiętałem główne przykazanie żołnierza o tym, by jak najwolniej wykonywać każdy rozkaz. Przecież każdy głupawy rozkaz może zostać w dowolnej chwili odwołany przez następny, jeszcze głupszy. Przez cały dzień nie przeciągnąłem nawet jednej piątej tego żelastwa. Stałem się ucieleśnieniem marksizmu – chodzi o tezę dotyczącą pracy niewolników, bezproduktywnej i możliwie najbardziej szkodniczej. Kilka dni później zobaczyłem, jak już inny kursant wlecze to samo żelastwo, ale z powrotem – z kupy rzuconej przeze mnie na tę pierwszą. Chodziło przeważnie o to, żeby nas dręczyć. Głębszego sensu w tych rozkazach nie znajdziesz.

Ale co im to dawało? Czyżby System chciał mieć właśnie taką armię?

Chodzi, jak mi się zdaje, o to, że może i nie chciał, ale już nie mógł mieć innej. Czego my nie robiliśmy w ciągu lata w tej jednostce szkoleniowej. Kopaliśmy jakieś rowy, łataliśmy

dętki, myliśmy samochody oficerów, mieszaliśmy zaprawę murarską, targaliśmy żelastwo z jednej kupy na drugą. Co jeszcze? Malowaliśmy płoty, budowaliśmy mury, układaliśmy na paletach gorące, świeżo z pieca, cegły, czyściliśmy kolektory kanalizacyjne, rozładowywaliśmy wagony z koksem, ziarnem, cementem i pomidorami, usuwaliśmy saperkami trawę, która i tak przebijała się przez spękany asfalt. I różne takie. Zdaje mi się, że zatykali nami wszystkie możliwe dziury w radzieckiej gospodarce. Praktycznie nic nie kosztowaliśmy.

I dlatego nie uczyli was różnych czysto wojskowych rzeczy?

Nie, przesadą byłoby tak powiedzieć. Po prostu, moim zdaniem, dostaliśmy nie więcej niż dwadzieścia procent tego, co powinniśmy byli. Ale z dziesięć razy wygnali nas jednak na poligon w Storożyncu i uczyliśmy się strzelać – przede wszystkim z kałaszy. Nasza misja – to zabijać ludzi, dumnie mówili oficerowie plutonu, szczególnie po pijaku. Na poligonie dawali sobie luz po całości – domowe wino i samogon. Wieczorami odwiedzały ich miejscowe *kurwy*, Rumunki. Mieliśmy na wyposażeniu AK-74 i pociski z przesuniętym środkiem ciężkości. To te pociski zabronione przez międzynarodowe konwencje. Kiedy się ich użyje, praktycznie nie ma rannych. Taka kula trafia cię, powiedzmy, w ramię i przeszywa na wylot do brzucha i flaków. Pewnego razu na ćwiczeniach terenowych z odległości kilku metrów rozstrzelałem Czuwasza Stoliarowa. Pamiętam, jak upadł twarzą do dołu i długo nie podnosił się z trawy. Zdaje się, że go trochę ogłuszyłem. Jednak na szczęście nie zraniłem. A mogłem.

?????

Ach, zapomniałem powiedzieć, że to były ćwiczenia ze ślepymi nabojami. Część plutonu udawała *naszych*, a część – przeciwników z NATO. Z jakiegoś powodu uważano, że w europejskim teatrze działań bojowych przeciwstawia się nam 162. Belgijski Pułk Zmotoryzowany. Dlaczego właśnie on, dlaczego belgijski?

Ha! Wyobraź sobie tych Belgów, co napadali na zeteserer!

No tak – z kolczykami w brwiach, wyobrażasz sobie? Albo w jajach!

Ale – teraz mówię całkiem poważnie – co, gdyby rzeczywiście zdarzył się konflikt zbrojny? Powiedzmy, na jakimś mniej lub bardziej oddalonym europejskim terenie? Na przykład powstanie w Polsce i jego wsparcie militarne z Zachodu? I waszą dywizję z dziesiątkami innych rzucono by na spotkanie Zachodowi?

Nie ma w tym nic fantastycznego. Wspominałem już naszego ówczesnego bosa, towarzysza Andropowa? Jeśli chodzi o Zachód, to był straszliwy ortodoks. Zresztą nie tylko co do Zachodu, ale co do Zachodu przede wszystkim. Obraz wroga, konflikt systemów, panowanie nad światem, chuju-muju. Zasadniczo różnił się od swojego poprzednika Loni Breżniewa tym, że nie był sybarytą. Nic go nie cieszyło, nienawidził życia. Nie można go było obłaskawić nowiutkim mercedesem czy zegarkiem z diamentami. Pod jego kierownictwem mogło się zdarzyć wszystko. Chwała Bogu, że nie potrwało to zbyt długo.

No tak – a zastanawiałeś się, co zrobisz w razie takiego obrotu sytuacji?

Nie. Albo i tak. Tak, zastanawiałem się. Chociaż nie – *zastanawiałem się* – to niewłaściwe słowo. Na ewentualność takich wypadków maszyna państwowa – mam teraz na myśli nie tylko radziecką – wymyśliła taką sprytną sztuczkę, jak przysięga wojskowa. Ogólnie rzecz biorąc, likwiduje ona potrzebę zastanawiania się. Zapędza cię do jedynego możliwego rogu i pozostaje ci już stamtąd rozpaczliwie wygrażać pięściami. À propos, na naszą przysięgę dopuszczono krewnych. Zresztą nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Po prostu przypomniało mi się, że tego dnia przyjechały do mnie wszystkie trzy kobiety mojego życia – mama, żona i córka. Boże, ale się patetycznie wyrażam – *kobiety mojego życia*! Oszaleć można! Pewnie dlatego że w tym wypadku one rzeczywiście na to jakoś tak całkiem po dekabrystowsku zasługiwały. Żeby zdążyć do mnie, musiały wstać o czwartej rano i zapakować się razem z wózkiem dziecięcym do przepełnionego pociągu.

Do dziś wilgotnieją mi oczy, kiedy o tym pomyślę. Po zakończeniu wszystkich ceremonii na kilka godzin nas rozpuścili – jakieś takie pierwsze i złudne złapanie oddechu. Rozsiedliśmy się w cieniu pod krzakami i Sofijka nieomal udławiła się liściem. Jak to się stało, że zaczęła go połykać? O czymś mówiłem i pochłaniałem niewiarygodne ilości domowego jedzenia. Wiele lat później natknąłem się u Rilkego na opowiadanie o tym, jak nastolatek wraca z wakacji do swojej szkoły wojskowej. Odlicza godziny, które mu pozostały, i raz po raz prosi o coś do jedzenia swoją maman, która go odprowadza. Tego lata nam wszystkim po prostu odjebało na punkcie słodyczy, wyobrażasz sobie? Dwudziestopięcioletni faceci przy pierwszej okazji biegli do żołnierskiej kantyny po *wafelki, pierniczki* i *kocie języczki*. Coś na kształt sublimacji czy jak to nazwać – cała tęsknota, lęk, cała groza egzystencji kanalizowała się w jednym pociągu do słodyczy. Aha, jeszcze taki szczegół na temat przysięgi. Rano po tym święcie wszystkie pułkowe sracze były po brzegi zafajdane. Nasze żołądki odmówiły rodzicielskiego jedzenia.

W jakim to było miesiącu?

W czerwcu. A w październiku już zdawaliśmy egzaminy i wieszaliśmy sobie na ramionach sierżanckie *belki*. Dostałem minimum – dwie. To znaczy zostałem młodszym sierżantem. Kiepski był ze mnie *junkier*, ale i tak mnie *awansowali*. Nie zostać sierżantem praktycznie się nie dało. W pierwszych dniach listopada dowiedziałem się, że będę służył w jednostce wojskowej koło Hajsyna w obwodzie winnickim. Wszystko co zdobyłem przez te pierwsze pół roku to – prócz dwóch *belek* – świeżo zrośnięte złamanie prawej nogi, większe i mniejsze otarcia na obydwu dłoniach ze stałą tendencją do niegojenia się, cementowy pył, który wbił się we wszystkie możliwe pory i już się z nich nie wymywał, a także słowa patriotycznej pieśni „My ot sołdata do marszała odna siemja, odna siemja" – od żołnierza do marszałka, to jedna rodzina. No tak – i wirusowe zapalenie wątroby typu B, ale tego się jeszcze nie domyślałem.

Ale pewnego dnia się domyśliłeś?

To trwało całe lato – od czasu do czasu któremuś z nas żółkły białka oczu i znikał na dwa miesiące. Niektórzy nawet więcej w szkółce się nie pojawiali. Cicha pełzająca epidemia. Gdybyś zobaczył, jak i w czym oni myli wszystkie te naczynia! Z jakiegoś powodu jednak byłem pewien, że na mnie ta infekcja nie przejdzie. Ale momencik, do tego jeszcze wrócimy.

Mam nadzieję. Tymczasem jesteś znów w drodze.

Nie, już przyjechałem. Jestem już w lesie pod Hajsynem. Wyobraź sobie zszarzały listopadowy las, dwanaście kilosów od miasteczka, betonowa droga, po której nigdy nic nie jeździ, oprócz tej ciężarowej budy i gazika dowódcy – dwa razy na dzień. I wreszcie znajdujesz się tam, gdzie od tej pory masz siedzieć rok: głuchy leśny zakątek, jakieś drewniane chatynki, niezrozumiałe przybudówki do nich, zasypane liśćmi ścieżki, piętrowy budynek sztabu, cały w pajęczynach i patynie, bez jakichkolwiek oznak życia, absolutna dekadencja i bezludzie albo jeszcze inaczej – romantyczny park poetów szkoły jezior*n*ej, zastygłe wody smutków i melancholii.

Super! Mnie by się coś takiego spodobało...

Tobie to się bez wątpienia podoba – tak jak i ten chorąży-równiacha, który cię tutaj przywiózł, szczera ukraińska dusza z wielkimi grabami, złota rączka chorąży Koczerżuk. A także to, że wszyscy tutaj są jacyś całkiem inni – jakby to w ogóle nie wojsko było, ale taka sobie leśna partyzancka kolonia: wszyscy strasznie kudłaci, z wąsami i bokobrodami, w cywilnych swetrach i szelkach, buty w *harmonijkę* i na obcasach, spodnie objętości baletowych trykotów, obcisłe szynele z postawionym kołnierzem, sezon wysokiej wojskowej mody, alternatywna dywizja. Dopiero później zwrócisz też uwagę na coś innego: są tutaj nie tylko tacy, są tu też inni, zahukani i workowaci. Jakby dwie kasty. Albo nawet nie to – kasta i pariasi. Rozumiesz – to jest coś takiego, czego praktycznie nie ma w szkółkach, o czym do tej pory tylko słyszałeś. Po rosyjsku to nazywa się „diedowszczyna".

Mimo że mam w tej sprawie pewne wyobrażenia – przede wszystkim z Głodu tlenowego *– ciekawi mnie, jak wyjaśniłbyś to słowo.*

Spróbuję jak najkrócej. Pozycja żołnierza w armii radzieckiej zależała przede wszystkim od tego, ile czasu już odsłużył. Jeśli cała służba trwała dwa lata, to pierwszy był rokiem gnębienia i zaszczuwania, a w drugim – otrzymywało się prawo gnębienia i zaszczuwania innych. Nie chcę się tu wdawać w tysiąc szczegółów związanych z wszystkimi czterema stopniami wewnętrznej żołnierskiej hierarchii, z obrzędami *przejścia*, sakralnym odliczaniem dni do rezerwy i takie różne. Chodzi o to, że sytuacja tak zwanego *młodego wojska* w pierwszym roku służby – to totalne bezprawie, całkowicie przesrana rzeczywistość. Dopiero w momencie kiedy licznik czasu służby osiągał równik i początek drugiego roku, stopniowo stawałeś się *człowiekiem*. Uzyskiwałeś coraz więcej tajemnych praw i coraz mniej oficjalnych obowiązków. W ostatnim, czwartym okresie służby obowiązek był tylko jeden – nic nie robić. Nie ruszać nawet palcem. Czyli wypoczywać i czekać na rezerwę. Cały ten ciągnący się w nieskończoność czas spędzany był przy nieśpiesznie miłosnym wypełnianiu albumu rezerwisty – fotki, rysunki, jakieś ślicznotki w kostiumach kąpielowych powycinane z ówczesnych żurnali, różne takie kicze. A także przygotowywanie munduru paradnego do wyjścia, z wszelkimi głupawymi etyszkietami, epoletami czy twardymi wstawkami w pagonach. Wszystko inne za ciebie, dla ciebie i zamiast ciebie musiały robić *koty*. W niektórych jednostkach przynosili *dziadkom* nawet śniadania do łóżka.

I tam gdzie ty się znalazłeś?

Opowiadano mi, że takie rzeczy się zdarzały. Ja sam tego nie widziałem. Zresztą śniadania to nie takie aż wielkie poniżenie. Podobnie jak i ścielenie *dziadkom* łóżek czy pranie ich ciuchów. Czasami od młodszych wymagało się znacznie delikatniejszych rzeczy – na przykład odganiania od dziadka much, w czasie kiedy on śpi.

Całkiem sympatycznie. Na czym polegał ten przymus? Mam na myśli to, że wśród kotów teoretycznie mogli zdarzać się niepokorni.

Tak, zdarzali się W takich wypadkach System momentalnie mobilizował się do karania. Historia przeważnie kończyła się grupowym pobiciem – tym bardziej okrutnym, im bardziej uparty był kot. To nie żarty. Czasem dochodziło do naprawdę ciężkich pobić. To była czasem sprawa śmierci albo życia.

Mówisz „grupowe pobicie". Ale młodsi mogli przecież grupowo się temu sprzeciwić.

Niestety nie słyszałem o niczym takim. Teoretycznie to możliwe, szczególnie w pododdziałach, gdzie istniały ilościowe dysproporcje. Gdzie, powiedzmy, dwudziestu kotów przypadało na trzech, czterech dziadków. Ale przypuszczam, że w takich pododdziałach dziadkowie zachowywali się znacznie bardziej elastycznie i nie doprowadzali do buntu. Pewne jest co innego: jazda zaczynała się w przeciwnych okolicznościach – kiedy trzech albo czterech młodych miało obsługiwać kilkudziesięciu dziadków, rezerwę i cywili. Wtedy, jak to się nazywało, po prostu *latali*. Hm, ciekawe dlaczego tak to się właśnie nazywało? Dlaczego aż tak poetycko?

Czy można twierdzić, że to było jakieś takie państwo w państwie?

Tak, w sensie równoległej hierarchii. Regulaminowa hierarchia opierała się na stopniach i stanowiskach. Pozaregulaminowa – na odsłużonym czasie. Regulaminowa panowała na zewnątrz, a pozaregulaminowa wewnątrz.

To nie mogło się podobać waszym dowodzącym.

Ogólnie rzecz biorąc tak, stwarzali pozory, że z tym walczą. Ale tego nie można pokonać tam, gdzie poniżenie stało się główną formą stosunków międzyludzkich. Powinni byli zacząć od siebie, od swoich generałów i marszałków. Poza tym jestem stuprocentowo pewien, że umiarkowana diedowszczyna – bez wypruwanych flaków i odbijanych płuc – naszym oficerom całkiem pasowała. Przecież w końcu to był *porządek*. Obojętnie, za pomocą jakich środków osiągany

i na jakich krwawych plwocinach utrzymywany. W ogóle to tylko zbędne potwierdzenie tego, jak bardzo armia wzorowana była na zonie. Zresztą diabli wiedzą – może i było odwrotnie? Może to zona w Rosji zawsze była wzorowana na armii? W każdym razie robi się nieznośnie wesoło na samą tylko myśl o tym, jak mogła ta sama diedowszczyna wyglądać w czasach carskich. Powiedzmy stosunki między żołnierzem pierwszego i dwudziestego piątego roku służby. To już przecież jak ojciec i syn! Zajęczyście, jak by się wyraził Otto von F.!

A do której kategorii ty należałeś?

O, z nami to była kwestia sporna. Z nami – to znaczy z takimi, którzy po studiach mieli służyć nie dwa lata, ale tylko półtora roku. Wszystko zależało odkąd zaczynać liczenie. Od czasu do czasu w kołach dziadków wynikały całe wewnątrzwojskowe dyskusje w rodzaju tych, które średniowieczni teolodzy wiedli o ilości wiedźm na czubku igły. Zgodnie z regulaminową zewnętrzną hierarchią, ze stopniem młodszego sierżanta miałem dowodzić podporządkowanymi mi szeregowymi żołnierzami bez względu na to, ile każdy z nich odsłużył. Zgodnie z pozaregulaminową natomiast – wątpliwy był sens rozkazywania czegokolwiek dziadkom. Co więcej – niektórzy z nich przez pierwsze dni próbowali złamać i mnie.

Jak to wyglądało?

Kilka drobnych epizodów, nie więcej. Drugiego albo trzeciego dnia rano goliłem się we wspólnej umywalni, ze zdecydowaniem zostawiając sobie świeżo podrośnięte wąsy. Gruzin, który po jakąś cholerę znalazł się obok, zażądał, bym natychmiast je zgolił. „Mam dwadzieścia cztery lata – odpowiedziałem. – I to moje prawo chodzić z wąsami albo bez, tak jak mi się podoba". Gruzin był cztery lata młodszy, ale był dziadkiem. „Twój wiek nikogo tu nie jebie – mówił bardzo agresywnie. – Jesteś kotem, bo odsłużyłeś tylko sześć miesięcy. Wąsy u kotów są nieprzepisowe". Do tego złowieszczy błysk w oczach – jak tylko dziadki potrafią. „Chcę zobaczyć,

jak zaraz przy mnie zgolisz te swoje wąsy". Domyśliłem się, że jeśli tutaj i teraz się nie postawię, będzie tylko gorzej i gorzej. Dlatego przede wszystkim wytrzymałem jego spojrzenie. I – niby po to żeby kontynuować golenie – wziąłem do ręki brzytwę. Zdaje się, „Shik" – to były drogie brzytwy, ostre. Potem odpowiedziałem coś w rodzaju: „Tych wąsów tak po prostu się nie goli, można je obciąć razem z głową". Nie wiedział, że to był cytat z jakiegoś przedpotopowego filmu o kozakach, widziałem go w dzieciństwie. Umiejętność utrzymania spojrzenia i tembru głosu znaczy naprawdę wiele. Gruzin jeszcze trochę pofikał i ze słowami: „Noczju w bytowkie", spadł.

Co to znaczyło?

Tak zwane *bytowki* były jednym z tradycyjnych miejsc grupowych rozpraw.

Od słowa „bić"?

Od słowa „byt". No wiesz – bytowy, bytowe sprawy, szycie, prasowanie. To nie tak łatwo przetłumaczyć. W każdym razie nadchodzącej nocy mogłem spodziewać się wyzwania i pobicia. Bytowego pobicia. Tym bardziej że moim następnym krokiem była odmowa mycia razem z wszystkimi innymi młodymi podłogi w koszarach. Tym razem jeszcze jeden dziadek, Kirgiz, błysnął w moim kierunku złowieszczymi szparami oczu. Myślałem tak: muszę iść na ostre, bo inaczej przerąbane, wejdą mi na głowę. Moim argumentem numer jeden miało stać się to, że faktycznie byłem w drugim roku służby tak jak i oni wszyscy. Czyli legitymizować w ich oczach moje prawo nieuważania się za kota.

Dialog był więc mimo wszystko możliwy?

Nie wiadomo. Starałem się go nawiązać. Ale zdarzył się jeden z cudów świata. Po południu wezwał mnie sam Połkacz – dowódca naszej brygady, ponury wujcio ze szklanym okiem i wiecznie nadąsanym ryłem. Nie zwracał się do nas inaczej niż *priestupniki*: „Zdrawswujtie, towariszi priestupniki!". Chociaż my na prawdę byliśmy przestępcami. Z jego pytania zrozumiałem, że moje akta osobowe już dostarczono. Zapytał,

czy to prawda, że przed wojskiem pracowałem w drukarni. Powiedziałem, że właśnie tak było. Zapytał, czy nie chciałbym pojechać na krótką przepustkę do domu. Nic nie odpowiedziałem, bo pomyślałem, że albo zwariował, albo się znęca, bo ni cholery do roboty nie ma. Ale on wyjaśnił pomysł – mówi, że potrzebna mu taka a taka teczka z takim złotym tłoczeniem i jeśli mógłbym mu to załatwić w naszej drukarni, to daje mi pięć dni przepustki poza kolejnością. I tak parę godzin później szczęśliwy zasuwałem o zmierzchu betonową drogą w stronę szosy. Stamtąd zabrała mnie pierwsza lepsza okazja, z którą było mi po drodze. W ten sposób zamiast nocnej sceny w *bytowce* trafiłem do nocnego pociągu z Winnicy do Franka. Leżałem na górnej półce, zapadając w błyskawiczne półsekundowe sny i budząc się przez to, że całym mną wstrząsały dreszcze. Nie wiem jak tobie, ale mi uczucie, kiedy dostaję gorączki, ogólnie się podoba. Oczywiście, mogłem myśleć, że to zwyczajne przeziębienie i w domu od razu się wyleczę. Ale to nie było przeziębienie, tylko wirusowe zapalenie wątroby typu B, czyli mówiąc popularnie żółtaczka, skutkiem której wróciłem do partyzanckiego lasu pod Hajsynem dopiero po dwóch miesiącach.

Z tego wszystkiego wynika, że bunt przeciwko, jak to nazywasz, pozaregulaminowej hierarchii był jednak raczej niemożliwy, tak?

Tak albo niemal tak. Okej, mam jedną historię na ten temat. Ale muszę zacząć okrężnie.

Jak zawsze.

Zawsze czy nie, po prostu są takie rzeczy, które muszę ci wyjaśnić. No i tak. W lesie, gdzie służyliśmy, trzymano pełno wojskowego sprzętu, budowlanego i saperskiego. Nosiliśmy nawet inżynierskie emblematy na czarnych patkach. Musiałem w końcu odpruć w cholerę moje czerwone z piechoty. I przyszyć czarne. Chociaż tak naprawdę byliśmy jednak piechotą. Nasza piechotność polegała na tym, że tępo zajmowaliśmy się jednym i tym samym – pilnowaliśmy z bronią w ręku całego tego martwego żelastwa. Byliśmy psami

stróżującymi. To taka do śmieszności mała jednostka wojskowa, tylko około trzydziestu żołnierzy. No dobra, trzydziestu pięciu. Dwa oddziały piechoty, które co drugi dzień wymieniały się na warcie – to byliśmy my. Oprócz nas, piechoty, była jeszcze *mazuta*. Czyli różni kierowcy, technicy, mechanicy. To oni nazywali nas psami stróżującymi. A nam wystarczało, że oni są mazutą i wiecznie jedzie od nich ropą. Tym wszystkim dowodziło dziesięciu chorążych – wyobrażasz sobie ten cyrk: chorążowie na oficerskich stanowiskach! W ogóle sobie tego nie wyobrażasz! Nad nimi było czterech oficerów, poczynając nie od jakiegoś tam ciula porucznika, ale od razu od majora. Major, dwóch podpułkowników i pułkownik! Oszaleć można!

Nie zapomnisz, o czym chciałeś opowiedzieć?

Przecież właśnie opowiadam! Musisz wyobrazić sobie sytuację naprawdę jak najdokładniej. Inaczej nic z niej nie załapiesz. W drugiej połowie stycznia, właśnie wróciłem ze szpitala, od razu wystawiają mnie do dowodzenia wartą. Początkowo połaziłem trochę, jako zastępca szefa, a niebawem stałem się szefem.

Podobało ci się to?

Nie przerywaj mi, jeśli chcesz usłyszeć tę historię do końca. Naprawdę to tylko brzmi tak poważnie – szef warty, po rosyjsku „naczkar". Pod moją komendą było aż dziewięciu żołnierzy i dziesiąty mój zastępca. Temu powodziło się najlepiej – jedyne co robił, to spał. W wartowni przy kaloryferze, jak on to nazywał, *grzał masę przy żeberkach*. Teraz słuchaj mnie uważnie.

Słucham uważnie.

To dobrze. Dziewięciu żołnierzy – to trzy posterunki. Trzy razy trzy daje dziewięć.

Dlaczego razy trzy?

Dlatego że warta odbywa się na trzy zmiany! U was jest inaczej? Jedna zmiana stoi na posterunkach. Druga czuwa w wartowni. Trzecia śpi. I tak przez całą dobę, po dwie godziny. Takie krążenie zmian. Na posterunek i z posterunku

wartowników trzeba odprowadzać. To znaczy ktoś musi iść na przodzie. Tym kimś był naczkar, czyli ja. Tylko dwa razy na dobę, w dzień, zmieniał mnie mój zastępca, kiedy spałem swoje ustawowe cztery godziny. Okej, teraz wiesz, jak wyglądały zasady. Przejdźmy do niuansów.

Ale nie zapominaj, że opowiadasz jakąś historię.

Ona opiera się wyłącznie na niuansach. Więc tak. Mamy trzy posterunki. Przy czym pierwszy i drugi są tuż obok, przy wartowni, czyli znacząco oddalone od miasteczka. A trzeci posterunek – w samym miasteczku. *Miasteczkiem* nazywam teraz nasze koszary, sztab, stołówkę, punkt kontroli technicznej – całą strukturę. Z miasteczka do wartowni jest jakieś półtora kilometra, jeśli nie dwa. Co dwie godziny mam wyprowadzać na posterunki zmianę trzech żołnierzy. Mam maszerować przodem, oni za mną. Przy tym odbywa się stały rytuał – hasło, odzew, zmiana. Jak w dziecięcych zabawach w żołnierzyków. Moja rzecz – jednych wyprowadzać, drugich przyprowadzać. Ha, ale kto by się naprawdę tego trzymał? Tylko koty. Oni rzeczywiście musieli wychodzić na posterunki i stać tam jak należy. Jeśli chodzi o dziadków, to woleli przesiadywać w wartowni. Los tych wszystkich pieprzonych saperskich samochodów nie obchodził ich aż tak bardzo, żeby marznąć przy nich nocami z kałaszem na ramieniu. Jeśli wychodzili na posterunek, to tylko na trzeci. Od niego, między innymi, bardzo zależało, czy znajdziemy się wszyscy pewnego dnia w więzieniu, czy może Bóg się jakoś zmiłuje. Bo trzeci posterunek miał nas w wartowni uprzedzać o kontroli. Trzeci posterunek nazywał się czata. Kiedy, powiedzmy, Połkacz odpalał koło sztabu swój samochód i ruszał w stronę wartowni, spojrzeć, jak tam się miewają jego *priestupniki*, wartownik z trzeciego posterunku uprzedzał nas wszystkich za pomocą telefonu. Zanim Połkacz do nas dojedzie, wszyscy pouciekają z wartowni na swoje posterunki i wszystko będzie tip-top. Nikt nie pójdzie siedzieć.

Dlaczego mówisz o więzieniu?

Bo za wykroczenie w czasie służby wartowniczej szedłeś pod sąd. Nie, jeśli tylko zasnąłeś na posterunku i cię nakryli, to jedno. Ale jeśli świadomie i w sposób zorganizowany nie wychodzisz na wartę – to już kryminał. To jak zdrada ojczyzny na polu walki, wyobrażasz sobie? Mniejsza z tym. W ogóle ten nasz leśny bajzel był niezłym rezerwatem dla wszelkiego rodzaju *elementu*. Od czasu do czasu przysyłali do nas ostatnich z ostatnich – tych, z którymi w normalnych jednostkach nijak nie mogli sobie poradzić. Dlatego dowództwo wolało przechować ich do końca służby w naszym lesie. To się nazywa „z dala od grzechu". Oczywiście, można było ich ukarać Afganistanem, ale kto by zagwarantował, że nie otworzą znienacka ognia do swoich? Nasz Połkacz czasami ustawiał nas wszystkich w szeregu i wściekle świdrując każdego po kolei swoim szklanym okiem, mówił mniej więcej coś takiego: „Priestupniki! Na takich jak wy, to Amerykanie pershingów nie potrzebują!". No tak, on wiedział, co mówi. I teraz zaczyna się historia jako taka.

Czyżby?

Naprawdę. W środku zimy do naszego bajecznego zaśnieżonego lasu przywieźli kolejne *uzupełnienie*. Tym razem nowych było czterech. Dwóch dziadków z desantu lotniczego i dwóch kotów z piechoty. Tych pierwszych wywalili z dywizji izjasławskiej, a drugich, zdaje się, z berdyczowskiej szkółki. Jak wszyscy z desantu i wszyscy z Kaukazu, dziadkowie byli niezdyscyplinowani i bezgranicznie wyrywni, Ormianin i Azer. Jeśli chodzi o kotów, to tutaj wszystko wyglądało jeszcze ostrzej: Czeczeni, Kerimow i Szydijew. Całą tę świeżą kaukaską krew oddano pod moje bezpośrednie dowództwo. Z dziadkami pojawił się od razu pewien kłopot, szczególnie z armeńskim zakochanym w sobie przystojniakiem, ale to nie było nic poważnego. Taka sobie neutralność. Z małymi Czeczenami układało się lepiej, bo rozmawiałem z nimi po ludzku. I nawet raz obroniłem ich przed Litwinami, którzy już ustawili ich pod ścianą, żeby trochę poćwiczyć na nich kopanie. Litwini mieli ku temu wszelkie podstawy, skoro

czeczeńskie koty odmówiły mycia podłogi w koszarach. Do tego Szydijew wyjaśnił, że tradycja im tego surowo zabrania, a Kerimow dodał, że ich potem za to sami Czeczeni zarżną, bo to *zdrada czystości*. Z Litwinami się blisko przyjaźniłem i udało mi się moich żołnierzy jako tako ochronić przed ich gniewem. We wszystkim Kerimow i Szydijew byli ekstra. Tylko do brudnej pracy fizycznej za nic ich nie zmusisz – prędzej skonają, niż zgodzą się do niej zabrać. Jeszcze na dodatek pilnowali się wzajemnie, żeby drugi się nie złamał, bo okazali się jakimiś kuzynami z jednego plemienia. Teraz wiem, że to się nazywa „teip". Poza tym Szydijew pisał wiersze i czasem mi je czytał, a potem sam dosłownie tłumaczył na rosyjski. Twierdził, że niby Achmatowa to Czeczenka, bo ma czeczeńskie nazwisko. Nie zaprzeczałem mu stanowczo. Jeśli chodzi o Kerimowa, to był stworzony do „kałasza", czy może odwrotnie – „kałasz" był stworzony dla niego. Na ćwiczeniach trafiał tylko w dziesiątkę – w stu procentach, nigdy więcej się z czymś takim nie spotkałem, po prostu jakieś Sokole Oko.

Nie wiesz nic o tym, jak się miewa i gdzie jest teraz?

Niestety nie. To jednak było w innym życiu. Zatem zima, śniegi i wartownia. Trzecia zmiana wypadała między jedenastą a pierwszą w nocy. Pośród innych był też ten Azer z desantu, Ałyszew. Przypadł mu trzeci posterunek i musiał na nim odstać. Przy czym kiedy wychodził na wartę, zażądał od małych Czeczenów, żeby nasmażyli dla niego kartofli. No, że niby wróci z mrozu i chłodu i do syta napcha się kartoflami smażonymi na słoninie. Ale Czeczeni, oczywiście, nawet palcem nie kiwnęli i żadnej słoniny, rzecz jasna, nie tknęli, tylko po prostu położyli się spać przed swoją zmianą. Nie, nie tak – oni byli na różnych zmianach, Szydijew właśnie stał na posterunku, Kerimow położył się spać. Rozwścieczony Ałyszew wpadł do sypialni, podniósł go z tapczanu i dał z dziesięć razy w potylicę. Kerimow, wzdychając ze złością, siadł do obierania tych fucking kartofli. Zgodnie z regulaminem jakiekolwiek gotowanie jedzenia w wartowni było surowo zabronione, ale my tam nie tylko kartofle

smażyliśmy – jak był czas, to i telewizję oglądaliśmy, i w karty graliśmy, i samogon piliśmy. Tak jak przystoi *priestupnikom*. Ałyszew wciąż nie mógł się opanować: jak to tak, co to za bezczelność się wśród kotów pleni, żadnego szacunku dla *dziadka*. Nie mogłem już dłużej tego słuchać i poprosiłem go grzecznie, żeby się odpierdolił, bo mały na trzecią ma iść na posterunek. Jakoś to przełknął i rzeczywiście się zamknął. Nie pamiętam, jak się skończyło z kartoflami, zdaje się nijak, no i Ałyszew poszedł spać bez ciepłego posiłku. O trzeciej w nocy zmieniłem na posterunku Szydijewa na Kerimowa i oni o czymś pogadali po swojemu. To nie mogło mnie zaniepokoić, bo oni zawsze gadali ze sobą po swojemu, co moim zdaniem było okej. Sens ich gadania zrozumiałem dopiero w wartowni, kiedy Szydijew z automatem na ramieniu wszedł do sypialni, kopnięciem w tapczan obudził Ałyszewa, a razem z nim wszystkich pozostałych – złożyło się tak, że byli to wyłącznie dziadkowie – i kierując swojego „kałasza" prosto na Azera, obiecał, że „jeśli jeszcze raz, psie, dotkniesz swoją niemytą łapą choćby jednego Czeczena..." no i tak dalej. Całkowity szok! Stop-klatka: wykrzywione przez grozę twarze weteranów. „Jasne?" – pyta Szydijew i szczęka bezpiecznikiem. „Jasne" – ruszył ustami Ałyszew. Taki wyszedł bunt i to tylko pierwsza część.

Ale wcześniej czy później musiał przyjść moment, kiedy odłoży automat...

Ależ on zaraz odstawił go na stojak, na miejsce. To znaczy zastosował się do mojego – dobra, nazwijmy to tak – rozkazu. I wyobrażasz sobie – oni nie śmieli nic mu zrobić! Ani w tym momencie, ani później. Udawali, że go po prostu nie ma, i nie czepiali się go. Wystarczyło trącić jednego z nich lufą automatu w mordę – i tworzyło się wokół siebie prawdziwą aurę nietykalności. Teraz część druga tej historii.

Zaczekaj, jedno pytanie przy okazji. Myślisz, że naprawdę mógł go zabić?

Właśnie o tym będzie w drugiej części naszego telewizyjnego serialu. O piątej rano zaprowadziłem kolejną zmianę

wartowników na posterunki. Chociaż o piątej przeważnie nie wychodziłem. O piątej zazwyczaj wymiękałem i w miarę czujnie zasypiałem przy swoim biurku w wartowni, na wszelki wypadek tuż przy centralce telefonicznej. W tym czasie moi dżygici i beze mnie wybierali się na swoje posterunki. Ale tym razem – ze względu na *złożony przebieg wydarzeń* – jednak ich odprowadziłem. Najpierw poszedłem z Ałyszewem na jego trzeci posterunek. Po drodze milczeliśmy, przy czym, zdaje się, było to złe milczenie. Spróbował się pochwalić, że zabije tego suczego *synka*, ale nie podjąłem tematu. Jakiekolwiek moje protesty mogły go tylko rozjuszyć. Postanowiłem udawać, że to wszystko mamy za sobą i już mnie to wali, w ogóle zapomnij. W drodze powrotnej zmieniłem na pierwszym posterunku Kerimowa. Skrzypiał za mną po śniegu – krok w krok. Wyobrażasz sobie skrzyp śniegu o piątej rano i martwy las dookoła naszej dwójki? Zatrzymał się – usłyszałem to. Odwróciłem się. Nieomal płakał. Wtedy powiedział: „Ty! Dlaczego go odprowadziłeś, dlaczego z nim szedłeś?". Milczałem i musiał mi wyjaśnić. „Ja bym go zabił. Gdyby nie ty, tobym strzelał". Po kociemu pociągnął nosem. „Jego szczęście, że szedłeś z nim. Bałem się, że trafię w ciebie". No tak. I wiesz, mam to jeszcze z tamtych czasów – kiedy ktoś mówi mi coś złego o Czeczenach, mógłbym rozerwać na kawałki. Zrezygnował z najświętszego, co mają – z zemsty! Przeze mnie. Chociaż on zawsze i wszędzie tylko trafiał. Ale ze względu na mnie nie chciał ryzykować, nawet troszkę. Koniec.

Z tego wynika, że to były nie całkiem bezpieczne zabawy: konflikty – między grupami i na dodatek etniczne – przestępstwa kryminalne, broń. À propos broń zgodnie z prawami nie tylko teatru powinna chociaż raz wystrzelić.

Kiedyś zebrało mi się na podliczanie i wyszło mi coś takiego. Od początku stycznia do połowy października mamy dziewięć miesięcy, czyli po zaokrągleniu dwieście siedemdziesiąt dni i nocy. Odrzucamy z tego połowę, bo na wartę chodziliśmy przecież co drugi dzień. Zostaje sto trzydzieści pięć. Odrzu-

cimy dwa tygodnie kiedy tymczasowo zdjęli mnie z naczkara i posadzili jako telefonistę przy centralce. Ze wszystkimi zaokrągleniami uzyskujemy sto dwadzieścia. W lesie pod Hajsynem sto dwadzieścia razy wychodziłem z bronią na wartę. Co oznacza przede wszystkim jedno: sto dwadzieścia razy mogłem pójść do więzienia, być ranny, zabity, sto dwadzieścia razy mogłem zabić kogoś innego. Nasze stosunki z dowództwem były w rzeczywistości potworną wojną. Oni ponad wszystko pragnęli złapać nas na wykroczeniach, a my i tak się ich dopuszczaliśmy. Teoretycznie mogliśmy służyć uczciwie i żadnego regulaminu nie łamać. Ale, jak się okazało, nie mogliśmy. Oni o tym wiedzieli. I my wiedzieliśmy, że oni wiedzieli. A oni wiedzieli, że my wiedzieliśmy, że oni wiedzieli. Znasz taki dzień – dwudziesty trzeci lutego?

Nie.

To święto wojskowe, dzień armii radzieckiej. Dwudziestego trzeciego lutego staliśmy na warcie i przyjechał do nas do wartowni Połkacz, żeby złożyć nam życzenia z okazji *naszego wspólnego święta*. Wiesz, jakimi słowami to zrobił?

Jakimi?

„Pazdrawliaju, priestupniki! Służitie suki cziesno, a nie to wsiech posażu ili sam zastrielju!" – Wszystkiego najlepszego, przestępcy! Służyć, mendy, uczciwie, bo jak nie, to wszystkich posadzę albo zastrzelę. Taki był tekst jego życzeń świątecznych. Jak mówił potem Kirgiz, „pazdrawliaju – posażu, pozdrawliaju – zasrielju". Od czasu do czasu rzeczywiście wpadaliśmy. To znaczy ktoś z kontroli okazywał się sprytniejszy od nas i nakrywał nas na gorącym uczynku. Na przykład na głębokim i nieprzebudzonym śnie całej wartowni. Dobrze, że chociaż wartownicy stali na posterunkach. Raz na miesiąc każdemu z nas wypłacali żołnierskie siedem rubli. Składaliśmy się po rublu i w tajemnicy wysyłaliśmy któregoś z młodych do Tarasiwki z gumowym termoforem pod mundurem. Termofor ma dwa litry pojemności. Czasami do Mychajliwki. Ale przeważnie do Tarasiwki, tam samogon był tańszy, chociaż potworny, bo pędzili go na karbidzie.

Na czym?

Karbid – to węglik wapnia. Pod względem stopnia oddziaływania na ludzki organizm należy do substancji pierwszej klasy toksyczności. Ale nie o to wtedy chodziło. Pewnego razu wszystko wypiliśmy i odprowadziłem na trzeci posterunek Mołdawianina. Naprawdę nazywał się Walera Karp, ale w wojsku zdarzało się, że zamiast imienia używano narodowości. Po dwóch godzinach przyszedłem go zmienić i nijak nie mogę znaleźć! Wartownika nie ma na posterunku! Gdzie Mołdawianin, kurwa mać?! Najpierw natknąłem się na automat. Tak po prostu na ścieżce, załadowany i z wszystkimi nabojami na miejscu, niech bierze, kto chce. Jasne, że momentalnie wytrzeźwiałem. Automat jest, a żołnierza nie ma. Dopiero wtedy usłyszałem z krzaków chrapanie Mołdawianina. Obudziliśmy go i chcieliśmy nastraszyć jego własnym przecież automatem. Na szczęście, ten i tym razem nie wystrzelił.

Ale pewnego razu wystrzelił?

Tak. Chociaż inaczej. Chciałbym teraz wspomnieć jeszcze naszego Sherlocka Holmesa – chorążego Koczerżuka. To była bestia! To był Koczer-żuk! Ze wszystkich dowódców znał się na nas najdokładniej, wykrywał nas na wszelkie sposoby, czytał ślady na śniegu, złamane gałęzie, po kolorze moczu rozpoznawał, kto gdzie naszczał – prawdziwy, proszę ciebie, Indianin. I mistrzowsko brał nas pod włos. Urządzał nam konfrontacje, rozgniatał nas jak pchły. I wszystko na świecie umiał zrobić własnymi rękami. Jeśliby wyobrazić sobie takiego prawdziwego *wewnętrznego* Ukraińca, tego, kogo po rosyjsku nazywa się *chitryj chachoł*, to właśnie był on. A czasem, kiedy zostawaliśmy sam na sam, to on mi całe kawałki z Szewczenki – z pamięci. W tym czasie dowiedzieli się, że jestem, hm, że jestem poetą.

W jaki sposób?

Po pierwsze, opuściłem dwa miesiące, kiedy leżałem w szpitalu na żółtaczkę. A tym czasem przychodziły do mnie grubaśne listy od Mykoły Riabczuka. Zainteresowali się, co to

za chujstwo? Czemu te listy są takie grube? Tam był taki chorąży, szef tajnego wydziału. Wielce sympatyczny typ, lubiliśmy razem słuchać muzyki, bo jego też kręcił hard rock. I jeszcze był nasz ulubiony En. Sza. (ros. naczelnik sztaba – szef sztabu), podpułkownik Gordiejew. To był prawdziwy oficer, bojowy. Pił bez opamiętania i zawsze wstawiał się za żołnierzami. Atiec radnoj. No i te dwa typy pomyślały, podrapawszy się po głowach, i – pootwierały moje listy. To znaczy listy do mnie. A tam nic poza jakimiś moimi publikacjami w rozmaitych czasopismach. Wyobrażasz sobie, ten Gordiejew był nawet tak porządny, że kiedy wreszcie wróciłem ze szpitala, oddał mi wszystkie te listy z przeprosinami. I powiedział tak: „Znajesz, bratok, ja sam po lubwi kagda-to stichi pisał. W dalekoj junosti. Tolka ja nie tak jak ty – ja kak Jesienin" – Wiesz bracie, ja sam z miłości kiedyś wiersze pisałem. Tylko ja nie tak jak ty – ja tak jak Jesienin. Gordiejew był fajowy.

A po drugie?

A po drugie, od pewnego momentu – wskutek jednej wpadki w wartowni, byłem tymczasowo odwołany ze stanowiska naczkara i przeniesiony do centrali w charakterze telefonisty. Długo to nie trwało, bo w wartowni beze mnie zaczął się jeszcze większy burdel i znów mnie tam posłali, ale jakieś dwa tygodnie oddechu miałem. W centrali zacząłem z nudów pisać opowiadania. Te same, które później, po jakichś pięciu latach, ukazały się w piśmie „Prapor". Siedem opowiadań tak zwanych wojskowych. Nie, to nie całkiem tak: jedno z nich napisałem w szpitalu, *Święto czynnej obserwacji*. A kilka nowych w centrali. Najpierw napisałem dwa krótsze – *Jak zabiliśmy Piatrasa* i *Malutka przygoda z rezerwistą*. Tak mi się to spodobało, że wziąłem się do pisania trzeciego *O'key, Salamandra!*. Z wielką rozkoszą napisałem dwie pierwsze strony, przy tym karykaturowałem, jak mogłem, wszystko, co widziałem wokół. I – niebacznie zostawiłem pod biurkiem po zmianie. A potem już nie udało mi się go odnaleźć. Przykre to było: tak się dobrze pisało, taki

tekst wychodził! Gdzie ja, kurwa, mogłem wsadzić te dwie strony? Minął jakiś miesiąc i ten sam tajny chorąży czemuś na apelu ni przypiął, ni przyłatał mówi do wszystkich: „Zachowujcie się przyzwoicie. Jest wśród nas tutaj jeden Anton Czechow – satyrę o nas wszystkich napisał. Kiedyś to wydrukują i ktoś nawet się rozpozna. Wielce niezręcznie to będzie wyglądało w oczach potomków". Tak zrozumiałem, dlaczego nie mogę nigdzie znaleźć tych dwóch stron. Ale nic nie dałem po sobie poznać. On też. *O'key, Salamandra!* napisałem potem jeszcze raz. To znaczy odtworzyłem z pamięci początek i dokończyłem.

W twoich opowieściach już nie pierwszy raz pojawia się Mykoła Riabczuk.

I nie po raz ostatni, mam nadzieję.

Możesz o tym więcej?

Nie tylko mogę, ale i muszę. Mykoła Riabczuk stał się moim drugim życiem. W każdej chwili pamiętałem o dwóch związkach, dla których powinienem przeżyć. Pierwszy – z Niną i Sofijką. Drugi – z nim. Ten chłopak pewnie do dziś się nie domyśla, jaka misja mu przypadła w tych latach! Żartuję. Nie, jeśli mówić poważnie, mocno mnie podratował swoimi listami, jeszcze w szkółce. Nigdy mu tego nie zapomnę – wyobraź sobie, całe to, kurwa, znęcanie się, koszmarna rzeczywistość, durna bieganina, nienawiść, poniżanie za pomocą jedzenia, smrodu, instynktów. I na tym tle dostajesz dokładne i długie listy o życiu, które jednak gdzieś istnieje. Przykładowo, jak oni w Kijowie na ocienionym winoroślą balkonie popijają wino i czytają głośno moje wiersze. Do tego zawsze przysyłał mi wycinki z czasopism poetyckich. Koniecznie z jakimiś najnowszymi publikacjami. Czyli włączał do ratowania mnie jeszcze i wielu innych – Rymaruka, Herę, Natałkę, Jurka Buriaka. Wszyscy byli ze mną, nie domyślając się tego nawet – na piersi w moich kieszeniach, gdzie ich ukrywałem. Absolutną sensacją stał się list od samego Wałerija Szewczuka, przekazany też przez Mykołę. Wyobrażasz sobie – mój ulubiony ukraiński pisarz tamtych lat! To tak, jakbyś siedział

w więzieniu i pisał do ciebie jakiś Peter Handke! I pisze, że dla niego – *niczego sobie*, nawet *całkiem może być* ta moja lwowska proza, którą dostał znowuż od Mykoły. „Coś się panu udaje naprawdę – pisał. – Ale tylko coś". Byłem w siódmym niebie. Pośrednictwo Mykoły trwało przez całą moją służbę. Latem osiemdziesiątego czwartego odbył się kolejny pocztowy wstrząs: napisał do mnie Wiktor Neborak *we własnej personie*. W tym czasie znaliśmy się tylko z tekstów, które nam wzajemnie przekazywał wciąż ten sam Mykoła.

Prehistoria Bu-Ba-Bu?

Prawdziwa historia Bu-Ba-Bu, udokumentowana i przemyślana. Piszę o tym epizodzie na samym początku *Ave, Chrystler!*, ale wątpię, czy znasz tę opowieść.

Wątpię, czy znam.

I tak – zaczęliśmy wymieniać się listami. Z tych od Wiktora wynikało, że wykłada – uwaga! – język ukraiński w Donbasie. It was something! Wspomniał też o tym, że pisze teksty piosenek dla pewnej lwowskiej grupy rockowej. Nie mogłem nie zazdrościć: to było moje marzenie nad marzeniami – pisać dla grupy rockowej. Chociaż nazwę miała dosyć gównianą – Żajwir (Skowron). Listy Wiktora – to chyba jedyne wspomnienie z tego lata. Praktycznie nie pamiętam nic innego. Bardzo dziwne. Dlaczego nie pamiętam tamtego lata? Pamiętam późną wiosnę i jak fotografowaliśmy się na tle magazynów i schronów. Albo nad silosami rakietowymi. Ha, całkiem zapomniałem wspomnieć, że miejsce naszego leśnego bajzlu swego czasu zajmowali rakietowcy. Była tam baza radzieckich rakiet średniego zasięgu – tych, które skierowane były na Europę. Czyli służyły do uzyskania *taktycznej przewagi*. Niebawem jednak przeniesiono je gdzieś dalej, bo takie obiekty nie powinny długo zasiadywać się w jednym miejscu, żeby ich przypadkiem nie zdekonspirowano. Nigdzie i nigdy nie lubiłem się fotografować tak bardzo, jak podczas służby w wojsku. Trudno to wyjaśnić inaczej niż zetknięciem braku wolności z młodością. Piszę o tym w przedmowie do albumu Bertien van Manen – zdaje się, czytałeś.

Dosyć poetycko to napisane.

Tak, bo to właśnie była poezja. Mam na myśli błądzenie po lesie, odnajdywanie porzuconych silosów, przedostawanie się do środka. Schodziliśmy do ich wnętrz, znajdowaliśmy tam ślady rakietowego istnienia: jakieś zepsute pulpity, elektroniczne bebechy, mnóstwo różnokolorowego drutu, wielce przydatnego do epoletów rezerwy, pamiętam też, jaki zachwyt wzbudziły puste butelki po piwie i dwie pary częściowo już przegniłych damskich pończoch. „E, to oni nawet diewoczki tu mieli, niczego sobie rakietowcy!".

Jak w ogóle wyglądała sytuacja z erotyką?

Umiarkowanie. Wadia Kuzin co prawda przyprowadzał kilka razy ze sobą do centrali jakieś praktykantki z miasteczka. No, tak sobie.

W tym czasie już wydobrzałeś po blokadzie bromowej?

Oczywiście. Ale dlaczego nie pamiętam tamtego lata? Przecież całe lato nie wysunąłem nosa z lasu. Z koszar do wartowni i z powrotem. Pewnie dlatego że brakowało wydarzeń. Aż gruchnęło, ale to już raczej gdzieś we wrześniu. A może jednak jeszcze latem? Pamiętam go w szynelu. Chociaż to o niczym nie świadczy – wielu u nas i latem nie zrzucało szyneli, szczególnie nocą na warcie.

Co się zdarzyło?

Groza. Było właśnie popołudnie, pod wieczór powinienem ze swoim oddziałem objąć wartę gdzieś sto pierwszy raz. Wiosną (czy już latem?) nastąpiły u nas karkołomne zmiany składu. Duża grupa żołnierzy wyszła na wolność – obydwaj Kirgizi, Ałyszew, Egikian, Sizow, Iwan Jaworski o przezwisku Kurwamama, całe pokolenie zawziętych priestupnikow. Na ich miejsce podrzucili miśków, nowo powołane koty. Jakoś tak wyszło, że wszyscy byli z sąsiednich krajów, Ukraińcy, i to jeszcze z centrum, jakiś taki podolsko-poleski kontyngent. Wiesz, w radzieckiej armii żołnierze z Ukrainy byli dla przełożonych szczęściem – posłuszni, staranni, przeważnie bezkonfliktowi, ze skłonnością do wysługiwania się. Mniej więcej jak Białorusini.

A Rosjanie?

Raczej tępawi. I znacznie bardziej leniwi. Mniejsza o to. W związku ze wspomnianymi zmianami nasz tata Koczerżuk wymantykował, by przeformować oddziały piechoty w taki sposób, żeby w jednym z nich – moim – byli wyłącznie dziadkowie, bo i ja stałem się dziadkiem z taakimi wąsami. A w drugim – wyłącznie koty z młodym sierżantem na czele. Przysłali go też na początku lata, z tej samej Sadagórskiej szkółki co i mnie. No, rozsądził sobie sprytny psycholog Koczerżuk, w ten sposób przynajmniej w wartowni unikniemy diedowszczyny. Odizolujemy jednych od drugich – i kropka. No, tak. Tego dnia nasza warta, dziadki, miała zmienić ich, kotów. Po obiedzie ze starczym postękiwaniem pokładliśmy się spać. To była świętość – godzina bojowego snu przed wyjściem na bojową wartę. Regulaminowa godzina wolnych snów. Dopiero co odepchnąłem się palcami nóg od ziemi i dałem nura w gęste, zielone wody jakiegoś fantastycznego południowego akwenu, kiedy nagle gdzieś na górze, na brzegu, gruchnęło. Pobudziliśmy się i nie wstając z łóżek, zaczęliśmy dla rozrywki wymieniać się uwagami na temat tego, co oznaczał ten pojedynczy wystrzał z automatu i kto to chujówkę odstawia. Po jakichś dziesięciu minutach do koszar wbiega dyżurny chorąży i rozkazuje nam *padjom* (pobudka). A co się stało, pytam z łóżka, bo my się już za bardzo nie podrywaliśmy na różne tam rozkazy – dziadkom jakoś nie wypadało. A, mówi ten chorąży, chujówa, kurwa, młody na drugim posterunku się zastrzelił. Trzeba zmieniać wartę, obejmujesz ty ze swoimi. Kiedy przyszliśmy zmienić całą tę zahukaną drużynę, ich naczkar wciąż się trząsł i nie mógł nic powiedzieć. Na innych chłopaków też szkoda było patrzeć. Ale najbardziej na martwego. Wciąż leżał na terenie posterunku. Nie ruszali go przecież, zanim wszyscy eksperci nie przyjadą i tak dalej. Pół godziny później przyleciał Połkacz – włos zjeżony, szklane oko aż wyłazi z orbity. Wystawiłem żołnierza na posterunek, to chodził koło tego ciała jeszcze dwie godziny. Który to z nich, pytam.

Kaźmiuk, odpowiada mój wartownik. Kaźmiuk – ten, co od początku taki przypiżdżony chodził. Ten Kaźmiuk miał jakąś trochę za dużą głowę i nie wiadomo, co się w niej działo. W każdym razie zawsze odstawał od reszty, we wszystkim odstawał i ciągle miał deprechę. Był czas, kiedy na coś trafił do szpitala, potem jeszcze długo nijak nie można było go postawić na warcie, tylko do kuchni albo na dyżurnego. To była jego pierwsza warta. Po raz pierwszy z automatem. Do tego odstał już dwie najcięższe zmiany w życiu – dwie pierwsze zmiany w nocy i trzecią poranną też odstał. Po jaką cholerę wpakował sobie kulkę w czasie czwartej? Minęło parę dni i ktoś z kotów przyznał się, że Kaźmiuk niby nieraz sprzedawał taką gadkę, że od razu na pierwszej warcie się zastrzeli. Niech mu tylko automat dadzą. A oni wszyscy się z niego przez to brechtali. Bo oni w ogóle tylko się brechtali. Strzelił sobie od dołu w twarz, w swoją za dużą głowę, wylot lufy był gdzieś na wysokości podbródka. Spaliło mu pół twarzy i z podziurawionej czaszki chlusnął mózg. Porwaną furażerkę rzuciło na krzaki paręset metrów dalej. Był prawie albinosem i leżąc, mógł przypominać wielkiego białego psa, ale czemuś zabitego. Taka historia.

To musiało mieć jakieś skutki.

Myślę, że to nasz Połkacz. To on przyciągał do siebie i do nas wszystkich wszelkie nieszczęścia. Z niego to promieniowało na wszystkie strony. Są tacy ludzie – wiecznie skrzywieni, źli. Ten Litwin, który był jego kierowcą i zginął na dachu wartowni *w nieszczęśliwym wypadku* – to co, nie było potwierdzenie? To wszystko się bierze z nienawiści. Są tacy ludzie, którzy nienawidzą życia, nasz Połkacz był jednym z nich. Jasne, że po historii z Kaźmiukiem dobrali się nam do skóry na poważnie. Nasłali różnych komisji, a one tylko starały się wyciągnąć z nas, dziadków, jakieś tam zeznania, że niby to przez nas. Pojawił się taki sobie major Muchin – jego też skądś do nas przysłali na dłużej w celu *wzmocnienia dyscypliny*. Naprawdę, kurwa, *Muchin*! Władca much. Wymyślił sobie, żeby nowe porządki zacząć właśnie ode mnie,

i wydumał, żebym zgolił wąsy. I to wtedy, kiedy jedną nogą byłem już w drodze do Izjasławia na ostatnie czterdziestopięciodniowe zgrupowanie. Z dnia na dzień czekałem tylko na wezwanie. Spędzić ostatnie półtora miesiąca – wyobrażasz sobie, ostanie, najostatniejsze – z całą sadagórską bracią, z Boliukiem, Duliukiem, Neznajukiem, Arkaszą, Ciapą i najważniejsze – z Rostkiem, powspominać stare jebane czasy, piekło szkółki, pluć i łapać, popijaczyć do smaku, zanim porozjeżdżamy się do domów – oto, o czym przez cały czas myślałem. Tymczasem ten kiep: „Nu szo? Kada zbriejem usy, sierżant?" – No i co? Kiedy wąsy zgolimy, sierżancie? Któryś z moich dziadków radził mi, żebym dał odpowiedź w przybliżeniu taką, na jaką właśnie on, ten major Muchin, zasługiwał: „Prędzej moi żołnierze będą jebać pana żonę, niż zgolę te wąsy". Po wojskowemu twardo i przekonująco. Bo Muchin do naszego lasu przyjechał nie sam, ale z żoną, i dostali pokój z telewizorem w hotelu dla oficerów.

Właśnie tak odpowiedziałeś?

Nie, co ty. Aż tak moje dżentelmeńskie serce jeszcze nie zdziczało! Ale jeśli mówimy serio, to do tej pory nie przestaje mnie dziwić, jaka to była ptasia rzeźnia ta armia! Jaka maszynka do mielenia mięsa! Idziesz tam jako osiemnastoletnie cielę, jesteś naiwny, śmieszny, zakochany, samotny, jesteś po prostu Kaźmiukiem. Jeśli jednak jesteś trochę silniejszy, e tam – trochę bardziej gruboskórny od Kaźmiuka, to za dwa lata wracasz tak *przeformatowany*, poraniony, że mamo daragaja! I w pierwszym roku jesteś zwierzątkiem – drżącym, przerażonym, niemym. A w drugim – zwierzęciem, bezlitosnym, tępym i pożądliwym. Z grubą skórą uzbrojoną przeciw wszystkiemu na świecie – na wszelki wypadek. Wojsko to przeważnie jest ewolucja od zwierzątka do zwierzęcia. Chociaż w ogóle miałem szczęście, wiesz? Przez cały ten czas tylko mi się szczęściło.

Chcesz jeszcze o czymś opowiedzieć?

Chyba tylko o naszym pociągu do rezerwy. Jak w sześć sekund zdążyliśmy zapakować się do koziatyńskiego wagonu

na stacji Izjasław i jak całą drogę do Tarnopola piliśmy i darliśmy się, piliśmy i darliśmy się – dziesięciu weteranów wojny, poranionych przez wrogie kule i obwieszonych krzyżami zasług i gwiazdami. I nikt nie śmiał wejść nam w drogę, bo mieliśmy ze sobą gitarę.

4. Nocne powaby linotypistek

Na imię miała Irena. Lubiła irysy.

Czym była dla ciebie ta śmierć?

Nie, w żadnym razie nie była to katastrofa. To było coś innego. Przemiana? Jakoś tak to nazywali starzy Chińczycy. Wszystko całkowicie i w pełni zgadzało się z charakterem zmarłej. Zdaje mi się, że po prostu ustąpiła miejsca, do tego we właściwym momencie. Czyli po prostu zwolniła pokój. W końcu przecież czekaliśmy na dziecko, za bardzo wzięła to sobie do serca i musiała się poddać. To się stało w sierpniu, 9 sierpnia 1982 roku, w grudniu skończyłaby osiemdziesiątkę. Nawet nie wiem, dużo to czy mało. A co ty myślisz?

Ja też nie wiem, ale zdaje mi się, że czasem tyle wystarczy.

Wystarczy, żeby się zmęczyć. Szczególnie, kiedy całego ciebie od stóp do głów nakryło dwudzieste stulecie, niczym wody potopu, niczym lawina, to znaczy chcę powiedzieć, że 1902 rok urodzenia to po prostu matnia, to oznacza, że nigdzie już z tego stulecia nie uciekniesz, po prostu musisz go *zaznać*, do tego, jak u nas mówią, *po całości*, bo jeszcze tak ci się poszczęściło, że przyszedłeś na ten świat gdzieś akurat pośrodku, pomiędzy Rosjanami i Niemcami.

No tak, dobrze rozpoznawalny motyw – strach przed byciem pomiędzy. *Moim zdaniem wyczerpałeś ten temat w* Środkowowschodnich rewizjach.

Boję się, że tak naprawdę nie da się go wyczerpać. Ale ja teraz zupełnie nie o tym. Mówię o tym, że to było raczej niewymownie kruche stworzenie, babcia Irena – i jak wyobrazić sobie ją taką pomiędzy tymi żarnami? Nazwijmy żarnami wszystkich tych Rosjan i Niemców. Taka krucha i drobniutka, wyobrażasz sobie – metr sześćdziesiąt wzrostu, i to nie całe! Do tego zawsze gotowa stracić przytomność. Może tylko to ją ratowało? To znaczy, jej omdlenia były takimi

wyjściami awaryjnymi na zewnątrz, gdzie nabierała nowych sił i zdecydowania? Albo wszystkie te upadki. Padała z nóg przez całe swoje życie, bo całe życie była gdzieś spóźniona i dokądś biegła – póki nogi ją jeszcze jako tako nosiły. Czyli nie tak dobrze już nosiły, skoro zawsze i wszędzie upadała. Toczyła się głową do dołu z drewnianych schodów w Dorze, porywały ją górskie rzeki, kiedy poślizgnęła się na kamieniach, w dzieciństwie sam widziałem, jak rozbiła sobie kolano, nie dobiegając do autobusu. Dlaczego jej tak zależało na tym autobusie, na dobiegnięciu do niego? Innym razem też był autobus, przepełniony – jakieś pokraki dosłownie wypchnęły ją z niego i upadła na wznak z dolnego stopnia. Potem na skwerze przy dworcu przy pełnej prędkości wjechał w nią jakiś ochujały rowerzysta. Poleciała na asfalt twarzą do dołu – z tym zastrzeżeniem, że trzymała na rękach kilkumiesięcznego mnie. Dlatego musiała upaść tak miękko, że ja nawet się nie przestraszyłem. Osłoniła mnie swoimi łokciami, haratając je o suchy ląd, musiało ją to potwornie zaboleć. To że kilka minut później straciła z szoku przytomność, nikogo nawet nie zdziwiło. Na takie wypadki nosiła ze sobą zawsze sole trzeźwiące – wszyscy znajomi byli wtajemniczeni. Samochody z przeraźliwym piskiem hamowały przed nią w ostatnim momencie. Co prawda, żaden z nich jej jednak nie potrącił – to były hollywoodzkie milimetry. Moje pierwsze lata mijały razem z nią, była dla mnie rodzicami – tatą, mamą i Tarasem Szewczenką jednocześnie. Dlatego krzykliwe piski hamujących aut i wywołujący łzawienie zapach amoniaku są dla mnie stałym akompaniamentem tych pierwszych lat, są dla mnie – całym dzieciństwem ni mniej, ni więcej! Najwidoczniej jej nogi nie były stworzone do chodzenia po tej ziemi i po jej wszystkich tutejszych mękach. Ale do pewnego czasu jako tako jej służyły. W latach trzydziestych schodziła na nich połowę gór, świątecznie ubierając się to jak huculska gospodyni, to jak warszawska pani.

Po co?

Do fotografii. W niedziele pieszo, przez *garby*, wybierała się z Jabłunicy do Worochty, tam otworzył atelier fotograficzne pewien Żyd z Łodzi, zdaje się Barenbojm, jakoś tak. Fotografowanie stało się jej prawdziwą pasją – i wiadomo dlaczego. Jej portrety z lat międzywojennych można umieszczać we wszystkich możliwych albumach i podręcznikach, to absolutnie idealny model – to już nawet nie fotografia, lecz nieme kino, Chicago, Nowy Jork i Paryż razem wzięte, to ta epoka, to te czasy. Bo w tamtych czasach tańczyła jeszcze bostona i shimmy, a potem one wyszły z mody. Absolutnie pasowałoby do niej jedno z ówczesnych kobiecych imion: Klara, Lora, Dora, Nora. Ale jej własne – Irena – też do niej pasowało. À propos, nie wiesz przypadkiem, jak się tańczy shimmy?

Wyobrażam sobie tylko mniej więcej.

Szkoda. Bardzo chciałbym nakręcić film o niej z tamtych czasów. No, na przykład: osiemnasty rok, jest jeszcze prawie dzieckiem, stoi na rogu Hałyckiej i Rynku, a do miasta właśnie weszli Polacy, pobili naszych francuską bronią i teraz maszerują przez centrum Stanisławowa i śpiewają swoje *Rozkwitały pąki białych róż* – tak mi to opowiadała wiele, bardzo wiele lat później – idą Polacy w swoich zielonoszarych, świeżo uszytych przez Francuzów mundurach, śpiewają, a na przejściu stoi dziewczyna, prawie dziecko, i z całych sił wylewają się z niej łzy, i nawet ich nie wyciera, bo naszych pobili i nasi przegrali, i poszli precz z miasta, i ta polska piosenka taka, kurwa, piękna. I jeszcze w tym filmie musiałaby tańczyć shimmy, niedługo – dziesięć lat później, pod koniec lat dwudziestych. Tańczyć shimmy i palić długie cienkie papierosy egzotycznych marek. Dlatego pytam, jak tańczy się shimmy.

Rozumiem.

Rozumiesz, ale nie wszystko. Wrócę do tych fotografii. Jak ona je potem znienawidziła, po drugiej wojnie! Diabli nadali, to jak kataklizm – znienawidziła fotografowanie się, bo nagle *przestała dobrze wychodzić*, wyobrażasz sobie? No, jak

to wyjaśnić – samym tylko starzeniem się? Nigdy! Co tu ma do rzeczy starzenie jako takie? Po prostu kiedy umiera nam w ciągu jednego roku dwóch najbliższych ludzi, to w środku coś się psuje, i *przestajemy dobrze wychodzić* na fotografiach. Zatem w moim dzieciństwie unikała, jak mogła, grupowych i rodzinnych zdjęć, nie mówiąc już o tym, żeby stanęła przed obiektywem sama. Broniła się do końca i mówiła o sobie: „Ta wiedźma zepsuje wam obrazek". Czasem ją jednak zmuszali i nieznośnie długo się czesała, ale i tak nie *wychodziła*. Ostatnie jej zdjęcie zrobione zostało wyłącznie z powodu biurokratycznej konieczności – do radzieckiego dowodu *nowego typu*. Mówiła, że to paszport Baby Jagi. Niesądzone jej było jakoś szczególnie długo z niego korzystać. Drugiego sierpnia osiemdziesiątego drugiego roku po raz pierwszy wyszedłem do pracy w drukarni, a równo po tygodniu – był też poniedziałek – usłyszałem rano słowo „agonia". Wymówił je mój ojciec, został z nią sam na sam i właśnie on obmył ją po śmierci. Mama zadzwoniła do redakcji, stamtąd połączyli się z drukarnią, usłyszałem w słuchawce, że „mogę iść do domu". Po pogrzebie wynieśliśmy z mieszkania kupę gratów i oczyściliśmy przestrzeń dla nowego życia.

Na tym się z nią żegnamy?

Nie wiem, zobaczymy. Na razie zostawimy ją gdzieś tam, na górskiej drodze między *garbami*, niech nigdy nie dojdzie ze swojej Jabłunicy do Worochty, świątecznie ubrana po huculsku, niech tak sobie wiecznie idzie i idzie, niech jej wreszcie będzie dobrze.

W takim razie o drukarni. Właśnie o niej wspomniałeś, więc opowiadaj.

To była nocna praca. Tak mi powiedzieli, kiedy przyjmowali mnie do redakcji. Że trzeba być gotowym na pracę w nocy. Rano czytelnik ma dostać gazetę. O gazetach wtedy mówiło się *świeże* – jak o jajkach. We wszystkich drukowano mniej więcej jedno i to samo, ale z jakiegoś powodu i tak były czytane. I – co jeszcze bardziej dziwaczne – masowo prenumerowane. Zresztą istniał taki sam przymus, jak co do wszystkiego

innego – trzeba było koniecznie prenumerować chociaż jedną radziecką gazetę. Wzorowi obywatele prenumerowali minimum trzy: jedną moskiewską, jedną kijowską i jedną miejscową. Moskiewskie uważane były za najpoczytniejsze, za nimi szły miejscowe, bo tam czasami pisali o znajomych i drukowano w nich nazwiska zmarłych, a najmniej podobały się kijowskie – mówiono o nich „ni pies, ni wydra". Praca w gazecie uważana była za szczególny honor – jakby dzięki niej dopuszczano cię do jakichś pierwotnych i zamkniętych źródeł informacji. Do pewnego stopnia tak właśnie było. Pracując *przy numerze*, mogłem prawie bez wysiłku znajdować te miejsca, które dla – jak to się nazywało? – zachowania tajemnicy państwowej wyławiała i zmieniała cenzura.

To bardzo interesujące, chciałoby się więcej o tym usłyszeć.

Oczywiście, że by się chciało. Słuchaj, niemiecki szpiegu. Zwyczajny numer naszej gazety składał się z czterech szpalt. Za każdą z nich odpowiedzialny był jeden korektor. To znaczy nie tylko on, odpowiadali praktycznie wszyscy, ale korektor odpowiadał za ostateczną wersję, a więc za wszystkie wprowadzone podczas pracy nad szpaltą poprawki. Każdą szpaltę po pierwszej korekcie kurierzy zanosili do cenzora. To był taki całkowicie zakazany gabinet doktora Caligari, nikt nawet nie wiedział, gdzie on się znajduje, i żaden z kurierów nie wyjawiłby jego położenia nawet na torturach, bo oni wszyscy, kurierzy, byli starymi frontowymi żołnierzami i nosili przy sobie służbowe pistolety. Taki to – zamknięty i ukryty przed światem gabinet. Potajemnie mieszkała w nim jaśnie wielmożna pani Tajemnica Państwowa. Zgodnie z opowieściami nielicznych podglądaczy, którym mimo wszystko udało się choćby kątem oka tam przeniknąć, była wpisana do tysiąca grubaśnych talmudów. Zawierały one sekretną listę wszystkich bez wyjątku cząstkowych tajemnic państwowych, które jako cały zbiór stanowiły właśnie zjednoczoną Tajemnicę Państwową. Obowiązkiem cenzora było znajdowanie ryzykownych miejsc w szpalcie i sprawdzanie ich z talmudami – a nuż o tym pisać nie można.

Jak na przykład?

Na przykład nazwy niektórych fabryk. Kiedy popracowałem w drukarni z tydzień, wiedziałem już, że gdy w gazecie napisane jest „jedno z przedsiębiorstw naszego miasta", to chodzi o fabrykę radiową albo „Pozytron". Obydwie produkowały jakieś obronne ustrojstwa, jakieś śrubki do rakiet czy inne podkładki. I nie wolno było o nich wspominać w gazecie, wymieniając nazwy własne. To był cyrk, absolutny cyrk – nawet nie teatr, ale cyrk absurdu! Pięć tysięcy ludzi zapierdala w „Pozytronie", wszyscy wiedzą, że oni tam zapierdalają i że właśnie tak to się nazywa, i że produkują podkładki dla zbrojeniówki, sto tysięcy ludzi codziennie milion razy wymawia to słowo – „Pozytron", nad głównym wejściem to samo świeci taaakimi wielkimi neonowymi literami, że z kosmosu widać, i cała dzielnica miasta tak się nazywa, a w gazecie za nic nie można tego słowa wymienić!

Możliwe, że im się wydawało, że tę waszą gazetę ktoś codziennie czyta w Waszyngtonie?

Właśnie tak im się wydawało. Nie, najśmieszniej by było, jeżeli wcale im się nie zdawało. To znaczy, jeżeli ją naprawdę tam czytali. Tak właśnie to widzę: spec od białego wywiadu w labiryntach CIA z rana otwiera kolejny, wciąż jeszcze *świeży* numer naszej gazety, przebiega oczami szpaltę za szpaltą i mówi do asystenta przy sąsiednim biurku: „O, znowu o frankowskim «Pozytronie»". „A skąd wiesz?" – asystent podnosi głowę znad fotek gołego Fidela w otoczeniu delfinów. „Bo tutaj jest napisane «jedno z przedsiębiorstw naszego miasta»" – wyjaśnia spec od białego wywiadu i z zadowoleniem zakreśla wspomniane miejsce różowym szpiegowskim markerem.

Dlaczego marker jest właśnie różowy?

Nie wiem, jakoś tak mi się powiedziało. Aha, już wiem – to kolor optymizmu! A agenci CIA zobowiązani są być optymistami, w innym wypadku po diabła są potrzebni? Dobrze, chodzi jednak nie o markera, ale o to, że czasami cenzura przekraczała granice wszelkich czysto obronnych tajemnic.

Na przykład kiedyś przygotowywaliśmy artykuł jakiegoś historyka i cenzor zażądał, żeby określenie „mongolscy Tatarzy" zamienić na „ordę". Rozumiem to tak, że nie wolno było obrażać bratniej Mongolskiej Republiki Ludowej ani jej lidera, towarzysza Jumdżagijna Cedenbala, osobiście, ani tym bardziej bratniej Tatarskiej ASSR. W ten sposób dozwolone było wiedzieć, że w XIII wieku na Ruś Kijowską napadła pewna *orda*, natomiast to, że ta *orda* składała się tak naprawdę z *mongolskich Tatarów*, było tajemnicą państwową. Ktoś napadł, ale kto właściwie – tajemnica.

Mam wrażenie, że w tej nocnej pracy do woli się naśmiałeś.

Wszystko bywało, jak wyrażają się bohaterowie ukraińskiej klasyki. U nas o takich wypadkach mówią, że już nawet nie *śmiał się*, ale *rżał*. Wiesz, w cenzorach najbardziej podobało mi się to, że oni na równi z redaktorem naczelnym podpisywali każdy numer gazety, ale anonimowo.

Jak można podpisać się anonimowo?

Szyfrem. Każdy cenzor w każdym numerze gazety umieszczał swój osobisty szyfr składający się z dwóch liter i, zdaje się, pięciu cyfr. Niewtajemniczeni po prostu nie mogli zwrócić uwagi na jakieś tam ВС 17354 w prawym dolnym rogu ostatniej szpalty. Dla wtajemniczonych to był osobisty podpis cenzora. O, mam o tym historię. W jednym z tych opowiadań, które pisałem w wojsku – nazywa się ono *Święto czynnej obserwacji* – bohater, właśnie zdemobilizowany z Afganistanu chłopaczyna, wlecze się do domu z całodziennej wędrówki, pijany i chyba pobity przez jakichś knajpianych ochlapusów. Niby że jeszcze tego samego dnia próbował przelecieć żonę jednego z tych kolesi, na dodatek nic i tak mu się z nią nie udało, bo, jak wynika z kilku aluzji, wrócił z Afganu jako impotent, ale nie o to chodzi – te palanty i tak go pobiły, późnym wieczorem w parku zmieszali go całkowicie z błotem. Teraz wlecze się do domu, noc, puste miasto, on pijany, zmiażdżony, nikomu niepotrzebny z tym swoim penisem i samotny. Jasne było, że *przed wojną* pracował w drukarni. A teraz właśnie przechodzi obok tej drukarni i widzi, że na

całe miasto jest tylko jedno jedyne okno, w którym się świeci. Na całym świecie – jedno okno, wyobrażasz sobie? Jedno okno w całej bezgranicznej nocy. I wtedy dociera do niego, że to okno cenzora, który właśnie szykuje się do podpisania ostatniej gazetowej szpalty i wypuszczenia jej w świat. Podpisze ją – i nastanie jutro. Taka życiodajna koda. Przy czym właśnie tak napisałem: „okno cenzora ВС 17354". Oczywiście, nawet nie miałem zamiaru myśleć o publikacji tych opowiadań – one przecież tak naprawdę nie były wojskowe, tylko antywojskowe. Kiedy wróciłem z wojska pod koniec osiemdziesiątego czwartego roku, z rozkoszą przepisałem je na mojej ukochanej maszynie w dwóch egzemplarzach i jeden z nich podarowałem Rostikowi, a drugi pokazałem Riabczukowi. Ten puścił je po Kijowie luzem, więc od czasu do czasu docierały do mnie wieści o kolejnym wdzięcznym czytelniku. W ten sposób te teksty krążyły między załogą przez kilka lat. Ale to były bardzo dynamiczne lata – pierestrojka i różne takie. No, sam wiesz. Nawet się więc nie zorientowałem, jak latem osiemdziesiątego dziewiątego ich druk stał się możliwy – z jakiegoś powodu w charkowskim piśmie „Prapor". Bardzo cieszyłem się z tej publikacji. Tym bardziej że w moich tekstach absolutnie niczego nie zmieniono. Oto jak daleko już zaszliśmy w naszym demokratycznym przyzwoleniu na wszystko! Cenzor się nie wtrącał, wyobrażasz sobie?! Z wyjątkiem jedynej rzeczy: usunął z tekstu o cenzorze cenzorski szyfr. Z tego wynika, że to była najostatniejsza z ostatnich Tajemnica Państwowa, której nie wolno było rozgłaszać, nawet w warunkach najbardziej rozwiązłej *głasnosti*.

Na czym w końcu polegała twoja praca?

Nazywali mnie *redaktorem odpowiedzialnym*, to znaczy musiałem ciągle być w gazetowej części drukarni i pilnować przebiegu *procesów technicznych*. To wszystko działo się jeszcze przed erą komputerów i technologie były na poziomie dobrej starej Anglii ery wczesnego kapitalizmu: linotypy, ręczne składanie szpalt, czytanie ze szczotek, druk z matryc

i takie różne. Chodziłem po łokcie upaprany czarną farbą drukarską, mój fartuch roboczy można by teraz wystawiać w muzeum historii drukarstwa – ile na nim tego wszystkiego osiadło, ile się w niego, kurwa, wżarło. Udane wydanie gazety zależało przede wszystkim od grupy pracowników drukarni, z którymi zmuszony byłem żyć na co dzień w wielkiej ludzkiej przyjaźni i zgodzie, to znaczy co jakiś czas podszczypywać cycki linotypistek i chlać w szatni z metrampażami. Wiesz, kto to tacy metrampaże?

Czytałem o nich.

To dobrze. Od metrampaży zależało straszliwie dużo i zachowywali się jak robotnicza arystokracja. Nawet Lenin pisał o tym, że pracownicy drukarni są najbardziej oświeconą warstwą klasy robotniczej, awangardą awangardy. Najbardziej zacofaną, à propos, są według Lenina górnicy i tutaj się z nim zgodzę. No tak – metrampaże. Gazetowe tytuły składali własnymi rękami. Przy czym nie ponosili żadnej odpowiedzialności za błędy – cała spoczywała na korektorach. Dlatego metrampaże lubili pożartować i dopuszczali się w tytułach umyślnych błędów. Powiedzmy, zamiast „Jadą, jadą komsomolcy" pisali „Jebią, jebią komsomolcy". Być może to były takie drobne formy pokojowego sprzeciwu wobec Systemu, czy raczej sabotażu. Dlatego korektorzy – ich za takie rzeczy potem naprawdę jebali, tyle że nie komsomolcy, ale prawdziwi partyjni komuniści, czyli całkiem po dorosłemu ich za to jebali – wymyślili specjalną procedurę powtórnego czytania samych tylko tytułów przed podpisaniem szpalty. Przy tym czasami głośno jęczeli, wzdrygali się, łapali za serce i sinieli w oczach. Ale za moich czasów to było już nic takiego, dziecięce gaworzenie. W moich czasach za błędy korektorskie już nie rozstrzeliwali i na Sybir nie zsyłali. Jednak w zbiorowej korektorskiej pamięci zachowały się przerażające legendy lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Kiedy na przykład wychodził numer, w którym w tytule zamiast STALIN stało SRALIN. Albo nawet nie SRALIN, ale STARIN. Albo wstępniak o konieczności konsekwentnej

walki ze szkodnikami pól, różnymi tam susłami i bobakami. W tytule miało być NISZCZ GRYZONIA, a było NISZCZ GRUZINA. Dziesięć lat gułagu za tego typu grę słów, nie mniej. Tak przynajmniej oceniał to starszy korektor Wołodymyr Iwanowycz, a był naprawdę starszy, bo nieprzerwanie pełnił gazetową służbę, zdaje się, od jakiegoś 1946 roku. Strach pomyśleć! Jestem pewien, na sto procent wiem, jakie koszmary śniły mu się przez całe życie! I przez co budził się zlany zimnym potem.

A coś z twoich własnych doświadczeń?

Nie, to już nie wyglądało tak dramatycznie. Okej, ot taka fraszka. To zdarzyło się w jednym z numerów po śmierci Czernienki. Znasz takiego czy nie?

Przypomnij.

Był sobie taki stary, bardzo stary sekretarz generalny, który niby kierował całym krajem, a tak naprawdę rok swoich rządów przeleżał nieprzytomny. No, może niezupełnie nieprzytomny, ale niewiele brakowało. W każdym razie poruszał się już tylko w pampersach – to na pewno. No i umarł. A to oznaczało wszystkie ręce na pokład, specjalne numery, pracę po osiemnaście godzin na dobę i całą tę boleść. No właśnie – boleść! Nigdy nie zapomnę, jak do drukarni wpada dyżurny mechanik Pawło Antonowycz – człowiek leciwy i pełen godności, weteran drukarni – i spod szkieł jego okularów promieniuje tyle jednostajnego pogodnego światła, że staje się zrozumiałe: Pawło Antonowycz zdążył przyjąć nie mniej niż trzy setki. I dlatego cały ten dyżur, mówiąc szczerze, mu zbrzydł. Mówi więc: „Może pójdę do domu, linotypy nasmarowane, maszyny jak zwierzęta, po co mam tutaj siedzieć?". A ja mu na to: „Cholera wie, Antonowyczu, a nuż coś się zdarzy? Niech pan zostanie z godzinkę, dwie, bo przecież dzisiaj *bolejemy*". A on się na to zdenerwował i mówi: „Przecież ja też, kurwa, boleję! Ale lepiej będę w domu boleć!". To jego „kurwa, boleję" tak mi się spodobało – przede wszystkim z punktu widzenia poetyki, że go oczywiście od razu puściłem. Ale opowiadałem o czymś innym.

O tytułach.

No tak. Czernienko umarł – i we wszystkich gazetach pierwsze trzy szpalty poświęcone były wyłącznie jego pogrzebowi. Sprawozdania, artykuły o ogólnoświatowym historycznym znaczeniu jego osoby, telegramy z kondolencjami i poparciem od górników, kombajnistów i Murzynów z RPA. Czwarta szpalta zostawała wolna i na nią, jak to się nazywało, zrzucamy zapas – czyli wszystkie inne materiały, sport, pogoda, kino, przeglądy międzynarodowe i różne takie. Między innymi jakiś felieton sprzeciwiający się jakimś poprawkom w amerykańskim prawodawstwie – taki dobry, ideowy, cięty felieton. Wstawiamy go, posyłam kuriera ze szpaltą do redakcji, mija dziesięć minut – i dzwoni telefon. À propos, mój aparat nie miał tarczy, połączony był tylko bezpośrednio z sekretariatem. Dzwoni telefon – i spłoszony głos sekretarza redakcji z całych sił wdziera się do mojego ucha: „Widziałeś?!!". „Co takiego" – pytam. „Widziałeś tytuł tego jebanego felietonu?!!". „Normalny tytuł – odpowiadam, trzydziestka szóstka, czcionka Bałtika". „Jaki normalny, jaki normalny?" – uniósł się sekretarz. Czytam głośno: „POGRZEB DEMOKRACJI". „Otóż to, kurwa – krzyczy sekretarz – pogrzeb demokracji, a my mamy pogrzeb towarzysza Czernienki!!!!!". I wiesz, jego panika nie była całkowicie bezpodstawna – System na każdym kroku wykrywał jakichś wewnętrznych wrogów, rezydentów, jacyś anonimowi kontrolerzy, jeszcze bardziej anonimowi od cenzorów, zajmowali się tylko tym: Czytali wyłącznie tytuły, zestawiali je z innymi tytułami, ogólnym kontekstem, tematami dnia, ideologicznymi aberracjami, a nuż przez cały ten rządowy bełkot przedostanie się między wierszami jakaś herezja! I wszystko po to, żeby wyłapać w końcu, wyprowadzić na prostą drogę tych banderowskich skurwysynów dywersantów, którzy tylko marzą, jak by tu w tytule oficjalnej gazety znienacka ogłosić tajemne hasło do zbrojnego powstania.

A jak było z pogrzebem poprzedniego genseka?

Andropowa?

Zdaje się, że tak. Pamiętam tylko, że oni jakoś szybko umierali, jeden po drugim.

Nie, Andropowa nie chowałem – właśnie wtedy służyłem w wojsku. Pamiętam, jak staliśmy na mrozie podczas zmiany warty i Połkacz postanowił uprzedzić nas, że tej nocy powinniśmy być szczególnie czujni, bo „w związku ze śmiercią towarzysza Andropowa możliwe są różne prowokacje". Wyobrażasz sobie? Prowokacje w lesie pod Hajsynem! Aż wszyscy, słysząc to, parsknęli, a on jeszcze wściekle mrugał swoim sztucznym okiem i warczał: „Smirrrna, priestupniki! baczność!". Nie chowałem Andropowa, za to w osiemdziesiątym drugim chowałem Breżniewa. I to było cudowne.

Cudowne?

Cud polegał na tym, że on umarł. Wyobraź sobie, całe moje świadome życie do tego momentu to był okres jego rządów. Osiemnaście lat! 6570 dni i nocy! I żaden z tych 6570 dni nie mógł się obejść bez jego obecności. O nocach w ogóle milczę. On już nie mógł nie wydawać się kimś wiecznym, taką konstantą istnienia. Można powiedzieć, że się z nim zżyliśmy. Ułożono o nim milion dowcipów, o jego sklerozie i uwiądzie. Wszyscy wiedzieli, jaki jest stary i jakie ma szkodliwe nałogi. Jak śmierdzi mu z paszczy i z rozporka. Można było się z niego nabijać. Tysiące ludzi umiało naśladować jego głos i parodiować jego przemówienia. Stało się to częścią folkloru. Był naszym Królem Karnawału. Czyli Błaznem. Nazywano go Lonia i szczerze mówiąc, nie lubiano. Ale tak jakoś się z nim zżyliśmy, jak zżywa się z nieuniknionym i nie najgorszym jeszcze złem. Cmoktał najdroższe koniaki i aż trząsł się do nowiutkich mercedesów. Dlatego socjaldemokratyczny rząd ówczesnego RFN z takim sukcesem prowadził swoją Ostpolitik – po prostu zalewali go koniakami i co sezon dawali mu w prezencie najnowszy model merca. W ten sposób powstrzymywali radzieckie zagrożenie militarne. Lonia uwielbiał sam siadać za kierownicą, przeważnie w nocy, i rozpędzać się na moskiewskiej Okrężnej

do maksymalnej prędkości. Wyobrażasz sobie – porażony sklerozą i wewnętrznym gniciem półtrup pędzi środkiem pasa pod prąd sto osiemdziesiąt kilosów na godzinę? Każdy z tych staruszków miał swoją szajbę. Dla Loni to były koniaki i merce, dla Kosygina – jazz. Kosygin miał największą w zetesererze kolekcję muzyki jazzowej. Susłow natomiast był fanem włoskiego kina, przede wszystkim Felliniego. Oczywiście, jako pierwszy oglądał wszystkie jego filmy i wtedy właśnie decydował, które sceny trzeba z nich powycinać. Ale dla siebie – i tutaj wołajmy o pomstę do nieba – zachowywał pełne, niepocięte wersje.

Skąd o tym wiesz?

Dobre pytanie. Jak teraz mówią u nas „z różnych dobrze poinformowanych źródeł, z których każde pragnęło zachować anonimowość". Jakoś tak, jeśli się nie mylę, 10 listopada odprowadziłem Ninę na porodówkę – miała rodzić Sofiję – a kiedy wróciłem, zastałem w domu ojca. Stał przy radiu i słuchał muzyki symfonicznej. Coś jest nie tak, pomyślałem sobie. Dlaczego nagle słucha na stojąco muzyki symfonicznej, jeśli on jej nigdy, nawet siedząc, nie słucha? I okazało się, że on jej jednak nie słucha, ale po prostu czeka na jakieś informacje, bo właśnie zadzwonił do niego stary kumpel Kubyk i powiedział, że niby to umarł Breżniew. Stałem więc razem z ojcem i od tego momentu już słuchaliśmy, a raczej nie słuchaliśmy tej muzyki symfonicznej we dwóch. I od czasu do czasu któryś z nas mówił głośno: „niemożliwe". Albo: „no, kurwa, nieźle". I wreszcie wszystko się potwierdziło. Muzyka zamilkła i szczekaczka prawdziwie drżącym głosem spikera Lewitana powiadomiła, że kumpel ojca, Kubyk, miał rację. O drugiej po południu przyszedłem do pracy, do drukarni, ale okazało się, że nie ma z czego robić gazety – sparaliżowana rozpaczą Moskwa nie przysłała teleksem ani jednej strony, starszyzna z biura politycznego nijak nie mogła ustalić między sobą, w jaki sposób teraz to wszystko ogłosić, a może z trudem do nich docierało, że ich koleżka Lonia nagle się przekręcił, nie wiem. Połaziłem trochę po drukarni,

walnęliśmy w przebieralni po sto pięćdziesiąt gram z Pawłem Antonowyczem i Ferlejem, a potem zadzwonili z redakcji. Zwolnili nas do późnego wieczora, było jasne jak słońce, że będziemy tu siedzieć przez całą noc do rana. I to nie jedną noc, ale minimum trzy, cztery, aż wszyscy *przebolejq*. Pobiegłem z powrotem do domu i przez całą drogę myślałem, jak wszystko się wykurwiście ze wszystkim zbiega: Nina ma rodzić nasze dziecko i tyran umarł, i zapada głucha listopadowa ciemność, i to jest oddech Historii.

Aż tak?

Nie inaczej. W tych śmierciach genseków, a przede wszystkim Breżniewa, była jakaś nieprzekazywalna poezja. Wiesz, jego pogrzeb, całą ceremonię, tv nadawała na żywo. I kiedy trumnę z kwintalem jego ciała składano już w ziemi, jakoś tak się zsunęła, zerwała z pasów czy co, słowem, całą swoją masą łupnęła o dno grobu, aż zmrożone powietrze westchnęło i zahuczało, a potem westchnęło i zahuczało w milionach telewizorów na terenie całego kraju – aż nawet zatwardziali ateiści trzykrotnie splunęli i się przeżegnali. Ale wątpliwe, czy któryś z nich w tym momencie zrozumiał, że upadek trumny jest tak naprawdę początkiem upadku imperium.

Tylko ty to zrozumiałeś?

Ja? Gdzie tam! Pamiętam tylko cały czad tych dni, a raczej nocy. Do pracy przychodzisz o czwartej, piątej po południu, a wyłazisz z niej o siódmej, ósmej rano. W domu padasz spać, budzisz się po południu, myjesz zęby, niesiesz paczkę na porodówkę i znów zasuwasz do pracy. Chociaż te poranne powroty nie mogły nie cieszyć. Idziesz, a wszyscy ludzie, tacy wściekli i niewyspani, suną ci na spotkanie i wszędzie flagi z czarnymi wstążkami, ale nawet nie o to chodzi, tylko o to, że wszyscy ludzie właśnie idą do pracy, a ty już z niej wracasz i zaraz zwalisz się w swoje zielone zatoki z wodorostami, i tyle cię widzieli. W ogóle mi się to podobało – mieć nocną pracę. To, że nie trzeba rano wstawać, a raczej odwrotnie – trzeba kłaść się o świcie. I jakiś taki jazz nocy w neonowym świetle pustych korytarzy drukarni. A także niezliczone prze-

rwy na papierosa z uczonym metrampażem Saszą. Jak i to, że dni wolne miałem w środy i niedziele. Dlatego tydzień pracy wydawał się o wiele krótszy: poniedziałek, wtorek – i hopla! – wolne. A potem czwartek, piątek, kawałek soboty – hops! – znowu niedziela. Wolne środy pokochałem ze szczególną czułością. Nauczyłem się nie tak po prostu chodzić w środy po mieście, ale chodzić i wierszować. W tych czasach nie zaczynałem zapisywać wiersza, aż w całości nie ułożył się we mnie w środku.

Nie bałeś się, że zapomnisz?

Nie bałem się, bo wszystko opierało się na rymach. I zaczynało się od nich. Nie mogłem zapomnieć rymów, a potem z łatwością odtwarzałem wszystko, co mieściło się między nimi. Nade wszystko lubiłem włóczyć się ulicami ze starą zabudową, obok wszystkich tych typowo frankowskich jednorodzinnych domków, półwilli, pseudopałacyków, secesji, empiru. O, à propos, masz tu na przykład: „Błąkam się po mieście z empirem, secesją, | aż słowa wiersza stają się obsesją". Jak można zapomnieć ten rym: *secesja – obsesja*? Niezły rym, nieprawdaż?

Ty wiesz lepiej.

Otóż to. To był dziwny czas – w tym sensie, że zacząłem odkrywać dla siebie Franka. Nie miałem gdzie się poza nim podziać, musiałem więc nauczyć się widzieć jego atrakcyjność. Okazało się przy tym, że nie muszę jej wymyślać – ona istnieje. Ale jest nieco ukryta. Musiałem wyolbrzymiać każdą architektoniczną drobnostkę, a Franek, czyli stary Stanisławów, w całości składa się z architektonicznych drobnostek – każdą z nich musisz dla siebie odkryć, wydzielić z ogólnie niewyraźnego tła i rozdmuchać do rozmiarów mitu. Spróbujmy jeszcze raz: „Błąkam się po mieście z empirem, secesją, | aż słowa wiersza stają się obsesją. | Słowa o bramach, kominach i dachach, | gankach, werandach, balkonach i strychach". Nie wątpię, że to o Lipowej, czyli ulicy Szewczenki. Albo o ówczesnej Majakowskiego. To tam przez okna zaglądałem w „ciche jeziora mrocznych pokoi". Mieszkali tam przeważ-

nie rosyjskojęzyczni: jacyś oficerowie z rodzinami, generałowie, wszelkie naczalstwo – ci, dla których my przez pół wieku po ich osiedleniu pozostawaliśmy *miestnymi*. Nie zdziwiłbym się, gdyby ich wnuki jeszcze dziś używały tego słowa, mówiąc o rodowitych mieszkańcach Galicji – *miestnyje*. Nie ma w nim niby niczego pejoratywnego – okej, *miestnyje* nie znaczy *trzygłowi* ani *rogaci*, ani *czworonodzy*. Miestnyje – to tylko miejscowi. Ale zgódź się, że to sposób na określenie obcego – czyli sposób na oddzielenie się.

A jak wy ich nazywaliście?

O, to była odpowiedź niesymetryczna! My nazywaliśmy ich Moskalami.

Czyli już otwarcie pejoratywnie?

Okazuje się, że tak. Być może było to prawo gnębionych.

A jak oni was gnębili?

Zaraz, niech pomyślę. Trzymali nas w stanie zawieszenia. Z zewnątrz niby żadnej dyskryminacji nie było. Ale...

Zamyśliłeś się?

Momencik. Krążę wokół i nie mogę znaleźć właściwych słów. No tak. Trzymali nas w stanie zawieszenia, dlatego że doskonale odczuwali naszą potajemną niechęć do Systemu. System należał tylko do nich, nie był naszym wspólnym. Korzystali ze znacznie większych możliwości kariery, do których, co prawda, niekiedy dopuszczali kogoś z nas, ale jedynie w wypadku ostatecznego skurwienia.

Na czym polegał ten stan zawieszenia?

To było coś na kształt: my z wami po dobremu, póki siedzicie cicho i łykacie swoje smarki, ale kiedy tylko kwiknie cie, to my wam pokażemy, kto tu rządzi. Przy czym oni nie zawsze zachowywali się po dobremu. To tylko im się tak zdawało.

Możliwe, że rozumiem, co chcesz powiedzieć. Dobrze. Ta codzienna monotonia – do drukarni i z drukarni – nie doskwierała ci?

O ile pamiętam, nie za bardzo. Był we mnie jednak sprzeciw. Wychadzałem w sobie wiersze, a potem zapisywałem je w specjalnym notesie. Dzięki narodzinom Sofijki zyskałem

jeszcze jedno – nazwę to tak: mistyczne potwierdzenie tego, że jestem szczęśliwym człowiekiem. W środy wychadzałem wiersze już nie sam, ale w jej towarzystwie. Spała w wózku, prowadziłem go przed sobą i łapałem miłosne spojrzenia wszystkich bez wyjątku przechodniów. Lubiłem też nocą wracać z drukarni. Trwało to prawie pół godziny, zawsze szedłem piechotą wymarłymi ulicami Czapajewa, Wasyliewa i Moskiewską. One wszystkie teraz nazywają się inaczej. Gdy szedłem, układała się we mnie zwrotka, czasem dwie. Niekiedy na kogoś się natykałem. Nocni ludzie przeważnie proszą o to samo – papierosy i ogień. Przez wszystkie te lata rozdałem w nocy dobrą setkę papierosów i nie mniej razy dawałem komuś odpalić. Kiedyś na rogu Czapajewa i Puszkina spotkałem starą kobietę – z rozczochranymi włosami i w poszarpanym szlafroku narzuconym na koszulę nocną. Nie pamiętam, co miała na nogach. Nie pamiętam też, jaka była pora roku, ale pamiętam, że było zimno. Jakaś wariatka. Możliwe, że tej nocy uciekła z psychiatryka. Zatrzymała mnie i zaczęła wypytywać: „Niech pan posłucha, niech pan posłucha, gdzieś tu, gdzieś tu mieszkał ten...". Trochę się stropiłem, ale jednak wydusiłem: „Kto, kogo pani szuka?". Otworzyła szeroko oczy i milczała. Nie rozumiała, o czym mówię. Pomyślałem sobie, że może to nie żadna wariatka, ale jawa. Figura z najdelikatniejszych materialnych cząstek. Wyrwałem do przodu, a ona została. Gdzieś po stu krokach obejrzałem się – wciąż tkwiła w miejscu i patrzyła moim śladem. W ogóle ci starzy szaleni ludzie – to karma Galicji. Do dzisiaj, zdaje się, już powymierali. Ale dwadzieścia lat temu trafiali się na każdym kroku. Dobrze, nie o tym miało być. Mówiłem o zaletach nocnej pracy. À propos, w środę rano mogłem pojechać do Riabczuka do Lwowa pociągiem z Rachowa i wrócić dopiero w czwartek o północy kijowskim.

Od czego to wszystko się zaczęło?

Przedstawił nas sobie Turek – ten sam przyjaciel z dzieciństwa. Wszystko zapowiadało się jak postscriptum, a okazało się prologiem. Właśnie wyjechałem na zawsze ze Lwowa,

kiedy on sam do mnie przyszedł. Turek należał do zupełnie wyjątkowego towarzystwa, które składało się przede wszystkim z artystów. Żaden z nich nie był i nie chciał się znaleźć w oficjalnym obiegu. Żaden z nich nie przekroczył trzydziestki. Nie, jaka tam trzydziestka – znacznie młodsi byli, wielu i dwudziestu pięciu lat nie miało, fenomeny, wunderkindy, dzieci kwiaty i różne takie. Jeszcze raz wszystko zawirowało we mnie przez artystów. Którejś wrześniowej niedzieli wyrwałem się do Lwowa ze swoim zapisanym wierszami notesem. Właściwie nawet nie notesem, ale taką ręcznie pisaną książką w twardej oprawie, która nazywała się „KNIGA DLA ZAPISEJ". Kiedyś ci ją podaruję. Pod koniec dnia mieliśmy dotrzeć do Riabczuka, odważyłem się pokazać wszystko, co miałem. No i Turek prowadzał mnie po swoich kumplach, i robiło się nas coraz więcej: Koch, Szymin, zdaje się, Krycki. Czy Juzefiw? Tak, raczej Juzefiw. Kaufmana jakoś nie było, zobaczyłem go pierwszy raz dopiero na imprezie noworocznej w osiemdziesiątym piątym i pomyślałem: o, jeszcze jedna bestia, i to jaka! Prawdziwego masz rybojaszczura. Ale tego dnia musiałem przez cały czas reagować na Kocha. Zachowywał się na sto dwadzieścia procent artystycznie i do tego jak studwudziestoprocentowa bohema, co i rusz dopadając mnie znienacka. Przez cały dzień nie wymówił ani jednej zwyczajnej frazy i przy tym jedyne, co robił, to nie milkł. Pamiętam, jak weszliśmy do mieszkania jego rodziców w starym domu – przy ulicy Franki – z różnymi kupidynami i bez uprzedzenia sczezł w labiryntach tego mieszkania. Rozbiegliśmy się po pokojach, z całych sił go nawołując, trwało to w cholerę czasu. Czyhał na mnie w najdalszym z pomieszczeń – na drzwiach wisiała tabliczka „LABORATORIUM" (łacińskim alfabetem), tam zazwyczaj pracował, słuchał muzyki i pił wytrawne wino, które przenosił przez resztę pokoi na oczach rodziców w czajniku. Kolejny raz wyskoczył na mnie z zasadzki – przyczaił się w najciemniejszym kącie pokoju i nagle wyleciał mi na spotkanie, zrywając się na równe nogi z krzykiem: „Gdzie moje paznokcie,

mamo?!". Udałem, że nic się nie stało. Po godzinie, może dwóch, kiedy tylko się ściemniło, ruszyliśmy do Riabczuka na Kawaleryjską. Dopiero tam Koch po raz pierwszy w czasie naszej znajomości zaczął zachowywać się – jak by to określić? – odpowiednio. Ale i bez tego wiedziałem, że Riabczuk jest dla nich wszystkich absolutnym guru – dlatego mnie do niego przyprowadzili.

Skąd się to wzięło? Mam na myśli – dlaczego został guru?

Po pierwsze, był we wszystkim potwornie przekonujący, we wszystkim – zarówno w swoich artykułach, jak i w rozmowach. Polemizowanie z nim było beznadziejne, jego należało wyłącznie słuchać. Miał w tym czasie dwadzieścia dziewięć lat, to znaczy był też fizycznie starszy od reszty towarzystwa, a to w tym wieku różnica znacząca, pomiędzy dwudziestoma dziewięcioma i, powiedzmy, dwudziestoma dwoma latami. To nie to co czterdzieści pięć i trzydzieści osiem – wtedy nie ma już praktycznie żadnej różnicy. Pomiędzy dziewięćdziesiąt i osiemdziesiąt trzy – tym bardziej. No i tak, był starszy i bardziej doświadczony, można było się go poradzić na każdy temat na świecie, bo on do tego czasu zmienił już z dziesięć różnych zawodów, trzy razy się żenił i rozwodził; mieszkał jako samotny adept taoizmu w starej zapuszczonej willi na Majerówce, z równie zapuszczonym ogrodem i nie mniej zapuszczonymi starymi sąsiadami. Był całkiem przezroczysty od ascezy (ktoś inny powiedziałby, że aż świecił), codziennie stawał na głowie i prawidłowo, zgodnie z Nauczaniem, oddychał, żywił się wyłącznie postnym ryżem bez soli. W tym czasie jego artykuły o literaturze zaczęto publikować i stopniowo zyskiwał autorytet nie tylko w undergroundzie. Aha, herbata miętowa – pił dużo miętowej herbaty. Jego dwupokojowe mieszkanie w tej willi przedstawiało sobą dość intensywną mieszaninę wszelkich rzeczy, ułamków, ale przede wszystkim zagracone było książkami, gazetami i rękopisami. Książki zaczynały się od progu i nigdzie nie kończyły. Trzymał je nawet w lodówce. Gdyby nie książki, toby nie wiedział, po diabła mu ta lodówka potrzebna. Mówią, że

niby tam, w lodówce, miał przypięty do tylnej ścianki, wycięty z gazety, portret Breżniewa. Nazywało się to *mały Sybir*. Już parę lat wcześniej jego mieszkanie stało się taką minikomuną dla ówczesnego undergroundu: Morozow, Łyszeha, Czemodan, Kaktus. Tego ostatniego nigdy w życiu nie widziałem, do dzisiaj. Ale wiem, że był taki, wyobrażasz sobie? Zdaje się, właśnie on namalował na ścianie tego squatu wykurwiście wciągający fresk przedstawiający wszystkie wymienione osoby – siedzą, kudłaci i nieogoleni, jak apostołowie, a na stole mają czerwone wino i rybę. Nie pamiętam, czy mieli aureole, ale przypuszczam, że to całkiem możliwe. To mieszkanie stało się kryjówką. Każdy z nich znosił do domu Riabczuka wszelkie graty – zależnie od tego, z czego w tym momencie żył i skąd się dało coś podwędzić. Pamiętam tabliczkę „EKSPONAT RESTAUROWANY". Pamiętam też „SALA DLA WCZEŚNIAKÓW" – wynikało z tego, że swego czasu któryś z gości tego schronienia zarabiał na życie położnictwem. Teraz rozumiesz, dlaczego Mykoła Riabczuk był absolutnym guru?

Uznajmy, że tak.

Zdaje się, że w osiemdziesiątym czwartym roku zamienił te dwa pokoje na coś innego – zanim w ogóle przeprowadził się do Kijowa. Nie wątpię, że fresk został od razu zamalowany. I w ogóle wszystko stamtąd wywietrzono, cały ten aromat. A jakie mogłoby z tego wyjść muzeum, ha? Muzeum lwowskiego undergroundu lat siedemdziesiątych. Jestem pewien, że na przykład ten fresk byłby po prostu bezcenny. Albo ta lodówka.

Wspominałeś książki i rękopisy. Co dokładnie?

Jeszcze tego pierwszego wieczoru odkryłem jedną z niezmiennych cech Riabczuka – on zawsze daje ci coś do czytania. Takiego stuprocentowego przywiązania do tekstów, takiego narkotycznego od nich uzależnienia nie spotkałem więcej nigdy i nigdzie. Wchodziłeś do niego do domu i w tym momencie zasypywał cię całego czymś wydrukowanym. Najczęściej jednak maszynopisami. Były jak jesienne liście, które

właśnie w tych dniach zaczynały spadać z drzew. Wydaje mi się, że przechowywał wszystko. Wszystko, co pisane było na Ukrainie po ukraińsku i nie miało szans w normalny sposób się ukazać. Kałyneć? Proszę bardzo! Worobiow? Mówisz i masz! Stus? Oto i on. Hołoborodko. Sawczenko. Kordun. I tak dalej – dziesiątkami, domowej roboty książeczki albo po prostu całe stosy tekstów przepisanych na maszynie przeważnie na papierosowej bibule. Jeśli trafiła ci się dziesiąta przebitka, to nie można było przeczytać tekstu. Ale można było dotykać go palcami i wciągać nozdrzami wszystkie jego zabronione zapachy. Tego wieczora z dziesięć razy słyszałem słowo „Czubaj". Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim poecie, a oni wszyscy nieustannie go wspominali – Czubaj to, Czubaj tamto, jego cień, w sposób oczywisty, krążył wokół willi Riabczuka na Kawaleryjskiej.

Cień?

Poeta Hryhorij Czubaj – wszyscy oni mówili o nim *Hryćko* – umarł w maju osiemdziesiątego drugiego roku. Wtedy mieszkałem jeszcze we Lwowie. A moja pierwsza wizyta u Riabczuka, jak już zostało powiedziane, zdarzyła się we wrześniu – od śmierci Czubaja nie minęły cztery miesiące. Jasne, że nijak nie mogli się go nawspominać. Siedzieli i powtarzali: „Wyobrażasz sobie, Hryćko, umierając, miał trzydzieści trzy lata!". Dla mnie wówczas znaczyło to, że automatycznie był wielkim poetą. Właśnie wtedy dostałem do czytania teczkę z jego wierszami i poematami, jednym z pierwszych jego tekstów, na które trafiłem w tym życiu, była *Nasza jesień z małymi drzewami*. Przytarabaniliśmy tam kilka butelek białego wytrawnego, do tego podano oczywiście miętową herbatę, i kiedy wszystko to chłeptaliśmy, Riabczuk czytał nam jakieś swoje najnowsze opowiadanie. Było realistyczne, ale nie socjalistyczne. Nie pamiętam, żeby potem je opublikował – być może po jakimś czasie sam uznał je za nie dość dobre. To było o jakimś typie, który zatrudnił się dla zarobku na kolei. Coś takiego. Riabczuk znał wszystkie te historie, bo zdążył popracować we wszelkich takich

zawodach – układał tory na kolei, był oświetleniowcem w teatrze. Jednak w tym czasie załapał się już do muzeum ateizmu. Aha, no i już wiadomo, skąd ten „EKSPONAT RESTAUROWANY"! Miał tam jakąś posadę. Buddysta w muzeum ateizmu.

Buddyzm jest właśnie najbardziej wyrafinowaną formą ateizmu.

W takim razie wszystko w porządku. Chociaż istnieją na to różne spojrzenia. Tego wieczora też zostałem zmuszony do głośnego czytania – rzecz jasna z mojej „KNIGI DLA ZAPISEJ". To oczywiste, że czytałem skrajnie źle – ze zdenerwowania mój głos łamał się i stawał bełkotliwie nosowy jednocześnie, cała banda słuchała mnie najpewniej przez grzeczność. Dlatego nikt z nich mnie nie wygwizdał. Riabczuk poprosił, żebym zostawił „KNIGĘ DLA ZAPISEJ" u niego i zadzwonił za tydzień, dwa. Do Franka wróciłem nazajutrz całkowicie oszołomiony. Jakby porządnie dali mi po łbie. Okazało się, literatura nie tylko mogła być inna – ona była inna. To była prawdziwa lawina nielegalnych rzeczy, wszystkie te maszynopisy, a również jakimś cudem swego czasu wydane, przepchnięte, wciśnięte i wycwanione tomy i tomiki, zeszyty czasopism. Wydane – i przeważnie niebawem wycofane przez milicję nakłady. Tych dóbr nazbierało się strasznie dużo i poczułem się znacznie mniejszy wobec całego tego masywu słów i metafor. To był szok, którego obiektywnie bardzo potrzebowałem – odkrycie dla siebie innego kontekstu, coś w tym rodzaju.

Miałeś w tym czasie jedną publikację.

Tak, ale byłem pewien, że nie jest ona przypadkowa, pierwsza i ostatnia. Praktycznie mało kto ją zauważył. Oprócz Edgara Allana Poe, oczywiście. No i – nie dzwoniłem. Nie dzwoniłem do Riabczuka całe dwa miesiące. Gdzieś dopiero w listopadzie, po urodzeniu Sofijki, się odważyłem, bo po jej urodzeniu nie na takie rzeczy mogłem się odważyć. Wtedy wszystko się zaczęło. Ale w życiu zawsze w pewnym momencie coś się od czegoś zaczyna, mam rację?

Absolutnie. I co tym razem?

Tym razem dowiedziałem się, że nie wszystko jest ze mną tak beznadziejnie, jak sobie wyobrażałem. Problem polegał tylko na tym, że powinienem przygotować kilka swoich fotek. Okazało się, że Riabczuk już wszystko zorganizował: po pierwsze, sam przepisał z piętnaście moich wierszy, po drugie, wysłał je do kilku redakcji. I wszędzie mu powiedzieli, że w porządku, czyli okej. Brakowało tylko moich fotek. Straciłem dar mowy i przy pierwszej okazji pomknąłem do niego do Lwowa. Zasiedliśmy w tym samym zagraconym pokoju z freskiem i piliśmy herbatę miętową. Za oknem padał deszcz i śnieg, miasto i świat zanurzały się w brudnej brei ostatniej jesiennej nocy. Na dodatek okazało się, że wybrał zupełnie nie te wiersze, które uważałem za najlepsze, ale wręcz przeciwnie. Oprócz tego, nie zostawił suchej nitki na moich ulubionych. Do niczego nie mogłem go przekonać, ale on już taki był i zdaje się, taki został do dzisiaj. To unosiłem się w powietrze, to leciałem w dół – zupełnie genialnie umiał pochwalić coś takiego, na co ja sam nawet nie zwróciłbym uwagi, i równie genialnie przekreślał wszystko, co miałem za swoje wielkie odkrycia i osiągnięcia. Nalegał, żebym napisał jeszcze raz dobrą połowę swoich wierszy. Otwarcie odrzucałem ten pomysł – dopóki siedziałem u niego. Coś mówiłem o twórczej ekstazie, właściwie o niemożliwości ingerencji w teksty narodzone w twórczej ekstazie. Kiedy tylko wróciłem do domu, wiersze zaczęły się same pisać na nowo. Wciągnęło mnie to. Spodobało mi się, znalazłem w tym niespodziewany odlot.

Na czym polegało to pisanie na nowo?

Rozumiesz, przestawił mi perspektywę. To znaczy uwierzyłem w realność publikacji. I sam zacząłem czepiać się swoich wersów. Wcześniej coś takiego mi się nie zdarzało, bo zadowalałem się tym, co zadowalało mnie. Teraz jednak przywykałem do innej optyki. Może ten wiersz przeczyta kilka tysięcy osób. Albo kilkadziesiąt tysięcy. Chodziło o to, żeby nauczyć się czytać postronnymi oczami. Dlatego przekonał

mnie, żebym kupił maszynę do pisania – ważne było, by zobaczyć tekst napisany nie odręcznie i nie własnym charakterem pisma, ale niczyimi, neutralnymi literami. To stało się dla mnie metaforą o bezpośrednim działaniu. A oprócz tego cały czas podsuwał mi innych. Od pierwszej połowy lat osiemdziesiątych wszyscy zaczynali mówić o *nowym pokoleniu*. Nie chciałbym wyjść na naiwnego i przeceniać roli Riabczuka w tej krystalizacji, ale wydaje mi się, że on był co najmniej genialnym *łącznikiem*. Przynajmniej dla mnie. Zasypywał mnie wszystkim, co pisali inni – Natałka, Buriak, Hera, Rymaruk, Małeńkyj, Neborak – i w tym samym czasie zasypywał innych tym, co pisałem ja. To było fantastyczne: wszyscy znaliśmy się, jeszcze zanim się spotkaliśmy. Kontaktował nas na odległość, był czarodziejem i łącznikiem.

Zdaje się, wspominałeś, że wysyłał do ciebie do wojska grubaśne listy?

Tak, wysyłał. Listy z mnóstwem wycinków – wiersze, wiersze, wiersze. Chowałem je w kieszeniach na piersi mojej bluzy. Aż uzbierało się ich tak wiele, że nie dało się schować. Wtedy trzymałem je gdzie indziej. Najlepiej było ukrywać je w pamięci. Tak często czytałem tę korespondencję, że znałem ją na pamięć. Ale rzeczywiście już o tym wspominałem. Mniej więcej na tydzień przed stawieniem się w wojsku, ostatni raz byłem u niego na Kawaleryjskiej. Szkoda, że się potem przeprowadził i nie można było wrócić do tego miejsca. Jak tam kwitły drzewa, słuchaj – gałęzie aż pchały się wprost w otwarte okno! Kwiaty sypały się na książki i gazety, wszystko pachniało tak przejmująco, że chciało się paść i zemdleć. Tego dnia to był jeden z rajów na ziemi, koniec kwietnia, sam wiesz, jaki bywa. Przed wojskiem wyostrzyły mi się wszystkie zmysły. Przez trzy dni wychodziłem cykl *Etiudy budynków*, całe siedem wierszy, wszystkie słowa małą literą, bez znaków przestankowych, w tych wierszach pełno jest zieleni, wilgoci, trawy i starych ruin. Pchałem przed sobą wózek i płatki kwiatów z mokrych chodników przylepiały się do kółek. Takie to były dni. Cóż, tego ostatniego razu

przyniosłem na Kawaleryjską rękopis pod tytułem *Kałamarz*. Niemal setka moich wierszy, własnoręcznie poprawionych i przepisanych na własnej maszynie. Zrobiłem wszystko, o co mnie poprosił i czego ode mnie zażądał. Nawet wielce spodobała mi się ta nowa zabawa – w wydawanie rękopisu.

Dlaczego Kramarz*?*

Nie *Kramarz*, ale *Kałamarz*. Taki sobie zasobnik na atrament i słowa. Albo łzy. Mieszanka łez i atramentu, i pewnej ilości smarków. Tak mi się zachciało: barok i takie różne rzeczy. Duch żakostwa i hultajstwa. Wędrowni aktorzy, astrolodzy, alchemicy, sowizdrzałowie, żonglerzy. Zachowanie tego jako tytułu było niemożliwe, ale ja się upierałem. Kiedy służyłem, rękopis pojawił się w planie wydawniczym pod tytułem *Powrót z przyszłości*. Kto go wymyślił, pozostaje niewyjaśnione. Dlaczego *Powrót z przyszłości*? Ostateczny tytuł – *Niebo i place* – wymyślili, zdaje się, Buriak i Hera. W wydawnictwie siedzieli w sąsiednich gabinetach i często krzyczeli do siebie przez ścianę. Jeden krzyknął „niebo i", drugi odpowiedział „i place". Jakoś tak to się złożyło.

To znaczy, że gdy wróciłeś z wojska, wyszła pierwsza twoja książka?

Nie, gdzie tam! Minęło jeszcze z dziesięć miesięcy, co i rusz pisałem coś od nowa i nawet dopisywałem, a przede wszystkim chowałem anioły.

?????

Wymagano, żebym jak najgłębiej ukrył *religijną* leksykę. Przede wszystkim anioły, które zbyt drażliwie furkotały piórami niemal w każdym z tych wierszy. Groziłem, że zabiorę im rękopis i niczego zmieniać nie będę. Oni przekonywali mnie, żebym tego nie robił. Jak zawsze najbardziej przekonujące słowa znalazł Riabczuk. Powiedział, że obecność Boga w poezji tylko się wzmaga, jeśli się ją przemilczy. Bóg – to tajemnica, która blaknie od nazywania i wymawiania. Mówił: „Popatrz na sufich albo na Whitmana, ucz się przemilczać, słowo «ptak» napisz w takim połączeniu, żeby wszyscy zobaczyli w nim niezwykłego ptaka". Miał rację, kiedy mówił

o połączeniu. Poezja – to nie słowa, ale to, jak się one łączą. Nie tak dawno w Lizbonie usłyszałem od kogoś bardzo podobną definicję: poezja – to kiedy dwa słowa spotykają się ze sobą po raz pierwszy. I tak zacząłem chować anioły i to mnie, szczerze mówiąc, zachwyciło. Wziąłem dobrze wyostrzony na domowe ptactwo tasak i rozpocząłem czystkę. Moim zdaniem wszystkie te wiersze przez to mocno się zmieniły na lepsze. Czyli przez całą zimę i wiosnę osiemdziesiątego piątego krążyło nade mną bez przerwy rozwiane bezdomne pierze. Wcześniej w grudniu pierwszy raz po wielu latach wyruszyłem do Kijowa i Riabczuk zaprowadził mnie do wszystkich możliwych redakcji. Moje włosy jeszcze nie zdążyły odrosnąć po wojsku i ogólnie przypominałem nie minstrela z własnych strof, ale raczej towarzysza młodszego sierżanta. Długie romantyczne włosy wtedy – a zresztą zawsze – nosił Rymaruk, teraz też ma je długie, ale już nie romantyczne. Tamtego grudnia poznałem również jego, nie tylko Herę. Długie włosy, grube okulary i mistyczny profil – było przez co mieć mokro w majtkach. Jedna z dziewczyn, jakaś rosyjskojęzyczna przybłęda w bardzo fajnych dżinsach, nawet tak mu powiedziała: „A wy pachoży na Gogolia" – A pan jest podobny do Gogola. Z kim ona wtedy przyszła, czy nie z Atyłką? W każdym razie to był już styczeń, seminarium dla *młodych poetów* w miasteczku Irpiń, Kost' Moskałeć miał na ramieniu karabin gitary, uczyliśmy się mu podśpiewywać, a potem cała banda, która dopiero co chlała, masowo ruszyła do stołówki na kolację i w pokoju zostaliśmy we trójkę – Rymaruk, ta dziewczyna i ja. I żaden z nas nie chciał jej zostawić z tym drugim. Tak siedzieliśmy i siedzieliśmy, paliliśmy i paliliśmy, świdrowaliśmy się spojrzeniami, elektryzowaliśmy, iskrzyliśmy i wtedy zabrzmiało wspomniane: „A wy pachoży na Gogolia". Ale to zdarzyło się już w styczniu, a w grudniu poznawaliśmy się w łaźni na Małej Żytomierskiej. Czy jak tam się ona wtedy nazywała? Tylko sobie nie pomyśl, że szorowaliśmy sobie nawzajem plecy – to zupełnie nie tak. Naprawdę *twórcza młodzież* lubiła wpadać do tamtejszej kawiarni. Wtedy w Kijowie

prawie nigdzie nie umieli parzyć dobrej kawy, a w łaźni niby umieli. Koniak też się tam zamawiało, chociaż można było przyjść i z własną butelką, ale to wymagało dodatkowych umiejętności – niepostrzeżonego dla nie całkiem gościnnego personelu rozpijania jej spod stołu. Chcę powiedzieć, że underground nie opuszczał nas ani na krok. Nawet koniak piło się podziemnymi metodami. Dwie, trzy godziny później odjeżdżał mój powrotny pociąg do Franka i narzuciliśmy nieco zbyt szybkie tempo – Riabczuk, Hera, Rymaruk, jeszcze ktoś i ja. Riabczuk w tym czasie już umiarkowanie używał alkoholu, przez co, być może, zgolił swoją taoistyczną bródkę. Zrobiło się ciepło i przyjaźnie, wymienialiśmy się coraz głośniejszymi komplementami, cytowaliśmy się wszyscy nawzajem z pamięci, a potem skądś wyłonił się legendarny Kordun, kijowska szkoła poetów, i niczym toast wygłosił: „Chodźcie, weźmiemy i zrobimy przepiękną poezję". Skończyło się tym, że ledwie dobiegliśmy do pociągu. Do wagonu wskakiwałem jak w filmie – pociąg ruszył, konduktor hojnie zalał mnie od stóp do głów falą bluzgów i o mało nie zepchnął z powrotem. A oni – Riabczuk, Hera, Rymaruk i jeszcze ktoś – biegli przez peron i w podnieceniu wymachiwali rękami. Takich ich wtedy zapamiętałem – peronowe wiatraki w biegu. Od tego czasu to stało się jeszcze jednym elementem mojej karmy – dobieganie do pociągu w ostatniej chwili, wskakiwanie na stopień, który ucieka. Szczególnie, jeśli chodzi o odjazdy ze stacji Kijów Pasażerski. W wagonie – zamiast iść na swoje miejsce i siedzieć tam kołkiem – od razu ruszyłem do tamburu. Nieznośnie chciało mi się palić ze szczęścia. W tamburze natknąłem się na dwóch rezerwistów, właśnie wracali do cywila ze wszystkimi swoimi etyszkietami i epoletami. Nie mogłem tego tak zostawić, dwa tygodnie wcześniej sam tak jechałem i wciąż pozostawałem na co dzień rezerwistą. W tym czasie najnormalniej w świecie nie mogłem nie mówić o armii, nie wspominać o niej, nie bekać nią, to była inercja tego, co przeżyłem, coś na kształt psychozy. Kupowaliśmy piwo za piwem, krzyczeliśmy, paliliśmy i obejmowaliśmy

się do późnej nocy. Kiedy wróciłem na swoje miejsce, tam już ktoś spał. Poszedłem do konduktora, ale wciąż był na mnie obrażony i nawet słuchać mnie nie chciał. Oczywiście, miał rację – podczas kontroli biletów nie znalazł mnie na miejscu, zgłosił półkę jako wolną i na pierwszej lepszej stacji położył na niej nowego pasażera. Byłem nieznośnie pijany, padałem z nóg od nadmiaru emocji, w mojej głowie szumiał prapierwotny ocean, a przed nami pozostawało ponad dziesięć godzin podróży. Czyli do Franka mogłem zwyczajnie zdechnąć. Uderzyłem w wartości ogólnoludzkie i powiedziałem konduktorowi: „Bratiszka, pojmi, ja w tamburi stojał z pacanami swoho pryzowu, my wsi diembielia, bratiszka" – bracie, stałem w korytarzu, paliłem z kolesiami z mojego rocznika, wszyscy rezerwa. To rzeczywiście zmieniło sytuację, konduktor wyraźnie złagodniał i wskazał mi jakieś wolne miejsce pod ścianą. Tam zwaliłem się w rozkołysane wody pierwszych marzeń sennych. Już gdzieś przed Lwowem w nieprzebytym mroku grudniowego ranka obudziłem się przez zupełne niezrozumienie, dlaczego tym helikopterem tak oszałamiająco buja. Wystarczyło mi czasu, by zeskoczyć i dobiec do na szczęście wolnej toalety, i tam wreszcie fontanną wyrzygałem wszystkie wczorajsze kawy, koniaki, rozmowy, toasty, znajomości, objęcia, komplementy i cztery butelki piwa wypite z braćmi rezerwistami. Wyobrażasz sobie, jakie kolory miała cała ta mieszanka? W tamtych latach często i dużo wymiotowałem, zwłaszcza po koniaku. Było to następstwem wojskowego zapalenia wątroby, sprzeciwiała się za pomocą wszystkich dostępnych środków. Coś długo o nic nie pytasz.

Słucham. Czy już zbliżamy się do Bu-Ba-Bu? Wydaje mi się, że powinniśmy się zbliżać.

Tak, zbliżamy się. Jednak jeszcze nie jesteśmy gotowi. To bardzo odpowiedzialny temat. W końcu chodzi o panowanie nad światem.

Irpień, o którym wspomniałeś, to miejsce, gdzie się wszyscy poznaliście?

Nie, nie całkiem. Przede wszystkim był Riabczuk, willa na Kawaleryjskiej i rękopis *Karkołomnych przeobrażeń*. Czytałem i płakałem. Zresztą nie, coś ty, nie płakałem. Po prostu to było mi strasznie bliskie, od razu ogarnęła mnie miłość do autora, który – wedle słów łącznika Riabczuka – tak natchnienie *martwoprzesiewa*. Nie możesz znać *Karkołomnych przeobrażeń*. To jest, według definicji autora, taki *archinowoczesny show wierszy*.

Kto jest autorem?

Wiktor Neborak. Czyli Bu-Ba-Bu zaczęło się chyba od tego epizodu – koniec kwietnia, siedzimy z Riabczukiem na podwórku willi na Kawaleryjskiej i czytam maszynopis *Karkołomnych przeobrażeń*, przy czym ja wybucham od czasu do czasu totalnymi wykrzyknikami. Potem – o tym wiesz – zaczęliśmy pisać do siebie listy, ja do niego z wojska, on do mnie z Donbasu. No i wreszcie świętowanie nowego 1985 roku we lwowskim mieszkaniu Kocha. To było coś – całe to towarzystwo, maski, dekolty, saczki, dupy, pończochy, artyści i artystki, pojawienie się wszelakich monstrów, telewizyjnych postaci, Kaufman, erotyczne soki, Czemodan, majtki, przebieranki, palenie papierosów w kuchni, Neborak. Trzymaliśmy się trochę z boku – Neborak i ja z Niną – na tej imprezie czuliśmy się raczej obserwatorami niż uczestnikami. Nawet tańczyliśmy trochę w oddaleniu. Jak na pierwszy raz, i to nieźle. Tak czy owak nadszedł moment, kiedy zmuszono nas do czytania. Czemodanowi się nie spodobało, że piszę „port-chaise'y i portrety", najechał na mnie, że niby małpuję Wozniesienskiego, broniłem się, że nie tylko. W tym czasie wszyscy nosiliśmy w kieszeniach właśnie wydany tomik Apollinaire'a w przekładach Mykoły Łukasza. Poza tym jeszcze zamieraliśmy w oczekiwaniu na Semenkę. Te nazwiska nic ci nie mówią, oprócz Apollinaire'a oczywiście, ale możesz uwierzyć mi na słowo – to bardzo ważne nazwiska. Bez nich nie byłoby nikogo z nas. Zatem – Riabczuk i Natałka ulotnili się dość wcześnie, ich córeczka miała wtedy dopiero parę miesięcy. Ale kiedy tylko znikli – guru

z żoną – naprawdę popłynęliśmy, bo robiliśmy się coraz bardziej pijani i było nam coraz lepiej. Niebawem wszyscy posnęliśmy gdzie popadło, we wszystkich bez wyjątku zakamarkach wielce rozgałęzionego geograficznie mieszkania z kupidynami. I właśnie w ten sposób – we śnie, pierwszym śnie nowego roku, przeszliśmy w przyszłość, która chyba wtedy właśnie się zaczęła.

Czyli zaczęło się nie w Irpiniu?

Do Irpinia pojechałem kilka tygodni później. Oficjalnie to nazywało się jakoś tak: *seminarium młodych autorów przyszłych pierwszych książek*. Jeśli trochę zmienić kolejność słów i znaczeń, to wyjdzie *seminarium młodych autorów pierwszych książek przyszłości*. System wciąż jeszcze udawał, że się o nas troszczy. Strasznie się denerwowałem – przede wszystkim z powodu oficjalności tej *imprezy*. Riabczuk przekonywał, że to konieczne – trzeba pojechać i *wziąć udział*. Połowa uczestników, jak twierdził, to donosiciele, co samo w sobie byłoby nieznośne, gdyby nie wiedzieć o tym z góry. Ale skoro wiemy, to wszystko okej. Należy tylko wieloznacznie milczeć. Szczególnie, kiedy jakaś tam grafomańska swołocz zacznie rozwodzić się nad tragedią Ukrainy i myląc się, cytować wiersze poetów dysydentów. Muszę znów przyznać, że Riabczuk miał rację: opisane przez niego symptomy pojawiały się w czasie seminarium co najmniej kilka razy, przy czym zawsze podczas pijatyk. Było i o tragedii Ukrainy, było nie całkiem pewne cytowanie dysydentów. Wiesz, nawet nie odrzucam przypuszczenia, że właśnie o to Systemowi chodziło przede wszystkim, o te pijatyki. Czyli o *sondowanie nastrojów* i *łowienie dusz*. Właśnie po to urządzano te wszystkie seminaria.

Na czym w takim razie polegała ta konieczność brania w nich udziału?

Na tym, żeby stawiać opór. Dobra, jakoś mi się zbyt patetycznie wyrwało. Trochę inaczej – na tym, by poznawać swoich. Oprócz połowy donosicieli była jeszcze druga, czyż nie? Po prostu potrzebowaliśmy się wzajemnie, musieliśmy

się zwąchać i pozakochiwać. Teraz nie chodzi mi o seks, ale o wiersze. Chociaż co to za wiersze bez seksu? Ale ja nie o tym. Wtedy leżało pełno śniegu, zima była ognista, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało – *ognista zima*. Dobra, ogień też był – nasze policzki płonęły od alkoholu i wiatru. Przez wódkę i mróz przypominaliśmy chyba jakieś gigantyczne zięby. Co najważniejsze, oni wszyscy – ci, których zdążyłem jedynie z zachwytem przeczytać – tutaj się materializowali, byli ciałami, żywymi chłopakami, koleżkami i pijanicami i wszyscy oni w trakcie tych dni i nocy, *podczas śnieżycy*, przeszli przez nasze irpińskie pokoje: Małkowycz, Małeńkyj, Mohyl'nyj, Moskaleć – zauważyłeś, że wszyscy na M? Dodaj jeszcze Midiankę. Ówczesna poezja pisana była przez duże M. Szkoda, że Łyszeha to nie Myszeha. Z Łyszehą poznał mnie – no kto, jak myślisz – Riabczuk! – w tym samym czasie, ale nie w Irpiniu, dokąd Łyszeha-Myszeha za nic by nie pojechał, ale w jakiejś kijowskiej spelunce. Łyszeha czekał na nas, otoczywszy się dwiema pięknymi damami, z rękawów jego palta sypały się rybie ości i minerały, gładził swoją okazałą irlandzką brodę i kilka razy zapytał mnie, dlaczego jestem taki spięty. A jak tu nie być spiętym, kiedy przynajmniej połowa ciebie to towarzysz młodszy sierżant, którego po kropli wyciskasz z siebie, i jednocześnie uświadamiasz sobie, że przed tobą sam autor wersu „Ella Fitzgerald smaruje się błękitną gliną". Możliwe, że to właśnie było niezbędne – spiąć się przez to wszystko, co dzieje się wokół. W każdym razie, kiedy pytasz o narodzenie się Bu-Ba-Bu, to Irpiń odgrywał w nim szczególną rolę – spiknęliśmy się z Irwańcem, którego w tym tekście jakoś wolę nazywać Irwanem.

Przekonał się, że żadne z twoich oczu nie jest szklane?

Brawo! Cytat niezwykle do rzeczy. To było pierwsze, co od niego usłyszałem: „Słuchaj, stary, okazuje się, że nie masz szklanego oka!". Ale mi się jeszcze poszczęściło. Kiedy Irwan po raz pierwszy spotkał się z I-ką, powiedział w przybliżeniu tak: „Cześć, Saszko! Ja też jestem Saszko! A ty, Saszko,

weźmiesz mi do buzi, Saszce?". To było i po części do dziś jest w jego stylu – podpuszczać na początku znajomości. Nie zważając na efekt szklanego oka, od razu się do niego przywiązałem, pokazał mi kilkadziesiąt swoich, ogólnie rzecz biorąc, pochuistycznych wierszy: *Sanitareczkę Raję*, *Jednak jeszcze po Bożemu*, *Artura Rimbauda* i znowu poczułem bliskość. Jeszcze raz po Ńeboraku. To znaczy jeszcze wtedy, w Irpiniu, powiedziałem mu, że powinniśmy coś wymyślić *we trzech*. Od tego czasu równolegle korespondowałem z każdym z nich z osobna i tak zbliżyliśmy się do siebie. Aż w kwietniu oni spotkali się we Lwowie.

Bez ciebie?

Tak. Z wyprzedzeniem wybraliśmy środę, żebym i ja mógł przyjechać. Praktycznie wszystko tylko na mnie się opierało – oni przecież nawet się nigdy wcześniej nie widzieli. Ale zwaliło mnie z nóg jakieś absolutnie zabójcze przeziębienie i „zapadłem w gorączkę łóżka z wyrokiem «trzydzieści osiem i osiem»" – cytuję teraz ze swojego poemaciku *Dwadzieścia lat po czym?*. Zresztą proszę, oto dłuższy kawałek z samego początku: „W kwietniu osiemdziesiątego piątego, | tego samego dnia, kiedy Saszko z Wiktorem | już trzecią godzinę krążyli wokół lwowskiej Opery | w poszukiwaniu jeden drugiego, ale przede wszystkim mnie, | który miał zapewnić ich znajomość, | zebrać do kupy, stuknąć przyjacielsko czołami, a sam | poprzedniej nocy zapadł się w gorączkę łóżka z wyrokiem «trzydzieści osiem i osiem», | więc do żadnego Lwowa nie wyruszył, | chyba że potajemnymi ścieżkami halucynacji, | o czym ani Wiktor, ani Saszko jeszcze nie wiedzieli, | już trzecią godzinę krążąc wokół lwowskiej Opery | z jednym życzeniem i pragnieniem – dać między oczy | temu palantowi Andruchowyczowi, kiedy się tylko pojawi, | ale ten, czyli ja, nie pojawiał się nawet w halucynacjach, | więc w czwartej godzinie krążenia któryż raz się spotkali, | spotkali się spojrzeniami. | Tak patrzą tylko poeci, pomyślał każdy z nich. | «Pan Ihor Neborak?» – zapytał | Saszko. «A Pan, Andrij Irwaneć?» – nie

wytrzymał Wiktor". Tak zaczyna się ten poemacik. Słuchaj, zostawmy Bu-Ba-Bu na następny raz, za dużo tego wszystkiego. Masz tu inną pożywkę, mam na myśli pożywkę do rozmyślań – Gorbaczow.

A co z nim takiego?

Po prostu jeszcze tego samego dnia, zdaje się, ogłosił początek czegoś takiego, co zostało później nazwane „pierestrojką". Zdaje mi się, że właśnie tak – tego samego dnia, kiedy ja leżałem w gorączce, a moi przyjaciele obwąchiwali się koło lwowskiej opery.

Cudownie. Jednak zapytam cię o pierwszą książkę. To jest na temat. Kiedy zobaczyła świat?

Gdzieś tak we wrześniu osiemdziesiątego piątego.

Co się jednak zdarzyło? Dlaczego podjąłeś tę grę, dlaczego wyszedłeś naprzeciw Systemowi i zgodziłeś się na oficjalne wydanie swojej książki? Jeśli się nie mylę, wrzesień osiemdziesiątego piątego to czas, kiedy System zabił jednego z waszych skazanych poetów.

Nie mylisz się. Właśnie tak, wrzesień osiemdziesiątego piątego roku. Ale nie musisz i ze mnie robić wspólnika tego zabójstwa.

Nie o to chodzi. Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, jak przebiegała ta zmiana – zdecydowałeś się zostać oficjalnym pisarzem.

Diabli nadali, a o czym ja tu dzisiaj opowiadałem przez cały ten czas?! Do tych ścian mówiłem?

Nie ma co się denerwować. Nie chodzi mi o obwinianie, jak to rozumiesz. Może tylko o krótkie sformułowanie, jakieś uogólnienie. Ciekawią mnie formuły.

Okej, pozwól mi spróbować. Zatem tak. Poeta, który wiecznie jest sam ze sobą – to ciekawe, ale niewystarczające. Mędrcy już niczego nie piszą – oni milczą. Jeśli jednak piszesz, to znaczy, że jeszcze nie jesteś mędrcem i potrzebujesz rozmowy. Obiektywnie poeta chce, żeby go usłyszano. Dlatego może udać, że niby przyjmuje niektóre zasady tej gry, którą prowadzi System. Zauważ, nie grę jako taką, lecz niektóre zasady. I pozostaje pytanie, kto komu wychodzi

naprzeciw. Albo jak pisał Neborak, „pytanie jeszcze, kto kogo obserwował". Ten poeta, którego unicestwili we wrześniu osiemdziesiątego piątego, to Wasyl Stus, też zawsze myślał o publikacji swoich wierszy. Dobra, to nie moja sprawa – myślał czy nie myślał. Moja sprawa to mój czas. Ten, na który trafiłem. Ten czas, poczynając od wczesnych lat osiemdziesiątych, ale szczególnie od osiemdziesiątego piątego roku, był coraz bardziej niepodobny do wszystkich innych, wcześniejszych. Sztuczka to nie tylko Gorbaczow czy pierestrojka, ale fakt, że System stracił równowagę. Od czasu do czasu im się to zdarza, systemom – raz na tysiąc lat na przykład. To absolutnie fizyczne zjawisko, takie sobie nieuniknione wypadnięcie z torów. To znaczy i fizyczne, i metafizyczne – dwa w jednym. Moje szczęście, że między innymi trafiłem na to party. Wszystko rozkręcało się znacznie bardziej katastroficznie. W sensie Pięknej Katastrofy, oczywiście. Najpierw wydali prawo przeciwalkoholowe, a potem wybuchł Czarnobyl i wszystko się rozpaliło.

Pamiętasz te dni?

Ha, jak można nie pamiętać? Dynamo właśnie wygrało Puchar Zdobywców Pucharów. 2 maja w Lionie zrobili Atlético – 3:0. Kiedy w ostatnich minutach meczu Błocha, a potem Jewtuch strzelali swoje bramki, wszystko wokół aż dymiło z radości. I w tych samych minutach Czarnobyl też dymił, z helikopterów do reaktora tępo sypali piasek, czerwoną glinę i ołów, a setki strażaków dostawało swoje śmiertelne dawki. Oficjalna informacja została ograniczona, przypominam sobie tylko malutką, jakieś pięć gazetowych wierszy, *notkę* na ostatniej szpalcie świątecznego numeru – można powiedzieć: tak, pewne problemy są, coś nie jest w porządku, ale wszystko pod kontrolą, don't worry, ludu pracujący, szczęśliwego 1 Maja. Oczywiście istniało jeszcze takie źródło jak *zachodnie radiostacje*, ale kto by ich słuchał? Ja, na przykład, nie słuchałem, bo nie miałem odbiornika odpowiedniej klasy z odpowiednią anteną.

„Jakie były nasze pierwsze reakcje? Zrozumieć je – to zrozumieć, co znaczy bać się wiatru, deszczu, świeżej trawy, bać się światła. Albowiem już w pierwszych dniach maja wielu z nas odczuło bliską obecność innej śmierci – niewidocznej i niesłyszalnej, śmierci na wyrost, która czaiła się wszędzie – w sadach, w kwiatach, w wodzie i powietrzu, w mieszkaniach, we wnętrzach ludzkich ciał, w których znienacka rozbłysła ich tymczasowość, obecność śmierci tak bardzo pozbawionej formy (i odpowiednio według Hegla treści), że jakikolwiek opór tracił sens". Zacytowałem ciebie. Ten tekst nazywa się* Czarnobyl, mafia i ja.

No tak, oczywiście. Kiedy piszę o *pierwszych* reakcjach, oznacza to reakcje z następnych majowych dni. Gdzieś pod koniec pierwszej dekady maja stało się jasne, że to zgroza. Dziewiątego i dziesiątego byłem we Lwowie, gdzie pijaczyliśmy z okazji dwóch jubileuszy – Neboraka i Małkowycza. Oni jakoś niemalże jednocześnie się urodzili, taka sobie tymczasowa nadprodukcja poetów. Iwan, to znaczy Małkowycz, ledwie dojechał z Kijowa. Wyglądało na to, że wszystkie miejsca w pociągach na zachód zostały momentalnie wykupione, pół miasta starało się dokądś uciec.

*„Uciekano przeważnie na zachód. Bo u nas zawsze z jakiegoś powodu ucieka się na Zachód, tyle że żelazna kurtyna ograniczała ten Zachód do zachodniej części Ukrainy, która – schowana w Karpatach – stwarzała iluzję czegoś w rodzaju Szwajcarii. Nigdy nie zapomnę tych przepełnionych dworców, ludzi z dziećmi na rękach, zaduchu, kłótni, mdlejących kobiet w ciąży, beznadziejnego wielogodzinnego wyczekiwania w kolejkach po bilety, horrendalnych cen u spekulantów, lepkiego, już prawie śmiertelnego potu na twarzach i dłoniach"**.*

I kurzu. Wzbijał go wiatr, niedobry i ciepły, niczym alpejski föhn. Od takiego wiatru zaczynają się krwotoki z nosa. Ale my przede wszystkim popijaliśmy, nazbierało się nas z dwanaścioro, jacyś młodzi poeci, malarze, paru muzyków,

* Tłum. Lidia Stefanowska.

** jw.

dziewczyny, jakieś flądry ze szkoły sportowej, zasiedliśmy w piwnicy pod związkiem pisarzy i poiliśmy się do oporu. Albo i bardziej. Jak tam jest w moim tekście dokładnie?

„Do alkoholowych sensacji dochodziło jednocześnie w czaszkach i wnętrznościach – to że stoimy w obliczu czegoś wielkiego i przerażającego, odczuwaliśmy niemal fizycznie".*

Właśnie tak. I ponieważ byliśmy jednak *młodymi poetami*, nie mogliśmy nie żartować ze słów – takich jak *światło*, *blask* czy *promienie*. Wydawało się, że od teraz cenzura powinna ich zabronić. Nie mogliśmy nie żartować z tej *innej* śmierci. Bo co nam pozostało? To szczególne poczucie – przypuszczenia, że tak czy inaczej połknąłeś swój pyłek światła i zaczęło się w tobie, ruszyło, rozpoczęły się procesy, niebawem po raz ostatni zaświecisz od wewnątrz i rozpadniesz się na cząsteczki strontu i cezu. I jak można było nie żartować, kiedy radio i telewizja już uparcie polecały *mieszkańcom miasta i obwodu* codziennie dokładnie myć włosy szamponem? Ale obok radia i telewizji istniała jeszcze jedna, alternatywna sfera informacji – domysły, rozmowy, plotki. Zgodnie z nią całe czerwone wino, a również jod i wapno skoncentrowano w komitetach partii, wszystkie liczniki wzięły pod kontrolę pierwsze wydziały, całą statystykę onkologiczną – bezpośrednio kagiebe, a *znajomi lekarze* niby to szeptem radzili ciężarnym kobietom się *wyskrobać*, bo nic dobrego im się i tak nie urodzi – najwyżej eksponaty muzealne. No tak, dzieci. W marcu urodził się nam Taras, więc nie miał nawet dwóch miesięcy, kiedy to wszystko się stało. Oczywiście, najbardziej baliśmy się o niego i przez pewien czas nawet przestaliśmy z nim *wychodzić na powietrze*. Chociaż potem pomyśleliśmy, że nie wiadomo, gdzie jest więcej radiacji – na zewnątrz czy w środku?

„...często zabierałem syna na spacery w okolice podmiejskich jezior, sadów, na stary cmentarz żydowski, do zrujnowanego młyna wodnego – dokądkolwiek, byle dalej, w nieznane. Wtedy też

* Tłum. Lidia Stefanowska.

powstało kilkadziesiąt moich nowych wierszy. Słowa «Czarnobyl' nie ma w żadnym z nich...».*

Ale dosyć często pojawiają się odwołania do światła i śmierci. A także do wybujałej zieleni. Ona tego lata naprawdę wybuchła ze wszystkich stron – być może rzeczywiście od promieniowania? Tak jakby urządzała nam pożegnalny sezon. Dlatego pisało mi się coś takiego: „Krew się zamieni. Kwiat na kasztanach minie. | Śpieszymy się żyć jak po dżumie. | Może to właśnie zbawienie – poznać tę porę, | niczym ostatnie kwitnienie. Jedno. Jedyne". Albo w *Pouczającej majowej przechadzce*, gdzie pojawiają się ogródki nad jeziorem i malutcy posiadacze ziemscy, którzy zbierają rano wczesne i dorodne truskawki, ani trochę nie dziwiąc się temu nieubłaganemu urodzajowi. Wyobrażasz sobie – nieubłaganemu urodzajowi? Urodzaj śmierci, truskawkowa agonia. No i takie różne. Powiedzmy *Piłka na klasztornym podwórku* zaczyna się od tego, że takiej zieleni nie widziano sto lat, a może i więcej. Trzeba było tylko wyraźnie zaakcentować słowo takiej. Albo *Kraj dzieci*, gdzie znowu pojawia się niedobre światło: i gorzkie światło pryska promiennie. Dlaczego właśnie gorzkie? Bo Czarnobyl – to piołun, a piołun jest gorzki. I jaki tam Paweł z Aleppo, jaki XVII wiek? Ale to zbyt specyficzne – nie znasz kontekstu.

Za to rozumiem, że pisząc Śródmieście, *wszedłeś na śliską drogę klasycyzmu.*

Aż tak? Być może. Być może nawet nie być może, ale właśnie tak. *Śródmieście* – to książka, w której po raz pierwszy łapie mnie za jaja przemijanie. Zacząłem pisać te wiersze, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, a skończyłem praktycznie w wieku dwudziestu siedmiu. W jakimś stopniu to moja ukryta biografia. To znaczy tak naprawdę to nie wiersze, ale wydarzenia. *Kołysanka pierwszego dnia* – to pierwsze spotkanie z Tarasem, którego właśnie przywieźliśmy z porodówki, i ze wszystkich stron przeczucie wiosny, zapach

* Tłum. Lidia Stefanowska.

pierwszych pierwiosnków w zapadającym mroku. *Lot o północy z Wysokiego Zamku* – to jedna z moich zdrad, jednak raczej lirycznych – z tych, kiedy podniecenie seksualne przed świtem okazuje się po prostu idiotycznym nieporozumieniem. *Jej płaszczyk radosny i czerwony* – to o Sofijce, w środy po południu zazwyczaj przyprowadzałem ją z przedszkola. Czekałem w korytarzu, aż jako jedna z ostatnich cichutko wyślizgiwała się zza stołu, wiecznie ich tam karmili gotowaną rybą z buraczkami, tego nie dało się jeść, chyba że się to rozpaćkało na talerzu. *Piłka na klasztornym podwórku* – to nasze z Niną błąkanie się po Czernihowie. A *Sierpień. Dniestr* – to my z Midianką w gościach u Wana Penyka, w jego wsi nad Dniestrem, tam naprawdę mocno czuje się tysiącletni upał, a z łopianów naprawdę wyłażą archeologiczne odłamki. W tamtych latach szalenie lubiłem poezję Philipa Larkina, oczywiście w rosyjskich przekładach, bo ukraińskich jeszcze nie było, i gdzieś czasami podchwytywałem jego intonacje. John Siddhartha mówił o Larkinie „very fucking poet", pewnego razu zajebał dla mnie z biblioteki miejskiej w Nottingham książkę z wyborem jego wierszy. Ale to tak przy okazji. John Siddhartha, jeszcze stanie przed nami, mam nadzieję. Zapytasz o niego, prawda?

Prawda.

No i tak, *Śródmieście* – to dalsze odkrywanie Franka. Jego Śródmieście, *architektura* i cały ten *rdest na skorupach ceramiki* – to dalsze zanurzanie w moje miasto. Oczywiście, tam zostaje dosyć dużo Lwowa, *Trzy ballady* na przykład. Ale przede wszystkim to Franek, mitologizowanie przestrzeni, w której tak czy inaczej musiałem wymacać swoje ulubione *węzły połączeń*. Okazało się, że ta przestrzeń jest przeważnie już opisana, ale we fragmentach i tylko na poziomie brudnopisu, jakichś etiud, szkiców. W tamtych czasach co i rusz spotykałem ludzi z tekstami źródłowymi. Od nich pożyczałem przepisane ich rękoma tajemne zeszyty – kawałki Barącza, wypisy z Szarłowskiego. Jednak przede wszystkim czytałem z budynków, drzew i kamieni. Poznawałem

wciąż nowych i nowych typów, zdawali mi się nawet nie typami, ale archetypami, równolegle obecnymi w kilku różnych wymiarach, to była moja kolejna szajba – pisanie ich portretów, odnajdowanie w każdym z nich nieskończonych warstw i nawarstwień. Z jednej strony byliśmy przyjaciółmi i dużo razem pijaczyliśmy, przeważnie w pracowni Ołeha Zastawnego, w głębi jednego z takich typowych frankowskich podwórzy, gdzie bez reszty ogarnia cię cała miniona małomiasteczkowość. Zdaje mi się, że hasłem tych czasów było: „Piliśmy w pracowni Ołeha". Piliśmy mimo kampanii antyalkoholowej i porozstawianych wszędzie na takich jak my pułapek izb wytrzeźwień. Piliśmy i oczarowywaliśmy się nawzajem. Z drugiej strony, starałem się odczytać w każdym z nich jego własną hipermetaforę. W *Śródmieściu* są, zdaje się, cztery takie wiersze: *Cygan Wasyl*, *Fulmen*, *Fotopawło* i *Jarosław García Lorca*.

Oho! Kim jest ten ostatni?

Trafiasz w dziesiątkę, kiedy pytasz właśnie o niego. Jarosław Dowhan! Poeta i mój kum, a także kum i mój poeta. Jeszcze się nie znaliśmy, a już pędziła do mnie fala: Dowhan, Dowhan, Dowhan. Handow, jak sam się później nazwał. Z nim było trochę tak, jak bywa z sobowtórami. Nie wiem, czy przeżywałeś coś takiego, ja dosyć często. Idziesz przez jakieś miasto i nagle widzisz, jak z przeciwka nadchodzi ktoś, kogo znasz. Chociaż mogłeś go już z dziesięć lat nie spotkać. Nie zdążasz nawet się zdziwić, a twój znajomy jest już całkiem blisko i w tym momencie rozumiesz: to żaden znajomy, to człowiek po prostu nadzwyczajnie podobny do twojego znajomego, taki sobie sobowtór. I nie byłoby w tym nic mistycznego, gdybyś za jakieś sześć, siedem minut nie spotkał tego znajomego – tym razem prawdziwego. Myślę, że nasi znajomi po prostu wysyłają sobowtóry przed sobą. To tak jakby przygotowywali nas do spotkania. Zdarzało ci się to?

Nie zwróciłem uwagi. Ale ciekawe.

No tak – z Jarosławem Garcią wyszło analogicznie. Nie widziałem go jeszcze, a wieści o nim nadchodziły. Sprowadzały

się do trzech rzeczy: pierwsza – studiował w moskiewskim Instytucie Literatury, druga – pisze bardzo dziwne wiersze, do drukowania których u nas nikt i nigdy się nie weźmie, trzecia – jego żona jest Estonką. Z jakiegoś powodu wszyscy bez wyjątku to podkreślali – jego żona jest z Estonii. Kiedy więc w lutym osiemdziesiątego piątego z *wiatrem przemian* wdarł się do gazetowego cechu i zawołał mnie na pierwszą przerwę na papierosa, głupawo zapytałem go: „Słuchaj, a twoja żona to naprawdę Estonka?". W piątej minucie rozmowy czuliśmy się tak, jakbyśmy byli najbliższymi przyjaciółmi na świecie. Zresztą, mogę przesadzać. W każdym razie, tego dnia w moim życiu pojawił się ktoś, przy kim się całkiem i doszczętnie otwierałem. I luzowałem też. Myślę, że to było wzajemne. Potrzebowaliśmy się jak jacyś, kurwa, kochankowie, ale znacznie mocniej. Nie tylko zwyczajnie popijaliśmy we dwóch i w szerszym kręgu, przede wszystkim dawaliśmy sobie – książki, wiersze, poezję, papierosy, fantazje, historie, szaleństwo, spokój, erotyzm, ascezę, herbatę, śmiech, kawę, pewność, humor, podziw, dni, wieczory, noce, wspomnienia, opowieści, siłę, wieczność, szał, bezsenność, bezsens, nieśmiertelność. Nasze rybie horoskopy zobowiązywały. Urządzaliśmy sobie niesamowite środy z ciągłą zmianą miejsc i przestrzeni, pieszymi przejściami z jednej kryjówki do drugiej, ciągnęliśmy za sobą *rozdrażnione oddziały* tymczasowych współuczestników, a i tak na koniec wędrówki zostawaliśmy tylko we dwóch. W ogóle to mogło trwać i do rana, chociaż najbardziej lubiłem, żeby kończyło się koło pierwszej, drugiej. Nasza ostatnia rozmowa, gdzieś na skrzyżowaniu przy ostatnim już papierosie, okazywała się, z zasady, totalną psychodelią. Rozszerzenie świadomości wyznaczało bezgraniczność duszy i ostatnich objęć. Minął rok – i poprosiłem go, by został ojcem chrzestnym mojego syna. Od tego czasu jest dla mnie kumem. Nie wiesz tego, ale możesz mi wierzyć – to ważne. Jestem pewien, że on jeszcze nie raz przypomni o sobie w naszej rozmowie – to rzecznym rybim śmiechem, to małpim grymasem z jakichś gąszczy.

A my idziemy dalej? Ile czasu przepracowałeś w drukarni?

Pół roku przed wojskiem i cztery i pół roku po. Ha, równo pięć lat! Zawsze mi się wydawało, że siedem. Zwolniłem się latem osiemdziesiątego dziewiątego. Ale wiem, skąd bierze się to odczucie, że niby to całe siedem lat. Z długich nocy. Moje zmiany robocze czasem trwały nie siedem, osiem, ale dwanaście, trzynaście godzin.

Cały czas kogoś chowali?

Nie tylko. I nie tyle. Przede wszystkim, dlatego że Gorbi okazał się diabelnie gadatliwy, aktywny i nieprzewidywalny. Na dodatek nigdy nie czytał z kartki. Czyli jego wystąpienia z mnóstwem nielogicznych improwizacji rozwalały TASS, cenzurę, wydziały informacji i wprowadzały całkowity chaos do naszego *procesu produkcji*. Czasami teleksy z poprawkami do jego przemówień były trzykrotnie dłuższe niż same przemówienia. Zrozumiałe, że przez tego *wybitnego* dobrodzieja nie dośniłem tysięcy snów. My wszyscy, a szczególnie linotypistki i metrampaże, czyli cały przodujący oddział klasy robotniczej, trochę nie lubiliśmy go za tę zakochaną w sobie gadatliwość. Chociaż teraz wspominam te noce zupełnie inaczej: był w tym jakiś moment prawdy, w czekaniu, paleniu, pustce za oknami, we wszystkich dziurach w szpalcie, wykrzywionych linijkach, panicznych zmianach w składzie o świcie. No i oczywiście nasze z Wasiunem nocne wycieczki. W przerwach pędziliśmy po mieście jego motocyklem. Zdaje się to był IŻ. Na pewno nie jawa – IŻ. Wasiun był najmłodszy wśród metrampaży, mniej więcej z tego samego roku co ja. Wcześniej ubijał bydło w kombinacie mięsnym, nazywał więc siebie „zabójcą piątej kategorii". Był żylasty, krzykliwy i nikogo się nie bał, bo miał zaświadczenie psychiatryczne. Był tam notowany i czasem mówił: „Mogę cię zabić i nic mi nie zrobią". Mnie tego nie powiedział ani razu – trochę się zaprzyjaźniliśmy i nocami lubiliśmy dokądś się razem wyrwać. Czasami był to bar na dworcu, otwarty całą noc i można się tam było o drugiej nażreć ciepłej robotniczej strawy, nie spuszczając przy tym oka z pstrokatej

całodobowej publiki – stacyjnej, z depo, przydworcowej: maszynistów z pomocnikami, dyspozytorów, układaczy torów, dróżników, magazynierów, rewizorów, konduktorów, głównych konduktorów-rewizorów, starszych dyspozytorów, młodszych dokręcaczy nakrętek, zasłużonych pałokrętów, szmirowozów, szulerów, milicjantów, Cyganów, pasażerów, kagiebistów, żołnierzy, zeków i dziwek.

Dziwek?

Słuchaj, dasz radę nie przerywać, zanim skończę? Wytrzymasz?

Być może.

No i tak. Którejś nocy latem osiemdziesiątego ósmego kolejny raz ugrzęźliśmy w niewiadomej: Gorbacz urządził w Moskwie jakąś kurewsko ważną dla niego i całego kraju konferencję partyjną, o siódmej wieczorem dostaliśmy zamykające fragmenty jego przemówienia, ale koło dziesiątej, kiedy wszystko niby mniej więcej się ułożyło, teleks wystukał ostrzeżenie, że „do wystąpienia tow. Gorbaczowa w ciągu kilku następnych godzin z pewnością przewiduje się poprawki". Jakieś bezgranicznie światłe głowy w urzędach informacji najpewniej na razie wariowały i nie wiedziały, jak mają sobie poradzić z „mechanizmami hamującymi" i wieloma innymi śliskimi tematami tego wystąpienia. Koło północy, całkiem jak u Theloniousa Monka, teleks ospale ożył i zaczął wypluwać pierwsze poprawki. Z tego wszystkiego wynikało, że trzeba będzie łamać prawie każde zdanie. Powiedziałem: „Wpadliśmy do rana", a Wasiun: „Dawaj, trochę się rozerwiemy". Bo rzeczywiście czekała nas wielka przerwa: zanim przyjdą poprawki, zanim korektor je ponanosi, zanim linotypistki odleją je w metalu. Osiodłaliśmy motocykl i pognaliśmy przez źle oświetlone miasto dokąd oczy poniosą. To znaczy dla mnie to było *dokąd oczy poniosą*. Wasiun przecież leciał jedyną możliwą trasą, którą przejechałby nawet z wydłubanymi oczami – Puszkina, przy parku i dalej w kierunku bamowskich dziewięciopiętrowych bloków. Jest u nas w mieście taka sypialnia, wielka płyta, rozpierducha

i smród, nazywa się BAM – to znaczy, że jest gdzieś aż na skraju świata i do mieszkania niemal się nie nadaje, choć przecież żyją tam jakoś dziesiątki tysięcy ludzi. Gdzieś w jej głębi Wasiun powiedział: „Jesteśmy na miejscu". I tak, on sunie przodem w swojej czarnej wiatrówce i czerwonych spodniach od dresu, a ja dwa kroki za nim. Wszystko, co wiem – idziemy pograć w dziewiątkę. Przy czym nie wyobrażam sobie, nie to że zasad tej gry, ale nawet tego czym się w nią gra – kartami, kośćmi czy krążkami. Winda, wiadoma rzecz, nie rusza, wchodzimy po schodach, coraz wyżej, zdaje się, na samą górę, na ostatnie piętro. Albo i nie ostatnie, kto to wie. Wasiun pcha drzwi jednego z mieszkań i jesteśmy tam. Ale co znaczy *tam*? Nigdy byś nie pomyślał – długi, bardzo długi korytarz, tylko jak on mógł się zmieścić w mieszkaniu w bloku, a światła w nim, jak w nocy w wagonie plackarty – no wiesz, „w sam raz tyle, żeby nie zasnąć i nie czytać, w sam raz tyle, żeby się powiesić"*. To co w armii nazywają „dieżurnym swietom". I teraz my kroczymy tym korytarzem, znów jeden za drugim – Wasiun i ja, przy czym kroczymy jakoś niezrozumiale długo, a zewsząd, czyli z boków i od przodu – pluski krzyków, rechotu, rozmów, śpiewów, heavy metal, kwartet bajanistów, pieśni wschodnich Słowian, radio „Promień" i tym podobne efekty. Ale my wciąż idziemy, i idziemy, aż natrafiamy na drzwi, stare rzeźbione drzwi, wysokie, dwuskrzydłowe i dwusetletnie, godne raczej jakiegoś pałacu na Szewczenki czy ówczesnej Majakowskiego, ale nie tej bamowskiej nory, no i tak – za nimi zaczynają się pokoje, wielgaśne pokoje – modern, empire – pięć albo sześć, i wszędzie tłuką się jacyś faceci, pełno wszelakich porządnie nasmarowanych typów, z wyglądu grabarzy i puzonistów, pomiędzy nimi snują się jakieś ciotki z personelu z obwisłymi tyłkami, chociaż dziewięćdziesiąt pięć procent to jednak męskie towarzystwo, armia nocy. Tak przechodzimy z pokoju do pokoju i zawsze zdążamy tylko zauważyć, że każdy

* Tłum. Bohdan Zadura.

z nich ma swoją prawdę i siłę, i wolność, bo tu rzeczywiście jest całe imperium: i klub samogonny, i palarnia konopiana, i świetlica makowa, i salon automatów do gry, i jednoręcy bandyci, i zmagania w naparstki, i rosyjska ruletka, i striptiz-go, i domowe kino porno, i wreszcie ten burdel z dziewiątką, czyli dziewięcioma ustawionymi w rzędzie gołymi dupami i niecierpliwą głośną kolejką, w której każdy zaciska w dłoni swoje zapocone dziewięć rubli, wszystkie jednorublówkami. Jasne, że Wasiun od razu podłączył się do ogona kolejki i daje mi znaki, jakby mówił, przepychaj się, stawaj przede mną, zaraz wszystko się zacznie. Spazmatycznie myślę, jak by go tu nie obrazić: zupełnie nie mam ochoty na te atrakcje, przecież nawet mi nie stanie do tylu dup naraz, więc w momencie kiedy on radośnie spuszcza do kolan swoje czerwone dresowe spodnie, krzyczę coś w rodzaju: „Zaraz, zaraz, zaraz przyjdę" – i błyskawicznie wyskakuję przez następne drzwi, cokolwiek miałoby na mnie czyhać za nimi, słyszę jeszcze, jak woła: „Jurik, nie bój się, one trypra nie mają!", ale to już ostatnie jego słowa, które mnie dobiegają, potem pochłania mnie całego cisza, wyobrażasz sobie, wystarczy zamknąć za sobą drzwi, a nagle wszystko się urywa i nastaje całkowita cisza. Z głębi nowej przestrzeni przyciąga mnie wielka świetlista plama. Idę więc ku niej, do tego światła, bo co mi pozostało, i widzę stół, a przy stole kogoś, kto już od dawna czeka na mnie i kiwa na mnie palcem – bliżej, młody człowieku, bliżej, bliżej. I im bliżej podchodzę, z tym mniejszą pewnością mogę powiedzieć, kto to – *On* czy *Ona*, *Wróżka* czy *Wróg*. Ale przede wszystkim ta skrzynia, czarna skrzynia wielkości dziecięcego teatru lalkowego, na środku stołu. *Ono* pyta: „Co, przyszedłeś?". I od razu zaprasza mnie, bym zajrzał do środka, pochylam się nad stołem i zaglądam przez szparę w cienkiej, pomalowanej na czarno ściance. Wtedy dzieje się coś takiego, czego do dziś nie mogę wyjaśnić.

O, robi się ciekawie!

Obiecałeś nie przerywać, nieprawdaż? No tak – w środku skrzyni, okazuje się, jest prawdziwy teatr, na przykład

lwowska opera czy coś podobnego, i pełna sala ludzi, i olbrzymia orkiestra, gdzieś półtorej setki strunowych, dętych i perkusyjnych instrumentów, przy czym nie w kanale, ale na scenie, i też na scenie przed orkiestrą stoi blady arlekin, Wiktor Morozow, jak zawsze z gitarą i śpiewa pierwszą z *Trzech ballad*, tytułuje ją *Trębacz*, chociaż u mnie ten wiersz nazywa się inaczej – *Lemberska katastrofa 1826 r.*, ale jako nazwa piosenki to oczywiście się nie sprawdza, *Trębacz* zaś bez wątpienia tak. Najciekawsze, że on, Wiktor, w tym czasie naprawdę nagrał tę balladę w firmie *Melodia*. Co prawda zupełnie minimalistycznie – gitara, głos i to wszystko, chociaż ten głos po każdej zwrotce porywa się, by zmienić się w trąbkę. Ale tutaj – jest cała orkiestra, pięćdziesiąt skrzypiec i wiolonczeli, wielki dźwięk, symfoniczna euforia, euforyczna symfonia. A dalej dzieje się już całkiem niepojęte. Znajduję się tam, właśnie na tej scenie, i to dokładnie na czas, w momencie gdy Wiktor kończy śpiewać pierwszą zwrotkę, a to może oznaczać tylko jedno – że pozostawiam swoje wierzchnie ciało na zewnątrz i przenikam do środka, do środka skrzyni już bez niego, a przeciskam się przez tę samą szparę, przez którą przed chwilą moje wierzchnie ciało na to wszystko patrzyło, w ten sposób zdążam odtrąbić ten pasaż, mam w ręku trąbkę, bo trębacz to – jak się okazuje – ja, i przecinamy scenę naszą niewielką pośmiertną grupą *trębacz, dwóch żołnierzy i kilku robotników*, wszystko tak jak należy, schodzimy do kanału dla orkiestry, a potem głębiej i głębiej, od drugiej połowy – w ciągu ostatnich dwóch zwrotek, poczynając od słów „pochowano ich pod wieżą" – ballada brzmi znacznie ciszej, orkiestra na palcach porzuca scenę całymi sekstetami, głos Wiktora się oddala, to znaczy on zostaje na powierzchni sam, to ja się oddalam, chociaż jeszcze go słyszę – właśnie wystarczająco, by na czas odpowiedzieć z głębin pasażem, bo idziemy w dół, w coraz gęstszy mrok, przechodzimy przez wszystkie możliwe warstwy śmieci, chłamu, ceramiki, popiołów, szkieletów, gliny, wapieni, miki, zeszliśmy na samo dno, na *dno kamienia*, do ostatniej

granicy między skorupą i płaszczem. Boże, jak ciemno, czyżby miało być właśnie *tak* – całkowita, absolutna, czysta, bez żadnej domieszki ciemność i nikogo, nikogo, nikogo wokół, tyle ciemności i tyle ciszy żaden z nas nie wytrzyma, więc ryczę i chrypię resztką mojej trąby, póki jeszcze mogę, powtarzam tę samą surmową frazę tysiąc albo i dziesięć tysięcy razy. I ta fraza, to podziemne wezwanie trwa we mnie aż do momentu, kiedy wszystko się urywa, ale – co najciekawsze – trwa jeszcze po tej chwili. Wpół do trzeciej, noc, pędzimy motocyklem przez całkiem już wymarłe miasto i niczym najbardziej zapiekli kibice jakiegoś Uraganu, rozrywamy ciszę zuchwałym duetem: on trąbi, a ja dmę w plastikową zachrypłą trąbkę – fajnie się zabawiliśmy i teraz wracamy, jasne? Ale gdyby nie te czarne skrzydła wiatrówki przede mną, to pomyślałbym jeszcze, czy ten, który teraz trąbi, naprawdę jest tylko metrampażem w gazetowej drukarni.

Skończyłeś?

Chyba. Tak.

5. Sędzia daje pograć

Gdzie i kiedy odbył się pierwszy występ Bu-Ba-Bu?

Wtedy to się nazywało Teatr Młodzieży. Mała scena. Kijów, 21 grudnia osiemdziesiątego siódmego roku.

Skąd ta dokładność w datowaniu?

Nie wiem. Może to konfrontacja z czasem. Czas maskuje się datami. Przyszpila się nimi do grzbietów naszych historii i powiewa za nimi niczym cerata. Poza tym tę datę łatwo zapamiętać, bo to urodziny Stalina.

Obchodziliście je?

Naszym pierwszym występem? Wątpliwe. Akurat to najmniej nas interesowało.

Jak to wszystko stało się możliwe?

W teatrze zaczęły się zmiany. Z Moskwy przyjechał Łeś Taniuk i został kierownikiem. Życie ruszyło z miejsca.

I on sam was zaprosił?

Wszystko wymyślił Neborak, „doktorant w ustach wener". Od tego czasu na jakieś pięć lat stał się on motorem większości naszych akcji. Opisał nas Taniukowi, to mu się spodobało i otworzyły się przed nami drzwi.

To był spektakl?

To było spektakularne. W pewnej mierze. I reżyserem niby był Proskurnia. Słyszałeś o takim?

Nie. Jak to wyglądało?

Najpierw czytali aktorzy. Taki niby prolog z naszym junackim mazgajeniem. Chyba żeby pokazać, jacy czuli i młodzi byliśmy jeszcze pięć lat wcześniej. Chociaż nie – najpierw wystąpił Taniuk i powiedział, że to wszystko bardzo przypomina mu złote lata dwudzieste ze wszystkimi grupowymi zabawami: futuryści, neoklasycy, MARS, WAPLITE. Nas to, oczywiście, połechtało.

Czyli w latach dwudziestych u was się działo coś ciekawego?

U nas zawsze się dzieje coś ciekawego. I niewidzialnego dla świata. Ale lata dwudzieste – to szczególna eksplozja. To czas, kiedy zostaliśmy mistrzami Europy w poezji, w nieoficjalnym hamburskim rankingu. Zanim wszystkich naszych mistrzów nie rozgromiono i nie rozstrzelano, ale to już głównie w trzydziestych. Widzisz, z tego wszystkiego nagle wyłażą jednak rogi towarzysza Stalina.

Happy birthday! Potem czytali aktorzy. A potem?

Potem zrobiliśmy kilka kółek. Każdy czyta po trzy, cztery wiersze i oddaje głos następnemu. Od tamtej pory robiliśmy tak na wszystkich występach.

Jakieś dodatkowe efekty?

Projektor ze slajdami – malarstwo Kaufmana, Kocha i innych. Kaufman i Koch nie spali – przyjechali na ten występ do Kijowa i zajęli się sprzętem. Neborak porównywał ich do dobrych gnomów.

Muzyka?

Wiktor Morozow – chociaż z magnetofonu. Sam miał właśnie gościnne występy w Laosie.

Publiczność?

Fantastyczna! A jakie dziewczyny! Jacy mistrzowie słowa! Walerij Szewczuk na przykład. Albo Jurij Pawłowycz Czemodan. Jasne, że wszystkie miejsca zajęte, sala napchana do ostatniego przejścia. Dodaj gwizdy i wrzaski nastolatków oraz westchnienia dam.

W jaki sposób udało się ich wszystkich tam ściągnąć?

To były czasy nienagannego funkcjonowania poczty pantoflowej. Informacje tego typu przekazywano, *niczym pocałunki – z ust do ust*. Wszyscy chcieli, rozumiesz?

I żadnej reklamy?

Zdaje się, że Kaufman i Koch, K-und-K, wydrukowali setkę zaproszeń, nawiasem mówiąc, dowcipnych. Formalnie zabawili się naszą liczbą. Czyli cyfrą trzy. Dzisiaj to unikatowy zabytek historii. Czy kultury? Egzemplarz tego zaproszenia teraz kosztuje niemal dwadzieścia tysięcy euro.

Znaleźli się kupcy?

To był żart. Przy następnych będę cię uprzedzać.

Dlaczego liczba trzy? Dlaczego zebraliście się właśnie we trzech?

Po tym jak Riabczuk mówił ze sceny na sam koniec tego wieczoru, niektórzy pomyśleli, że jest nas czterech i czwartym jest on. Od tego czasu to nas wszędzie prześladowało – starania postronnych osób, by wyjaśnić, kto jest czwarty.

Ale czwarty nie istniał?

Nie mógł istnieć. Trzy – to liczba doskonała. A cztery – taka sobie, nic ciekawego. Jeśli od czterech odjąć jeden, to wyjdzie trójkąt. Ale jeśli od trzech odjąć jeden, to już nic nie wyjdzie. Wymyśliliśmy naszą figurę w ten sposób, żeby żadnego z nas nie można było od niej odjąć. Byliśmy spontanicznymi pitagorejczykami. Choć tego pierwszego wieczora podjęta została jedna próba stania się czwartym. Nie, nawet czwartym i piątym. Próba zmienienia Bu-Ba-Bu w gwiazdę. Jakoś tak pod koniec usłyszeliśmy niecenzuralne krzyki ze schodów, potem do sali wpadło dwóch porządnie wstawionych typów, z których jeden był poetą Maleńkim. Nie maleńkim poetą, a właśnie poetą Maleńkim. On już któryś dzień błąkał się po Kijowie ze świeżo kupioną noworoczną choinką na ramieniu. Choinkę miał dostarczyć do miasta Duszanbe, w którym przeważnie mieszkał i zajmował się Persami. Nie piersiami, ale perską literaturą. I tak chodził z tą choinką po całym Kijowie już nie pierwszy dzień. Przez tę choinkę wszyscy w Kijowie go rozpoznawali i mówili na niego „tawariszcz iz Duszanbe". Drugim był nieznany nikomu z nas Iwan. Ten Iwan również zechciał wejść na scenę i przeczytał bardzo długi wiersz o procesie w sprawie jakichś alimentów na dziecko. Jego czytanie też się bardzo publiczności spodobało – po zakończeniu wszystkiego kupa dziewczyn chciała od niego autograf. A może i dziecko, kto wie.

Czyli to był sukces?

Tak – i jego, i nasz. Jura Żygun zatelefonował następnego dnia do Neboraka i powiedział, że wciąż czuje się jak na niezłym kacu. W tamtych czasach wierzyło się w poezję.

Przeżywało się ją maksymalistycznie. Przez całe to napięcie rozłożyłem się, kiedy tylko wróciłem do domu. Znów połamało mnie jakieś bezimienne przeziębienie, absolutne przeziębienie, przeziębienie w formie czystej – rano usta miałem obłożone jak Mozart w filmie Formana. Ledwie parę tygodni wcześniej zobaczyliśmy ten film i wyprawiając mnie na występ do Kijowa, Nina powiedziała „powodzenia Wolfi". Podobnych rzeczy nie mówi się tak po prostu, wiesz. Od tego się wszystko zaczęło.

Któryś raz wygłaszasz tę frazę. O tym, że wszystko się zaczęło.

No bo właśnie tak żyję. Ciągłe otwieranie nowych okien w Windowsie.

Wasz drugi występ. Pamiętasz go równie dobrze?

1 kwietnia 1988 roku. Sala Związku Pisarzy. Ludzi trzykrotnie więcej, niż może się w niej zmieścić. Tylu odjazdowców w podartych dżinsach i z kolczykami w nosach te ściany jeszcze nie widziały. Czyli znacząco odświeżyliśmy zatęchłą atmosferę tej instytucji.

Byłeś członkiem Związku Pisarzy?

W tym czasie tak. Szczerze mówiąc, dziś trochę tego żałuję. Ale wtedy wydawało się, że to daje większe prawa. Wszyscy poszli tam po swoje prawa – nawet najbardziej aspołeczne freaki. Ja zrobiłem to samo.

Teraz nie jesteś członkiem Związku Pisarzy?

Nie, poczynając od dziewięćdziesiątego szóstego roku. Aż tak cię interesuje właśnie ten temat?

Nieszczególnie. Jak przebiegł ten drugi występ?

Całkiem przyzwoicie, momentami sensacyjnie. Po zakończeniu, otoczeni dziesiątką *rodziny i bliskich*, wbiliśmy się do pracowni żony Żyguna, Natałki, skądś mieliśmy całe dekalitry koniaku i – jak myślisz, co tam robiliśmy? Dalej czytaliśmy wiersze! *Rodzina i bliscy* też czytali – ci z nich, którzy byli poetami. Po którymś kieliszku Hera zażądał, żeby „Polacy poszli precz". Za Polaków uważało się Włodka Nakonecznego z Łarysą. Hera zawsze urządzał podobne sceny, w każdym towarzystwie musiał być ktoś, kogo on w pewnym

stadium wyganiał precz. Rozumiesz, tak naprawdę to było znacznie ważniejsze od samych występów – spotkać się, być razem, wspólnie przeżywać te wzloty, zetknięcia, upadki i skurcze świadomości. Po prostu coś ci przeczytam – to nazywa się *Ave, Chrysler!* i napisane było dwanaście lat temu, czyli ze znacznie bliższej tym początkom czasowej perspektywy. Słuchaj: „Nie tworzyliśmy programów ni manifestów, nie podpisywaliśmy żadnych komunikatów ni memorandów. Po prostu wymyślaliśmy wiersze i czytaliśmy je – najpierw jeden drugiemu (w życiu nie miałem takich genialnych słuchaczy jak tych dwóch!), potem szerszemu kołu «świadków» Bu-Ba-Bu, naszych adeptów i sympatyków, wreszcie publiczności, która przychodziła na nasze wieczory, a której liczba, nawiasem mówiąc, sięgnęła gdzieś trzydziestu (trzystu trzydziestu, chciałoby się powiedzieć) osób"*. Rozumiesz, przede wszystkim chodziło o to, żeby pisać wiersze jeden dla drugiego, chociaż teraz myślę jeszcze inaczej: nie tyle pisać, ile przeżywać wzajemnie swoje wiersze. Wystarczało trzy doby posiedzieć u Neboraka we Lwowie – i od razu pojawiały się jakieś *Lipcowe szkice podróżnego*. Dziesięć wierszy napisanych w ciągu dnia i połowy nocy. To nie mogło składać się inaczej – tyle chodzenia, błąkania, upału, dziewcząt, niedobrego algierskiego wina, śmierdzących bram, tramwajów, rozmów w łóżku, cytatów, znaków, tyle wszystkiego nie mogło nie wyjść jako *lipcowe szkice*. Znasz mój wiersz *Żebro*, prawda?

Tak, pamiętam.

Jednego z tych dni Neborak umówił się ze swoimi medycznymi znajomymi i wpuścili nas do ich zamkniętego muzeum patoanatomii. To jedno z tych miejsc, gdzie ogólnoświatowa zmowa lekarzy staje się oczywistością. Nikt, poza nimi, nie może tego oglądać, chodzi o zdyskredytowaną naturę człowieka. To coś takiego jak poezja Gottfrieda Benna od środka. W jego poezji czujesz się jak w pracowni anatomicznej.

* Tłum. Bohdan Zadura.

Chodzisz po niej, oglądasz tak zwane eksponaty, wdychasz zapach formaliny, bledniesz i starasz się zachować poczucie humoru. Z tamtego razu zapamiętałem „olbrzymie serca rzeźników i kochanków, obwisłe i rozdęte płuca palaczy, trębaczy i dmuchaczy szkła, tatuowany krzyż bohatera (akurat nad sutkiem)"*. Były także amputowane dla potomności ręce ostatniego lwowskiego kata. Oficjalnie ostatniego, mam na myśli, bo tak naprawdę to rzemiosło istnieje tam do dziś, ale w tajemnicy. Wszystko to przechowywano w naczyniach różnego kształtu i pojemności, wypełnionych pitnym roztworem fizjologicznym. Zdaje się, że zapisałem tej pracowni swoje żebro. Wciąż jeszcze wierzę, że z mojego żebra będą ludzie.

Spaliście razem?

Z kim, z Neborakiem? Dlaczego pytasz?

Kiedy wyliczałeś wszystko, co przeżywaliście we Lwowie, wspomniałeś też rozmowy w łóżku.

Aha! Nieźle! Nie, o ile pamiętam, Neborak w domu swoich rodziców miał całkowicie osobne łóżko dla gości. Jednak jeśli gości pojawiło się więcej niż jeden, to musieli spać w jednym łóżku. Dlatego jeżeli rzeczywiście z którymś z nich spałem, to raczej z Irwanem. On strasznie kopie przez sen i, szczerze mówiąc, zgrzyta zębami. Przynajmniej wtedy tak było, kopał i zgrzytał, a jak z nim teraz jest, nie wiem, już z nim prawie dwadzieścia lat nie spałem. Do tego nie da się go dobudzić – w dzień znacznie więcej niż inni mówi, gestykuluje i porusza się, a nocą zapada w sen znacznie głębiej niż wszyscy inni moi znajomi, możliwe, że wyjmuje i wkłada do ładowarki swoje akumulatory. Za to ma i swoje zalety. Jest chudy. Wtedy był nadzwyczajnie chudy, a teraz jest chudy nadzwyczajnie. Czyli w łóżku nie zajmuje wiele miejsca. W ogóle lubię chudych ludzi – wokół nich zawsze znacznie mniej jest nieprzyjemnych zapachów. Człowiek powinien być lekki i suchy, niczym korek.

* Tłum. Jacek Podsiadło

O czym najczęściej rozmawialiście?

Kiedy spotykaliśmy się we trzech? O, tego się nie da odtworzyć! To był tajemny język ptaków. W każdym razie wiele się śmieliśmy, tylko to robiliśmy, wybuchaliśmy śmiechem niczym bohaterowie mołdawskiego eposu. Uczeni chłopcy i dziewczęta nawet postanowili powiązać nas z kulturą śmiechu. Później przyszło mi przeczytać Bachtina, żeby zrozumieć, z czym nas wtedy powiązali. Okazało się, że nasza poezja, a dokładniej nasze poezje są swoistym „lirycznym karnawałem". Brzmiało to fajnie. Ogólnie nie mieliśmy nic przeciwko. Powiem nawet więcej – sami w to uwierzyliśmy.

Dzisiaj już nie podzielasz tej myśli?

I tak, i nie. Strasznie trudno jest starać się sobie wyobrazić, co by się z tego wszystkiego rozwinęło, gdyby jedna z pierwszych recenzji *Nieba i placów* nie była zatytułowana *Liryczny bohater karnawału*. Chociaż czemu by nie? Wracając do twojego pytania, o czym rozmawialiśmy: nagle pomyślałem sobie, że w dziewięciu dziesiątych rozmawialiśmy wierszami, rozumiesz? W każdym razie, kiedy latem osiemdziesiątego siódmego napisały mi się pierwsze rzeczy z *Egzotycznych ptaków i roślin*, całkiem świadomie robiłem tak, żeby naprawdę chciało się je czytać na głos. Już wcześniej kręciła mnie fonetyka, możliwe, że to moje stłumione skłonności muzyczne i takie różne, ale gdzieś mniej więcej od lata osiemdziesiątego siódmego, kiedy pisałem *Arię Ołeksy Rozumowskiego*, *Pawła Macapurę, zbrodniarza*, *Wolfa Messinga*, *Zagładę kotlarewszczyzny*, *Kozaka Jamajkę*, to stało się dla mnie absolutem. Wypróbowywałem brzmienie każdego wersu i każdego półwersu, i nawet każdego półsłowa – wargami, językiem, podniebieniem.

„Tak naprawdę każdy z nas zaczął na swój sposób doprowadzać napisane przez siebie wiersze do takiego stanu, by bardzo chciało się ich słuchać. Miały brzmieć. To miała być poezja do słuchania, chodziło przede wszystkim o to, żeby nie dać nikomu zasnąć. W ogóle to się często zdarza – ludzie przychodzą na wieczór literacki i po piętnastu minutach siedzenia w wygodnym fotelu

zaczynają zasypiać. Chcieliśmy pozbawić ich tej możliwości". Pamiętasz?

Tak. I mogę nawet kontynuować: „Jeśli wyobrazić sobie karnawał, wcielony wyłącznie w dźwięki słów i ludzki głos, to miało być to. Czy, powiedzmy, inne porównanie: wiersz jako numer cyrkowy. To porównanie szczególnie wabiło swoim maksymalizmem: dokładność poety ma dorównywać dokładności linoskoczka (no albo powietrznego gimnastyka), dla którego mikronowe odchylenie od jedynego możliwego algorytmu oznacza upadek i śmierć. W ten sam sposób poeta w wierszu – musi dobierać jedyne możliwe słowa, intonacje, struktury rytmiczne. Po wielu, bardzo wielu latach znalazłem coś podobnego u Lawrence'a Ferlinghetti'ego w jego *Constantly Risking Absurdity*, ale myślę, że nie jesteśmy z nim pierwszymi ani ostatnimi"*.

Też tak myślę. Ile w sumie odbyło się waszych występów?

O, tak od razu nie da się powiedzieć. Teraz już nikt tego nie zliczy, chyba że jakiś fenomenalny liczykrupa. Problem jest jeszcze z tym, że coraz częściej wstępowaliśmy w alianse. Sale były coraz większe, publiczność chciała rzeczy coraz weselszych. Naszym śladem na scenę wyszli ŁuHoSad, Propała Hramota, Chu-Cha-Chu. Ci ostatni istnieli tylko jeden wieczór. Potem jeszcze historia z akademią. W osiemdziesiątym ósmym roku Neborak pierwszy pomyślał o tym, że najprawdopodobniej wszyscy dożyjemy do roku dwutysięcznego. Nie bardzo się wtedy w to wierzyło, ale prawdopodobieństwo okazało się stuprocentowe. Na ostatnie dwanaście lat tysiąclecia wymyśliliśmy sobie zabawę w naszą własną nagrodę. Mieliśmy za każdym razem uhonorować wiersz, opublikowany w ciągu minionego roku kalendarzowego. Czyli nagrodę przyznawaliśmy my trzej za najlepszy wiersz roku. Każdy rok rozpoczynaliśmy od tego, że, zjechawszy się w pewne dobrze ukryte przed postronnymi oczyma miejsce, otoczeni sekretarkami, psami i ochroniarzami, zasiadaliśmy za stołem

* Tłum. Katarzyna Kotyńska.

tajnych rozmów i nie wstawaliśmy od niego, póki nie uzgodniliśmy ze sobą nazwiska laureata. W osiemdziesiątym ósmym pierwszym laureatem był Małkowycz, na początku osiemdziesiątego dziewiątego wręczyliśmy mu publicznie butelkę whisky czy nie pamiętam już czego. A zresztą, jaka whisky mogła być w monopolowym w Sojuzie w osiemdziesiątym dziewiątym? Nie, oczywiście, to była wódka, tylko jakaś wyjątkowa i droga, to znaczy w butelce zero siedem, koniecznie z zakrętką. To zawsze była najdroższa butelka, jej cenę dzieliliśmy po równo na trzech. Więc ten moment z Małkowyczem jest początkiem Akademii Bu-Ba-Bu. W roku dwutysięcznym Akademia miała liczyć piętnastu członków – trzech bubabistów i dwunastu uhonorowanych przez nas laureatów od roku osiemdziesiątego ósmego do dziewięćdziesiątego dziewiątego.

I czym miałaby się zajmować?

Cholera ją wie. Jak pęd winnej latorośli, pielęgnowałaby język. Nikt z nas tego nie wiedział, dlatego od razu ją rozpuściliśmy, ledwie co powstała. Działo się to w maju dwutysięcznego roku na scenie Filharmonii Lwowskiej. Ogłosiliśmy ostatniego laureata, właściwie dwóch, Rymaruka i Herę, i dodaliśmy, że w ten sposób Akademia została założona. Publiczność zaczęła klaskać i powoli, rząd po rzędzie, podejrzliwie się na siebie oglądając, wstawać z miejsc. We Lwowie publiczność lubi stojące owacje. Kiedy wszyscy co do jednego podnieśli swoje dupy, podziękowaliśmy i wygłosiliśmy następne oświadczenie – o samorozwiązaniu. Wiesz, wszystko pięknie, ale to wspomnienia przyszłości, a my musimy na razie zostać tam, gdzie byliśmy – pod koniec lat osiemdziesiątych.

I w końcu – ile wieczorów, chociaż mniej więcej?

Trzysta trzydzieści. Albo dwieście dwadzieścia. Przynajmniej tak mi się wydaje. Przy czym każdy z nas wziął na siebie jakąś część z nich. Neborak przez wszystkie te lata mieszkał w Kijowie, właściwie bujał się jak wahadło między Kijowem i Lwowem, tak to się u niego nawet nazywa

w jednym z wierszy – *Wahadło*. To znaczy, że on organizował lwią część. W tym wypadku *lwią* powinna nazywać się ta, która odbywała się we Lwowie. Zresztą tam też organizował on – a któż by inny? Żył na dwa miasta, udając doktoranta i filozofa natury. Od niego nadchodziły wszelkie światowe breaking news. W tym czasie kończył pisać *Latającą głowę*, chodził na rękach, mówił brzuchem, odwracał piramidy hierarchii i doprowadzał publiczność płci obojga do masowych orgazmów. Wyobrażasz sobie – poezją! Nie filmami pornograficznymi, ale recytowaną poezją. Jego telefony oznaczały zawsze kolejną zmianę w moim życiu. Na przykład, późną jesienią osiemdziesiątego ósmego zadzwonił i powiedział: „Uwaga, wschodzą nad tobą gwiazdy". Gwiazdy wschodziły nade mną, dlatego że profesor Donczyk, do którego właśnie dotarł egzemplarz moich opowiadań z wojska, puszczonych w *społeczeństwo obywatelskie* przez Riabczuka, zatem profesor Donczyk przeczytał je i podał dalej do czytania – swojemu synowi Andrijowi. Nie tak po prostu, ale dlatego że ten jako reżyser szukał scenariusza do filmu – oczywiście o armii. Nawiasem mówiąc, służyliśmy w tym samym czasie. Jasne, że moje opowiadania nie mogły być scenariuszem jako takim. Można było wyciągnąć z nich parę wątków, jakieś motywy, nastroje czy typy, ale potrzebna była inna ciągła i całościowa historia. Zaproponowano mi więc napisanie scenariusza. Było to, jak powiedziałby Jarosław García Lorca, *słodko i straszno*. Na samym początku osiemdziesiątego dziewiątego roku, w jeden z pierwszych styczniowych mrozów, wyrwałem się do Kijowa. Cały dzień z Andrijem wyobrażaliśmy sobie przyszły film. Najłatwiej szło nam z muzyką – takie przeciągłe elektryczne riffy, coś w rodzaju Pink Floyd. Wszystko inne zanurzone było we mgle, mimo że mieliśmy z milion punktów stycznych. Ciekawa rzecz: w odróżnieniu ode mnie Andrij służył gdzieś bardzo, bardzo daleko, coś mi się wydaje, że gdzieś aż na Zabajkalu. To znaczy, że dzieliło nas w czasie *wykonywania świętego obowiązku* nie mniej niż dziesięć tysięcy kilometrów. Myślę, że

nawet więcej. Ale wszystko, absolutnie wszystko, wszystkie nielegalne mechanizmy, niepisane prawa i wewnętrzne zasady zachowania, cała zbiorowa świadomość, cała masowa kultura i folklor były identyczne – i u mnie, i u niego. Istniały jakieś nieistotne różnice w nieistotnych szczegółach, już się o nich zapomniało. Dobra, u nich cywilne ubrania poborowych przepuszczali przez *maszynkę do mielenia*, a u nas ciskano je w ogień. Jednak dziewięćdziesiąt dziewięć procent zgadzało się co do joty. Jak to nazwać – wyzwaniem dla przestrzeni?

Raczej pokonywaniem tego wyzwania, którym jest przestrzeń. Znawcy imperiów twierdzą, że niby to jest celem ich istnienia.

Widzisz, jaki mądry jesteś! Nie, oficjalna powierzchnia musiała być jedna, tutaj wszystko jest jasne – armia istnieje po to, żeby unifikować. Chodzi mi o *to, co pod spodem*, o cień, o równoległą strukturę. Dlaczego ona też wszędzie była jednakowa? W jaki sposób to było przekazywane – wszystkie te rytuały, z pasami, sprzączkami, *dniami do cywila*, studniówką, wszystkie te wierszyki, piosenki, przypowieści i przepowiednie? Tak, to jest wreszcie właściwe pytanie: w jaki sposób to wszystko było przekazywane i przejmowane? Może armia to po prostu jakaś epidemia? W każdym razie z Kijowa wyjeżdżałem mocno przeziębiony i naładowany. Wieczorem patrzyłem na ulicę z okna drukarni. Z okna na drugim piętrze, jeśli się nie mylę. Działo się to w samo Boże Narodzenie, wtedy oficjalnie nie było to żadne święto. Patrzyłem z okna i widziałem na dole grupę kolędników: Pastuszków, Heroda, Żyda, Trzech Króli, Anioła. W tym czasie milicja przeważnie się już ich nie czepiała. Przytupywali na przystanku i podzwaniali swoimi dzwoneczkami. Potem przyjechał autobus, diabelnie nabity, ale oni i tak wsiedli tylnymi drzwiami – Pastuszkowie, Herod, Żyd, Trzej Królowie, Śmierć. No tak, jeszcze Śmierć, jakżeżby bez niej? Śmierć z kosą w przepełnionym autobusie, wyobrażasz sobie? Ostatni próbował się wepchnąć Anioł, ale miał na plecach wielkie waciano-gąbkowe skrzydła

i tylne drzwi nijak nie chciały się zamknąć. Wreszcie autobus jednak ruszył – ze skrzydłami przytrzaśniętymi przez te drzwi. *Świeciły, bolały i przeszkadzały* – dokładnie jak u Kostia Moskalca. Pomyślałem: *mam*. Bohater mojego scenariusza miał stać się kolędniczym Aniołem. Jeśli anioła wziąć do służby wojskowej, może umrzeć z braku powietrza.

Nie przypominam sobie niczego takiego w filmie.

Bo w filmie nic takiego nie ma. Podczas montażu okazało się, że ta linia fabuły jest poważnie sprzeczna z główną, brutalnie realistyczną. Coś jak dwa różne filmy, trzeba było jeden wyciąć. Drugi na tym, być może, skorzystał.

Podoba mi się twoje „być może". Ale chcę przejść do czegoś innego. Jak to się stało, że wreszcie odszedłeś z drukarni? Na początku tego roku jeszcze się jej trzymałeś.

Wiesz, to okno w drukarni było jej ostatnim słowem. Niczego więcej dać mi nie mogła. Już od dłuższego czasu obmyślałem, jak się z niej wymiksować. Czułem, że coraz bardziej się rozdwajam. Z jednej strony – bubabizm, publiczność, wędrowny styl życia, swoboda gestów i słów. Z drugiej – posmak cynku, rutyna, czarno-białe szpalty, harmonogram prac. Można było przez to ześwirować. Wyobraź sobie coś takiego, jesteś na scenie i słucha cię trzystu ludzi, a potem następuje długa i namiętna owacja. Po czym tylnym wyjściem opuszczasz ten magiczny teatr, skazańczo wracasz do drukarni, włazisz w swój fartuch, podnosisz słuchawkę telefonu i słyszysz wrzask sekretarza redakcji: „Dwupunktową z trzeciej zdjąć, tytuły na pierwszej stronie bez szeryfów". Czy jakieś podobne produkcyjne gówno. Ale zmieniać drukarni na jakieś inne, *bardziej twórcze* więzienie też mi się nie chciało. Nie chciałem żadnej posady. Zdaje się, gdzieś w tych czasach zastanawiałem się nad istnieniem na tym świecie jakichś dróg ucieczki. Ale *ten świat* wtedy ograniczał się jeszcze zaledwie do swojej jednej szóstej. I na całej przestrzeni od Karpat aż do Kurylów taka droga ucieczki istniała tylko jedna. Tylko, zabij mnie, za nic nie pamiętam,

kiedy się to wszystko zaczęło, kiedy przyszedł mi do głowy ten pomysł z Moskwą i kto mi go podsunął. Pewnie Riabczuk, bo któż by inny?

W ten sposób, zwolniłeś się z drukarni, gdy tylko dostałeś się na kursy w Moskwie?

Nie, jednak wcześniej. Wiesz, nawet ja z moim fenomenalnym śmietnikiem w głowie, okazuje się, nie wszystko pamiętam. Powiedzmy, zupełnie nie pamiętam momentu, kiedy dowiedziałem się, że mnie przyjęto. Jak to było? List? Telefon? W każdym razie z redakcji zwolniłem się gdzieś w czerwcu. Ale znacznie ważniejszy był maj, bo w maju razem z Niną i Sofijką przekradliśmy się przez granicę. Chyba coś już wspominałem o mojej krakowskiej rodzinie, tak? No, i przedarliśmy się do nich w gości. Jasne, że nie bez wszystkich przygód z formularzami, paszportami, gliniarskimi naczelnikami i tak dalej, ale uparłem się i *jak koń pogryzłem uździenicę* – no i się przedostaliśmy. Okazało się, że Polska zaczyna się zaraz za Lwowem, to znaczy tam nawet jechać nie za bardzo było trzeba. Do tego trafiliśmy akurat na polską rewolucję. Z rodzaju tych, które nazywają aksamitnymi. Słuchaj, to był raj! Raj i jazda! Tłumy pięknych ludzi na Rynku, świeżo uwolnieni więźniowie polityczni z megafonami, żywe łańcuchy, barykady, uliczne kluby dyskusyjne, każdego dnia pochody studentów pod konsulat radziecki. Raz dziennie telewizja nadawała siedem minut opozycji. W ciągu siedmiu minut na antenie udawało im się rozbić całodobową państwową propagandę i wszyscy byli za nimi. Domowej roboty odezwy na każdym słupie, spisy aresztowanych i pobitych wczoraj na wszystkich płotach, na ścianach uniwerku i kościelnych bramach, euforia ksero, tony broszur i ulotek, paraliż zasypanej kwiatami milicji.

Pomarańczowa alternatywa?

Właśnie tak. Blokowali ruchy oddziałów specjalnych za pomocą błazeńskich akcji. Na przykład przebierali się za bajkowe krasnoludki i rozdawali zomowcom watę cukrową. Karnawał obywatelskiego sprzeciwu. Wiesz o tym, nie mu-

szę opowiadać.

Nie musisz. Ale jak ty to odbierałeś?

Pewnego dnia spacerowaliśmy po centrum we czwórkę – moje dziewczyny, stryj Roman i ja. Nie mogły nas nie przyciągnąć odgłosy kolejnej demonstracji pod radzieckim konsulatem. Hasłem było „Sowieci do domu!" – chodziło o wycofanie z Polski radzieckich wojsk. Kilkuset młodych ludzi z czarnymi flagami z pacyfą...

...myślę, że tym zajmował się przede wszystkim WiP, czyli Wolność i Pokój, anarchiści.

Być może. Oni taką zbitą kolumną podchodzą pod konsulat i wielokrotnie skandują „So-wie-ci-do-do-mu". Jednocześnie zajmują całą jezdnię i wreszcie jak jeden mąż siadają na asfalcie. My, pośród innych gapiów, stoimy jakieś sto metrów od nich, na krawężniku od strony Plant. Byłeś przecież w Krakowie nieraz i znasz to miejsce?

Myślę, że tak. Mam je teraz przed oczami.

W takim razie możesz zobaczyć, jak na ich spotkanie wypełza zmechanizowana kolumna milicji. Na przodzie gazik z jakimś dowódcą i kogutem, a dalej całkiem niepojęte szarobrunatne plamiste poczwary na kołach, wozy bojowe wielkości transportera piechoty, przy czym najeżone lufami. I jest ich z dziesięć. Sofijka ma niecałe siedem lat i jest zaciekawiona, co będzie dalej. Trzymamy ją z Niną za ręce i nie wiemy, co jej powiedzieć. Ale nie chce nam się nigdzie stąd iść: po pierwsze, gdzie zobaczymy coś takiego *na żywo*, po drugie, jako gapie niczym nie ryzykujemy. Kolumna zatrzymuje się ze sto metrów od siedzących na asfalcie demonstrantów, mniej więcej równo z nami. Dowódca bierze megafon. Żąda, by opuścili jezdnię i rozeszli się w spokoju – w przeciwnym wypadku zastosowane będą armatki wodne. W odpowiedzi siedzący jednogłośnie gwiżdżą. Dowódca po raz drugi powtarza swoje wezwanie, bo wymaga tego instrukcja służbowa. Siedzący gwiżdżą po raz drugi jeszcze bardziej jednogłośnie. Stryj Roman wyjaśnia nam, że zaraz padnie trzecie i ostatnie ostrzeżenie. Tak, jakby komentował mecz

tenisa. W latach trzydziestych był mistrzem Stanisławowa w tenisie i ping-pongu. Dowódca rzeczywiście wygłasza swój magiczny tekst po raz trzeci. Stryj z zadowoleniem patrzy na nas i mówi: „No tak". Siedzący po raz trzeci odpowiadają gwizdem i krzykami, potem wszystko na moment zamiera, cisza. „A teraz wystrzelą", mówi stryj. Lufy na wieżyczkach obracają się w naszą stronę. Nawet zdążam zrozumieć, *do kogo* wystrzelą. To znaczy tylko *zdążam*, a w mój brzuch już napierdala tak obezwładniający strumień, że niemal padam z nóg. Teraz jest jasne – akcję odwetową postanowili zacząć od *cywilnych mieszkańców*. Wszystkie trzy ostrzeżenia dowódcy dotyczyły *także nas*. Następny kadr: biegniemy przez Planty – oblepieni ubraniami, przemoczeni do suchej nitki, zgrupowanie rewolucyjne, przodowy oddział ekstremistów, podstępnie zamaskowany jako para małżeńska z Ukrainy, ich sześcioletnia córka i siwogłowy weteran (uwaga: uzbrojony w rakietę tenisową i skrajnie niebezpieczny!). A w ogóle to dobrze, że tego dnia wszystko się tak złożyło. I że – w odróżnieniu od wcześniejszych czasów – tej wody z armatek niczym nie zabarwili. Trzeba by było chodzić w zaplamionych ubraniach.

Po tych plamach potem rozpoznawali i wyłapywali uczestników rozpędzonych demonstracji. Znakowali ich w ten sposób.

U nas zaczynało się coś podobnego. W tym czasie już się zaczęło. Jak zawsze od Lwowa – w osiemdziesiątym ósmym odbyło się parę pierwszych demonstracji i niby nic. Być może System postanowił poczekać, przyjrzeć się. Najważniejsze, żeby nie za wcześnie i nie za późno. Oczywiście, nie ma potrzeby rzucania się na garstkę miejskich wariatów. Trzeba uchwycić moment, kiedy ta garstka zaczyna obrastać coraz bardziej przychylnym ludem, ale zanim nie stanie się jeszcze masą. Trzysta tysięcy osób na ulicach – to koniec władzy. Trzysta tysięcy i więcej. Ale w osiemdziesiątym ósmym daleko było do tych trzystu tysięcy! Dwie demonstracje przebiegły spokojnie. Za trzecim razem władza się spękała, dostała szału i zastosowała omon z wilczurami. Mówi się,

że powstał potworny zamęt – krzyki, krew, gumowe pałki, wykręcanie rąk. Najbardziej dostało się starym kobietom, babciom, one we Lwowie są zawsze na czele wszystkich procesów. I procesji. Oprócz tego, efekt zaskoczenia, szok: omon wtedy pokazał się po raz pierwszy, nikt nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział, nawet nie słyszał o istnieniu czegoś podobnego – prawdziwe gestapo, każdy dwa metry wzrostu, wygolone głowy, ubrani na czarno, tępi, bezlitośni, biją leżących, kobiety i dzieci, wszyscy na psychotropach. Najbardziej męczyło właśnie to: co to za jedni i skąd się zwalili na nasze głowy ze swoimi, kurwa, pałami. W każdym razie tej jesieni oni niby wszystko stłumili, nikt już się nie wychylił, wszyscy nasi rozbiegli się do zimowych kryjówek i do wiosny lizali rany, a mi napisał się wiersz, w którym chłopcy w beretach wzięli się za nasze kości i plują na ten starodawny bruk. Czekaj, właśnie mówiliśmy o maju osiemdziesiątego dziewiątego, a teraz znowu nie wiadomo o czym.

Przypuśćmy, że wróciliście z Polski.

No tak, wróciliśmy i od razu rzuciłem się do zbierania koniecznych papierów i przekazywania ich do Moskwy ostatnim wagonem ostatniego pociągu. Niespodziewanie okazało się, że wszystko musi być *na jutro*, bo jutro – termin. Zatrzymałem się w Kijowie, w dzień biegałem po jakieś zaświadczenia lekarskie, których nawet teoretycznie nikt nie powinien mi wydać, bo w Kijowie nie mieszkałem, skąd więc mogliby cokolwiek wiedzieć o moich ewentualnych odchyleniach psychicznych. Ale hasło *ja od Honeckera*, czyli od Żyguna, działało niezawodnie. W ogóle to chodziło o towarzysza Ericha Honeckera, jak rozumiesz. A nocą z Kruczykiem, dobrą duszą, dłubaliśmy przy rosyjskich przekładach moich wierszy i dochodziliśmy do rozpaczliwego wniosku, że poezja i tak gdzieś się wyślizguje. Rosyjskie przekłady potrzebne były po to, żeby tajno-tajemnicze jury w Moskwie mnie oceniło i postanowiło, co ze mną uczynić. Oczywiście, chodziło o rybki.

A jeszcze jednego z tych dni miałem spotkanie z Sołomiją.

Kim ona jest?

Już jej nie ma. Dlatego jej obecność jest aż tak odczuwalna. Bez wątpienia – to ją mam na myśli w dedykacji do *Dwunastu kręgów*: „Krystianowi, Sołomii i Innym". Krystian – to Christian Loidl, dziwny wiedeński poeta, wskutek jakiegoś nerwowo-metafizycznego zaburzenia co jakiś czas wzdrygał się i wydawał z siebie ostry ptasi krzyk. Inni – to wszyscy ci, którzy odeszli nie wiadomo dokąd z tego świata, w czasie kiedy ja nosiłem wspomniane kręgi wewnątrz siebie. A Sołomija – to ona, Sołomija Pawłyczko. Pamiętam ten letnio-gęsty dzień i jak Neborak ściągnął nas na Prorizną, wtedy jeszcze, zdaje się Swierdłowa. Mówiłem jej, że niby mam zamiar pisać dysertację o Antonyczu, a ona wciąż ostrzegała: „Tylko w żadnym wypadku nie zatytułuj jej: «Bohdan-Ihor Antonycz: tradycja i nowatorstwo»". Chociaż nie – wtedy byliśmy jeszcze na pan, musiała mówić: „Niech pan nie zatytułuje" – dopiero potem, późną nocą, po wielu kieliszkach koniaku w pracowni Żyguna i jeszcze Bóg wie gdzie, kiedy całkiem się ściemniło, a mój język przestawał się mnie słuchać, wypiliśmy – na żądanie tegoż Neboraka – bruderszaft i pocałowaliśmy się. Wszystko to odbyło się na jakiejś ławce, w głębinach jakiegoś placu zabaw, gdzie były huśtawki i wszystko się huśtało.

Była pisarką?

W odróżnieniu od wielu literaturoznawców, ona naprawdę znała literaturę. Znała w głębszym sensie, to znaczy wiedziała, jak ta sztuka oddycha, drży, kwitnie, znała jej najdelikatniejsze struktury i najdalsze zakamarki, przede wszystkim prozę. Pamiętam rozmowę telefoniczną w Kijowie: tysiąc razy powtórzyliśmy „proza", w myślach też. Ale w tamtych czasach nie mogliśmy ominąć i polityki – ona narzucała się ze wszystkich sił, trwało to czwarty rok, wszystko, czegokolwiek by się dotknąć, z bliska okazywało się polityką. Latem osiemdziesiątego dziewiątego zmieniło się to w totalne przejęcie, nieco psychotyczne, jednak nieuniknione. Używam słowa *przejęcie*, dlatego że to właściwe słowo. Przejęło nas, byliśmy przejęci. Przejęła nas reakcja łańcuchowa na

stopniowe otwieranie wszystkich możliwych *specarchiwów* – czyli wszystkiego, co leżało za siedmioma zamkami *na półce*. Cenzura wycofywała się i kurczyła, coraz szybciej oddawała obszar za obszarem i okazywało się, że radio, telewizja i prasa mogą zachwycać. To waliło mocniej niż wódka. To był narastający megaszok trwający pięć lat, przy czym dawka wstrząsów stawała się coraz większa i mocniejsza, wymienialiśmy się, niczym palacze trawą, czasopismami, książkami i kserokopiami, to było jakieś nieprzerwane czytanie, słuchanie, brzęczenie za plecami, migotanie z ekranów, krążenie myśli i haseł, multiplikacja. Wyobraź sobie – nagle wszystkim zachciało się grubych czasopism i publicystyki! Wszyscy zaczęli znać się na ekologii, korupcji i ustalaniu cen. A frazy w rodzaju „narodowo-rosyjska dwujęzyczność", „regulowane mechanizmy rynkowe" czy „parada suwerenności" weszły w ciało i krew kryzysowych gadek w każdej kolejce. To był postęp geometryczny.

Mnie interesujesz ty. Jak to się odbijało na tobie?

Oczywiście ze wzrostem i – nomen omen – przyspieszeniem. „Nasz był czas. Sprzyjał nam. Jeszcze nigdy żaden z poetów nie miał takiego sprzyjającego czasu. Wolności zewnętrznej wciąż przybywało, my odkrywaliśmy w sobie wciąż więcej zasobów wolności wewnętrznej"*. To znowu *Ave, Chrysler!*, jak się domyślasz. Używam my, ale tutaj rozumiem je tak, że to ja. Między innymi ja.

Czyli trafiłeś na prąd i poniosło cię w pożądanym kierunku?

Trochę inaczej. To dosyć wykrzywione poczucie, że wszystko szło swoim torem i samo się układało. Czy raczej rozwalało się – komu co bardziej przypada do gustu. Tak naprawdę *zmiany* wciąż były zagrożone. Ogólnie wydawało się, że – jak to bywa w futbolu – faule stają się coraz bardziej oczywiste, ale sędzia wciąż nie przerywa gry, nie gwiżdże, komentatorzy mówią w takich wypadkach, że „sędzia daje pograć". Chociaż gwizdek trzyma już w zębach. Kilka lat przeżyli-

* Tłum. Bohdan Zadura.

śmy w nerwowym, napiętym oczekiwaniu gwałtownego dokręcenia śruby i pełnoformatowych represji. To zresztą też sformułowanie z tamtych czasów – „dokręcanie śruby". Żeby się zaczęło, trzeba było najpierw ją trochę odkręcić. Czasem zdawało się, że to już – zaczęło się, to był sygnał, jutro w nocy po nas przyjdą. To wam na Zachodzie mogło się wydawać, że Gorbi gwarantuje pokojowy i niemal humorystyczny przebieg pożegnania z przeszłością. To u was on uważany był za takiego sobie urodzonego liberalnego poczciwinę w otoczeniu krwiożerczych ortodoksów. My tego w ten sposób nie odczuwaliśmy, tej liberalnej dobroci. Rozpędzenie jednej demonstracji we Lwowie wystarczyło, żeby tak tego nie odbierać. Chociaż jednocześnie jasne było, że lepszy on niż ktoś inny. Ale miało być jednak o mnie. Jeśli masz na myśli bezpośrednią zaangażowaną działalność, to przyłączyłem się zaraz po Polsce, latem osiemdziesiątego dziewiątego.

Aż tak spodobał ci się polski karnawał?

Tak, nadzwyczaj. Byłem w stu procentach z nimi. I nie dlatego że ich psy przypadkowo ostrzelały mnie z armatki wodnej, ale przede wszystkim dlatego że opozycja w ogóle jest – no, jak by to powiedzieć? – seksy. Czyli Polska Polską, a pociąg seksualny swoją drogą. Dopuszczasz coś takiego jak namiętność? Tak, to właśnie była ona i nie chciało się już jej powstrzymywać. Zbieraliśmy się w jednej piwnicy na Wałach, to była pracownia, która należała do Związku Plastyków. Jednym z jej użytkowników był malarz Mykoła J., niedługo przed tym się z nim zaprzyjaźniłem i to znacząco przyspieszyło moją zgodę na przyjęcie jego zaproszenia do *organizacji*. Mykoła J. jest starszy ode mnie o jakieś dwa lata, zbliżyliśmy się nieco wcześniej, jesienią osiemdziesiątego ósmego. Tej jesieni umówiliśmy się, że we dwóch napiszemy esej o pewnym, w tym czasie na głucho odizolowanym przez System artyście, panu Opanasie, czyli po prostu Panasie. On ma takie rozkoszne fonetycznie nazwisko – Załywacha. Teraz przekroczył już osiemdziesiątkę, a wtedy, wychodzi

na to, że miał sześćdziesiąt trzy lata. Dlaczego wspominam jego wiek? Dlatego że jest z tego pokolenia, które w latach sześćdziesiątych zaczęło podważać System nieprawomyślnością czy przede wszystkim inną estetyką. Zdaje mi się, że w ogóle chodzi zawsze tylko o estetykę. Motywacje polityczne są w rzeczywistości błędnie wyartykułowanymi motywacjami estetycznymi. Malarz Załywacha był jednym z centrów innej estetyki lat sześćdziesiątych. Dlatego skazano go jako jednego z pierwszych, już w sześćdziesiątym piątym. Odsiedział pięć lat w zonie – między innymi z Paradżanowem. Wiesz, kto to taki Paradżanow?

Tak, znam jego filmy. Nie wszystkie.

No tak. W siedemdziesiątym roku System go, to znaczy Opanasa, wypuścił, ale skazał na wegetację, zapomnienie i powolne obumieranie. Pilnowali za pomocą wszystkich swoich niezliczonych macek – każdy krok w prawo i każdy w lewo. Dzięki Bogu, był absolutnie silny i przez wszystkie minione dziesięciolecia nagromadził w sobie tyle oporu, że aż strach. To, nawiasem mówiąc, jeden ze skutków czytania Seneki. I Hermana Hessego, i tysiąca innych. Jarosław García, *poeta i mój kum, a także kum i mój poeta*, pewnego razu powiedział mi tak: „Więc w tym mieście mieszka legendarny malarz i nikt tego nie widzi – napisz o nim". Słowo „więc" dotyczyło jakiejś poprzedniej myśli, jednej z tych, które niemal rozsadzały nasze umiarkowanie alkoholizowane, wciąż jednak rozpalone czaszki. À propos w jednym z wierszy Jarosław García napisał o sobie: „Jestem podżegaczem, bo mam światła pełną głowę swoją". I ta pełna światła głowa wymyśliła dla mnie kolejną przygodę. Dlatego późna jesień osiemdziesiątego ósmego, zresztą grudzień też – to nasze półlegalne wycieczki na ulicę Koszowego, do Załywachy. Chciałem, żeby Mykoła J. został moim współautorem, i on się zgodził. Był to dla mnie sposób, by się do niego zbliżyć, wiedziałem, że tłumaczy Brunona Schulza i jest zupełnie *nie taki, jak inni*. Każdy *nie taki* był pod obserwacją, chodziło o pewien alians *nie takich*. Trzecim w naszym malutkim

oddziale był, rzecz jasna, *kierownik projektu* Jarosław García, a czwartym Fotopawło ze swoim nienagannie staroświeckim nikonem. Podchodziliśmy do umówionego miejsca tylko po zapadnięciu zmroku i czujnie rozglądaliśmy się w przeczuciu ogonów. Dwóch z nas zbliżało się ulicą, ale po jej drugiej stronie, w ostatniej chwili gwałtownie przebiegając do właściwej furtki. Pozostałych dwóch przemieszczało się przez sąsiednie, szkolne podwórko i przez dziurę w siatce przedzierało się na zabronione dysydenckie terytorium. Skradaliśmy się skokami – od jednej kupy jesiennych liści do drugiej. Wiatr wypełniał się krzykami niewinnych, pewnie przez nas spłoszonych wron. Wiatr i deszcz pod koniec grudnia – jak mam się znowu znaleźć w tych nocach? Takich nocy być może już nie będzie.

Nawet nie miej złudzeń. Takich nie będzie.

Zobaczymy. Gdzieś w marcu wyszedł kolejny numer ilustrowanego tygodnika o ryzykownym tytule „Ukraina". Zdaje się, wszystko się udało. O Opanasie nie mogło się nie udać. Kiedy wypytywaliśmy go przy herbacie z wódką, malował nasze portrety i cytował Senekę. Jego pracownia jest na górze, wchodzi się do niej po takich nieco karkołomnych schodach, szczególnie karkołomnych po herbacie, kiedy schodzisz. Wiesz, nie sądzę, żeby rzeczywiście ktoś nas obserwował. Chyba że te niezliczone kobiety, które wiecznie przebywały w jego domu – czy czasem nie popijamy. Ale wszystkie konspiratorskie nawyki mogły się jeszcze przydać, nie tylko w przypadku podejrzliwych kobiet. To znaczy kiedy latem następnego roku Mykoła J. zaprosił mnie do *organizacji*, wszystko znalazło się na swoim miejscu. Całkiem niespodziewanie stałem się *koordynatorem*. Nasz smok miał, jak zawsze, trzy głowy – oprócz mnie i Mykoły J., Markian C., trochę młodszy od nas, tajemniczy niczym demon aktywista. Kiedy rozmawiałem z nim, nigdy nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wie znacznie więcej niż ja i Mykoła. O wiele więcej, niż to w ogóle możliwe. I że on z Mykołą wiedzą znacznie więcej niż ja, trzeci. Właśnie od

tego zaczyna się rozpad w podziemnych strukturach – od nadmiernej tajemniczości jednych i bezpodstawnych podejrzeń drugich. I gdyby nasza konspiracyjna fermentacja przeciągnęła się nieco w czasie, to dobrze by się to nie skończyło. Ale czas nie szczególnie dawał się przeciągać i rozkręcał intrygę z wciąż narastającym przyspieszeniem. Poczynając od lipca, Franek po brzegi wypełnił się demonstracjami. Było to dla mnie niepojęte i przypominało raczej sen albo beletrystykę, ale fakt pozostawał faktem – to my je organizowaliśmy. Trudno mi to dokładnie ocenić, ale myślę, że na jednej z pierwszych mnie – no, nie tylko mnie, ale i wszystkich pozostałych – słuchało do czterdziestu tysięcy osób. To było zupełnie dziwne uczucie: istnieje jakaś piwnica, jakaś pracownia artysty na Wałach, w niej od czasu do czasu spotyka się kilku mało komukolwiek znanych typów, szczerze mówiąc, niezbyt godnych poważania, a raczej autsajderów i fantastów, jeden z nich to poeta bubabista, inny tłumaczy Schulza, jeszcze ktoś babra się w jakimś doktoracie, taki sobie klub zainteresowań, i oni jakoś się niby umawiają, rozdzielają jakieś role, zadania, formułują domowej roboty odezwy, potem w ciemnościach rozchodzą się pojedynczo, niczym w jakiejś nastoletniej zabawie w spiskowców – a czterdzieści tysięcy dorosłych obywateli wskutek tego zbiera się w sposób zorganizowany, powiedzmy w miejskim parku, i – zacznijmy od rzeczy najdrobniejszej – uważnie słucha, co powiedzą. I następnie jednym głosem skanduje, i na czas unosi zabronione przez władzę flagi. Jakoś momentalnie wszystko stało się realne i możliwe, *historycznie możliwe*, wyobrażasz sobie? Nie, niby wszystko jest dla mnie jasne. Spotykamy się i o czymś mówimy – okej, nic nadzwyczajnego. No i oni, czterdzieści tysięcy, *masy ludowe*, wcielają w czyn swoją konstytucyjną wolność zgromadzeń – też normalne, to znaczy, jak na te czasy już normalne. Ale jak, jak odbyło się to, co było pomiędzy? Jak przekazywane były impulsy? Te między nami i nimi?

Zdaje mi się, że nieco wypaczasz obiektywny przebieg wydarzeń. To znaczy przenosisz centrum uwagi na siebie.

Oczywiście. Przecież sam powiedziałeś, że interesuję cię ja. Więc opowiadam o sobie. Nie, naprawdę niczego nikomu nie wtłaczaliśmy do głowy – wszystko już tam siedziało. Możliwe, że tylko po prostu układaliśmy sformułowania, nie więcej. Czyli byliśmy swego rodzaju sekretariatem. Drukowaliśmy i rozklejaliśmy na płotach ostateczne sformułowania.

Jak myślisz, czy istniała realna groźba, że wasz sekretariat, hm, spróbują rozpędzić? Mam na myśli reakcję władzy?

Nie chcę niczego wymyślać. Nasze działania, oczywiście, skutkowały – w sposób niejasny. Chyba pisano jakieś raporty i tym podobne. Ale co z tego? Czas nie należał już do nich. Zresztą, co oni mogli zrobić komuś takiemu jak ja? Nawet z żadnej pracy nie mogli mnie zwolnić, wyprzedziłem ich w tym i zwolniłem się sam, a teraz tylko czekałem na wrzesień. No tak, teoretycznie mogli uciec się do metod kryminalnych – niektórym z naszych tego lata połamali żebra. Ale mnie żadna taka przygoda nie spotkała, nawet żadnej aluzji nie było. Mimo że często łaziłem po nocy czasami aż do świtu. O trzeciej nad ranem wkradałem się do mieszkania i niekiedy zastawałem ojca w kuchni przy pasjansie. To był jego stały numer – nie mógł przeze mnie spać i musiał na mnie poczekać, ale tak naprawdę udawał, że ma to wszystko w nosie, no po prostu zasiedział się przy pasjansie. Odrzucałem wszystkie jego zastrzeżenia: „Wiesz, gdyby to nie wchodziło w ich plany, toby im było jak splunąć". Sądzę, że wystarczało im rozumu, żeby nie ruszać osób *popularnych*. Czyli oni po prostu śledzili rozwój sytuacji, dosyć jednak dla nich pesymistyczny rozwój. Nawiasem mówiąc, przez te demonstracje ojciec cały ożył i co było naprawdę fajne – to widzieć, jak gwałtownie wychodzi z niemal dziesięcioletniej apatii. Poczynając od tego lata, znów zechciał przechadzać się po mieście i gadać z nieznajomymi ludźmi. Wtedy wszyscy z wszystkimi rozmawiali – wymachując gazetami i wszędzie na placach słuchali radia z megafonów. Jak w czasie wojny.

A co działo się nocami? Dlaczego nocami gdzieś, jak mówisz, łaziłeś?

Nie tam, nie co noc. Po pierwsze, zawalony byłem przepisywaniem wszystkich naszych agitek. Tylko ja miałem w domu maszynę do pisania, tę samą, wciąż tę samą. Wiesz, jak robiliśmy naszą gazetę? Wystukiwałem wszystkie teksty na mojej maszynie na zwyczajnym papierze A4, przekazywałem je Mykole J., ten odcinał od nich nożyczkami marginesy, robił z tego coś w rodzaju gazetowych kolumn i naklejał na wielkie arkusze brystolu. Wtedy po kawałku, czyli po szpalcie, kopiowało się to na nieznanym mi ksero z odpowiednim zmniejszeniem. Zdaje się, że to robili już nawet nie u nas i nawet nie we Lwowie, ale gdzieś czy to na Litwie, czy na Łotwie. To znaczy tam woziło się skrzynie z rulonami brystolu, a stamtąd przywoziło się całe nakłady naszej bibuły. Przypuszczam, że ówcześni kurierzy mogliby poopowiadać różne filmy drogi. Do pierwszego numeru napisałem wstępniak – w takim duchu, że Galicja znajduje się w samym sercu Europy i się budzi. Pisałem coś w rodzaju: słyszycie, jak dudni serce Europy? O ile pamiętam, to nazywało się *Unosimy sztandar*. Dzisiaj to śmieszne, prawda? Wstępniak! Napisałem wstępniak do gazety!

Czyli w nocy przeważnie pisałeś na maszynie?

Nie, pisałem w dzień, bo w nocy bym po prostu wszystkich tym pobudził, to chyba jasne? Powiedz mi, po co pisać na maszynie w nocy, kiedy istnieje dzień? Jeśli wspominam o nocach, to w związku z Jarosławem Garcíą. Mam na myśli nasze okresowe przejścia z knajpy do knajpy. Przekonywał mnie, że nie powinienem aż tak się oddawać całej tej *działalności*. Na sto procent miał rację, szczególnie w swoim braku szacunku dla kurwy polityki, ale i ja miałem na sto procent rację, kiedy odpowiadałem mu, że ta kurwa polityka to dla mnie teraz kurwa poezja, najwyższa kurwa poezja. Zgadzaliśmy się chyba tylko w tym, że już niebawem przyjdzie wrzesień i spadam do Moskwy, to wyrwie mnie z łap *organizacji*, tak że, kumie, bud'mo, na zdrowie. Niech

to diabli, *jak jednak po Bożemu się z nami życie obeszło*! Jak bardzo na czas ruszyłem na ten północny wschód! Inaczej na dobre by nie wyszło, byłbym jakimś chronicznym deputowanym czy jeszcze gorzej – politykiem nieudacznikiem, z tych, którzy kręcą się koło wszelkich nieudaczników sponsorów i systematycznie przepijają składki członkowskie nielicznych partyjnych kolegów.

Jak wyglądała twoja podróż do Moskwy?

A nic nadzwyczajnego – wsiadłem do samolotu we Franku, wysiadłem na Wnukowie. Oczywiście z wszystkimi moimi kotami, które z całych sił drapały i darły się: „nie jedź, nie jedź". W ostatnich dniach okazuje się, że to prawie nie do zniesienia – odrywać się od tych, którzy są przy tobie. Zaczynasz odliczać godziny i hamować maszynę czasu, rzucając się na asfalt pod jej koła. Na lotnisko wzięliśmy Tarasa. I oni tak stali w oknie sali dla pasażerów – Nina i Taras – kiedy mnie trzymali w tym osadniku i potem wieźli autobusem do samolotu. Machali za autobusem, chociaż nie sądzę, żeby mogli mnie widzieć – to ja widziałem ich w tym oknie na pierwszym piętrze, kobietę w płaszczu i trzyletniego mężczyznę obok. Najgorsze, że ja już nic nie mogłem dla nich zrobić. Nie, w autobusie, bez wątpienia, mnie jeszcze widzieli, a szczególnie kiedy wysiadłem z autobusu i szedłem do trapu, to jasne. Ale kiedy już siedziałem w samolocie i patrzyłem na to samo okno przez iluminator, to oni wciąż tam stali, chociaż widzieć mnie na pewno nie mogli. Koty w mojej duszy wpadły w ekstazę. Pomyślałem: no tak, durniu, zaraz wzbijesz się wysoko, bardzo wysoko w powietrze, a potem jebniesz z niebios o ziemię i ostatnie, co miałeś na świecie – to te dwie figurki tam w oknie. Potem samolot zapuścił silniki i ruszył, i oni znowu zaczęli machać z okna – a nuż ich widzę. Tak właśnie było – widziałem ich. Do dziś ich widzę.

Nie do końca rozumiem, dlaczego wybrałeś ten wariant z Moskwą.

Po pierwsze, miałem ochotę na ostrą zmianę. Początek czegoś nowego, czy jak to nazwać. Moskwa – to taka Paszcza

Smoka, w niej swego czasu ukrywało się wiele wędrownych dusz. W latach siedemdziesiątych i później to była cała fala – jeśli na Ukrainie nie dawali ci oddychać, to rozpływałeś się w Moskwie i znajdowałeś jakiś nowy początek. Na przykład szedłeś stróżować na budowie i zamieszkiwałeś w robotniczym wagonie we wspólnym z matką trójki małoletnich dzieci łóżku. Ale na coś takiego nie bardzo miałem ochotę. Bo, po drugie, szukałem samotności – nie na zawsze, ale jako pauzy. Samotności, która by mnie wymęczyła i jednocześnie wyostrzyła. Samotności, która by wystrzeliła. Dawno nie byłem samotny, to mnie trochę wkurzało.

I znalazłeś ją?

Nie wiem. I tak, i nie. Na początku była absolutna rozpacz – to kiedy Wołodia (Seweryn) przyprowadził mnie do tego akademika na Dobrolubowa, dostałem za pokwitowaniem klucz, pościel, miotłę i czajnik, a potem znalazłem się w swoim pokoju numer 729 sam. Sam w samotności, której rzekomo tak pragnąłem. I wtedy mnie wzięło – *te same zapachy*, ta sama codzienność, te same czajniki, wiadra, szafki, te same głosy na korytarzu, echa z umywalni, wszystko jak dwanaście lat temu, tylko tamto we Lwowie, w tym pierwszym akademiku. Ale wtedy, jełopie, miałeś siedemnaście lat, i wszystko było przed tobą, i to było normalne. A teraz masz dwadzieścia dziewięć, życie już za tobą, coś robiłeś cały ten czas, gdzieś cię nosiło i niby to kimś się stałeś, chociaż okazuje się, znowu tu jesteś, znowu w akademiku, koło się zamknęło, durniu. O, coś mniej więcej takiego kołatało się po mojej głowie, kiedy rozpakowywałem rzeczy, a potem znowu zacząłem je pakować na wszelki wypadek – a nuż jutro rano ucieknę.

Ale nie uciekłeś.

Nie, rano mi trochę przeszło i znowu rozpakowywałem manatki. Przede mną były dwa absolutnie wolne dni. Do Moskwy przyleciałem w piątek wieczorem, do akademika dostałem się w sobotę po południu. Zajęcia zaczynały się dopiero we wtorek, niedziela i poniedziałek należały tylko do

mnie. Tyle wolności dawno nie miałem. Rozłożyłem mapę i ułożyłem sobie trasę wolności numer jeden. Najpierw należało przekonać się, że Kreml rzeczywiście istnieje. Istniał rzeczywiście, chociaż na ekranach telewizorów wydawał się makietą. Potem musiałem namacać pierwszy istotny strategicznie węzeł – Pocztę Główną. Stąd będę wysyłać moje *listy na Ukrainę*, moje rewolucyjno-miłosne depesze i szyfrogramy. Na resztę dnia został Arbat, wzdłuż którego stali zachrypnięci poeci, sprzedawcy lewej – wtedy mówiło się na nią jeszcze *lewa* – prasy i jednocześnie lwowscy grekokatolicy z rozwiniętymi na transparentach żądaniami legalizacji Kościoła. Poczułem się trochę jak w domu.

„A także przemoknięci malarze, przekwitli bardowie, obleźli jazzmani, żonglerzy, deklamatorzy, matadorzy, linoskoczkowie, pederaści...".*

I dalej według tekstu *Moscowiady*, strona ta a ta. Okej, przypuśćmy, że tego dnia wszyscy powyłazili na Arbat, bo jakoś zwąchali moje pierwsze wyjście, więc musieli się pokazać. Pamiętam, wśród poetów był jeden, który co jakiś czas wykrzykiwał: „Nie wiertitie, diewki, zadom! SPID nie spit', on chodit' riadom!" – Nie kręćcie dziewczyny dupami! HIV nie śpi, stoi za drzwiami! Swoje opusy sprzedawał na stronice. Karnawałowi nie było końca, życie zapowiadało się szampańsko. W poniedziałek w uniesieniu napisałem dwa wiersze – *Wania Kain* i *Carstwo*, obydwa otwarcie antyrosyjskie, pewnie z wielkiej wdzięczności *k etoi stranie*. Wtedy progresywni pierestrojkowi publicyści używali wyrażenia *eta strana*.

Co masz na myśli, mówiąc „antyrosyjskie"?

Nic – palnąłem, żebyś się obudził. Tobie na te rzeczy od razu zapala się czerwona lampka, już to zauważyłem.

A jednak. Jak mogłeś to pogodzić: siedziałeś w rosyjskiej stolicy. W samym centrum imperium, otaczali cię Rosjanie, ich kultura, przechodziłeś codziennie obok tych pomników, murów,

* Tłum. Przemysław Tomanek.

znaków, obok całej tej semiotyki, znajdowałeś się wewnątrz metatekstu – jednocześnie życzyłeś temu wszystkiemu jak najszybszego rozpadu?

Wiesz, grunt – żebyś nie robił ze mnie gorszego, niż byłem naprawdę. Nie mogłem składać się z samej tylko nienawiści już chociażby dlatego, że w Moskwie w tym czasie skupiało się najwięcej wolności albo, użyję tego skompromitowanego słowa, *demokracji*. To znaczy była jednocześnie centrum imperium i centrum obalania imperium. Właśnie w Moskwie, jak nigdzie, czuło się, że System naprawdę zbliża się w sposób nieunikniony do końca. Ich demonstracje zawsze liczyły po sto do trzystu tysięcy luda, a tyle samizdatu i alternatywy to byś nie zobaczył nigdzie na świecie. I za to Moskwy nie można było nie lubić. Wiesz, po raz ostatni trafiłem na jelcynowską demonstrację gdzieś tak w czerwcu dziewięćdziesiątego pierwszego, byliśmy z Martą na placu Czerwonym. Do tej pory nie wiem, jak to się stało, że właśnie tam – przeważnie władza nie dopuszczała demonstracji aż tak blisko do siebie. Chociaż Jelcyn, zdaje się w tym momencie został prezydentem, równoległym prezydentem, czyli również władzą, ale władzą bez wojska i milicji. Posłuchaliśmy różnych fajnych przemówień – Boner, Nowodworska, Gdlian, zanurzyliśmy się w tłumie, mimochodem zostawiliśmy swoje podpisy pod kilkoma listami otwartymi i petycjami, i wtedy – jakieś zamieszanie, wrzaski, piski, tłum rozpada się na kawałki. Okazuje się, dwie czarne wołgi przerwały kordony i z rozpędu wbiły się w zgromadzenie, kogoś tylko potrąciły, innych pozwalały z nóg, kogoś, być może, uszkodziły poważniej. Następnie obydwie wołgi dają gazu i próbują uciec wolnym od ludzi korytarzem, przy czym pierwszej z nich udaje się wyrwać, a drugą zatrzymują. I widzimy, jak to zatrzymanie przebiega: po prostu kilku demonstrantów rzuca się temu kagiebiście pod przednie koła, jeden po drugim, jak z mostu do rzeki, trzech, czterech, pięciu – wyobrażasz to sobie, zatrzymują samochód swoimi ciałami i on musi hamować, bo ich wszystkich po prostu nie da się rozjechać,

lepiej hamować i się poddać. Pamiętam, jak wyciągnęli go z samochodu i jak coś kwiczał, śmiertelnie przerażony oficerek niezdara, karnawałowy prowokator, a potem odtarabanili go do swojego szefa ochrony, a może i od razu wzięli do samego Jelcyna na dywanik, kto wie. Ruszyło mnie to, jak ci chłopcy rzucali się pod koła – bez cienia zwlekania i nie zastanawiając się. Właśnie tak – nie *zastanawiając się*, po rosyjsku. Minie dwa i pół miesiąca – tacy jak oni, rzucą się pod czołgi. Tak jakby najbardziej zależało im na tym, żeby rozwalić to imperium.

Nijak nie porzucimy polityki. Nie wydaje ci się, że są inne sfery?

Po prostu to był taki czas. Trafiliśmy na potwornie rozpolitykowany jego odcinek – od osiemdziesiątego dziewiątego po dziewięćdziesiąty pierwszy. I nie mogę udawać, że niczego takiego nie było.

To jasne. Ale oprócz tego, na przykład, brałeś udział w seminarium. Jak to wyglądało?

Seminarium poetyckie. Raz na tydzień, we wtorki, w ciągu trzech, czterech godzin obgadywaliśmy się nawzajem, to znaczy nasze wiersze. Lub paplaliśmy na wolne tematy, powiedzmy, *męski i kobiecy pierwiastek w poezji*. Albo *dlaczego modernizm zawsze ponosi porażkę*. Seminarium prowadził jeden z dinozaurów ówczesnej rosyjskiej poezji Jurij Polikarpowicz Kuźniecow. Poli-Karpowicz! Czyli raczej nie jeden z dinozaurów rosyjskiej poezji, ale jeden z jej karpi. Rosjanie w tym czasie byli jak nigdy radykalnie podzieleni na dwa obozy – upraszczając, patriotyczno-imperialny i kosmopolityczno-demokratyczny – i to była wojna.

Słowianofile i okcydentaliści?

A sort of. W pierwszym obozie skupiali się prawosławni Słowianie, a w drugim – żydomasoni. Poli-Karpowicz należał do pierwszego, był w nim jednym z najwyżej wciągniętych na najwyższym maszcie sztandarów, dlatego moi koledzy z seminarium wszyscy bez wyjątku też należeli do tej pierwszej partii. Żydomasońskiego po prostu nie dopuszczano. Chociaż,

jak sam rozumiesz, moje sympatie raczej były po stronie żydomasońskiej. Jednak ogólnie staliśmy trochę z boku tych wszystkich rozgrywek. My, czyli nierosyjscy poeci, z innych *związkowych republik i zagranicy*. Poczekaj, ilu nas takich było? Razem z Bułgarami, zdaje się, siedmioro.

Jak swobodna była dyskusja?

W ogóle była swobodna. To znaczy dla nas, *niezależnych*, przeważnie swobodna. Ale dla Rosjan, z których każdy wojował z drugim o prawo bycia ulubionym uczniem Poli-Karpowicza, dyskusji raczej nie było. Siadali w pierwszych ławkach i zaglądali mu w usta jak wzorowe pudle. Był dla nich bezlitosny. Zresztą, wśród nich rzeczywiście nie było dobrych poetów. Było kilka *charakterów*, to tak, ale dobrych wierszy nie pisał nikt. Śmiem przypuszczać, że jego to drażniło, to ich pudle oddanie połączone z bezradnością, tak że przeważnie nie zostawiał na nich suchej nitki. Pasowało mu to bycie katem słów. Zdaje się, że nigdy się nie uśmiechał, taki sobie idol smutków, zamknięta na wszystkie zamki tragiczna maska, wielce szanowny Ryb. I jeśli już zaczynał mówić, to raczej *przemawiał* z intonacją wielkiego nauczyciela: „Metafora – to duchowe zdziczenie. System słusznych idei – to baza, ale ona nie powinna przygniatać systemu obrazów. Kobieta – to pizda i są tylko dwie możliwości: jest matką albo dziwką, trzeciej nie ma". Jakkolwiek by to było dziwne, te paniczne rybki, które przygotowaliśmy z poczciwiną Kruczykiem, z jakiegoś powodu przypadły mu do gustu, całkiem głośno pochwalił mnie w obecności oniemiałej zgrai pudli i one mi już tego nigdy nie wybaczyły. Za młodu on sam studiował w Litinstytucie i pewnego razu rzucił się z okna przez nieszczęśliwą miłość. Z wszystkiego wynika, że dramat rozegrał się na naszym piętrze. My, słuchacze kursu, mieszkaliśmy na najwyższym – siódmym.

Siódmym niebie?

Tak właśnie myślałem, że zaraz to chlapniesz, dowcipnisiu! A wiesz, jak mnie zdziwił dwa lata temu jeden chłopaczyna, Włoch? Niestety, kompletnie zapomniałem jego nazwisko.

Zdarzyło się to w takim zupełnie malutkim teatrzyku, miasto nazywa się Lecce. Południe Buta, to znaczy jego obcas, Apulia. Zresztą nieważne. Ten chłopaczyna czytał na głos swój esej o *Moscoviadzie*, właśnie ukazała się po włosku, został jej pierwszym czytelnikiem. I tak, według niego, *Moscoviada* to niszczenie pionowego, zamiana góry z dołem. I żaden andaluzyjski pies – między innymi i ja – nigdy nie zwrócił uwagi na to, że powieść zaczyna się w niebie (siódme piętro akademika), a kończy w piekle (moskiewskie podziemia).

Ale to przecież jest dla każdego oczywiste. Dlaczego uważasz, że niby to jakieś odkrycie?

Naprawdę oczywiste?

Absolutnie. Jednak skoro już zaczęliśmy mówić o tych rzeczach... Interesuje mnie epizod z Rusłanem. To ci się roiło czy wydarzyło się naprawdę?

To stało się naprawdę, bo się uroiło. A na serio: ten koleś rzeczywiście kilka razy korzystał z mojego okna. Jasne, że nigdy w życiu nie spadł i się nie zabił, bo ja bym czegoś takiego nie przeżył i pewnie rzuciłbym się jego śladem. Jakoś w grudniu przyjechali do mnie w gości Neborak i Ola, mieszkaliśmy wszyscy w moim pokoju, i któregoś wieczora przy koniaku „Biały Bociek" odegrałem dla nich w rolach, jak to wszystko wyglądało, jak wyłaził przez moje okno, stawał na drabince pożarowej i tak dalej. Neborak na to rozwrzeszczał się: „A co byś zrobił, jakby spadł i się zabił?". Od tego momentu dotarło do mnie, że coś takiego naprawdę *mogło się zdarzyć* i że byłem o włos od takiego finału. Po feriach zimowych tylko raz puściłem go tam i z powrotem, ostatni raz, wyjątkowo – tak właśnie mu powiedziałem – „w poriadkie iskluczenija".

Byłoby śmiesznie, jakby właśnie tym razem się zabił.

Śmiesznie czy nie śmiesznie, to w ogóle był dosyć ekstremalny akademik. Rzucanie się z okien było na trzecim miejscu po alkoholowych atakach serca i podcinaniu żył. I wszystko to – przez wybuchową mieszankę minimum trzech

żywiołów – poezji, młodości i rosyjskiej duszy. Aha, no i czwartego – żądzy duchowego samodoskonalenia.

Z twoich opisów w Moscoviadzie *wynika, że wasz akademik nie był zbyt spokojnym schronieniem dla twórczego dojrzewania młodych dusz.*

Nie tam, przeważnie to byli spokojni dobrzy ludzie. Niektórzy, oczywiście, posuwali się w tym do skrajności – jak na przykład sachaliński poeta Walera Baliuk, starszy sierżant kompanii desantowej. W trudnych chwilach wypijał wszystko, co było, łącznie z wodami kolońskimi i balsamami, przy czym nie tylko własnymi. Pewnego razu późno wieczorem natknął się na mnie na korytarzu. Korytarze były długaśne, z daleka nie dało się zobaczyć, kto cię woła. Ale Walerę się poznawało – nigdy nie zdejmował porwanej bojowej tielniaszki. No i podłazi, i ochryple, z wysiłkiem pyta: „Jura, powiedz mi, kto ja jestem". Na to ja całkiem twardo i pewnie: „Baliuk Walerij Georgijowicz, starszy sierżant kompanii desantowej". Wtedy upadł przede mną na kolana i bijąc czołem o ziemię, zaczął dziękować. Mówię: „Co ty, Walera, przestań". Ale on płacze i wali czołem o lepkie od brudu linoleum korytarza. Dopiero za trzecim razem udało mi się jakoś mniej więcej ostatecznie go przekonać, że on – to on. I tak się rozstaliśmy – on cały we łzach katharsis, a ja skrajnie zaniepokojony. Dopiero później Tiuleń w przypadkowej rozmowie wyjaśnił mi sens tego ekscesu. Zdarzyło się tak, że chłopaki wpadli do Baliuka i już trzeci dzień chlali. To znaczy oni popijali trzeci dzień, a Baliuk ósmy. Kiedy mówię *dzień*, to noce też się liczą. I tak, pod koniec trzeciego *dnia* Walera wydostał się z pokoju i dokądś popędzlował, wszystkiego na pół godziny, nie dłużej. Ale kiedy krążył korytarzami, co i rusz natrafiając na nie te drzwi, zmówili się przeciwko niemu i ucichli. Wreszcie wraca do siebie, a oni siedzą z kamiennymi facjatami i jeden z nich nie po dobremu pyta tak: „Człowieku, kto ty jesteś i czego chcesz?". Walera na początku się pośmiał, ale to nie działało. Wtedy jak nie szarpnie za tielniaszkę i w krzyk: „Jestem Baliuk Walerij

Georgijowicz, starszy sierżant kompanii desantowej". A oni mu na to: „Idź stąd i nigdy już tu nie przychodź. Co z ciebie za Baliuk? My Baliuka znamy, Walerija Georgijowycza, już pół godziny jak umarł, a ciebie nie znamy, idź stąd". Nie wiadomo, jak długo miotał się później po piętrach i korytarzach w rozpaczy nieistnienia. Aż wreszcie trafiłem mu się ja i bezwiednie odczarowałem jego zagubioną karmę. Czy charyzmę? Nie, jednak karmę.

Jeśli dobrze rozumiem, trzymałeś się od nich wszystkich trochę na dystans.

Ogólnie tak. Przekręcałem klucz w zamku – i znajdowałem się sam na sam... sam na sam z czym? Przekręcałem klucz w drugą stronę – i mogłem być do usług towarzystwa, wszystko regulowało się po europejsku. Miałem wystarczająco dużo kontaktów poza akademikiem: w końcu w Moskwie mieszka milion Ukraińców i ze wszystkimi się znałem. Oprócz tego znalazłem kilku naprawdę cudownych przyjaciół. Wszyscy oni pojawiają się w *Moscoviadzie*, scena z barem piwnym na Fonwizina. Podobało mi się, że Moskwa jest tak ogromna, zanurzenie w metrze i całogodzinne przejazdy dawały nadzwyczaj wiele – z jednej strony człowiek jest w tłumie, z drugiej – jesteś sam ze sobą, wszystkie troje oczu szeroko otwarte, odbierasz i widzisz. A te nocne powroty, te przypadkowe dialogi w przejściach podziemnych, przypadkowe papierosy wypalone z nie wiadomo kim! Co ważne: tego stanu głęboko ukrytej radości wystarczało na bardzo długo, mało i źle spałem. Lubię, kiedy nie mogę spać, to znaczy, że ze mną w porządku. To takie pragnienie życia, które odgania sen i przywołuje otchłanie oczekiwań.

Byłeś szczęśliwy?

Raczej tak. Chodziłem na filmy, sztuki, publiczne dyskusje, demonstracje, nawet na mecze, dużo pisałem, czytałem setki stron dziennie, wypijałem litry wódki i herbaty, paliłem za trzech i nic nie mogło zwalić mnie z nóg. Miałem bardzo długie wakacje – półtora miesiąca zimą i dwa i pół latem. Czyli

miałem dom i kupę przyjaciół na każdym piętrze szopki. Jak tu nie być szczęśliwym?

Jest jeszcze jeden epizod w Moscoviadzie*, o który chciałbym zapytać. Domyślasz się który?*

Jeden z dwóch. Pytaj.

Nazywam to sceną w piwnicy. Kiedyś obiecałeś, że do tego wrócimy. Chodzi o madagaskarską księżniczkę.

Ha, no oczywiście, seks w łaźni, przekroczenie granic i wtargnięcie na zabroniony teren. Niczego takiego nie było. Oczywiście, była ta czarna dziewczyna, nie mogłem jej nie zauważyć, ale wątpię, czy była z Madagaskaru, tam jest inny typ, nie, ta była raczej z jakiejś Republiki Gwinei. Ciekawe, co pisała? Wiersze, prozę? Myślę, że jakieś bajki o życiu seksualnym zwierząt. Czasami wpadaliśmy na siebie w windzie albo koło automatu telefonicznego do rozmów międzymiastowych. Ale co z tego?

Nic. Pozwoliłeś mi zapytać.

Dramat zaczął się kilka dni po tym, kiedy we trzech rozpijaliśmy jakąś flaszkę nadliczbową w pokoju Alberta i Fokin zaczął mówić o AIDS. W niedawnej przeszłości służył jako wychowawca w zonie, znał więc dokładnie *tajne dane*. Jego zdaniem średnio co czwarty mieszkaniec Afryki jest *nosicielem*. Nie dałem po sobie poznać, ale przez następne dwa i pół tygodnia znalazłem u siebie kupę objawów. Nie, nie medycznych objawów jako takich, ale raczej wszelakich znaków: zaczęły mi się śnić czarne łodzie na nieruchomych kanałach, znajoma raptem podarowała mi płytę z Requiem Mozarta, inna plakat Freddiego Mercury, a wróżenie z książek zawsze dawało jednoznaczny efekt: jakiejkolwiek strony i wiersza, nieważne od góry czy od dołu, byś zapytał, zawsze przeczytasz coś w rodzaju: „Bóg odkłada mnie, jak skrzypce, do futerału". Potem, oczywiście, przyszedł katar i stwierdziłem: *zaczęło się – osłabienie odporności*. Trwało to do momentu, aż dostałem test z negatywnym – u nich to się nazywa *negatywny*, chociaż co może być bardziej pozytywne! – wynikiem. Oczom nie wierzyłem i zapytałem: „Doktorze, a nie

może być pomyłki?". W odpowiedzi usłyszałem: „A bardzo byś chciał?". Zrobiło mi się nawet jakoś przykro.

Przykro z jakiego powodu?

Przez to, że tyle dni przeleżałem w łóżku, patrząc w sufit. I układając w myślach teksty pożegnalnych listów. A poza tym nie mogłem się nacieszyć. Dobrze, że we Franku mam tylu znajomych lekarzy.

Mówiłeś o długich wakacjach. To znaczy, że tak naprawdę w Moskwie nie spędziłeś dwóch lat, ale znacznie mniej.

Oczywiście. Wychodziło tak, że bywałem w domu średnio raz na dwa miesiące. Niesamowicie lubię takie okazje – mieszkać w dwóch miejscach jednocześnie. We Franku i w ogóle na Ukrainie robiło się coraz weselej. Nie dało się nie przyjeżdżać. Weszliśmy w festiwalowe pasmo naszej najnowszej historii.

Co to takiego?

Spróbuj śledzić to, co mówię. Początek temu, zdaje się, dała pierwsza „Czerwona ruta" w Czerniowcach, ale nie mogłem się tam pojawić. Za to w listopadzie osiemdziesiątego dziewiątego musiałem być na pierwszej „Imprezie" i za jej pomocą otworzyliśmy wszystkie bramy miasta, więc runęły w nie całe gromady zagranicznych awanturników, natowskich agresorów, agentów CIA. Do czasu „Imprezy" to było zupełnie zamknięte miasto, wyobrażasz sobie? Nie powinno go być na żadnej mapie, na żadnej mapie kulturalnej. I nagle grupa wariatów – Mykoła J., Pancz, Wituszynski i jakiś JA – rozkręciła w nim *międzynarodowe biennale sztuki współczesnej*. Wtedy wszyscy chcieli sztuki współczesnej, legalizacji niebiesko-żółtej flagi i niepodległego państwa, właśnie w takiej kolejności – dzisiaj sztuka, jutro flaga, pojutrze niepodległość. I wszystko to połączyło się w „Imprezie". Mniejsza z tym, idziemy dalej i śledzimy czas. A on, jak już tu było mówione, sprzyjał. Bożonarodzeniowe eskapady z niezliczonymi szopkami opuszczamy, chociaż to mój ulubiony temat. W marcu dziewięćdziesiątego roku skończyłem trzydziestkę, bawimy się w „Ukrainie" (taka restauracja,

nasza mała ojczyzna) z Neborakiem, Irwanem i Jarosławem Garcíą, byli tam też główni wtedy frankowscy bandyci, przechwytuję ich spojrzenia na Ninę, i wtedy, najpewniej, rodzi się we mnie jedna z przyszłych scen *Rekreacji*, ale ty tego i tak nie zrozumiesz. Tego samego wieczoru dowiaduję się, że zostałem Patriarchą. Potem mija ledwie miesiąc – i urządzamy we Lwowie Pierwsze Pięciolecie, PP Bu-Ba-Bu. W maju, też we Lwowie, odbywa się coś w ogóle niesłychanego – *Festiwal Kultury Niezależnej „Wywych"*. W lipcu w Kołomyi – tylko wsłuchaj się w tę nazwę – w Ko-ło-my-i kilku bezpośrednio połączonych z Kosmosem demiurgów zakłada Kołomyjską Republikę Ludowo-Duchową, KRLD. We wrześniu do Kijowa wdziera się „Zołotyj homin", poezja forever – forever together – jak zawsze przepełnione sale, stutysięczne tłumy skandują, „po-e-zji, po-e-zji", tak – poezji, niebiesko-żółtej flagi i niepodległego państwa, właśnie w takiej kolejności – wygląda na to, że to właśnie ten moment jest absolutnym szczytem bubabizmu, tym bardziej że po raz pierwszy nazwano nas postmodernistami i jeszcze nie wiemy, dobrze to czy źle. Ile wydarzeń naliczyłeś?

Sześć. Albo siedem.

Jakoś mało. Bez wątpienia jeszcze tyleż po prostu powypuszczałem, jak te karpie do rzeki zapomnienia. No, oczywiście! Choćby ludzki łańcuch od Kijowa do Franka w styczniu dziewięćdziesiątego, pięć milionów ludzi bierze się za ręce i tak stoi po środku własnego kraju. Jeśli dodać do tego wszystko inne – koncerty, demonstracje, pochody, ruszenia, wiece, czuwania, rockowiska, strajki, msze, a także ekshumacje czaszek i kości, usypywanie mogił i obalanie pomników – to stanie się jasne, że szalenie nam się poszczęściło z czasami, żyć w nich i mieć trzydzieści lat, czyli, jak mówi pewien poeta, właśnie się narodzić. Ogółem epoka festiwalowa zakończyła się w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego drugą „Czerwoną rutą" i wszystkim, co stało się *później*. Ale w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego kończy się nie tylko ona, ta epoka. Nie, oczywiście – był jeszcze drugi

„Wywych", opisałem go w *Ave, Chrysler!*, ale to już naprawdę Epilog.

Powstaje wrażenie, że w Moskwie zamykałeś się w czterech ścianach i pisałeś, a na Ukrainie w pełni rozpływałeś się w społeczności.

Na Ukrainie w pełni rozpływałem się w alkoholu. Musisz to rozumieć przede wszystkim jako metaforę – w alkoholu czasów. Dla Jarosława Garcíi to był okres „pokochaj siedem kul w naganie". To fraza z jednego wiersza, nie jego i nie mojego, zresztą nawet nieważne czyjego. Ważne jest, jak on to wymawiał: „pokochaj siedem kul w naganie!". Ważne, że to stało się jego nocnym zawołaniem – za każdym razem, kiedy wydostawaliśmy się do *Bożego świata* z ostatniego na całe miasto baru albo kiedy błąkaliśmy się po robotniczych przedmieściach, albo staliśmy na mostach, albo kąpaliśmy się w nocnej Bystrzycy z przypadkowymi chichotkami, albo myszkowaliśmy po zlodowaciałym dworcu w poszukiwaniu zapałki, szklanki, noża, *ucha najcieńszej igły* – za każdym razem słyszałem jego bojowe „pokochaj siedem kul w naganie", skierowane do każdego, do mnie, do siebie.

Co to znaczyło?

Że mu odjazdowo. Myślę, że wołała przez niego ulga. Wszystko, co nas otaczało, było energią i jazdą, bo przeczuwaliśmy uwolnienie. Przez to wszystko chciało się ryczeć godowym rykiem marala. Kiedy we wrześniu dziewięćdziesiątego roku wróciłem do Moskwy po „Zołotohomoniadzie", w ciągu dwóch tygodni napisałem *Rekreacje*, a ich śladem poszły – *Listy na Ukrainę* i *Indie*. Ostatnie, co prawda, doprowadziły mnie do pewnej granicy i *po kropli wypiły moją krew*. Wokół było ciemno i zimno, imperium przeżywało finalne spazmy, wyostrzało się poetyckie odczuwanie. Poza tym dla mnie był to osobisty rozrachunek ze statusem *trzydziestoletniego* poety, a jednocześnie pożegnanie z moim dotychczasowym Wędrownym Cyrkiem, ze wszystkimi jego włóczęgami, ludożercami, poetami, astrologami, dziwkami i zwariowanymi gimnazjalnymi profesorami.

Między innymi akcjami tych czasów wymieniasz jakiś alternatywny festiwal...

„Wywych". Pierwszy „Wywych", w dziewięćdziesiątym roku.

Właśnie tak. Na czym polegała jego alternatywność?

Na tym, że wszyscy powariowali. Ponadto to jedyny wypadek w moim życiu, kiedy czytałem ze sceny dla publiczności w niedzielę o ósmej rano. To się nazywało „Zrywanie poezji", we współczesnym slangu *zrywać* znaczy coś trochę innego, dlatego dzisiaj tę akcję można potraktować i tak, że naprawdę ją, poezję, *zrywaliśmy*. I tak nie łapiesz niuansów, dlatego lepiej spróbuję drugi raz wejść do tej rzeki. Miejsce akcji – lwowska opera, czas wydarzeń – maj dziewięćdziesiątego roku, niedziela rano. Osoby – poeci Łuczuk, Honczar, Sadłowski (razem ŁuHoSad), Pozajak, Nedostup, Łyboń (razem Propała Hramota), Andruchowycz, Neborak, Irwaneć (razem Bu-Ba-Bu) i pozagrupowy poeta Cybulia. Jego urodziny świętowaliśmy praktycznie do rana. Po czym wszyscy, cała dziesiątka, posnęliśmy na scenie lwowskiej opery. O różnego typu łóżka – empirowe, tapczany, z baldachimem, polówki – zawczasu zadbał reżyser Proskurnia. Słyszałeś o nim kiedyś?

Nie.

Nieprawda, już o nim słyszałeś – ode mnie. I tak, o ósmej rano do sali zaczynają wpuszczać publiczność. O ósmej z minutami podniesiono kurtynę – i niejednocześnie budzimy się przez światła rampy. Pełna sala! Ósma rano, niedziela – i pełna sala. Wszyscy widzą, jak sen poetów narodził potwory. I te potwory powoli się podnoszą, roztrącają inne potwory na sąsiednich łożach. Jeden z potworów zeskakuje z *górnej kojki*, z drugiego piętra metalowego żołnierskiego łóżka, wita szanownych państwa aluzją do gołego tyłka i z zaschniętymi ustami zaczyna recytować. To trwa mniej więcej godzinę – absolutnie na nic się wcześniej nie umawialiśmy i naprawdę mamy *kaca*, to nie gra aktorska, ale jednocześnie przecież cały czas gra, czytajcie wiersze i nie

ględzić, kurwa, czytajcie wiersze, a wy słuchajcie, wy, manekiny na widowni, na cholerę was tu przyniosło o bladym świcie, co, mało wam poezji, przecież niektórzy musieli wyjść z domu już o szóstej i pędzlować pieszo do opery ze swojego proletariackiego czy agrarnego przedmieścia, z jakichś Dublan, Sychowa czy Brzuchowicz, jeśli więc już tu jesteście, słuchajcie, kurwa, wszystkiego do ostatniego wersu. No tak. O dziewiątej kanał dla orkiestry w dole pod nami zaczyna się leniwie napełniać jakimiś też mocno niewyspanymi ludźmi. Co oni za jedni i czego chcą, okazuje się dopiero po tym, jak Pozajak doczytuje do końca swoje *Pożyteczne porady*. Pozajak czyta: „Życie to niezła gangrena | jeszcze ci zagrają Beethovena". W kanale – skinienie batuty. Orkiestra napierdala pierwszą część Piątej. Trwa to równo tyle, ile powinno – 7 minut 23 sekundy, zdążamy w tym czasie przejść ostatnie koło i doczytać po wierszu, pod Beethovena brzmi to naprawdę bluźnierczo, ale na szczęście wszystko ma swój koniec. Publiczność robi owację i cieszy się z myśli *kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje piękną poezję*. Życie to niezła gangrena, jak się okazuje. Jesteś zadowolony z odpowiedzi?

Raczej tak niż nie.

Nareszcie! Masz jeszcze jakieś pytania? Na przykład: co znaczy Płacz Jeremiji? Mertwyj Piweń?

A z Moskwą już skończyłeś?

O Moskwie mógłby mówić zawsze. Jest niewyczerpana. Ale czas nie stoi w miejscu i nadchodzi dla mnie pora, by wyjechać z niej na zawsze. Tym bardziej że wreszcie odwiedziłem bar piwny na Fonwizina, spełniłem ostatni obowiązek. Pozostaje też ostatnia moskiewska historia. Znasz jej początek – w toalecie publicznej uniwermagu „Świat dziecka" skosili mi nie tylko pieniądze, ale i bilet na samolot do domu.

I ścigasz złodzieja w podziemnych labiryntach kanalizacji.

Nie, od tego miejsca ta historia staje się inna. Kilka dni chodzę ogarnięty spleenem. To nokaut. Muszę pożyczać jakieś pieniądze, załatwiać swoje ostatnie sprawy, kupować bilet – i nic się nie układa, wszędzie totalna dupa, nie tylko

z tyłu, z przodu też. Nawet Fokin nic nie może pomóc, a on był przecież wychowawcą w zonie! Zamykam oczy, pragnąc nigdy ich nie otworzyć. Ale to nie ratuje, bo od tego nie robi się lżej. Otwieram oczy – przede mną stoi Jurij Polikarpowicz Kuźniecow i prosi, żeby odejść z nim gdzieś na bok, w jakieś odgałęzienie korytarza. Znajdujemy się sam na sam i wciska mi nowiutki, grubo napchany banknotami portfel. Przy tym mówi: „Nawet, kurwa, nie myśl o tym, żeby odmówić – eto tiebie ot wsiech poetow, to dla ciebie od wszystkich poetów". I dopiero później okazuje się, że miał na myśli nie tych, nie z akademika, nie kolegów z seminarium. Ale członków klubu.

Klubu? Jakiego?

Martwych poetów. Uważnie śledzą nas, żywych, i w czarnej godzinie przydzielają pomoc finansową. Ciekawe, kto tam u nich jest kasjerem. Dante? Camões? Byron? Goethe? Któryś z klasyków, bo modernista by wszystko momentalnie przepuścił – na absynt i kokainę. Albo na sex, drugs i rock'n'roll – jakiś tam Gregory Corso, wyobrażasz sobie go jako kasjera?

Nie bardzo. Wydaje mi się, że to lepiej by pasowało do Eliota – wielkie doświadczenie w pracy w banku. Więc „nic więcej nie zatrzymywało go w Moskwie"?

Nic. Wyrwałem od losu swój bilet na plackartę na boczną półkę, pewnie ostatni z możliwych. Pociąg do Franka odjeżdżał jakoś tak z rana, ale dzięki Bogu nie o świcie. Na Dworzec Kijowski odprowadziła mnie W. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie i długo, nieznośnie długo staliśmy na peronie przed moim wagonem. Ona strasznie chciała całego mnie umazać szminką, przy czym trafiała to w policzek, to w nos, to w jabłko Adama, ale najwięcej razy w kołnierz koszuli. Szczerze mówiąc, musiałem się bronić, i to jeszcze tak, żeby nie zauważyła. Dobrze, że ten pociąg nie był jednak złudzeniem optycznym, stała się rzecz niewiarygodna, ruszył, któryś już raz w życiu rzuciłem się, by do niego dobiec, cały w czerwonych plamach. Myślę, że to był koniec czerwca,

albo nawet jeden z pierwszych dni lipca. Czyli gdybym zdołał zostać w Moskwie jeszcze jakieś półtora miesiąca, jakieś jedynie czterdzieści pięć, pięćdziesiąt dni, to z pewnością stałbym się naocznym świadkiem puczu.

Ale się nie stałeś. Gdzie właściwie byłeś w tych dniach, gdzie cię to zastało?

Tam gdzie byli wszyscy najlepsi synowie i córki narodu – w Zaporożu na drugiej „Czerwonej rucie". Razem z Neborakiem przystaliśmy na zaproszenie i zgodziliśmy się jeden, dwa razy wystąpić, Irwana czemuś nie było, zdaje się wolał swoje malutkie radości drużynowego pionierów w cieniu sosnowych borów. Miasto Zaporoże przedstawiało sobą doszczętnie wypalony słońcem upalny teren, gdzie jednym i tym samym trolejbusem można jechać godzinami, nigdzie nie dojeżdżając. W centrum stały namioty z głodującymi „zielonymi", to znaczy nie z głodu zielonymi, lecz ideologicznie, jedni z nich strzegli namiotów i dyskutowali z jawnie niezadowolonym z ich akcji ludem pracującym, inni przykuwali się łańcuchami do fabrycznych kominów i dostawali swoje śmiertelne dawki. W dzień odsypialiśmy bezsenne noce i kąpaliśmy się w Starym Dnieprze, a wieczorami i nocami chlaliśmy w tak zwanych *kawiarniach nocnych*, umyślnie w tym celu otwartych przez komitet organizacyjny. Było tam coś na kształt piekła: mnóstwo różnej seksownie patriotycznej młodzieży, muzyków, polityków, dziennikarzy, płacze, martwe koguty, Andrij Maruszeczko. Wszystko to przypominało mi już opisane przeze mnie w *Rekreacjach* ŚZD – Święto Zmartwychwstałego Ducha. Dekalitry ciepłej i wielce złej jakości wódki przeważnie zagryzaliśmy arbuzami, nasze ręce były po łokcie w soku arbuzowym. Mieliśmy dwuosobowy pokój w jakimś hotelu robotniczym i w tym pokoju tak zwaną *szczekaczkę*. Z niej w poniedziałek 19 sierpnia rano usłyszeliśmy niezbyt zrozumiały tekst o tym, że niby towarzysz Gorbi zaniemógł, przy czym tak poważnie, że odsunięto go od wszystkiego na świecie i cała władza przeszła w ręce grupy jego najbliższych kumpli. Wydawało

się to snem, ale raczej koszmarnym niż erotycznym. Powiedziałem: „Koniec, teraz przykręcą śrubę, oto on, koniec pięknej epoki". Neborak miał inną wizję: „Przecież to superowa okazja, żeby szybko wyjść z Sojuza, mogliśmy tylko o tym marzyć". On prawie w ogóle nie orientował się w polityce i szczególnie się nią – nawet w tych czasach – nie przejmował. Tylko postukałem się palcem w czoło. Nie minął nawet tydzień i jego proroctwo się spełniło.

Dlaczego tak wyszło?

Dlatego że wielcy poeci muszą być spontanicznymi prorokami. Nie ma boga, prócz postmodernizmu, i Neborak jest jego prorokiem.

Czy w tych dniach pojawiły się jakieś oznaki zewnętrznego zagrożenia dla was?

Najcięższy czas przejechaliśmy w pociągu do Lwowa. Został specjalnie wynajęty dla lwowian, czyli możesz sobie wyobrazić dziesięć wagonów z samymi tylko muzykami, studentami i innymi wariatami. Można nas było z całym tym pociągiem odesłać na Sołowki – w tym radziecka władza przynajmniej by się nie pomyliła, a my byśmy się i tak nie skapowali, a już byśmy *tam* byli. Wyruszyliśmy w poniedziałek po południu i do Lwowa dojechaliśmy we wtorek wieczorem, czyli ponad dobę brnęliśmy z południa na północ, a potem ze wschodu na zachód przez swój równinny kraj, którego lud pracujący nie robił nic innego, tylko zbierał plony. O to w każdym razie bardzo prosił ich kobiecy lider Lonia Kra. Przez to wszystko zrobiło mi się strasznie tęskno, chciałem jak najszybciej przedrzeć się do domu, objąć wszystkich i tak zamrzeć, nie puszczając. Ale jak dobrze, że na świecie istnieje radio! A szczególnie rosyjska sekcja radia Swoboda! To radio rzeczywiście zatrzymało pucz, ta rosyjska służba Swobodzie. Ktoś miał ze sobą odbiornik, jakiś panasonic z przemytu, coś w tym rodzaju, to gubił, to odnajdował falę i starał się, jak mógł – kaszlał, chrypiał, szumiał, wzdychał, pierdział i tak dalej. Ale główna wiadomość, *message dnia*, do nas doleciała – Jelcyn wszedł na czołg. Wystrzeliliśmy

ze wszystkich butelek i zakrzyknęliśmy chórem „Yeltsin yessss!".

Gdyby nie Jelcyn, pucz pewnie by wygrał, czy nie tak?

Pewnie. Pamiętam, jak wraz z pierwszym mrokiem nasz pociąg potwornie długo hamował na jakiejś prowincjonalnej stacji *w stepach Ukrainy*. Gdzieś między Dniepropietrowskiem a Kirowohradem, dokładnie nie wiem. I wtaczamy się na swój tor, perony są zupełnie bezludne, budynek dworca zdaje się też, ani żywej duszy, wszyscy oczywiście tak zachwycili się zbieraniem plonów, że jakby się pod ziemię pozapadali. I na fasadzie dworca – trzy monumentalne portrety, pięć na pięć metrów, nie mniejsze...

...bubabistów?

Nie tam, znacznie gorzej: Marks, Engels, Lenin. I sprawiały takie wrażenie, że farba na nich nawet nie zdążyła wyschnąć, że wciąż ścieka po ich uczonych brodach. Wyglądało to jednocześnie złowieszczo i komicznie. Jakiś taki powrót idoli. Rozumiesz, przez ostatnie lata, szczególnie od początku osiemdziesiątego dziewiątego, przywykliśmy do robienia sobie z tego wszystkiego jaj, zwykliśmy pokazywać im fuck i w ogóle – *śmiejąc się, żegnać z przeszłością*. I tu raptem taki bezceremonialny comeback! I to powolne hamowanie pociągu, zgrzyt żelaza, pisk kół, nieznośnie przeciągły jęk torów.

Niezapomniane.

W ogóle to zaglądanie o zmroku w ucichły, nic niemówiący kraj było dość smutne. Na tych stacjach, gdzie pociąg zatrzymywał się na dłużej, wyskakiwaliśmy i zdążaliśmy trochę połazić po peronie. W Tarnopolu nie zobaczyliśmy nad stacją niebiesko-żółtej flagi i powiedzieliśmy „oho". Ale we Lwowie wszystko wyglądało okej – flagi były i nad Wysokim Zamkiem, i nad budynkiem dworca. Jakieś ostatnie osiem godzin w pociągu byliśmy odcięci od radia Swoboda – przestało odbierać. Dopiero w autobusie ze Lwowa do Franka odetchnąłem – wujcio szofer wyłożył mi wszystkie nowiny z wtorku i okazały się raczej dobre: Jelcyn się trzymał,

Bałtowie też, górnicy strajkowali, armia nie wykonywała rozkazów, szturmu nie rozpoczynano, Moskwa ustawiała barykady z trolejbusów. Pasażerowie autobusu przypominali świeżo stworzony i silnie rozbuchany sztab rewolucyjny. Trzęsło nami na źle wyasfaltowanych bezdrożach Galicji, wujcio szofer spieszył się do przyszłości. W domu znalazłem się koło dziesiątej wieczorem i rzeczywiście długo się obejmowaliśmy – tak jakbyśmy się nie widzieli z pięć lat, aż tu wreszcie. Następnego dnia, w środę, wszystko szczęśliwie się skończyło. Słuchaliśmy z ojcem na bieżąco Swobody i dużo z radości paliliśmy. Wydawało się, że to relacja z niewymownie ważnego meczu piłki nożnej, jedynego w życiu. Decydujący gol został strzelony w momencie, kiedy *zgraja złoczyńców* rzuciła się z Moskwy do ucieczki, a dobry olbrzym Jelcyn zablokował ich na Wnukowie. Wszystko wskazywało na całkiem bliski cud. I on nadszedł kilka dni później, w sobotę 24 sierpnia.

I...?

Teraz musiałbym przeskoczyć jakoś następne pięć miesięcy. Ale jak je przeskoczyć, kiedy w nich bardzo wiele wszystkiego się łączy.

Dlaczego właśnie pięć?

Równo tyle czasu minęło, nim znalazłem się za granicą tego, co było do tej pory możliwe. 24 stycznia obudziłem się w pewnym mieszkaniu w Monachium i pomyślałem: *to się dzieje*. Ale nie będziemy o tym dzisiaj mówić.

Dobrze, zatrzymajmy się. Co z tymi pięcioma miesiącami?

Dziwna rzecz: z jednej strony całkiem wyraźnie przypominam sobie, że lęku robiło się coraz więcej. Jak przeciwstawić się jesieni, ciemności, wyłączeniom prądu, inflacji, zimie, niepewności? Jak zarobić na chleb? Jak powstrzymać wypuszczonych powszechnie na wolność maniaków? Jak przenieść się w przyszłość przy możliwie najmniejszych stratach? Jak wygrać referendum, niech to diabli? Wcześniej odpowiedzialność za wszystko można było zwalić na nich, na wierchuszkę, na imperium, to jak teraz nie narobić w spodnie ze

strachu przed własną odpowiedzialnością? Z drugiej strony, tak samo dokładnie pamiętam, że w tym wszystkim pełno było dobrych przeczuć. To taki czas, kiedy wszyscy myślą, że właśnie teraz zaczną żyć. I to prawda, ani trochę się nie mylą – jak saperzy. Inna rzecz, jak sobie to życie do tej pory wyobrażali. Oczywiście, że nie tak. Nie jako kartki na zapałki i nie jako kilometrowej długości nieruchome kolejki po wódkę w usmarowanych błotem listopadowych ciemnościach. Ale – jeśli mam być szczery – to nawet chciałbym się znowu tam znaleźć. I robić na przykład pierwszy numer naszego „Czetwera". Praktycznie cały ten okres – to próba „Czetwera" i Indryka.

Próba? Czemu próba?

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w pracowni Pancza gdzieś tak tydzień po puczu. Przypominam sobie samego Pancza, Jaremaka, innych nie pamiętam. Ładowaliśmy i dokądś przewoziliśmy wszystko, co zostało z pierwszej „Imprezy", *malarstwo, grafikę, rzeźby, instalacje* – bo przed nami majaczyła już druga „Impreza" i trzeba było to jakoś uporządkować. Potem, co się rozumie samo przez się, rozluźnialiśmy się za pomocą białego wytrawnego. Do diabła, dlaczego wiecznie to białe wytrawne?! Mniejsza z tym. W drugiej godzinie sączenia poznaliśmy się z Indrykiem. Robił w samwydawie „Czetwer", *czasopismo tekstu i wizji*, przy czym *robił*, to właśnie *robił* – wszystko własnoręcznie, technologia wyglądała na mniej więcej taką samą, jak w naszej podziemnej gazecie – pisanie na maszynie i dwustronne kserowanie. Pomału ciągnął w kieracie jako inżynier w jakiejś fabryce, ale właśnie wymyślił, by ją rzucić i żyć ze sztuki. Czemu by nie? Czemu by nie z niej? Od czasu do czasu sprzedawał jeden ze swoich *obrazków*, grał na wiolonczeli i miał doświadczenie w robieniu czasopisma „Czetwer", do którego pisał to wiersze, to opowiadania z cyklu „Ostatnia wojna". Wydawało mi się, że to daje podstawy, by nazwać go *człowiekiem orkiestrą*, ale sam wolał określenie *wieczny dyletant*. I tak, przez całą jesień wymyślaliśmy dla jego „Czetwera" nową kontynuację

i przetwarzaliśmy jego „Czetwer" w nasz „Czetwer". W tym sensie wypróbowywaliśmy się wzajemnie, jak bardzo nam to potrzebne i czego – każdy z osobna – w ogóle chcemy. Indryk dojeżdżał z Kałusza, spotykaliśmy się w centrum i robiliśmy koła w pobliżu Poczty Głównej, przechodziliśmy z kawy na kawę, *przynosiliśmy ze sobą i rozpijaliśmy* wino w żółknących tajemniczych ogrodach śródmieścia, chowaliśmy się przed zimnymi deszczami w budkach telefonicznych, skąd wzywaliśmy na rozmowy braci Prochaśków, Ołenę, Jeszkila albo Ankę Seredę – tej jesieni odkryłem dla siebie najważniejsze fragmenty tego, co niebawem nazwane zostanie *fenomenem stanisławowskim*, i za to jestem również niezmiernie wdzięczny tej jesieni, jej liściom, drugiej „Imprezie", manekinom z pasażu Gartenbergów i wciąż głębszemu zapadaniu się kraju w mrok. Aż przyjął nas pod swoje skrzydła Rostek Hul, u którego był już gabinet, telefon, faks i komputer AT 286. Rzecz zaśmierdziała profesjonalizmem, „Czetwer" zaczął być robiony *oficjalnie*. W wersji drukowanej to czasopismo z wielką muchą na okładce zobaczyło świat dopiero po roku, jesienią dziewięćdziesiątego drugiego.

I o co w nim chodziło?

To jedna z encyklopedii końca.

Końca imperium?

Raczej nie – stulecia. A zresztą co za różnica? Po prostu wydał nam się ciekawy pomysł, by zdefiniować na nowo jak najwięcej tych rzeczy, których nikt definiować na nowo nie myśli – tak zdają się zastygłe i zrozumiałe same przez się. Na przykład Bóg: Albo Wino. Czy, powiedzmy, Kobieta, Woda, Miasto, Ptak, Drzewo, Ukraina.

I co wam wyszło z Ukrainą?

Mniej więcej coś takiego: „Ukraina – największa w Europie obiektywna kategoria, która właśnie z tego powodu nie zdoła się w niej, Europie, pomieścić". Jakoś tak. I właśnie ta *największa w Europie obiektywna kategoria* gwałtownie zachciała stać się sobą. 2 grudnia okazało się, że jest nas więcej niż dziewięćdziesiąt procent. To była aż nieprzyzwoicie

wysoka liczba, coś takiego po prostu nie mogło się zdarzyć, przecież znałem *ten naród*. Pamiętam, rano Nina wybierała się do swojej biblioteki i z kuchni słychać było radio. Od czasu do czasu nie wytrzymywała, wbiegała do naszego pokoju i krzyczała do mnie nad poduszką: „Obwód Doniecki – siedemdziesiąt osiem procent za! Zaporoski – osiemdziesiąt jeden! Krym – siedemdziesiąt pięć!". Okazało się, że wszyscy chcieli niepodległej Ukrainy. Teraz nie jestem pewien, czy to mi się nie śniło.

A naprawdę – co ci się śniło?

Wtedy? Wtedy prawie nie mogłem spać. Czyli moje sny działy się na jawie. Na przykład o tym, że wiozę z Kijowa torbę, a w niej trzydzieści tysięcy fioletowych rubli, dwanaście paczek z nowymi dwudziestkami piątkami. To strasznie gruba kasa, ale w każdej minucie może przemienić się w śmieci, wyobrażasz sobie? I umyślnie prowokuję los – zostawiam torbę na jednym końcu pociągu i idę na drugi, i idę tak długo, że przez ten czas można sto razy dojechać z Kijowa do Franka i z powrotem, ale wciąż idę i idę, a kiedy dochodzę wreszcie do końca pociągu, to moja torba już na mnie czeka tam, na środku wagonowego korytarza, każdy przez nią z uszanowaniem przestępuje i nikt nawet nie tknie palcem, wtedy zaglądam do środka – i wszystkie dwanaście, a gdzie tam – dwanaście po dwanaście! – fioletowych paczek jest na miejscu, choćbym nie wiem jak się starał. To działo się co prawda w grudniu, wtedy jeszcze radzieckie banknoty pozostawały w obiegu, ale należało je czym prędzej wydać i obywatele Franka snuli się tam i nazad Deptakiem w poszukiwaniu czegokolwiek, za co można byłoby sypnąć paczkami durnej gotówki, jakichś dywanów, pistoletów, magicznych lamp – ale niemal wszyscy bez wyjątku wreszcie się uspokajali, machali na wszystko ręką i chapali skrzynkami koniak „Biały Bociek", przedśmiertny pęd winorośli imperium. Ostatnią z tych butelek, zdaje się, jednak udało mi się dowieźć do Fiszbejna i rozpiliśmy ją w Monachium.

Ale to już w styczniu?

No tak. 21 stycznia wieczorem zaczęła się moja *podróż dookoła świata*, do Monachium przez Kijów. Bo jeśli jest naprawdę dookoła świata, to nie ma różnicy, w którym kierunku się wyrusza – na wschód czy na zachód, nieprawdaż? Na dworze było minus dwadzieścia, na niebie gwieździste. Już nie wiedziałem, dobrze to czy źle, tylko żeby koty duszy chociaż trochę się opanowały. W przedziale pociągu do Kijowa ciekawska kobietka szczebiotka siedem razy powtórzyła: „O, ten dobrodziej, po wszystkim widać, daleko się wybiera". Samolot z Boryspola do Frankfurtu startował okrutnie rano i Marta musiała odjechać tą samą taksówką, innej po prostu nie było skąd wziąć, znalazłem się więc sam na sam z przemarzniętym i pogrążonym w półmroku lotniskiem, jego kotami, swoimi walizkami, wściekłymi porannymi sprzątaczkami, służbami granicznymi i celnymi i jeszcze jednymi kotami, moimi własnymi. Dziwne, ale żadna z tych przeszkód nie zadziałała, i czemuś trafiłem do samolotu, i to jeszcze do właściwego. Nie szkodzi, że tak dokładnie opowiadam?

Nie – i tak będę wykreślać niepotrzebne.

Ale jak zdołasz odróżnić niepotrzebne od koniecznego? Zresztą, to nie mój kłopot, ale twój. No i tak. Na pokładzie siedziałem obok uczonego chłopaka z Kazachstanu, *ekonomicznego doradcy prezydenta*, co prawda nie wiadomo jakiego; wracał na swój uniwersytet po wakacjach, dziabnęliśmy po sto pięćdziesiąt aeroflockiej whisky i wzięło go na dzielenie się ze mną niemieckim doświadczeniem: najbardziej superowy supermarket – Plus, najwięcej towarów w domu towarowym – Woolworth, za nic nie kupować w pociągach ani kawy, ani sandwiczy, a w ogóle da się żyć, dżinsy przeważnie kupuje w C&A. Potem na wydartej z notesu kartce zapisał mi w słupku PLUS WOOLWORTH *sandwicze*. Strasznie go korciło, żeby jeszcze o czymś wspomnieć, i wymógł dla siebie następną whisky, ale po niej niczego już sobie nie przypomniał. Kapitan poinformował, że pod nami Karpaty, zdaje się, że tak właśnie było. Pod nami były, wygląda

na to, Karpaty, niemal otarliśmy się o zaśnieżonego Pietrosa brzuchem naszego TU. Potem były Czechy. Diabli nadali, no dlaczego zawsze te Czechy? Samolot coraz bardziej wypełniał się wciągniętym i wypuszczonym z płuc dymem papierosowym, jego pasma wydłużały się, mnożyły i zawisały w górnych warstwach atmosfery kabiny, niczym kadzidło, whisky działała, słońce przeszywało na wylot, do szpiku kości. Sędzia dawał pograć, leciałem właściwym samolotem we właściwym kierunku, szanse na to, że się rozbije – w Boryspolu były prawie stuprocentowe – zmniejszyły się, koty odpuściły.

A potem wysiadłeś we Frankfurcie i...

...prowadząc pod rękę ekonomicznego doradcę prezydenta, doszedłem do linii kontroli paszportowej. Słuchaj, może właśnie teraz zakończymy? To znaczy tu i teraz – na środku innej planety, tego gigantycznego międzyplanetarnego lotniska, gdzie snuję się pomiędzy wszystkimi niezliczonymi pokusami i zapachami, pomiędzy witrynami, lustrami, manekinami, ananasami, Hindusami? Nie wiem, gdzie się podział mój przyjaciel Fiszbejn, miał przecież po mnie wyjść, i dlaczego go tu jeszcze nie ma, i dokąd mam teraz iść, ale co najważniejsze – nie wiem, po co wszystkiego jest tak dużo, tych automatów z napojami, popcornem, tych bankomatów, po co tyle napisów, pisuarów, obcokrajowców, damskiej bielizny? A może to taka forma raju, gdzie mnie w swoim czasie znów zaproszą już na zawsze, i tam będę błąkać się wiecznie w poszukiwaniu wyjścia i Fiszbejna...?

6. Boże, daj mi donieść tę łyżkę do ust

To, co ty trochę zbyt głośno proponujesz nazwać dziesięcioleciem powieści, ja nazwałbym jakoś inaczej. Dla mnie to przede wszystkim dziesięciolecie wędrówek albo – bardziej romantycznie – dziesięciolecie błądzeń. Jeśli możesz, posłuchaj i o nic nie pytaj, dobrze?

Dzisiaj wydaje mi się, że przez cały ten czas, całe lata dziewięćdziesiąte z dodatkiem kilku pierwszych nowego wieku, jedyne co robiłem, to skądś wracałem i znowu pakowałem swoje rzeczy na drogę. Naprawdę było zupełnie inaczej, w dziewięciu dziesiątych przesiedziałem ten czas w domu, nieruchomo i w skupieniu, jak przesiaduje się w kuchni ostre arktyczne ochłodzenia czy wieczorne wyłączenia prądu. Ale ty też pewnie zauważyłeś, że czas w wędrówkach zawsze się wydłuża. Czyli jeden dzień ze zmianą krajobrazów trwa z zasady dłużej niż tygodnie domowej monotonii. I nawet nie wiem, czy uważać to za oszukiwanie się, czy nie. Jeśli są nam w ogóle dane jakieś możliwości stawiania oporu – to jest właśnie jedna z nich. Wędrować.

Zatem w ciągu tego dziesięciolecia wędrowałem – te autobusy, pociągi, samochody i nawet kilka morskich i powietrznych statków. Autobusów i pociągów było mniej więcej po równo, przy czym strasznie różnych. Szczególnie różne były pociągi, są one między sobą tak cywilizacyjnie odmienne, że nie postrzega się ich jak przedstawicieli jednego technicznego podgatunku. Poruszają się z absolutnie różnymi prędkościami przez absolutnie różne miejscowości i strefy geograficzne. Niektóre z nich miały srebrzysty kolor i cygarodynamiczny kształt, wewnątrz pachniały perfumami, czekoladą i drogim tytoniowym dymem, a poza tym przecinały

przestrzeń bezgłośnie i niepostrzeżenie – dla przestrzeni też. Inne wlokły się z całą powolnością, do której zdolna jest tylko wybujała fantazja, to już nawet nie były pociągi, ale raczej muzealne zamiejskie tramwaje, wyklepane z bardzo starego żelaza, można z nich było mnóstwo razy wysiąść, a potem znów dogonić, można je było wyprzedzić. Nie wiem, które z nich podobały mi się bardziej – każdy typ miał jedyne w swoim rodzaju zalety. Na przykład w podmiejskich nieźle grało się w karty z nieznajomymi drwalami albo grzybiarzami, a karty ewidentnie pochodziły jeszcze z *tej* talii, z pornograficznego marzenia dzieciństwa. Kilka razy przekroczyłem Apeniny, parę razy Alpy, jeśli chodzi o Karpaty z Tatrami, to sam się domyślasz. Pożerałem oczami wszystkie górskie krajobrazy, jakie tylko się dało. Ale dziewięć dziesiątych z moich podróży przebiegało równinami. Z żadnym z punktów docelowych nie miałem połączenia bezpośredniego. Mój ruch składał się przeważnie z kilku etapów, po drodze niczym Freiherr von Humboldt robiłem przystanki, wymuszone i niewymuszone, i niczym baron Münchhausen nocowałem po łóżkach znajomych moich znajomych. Zresztą czy koniecznie po *łóżkach*? Czasami chodziło tylko o dach nad głową. Do Warszawy jeździłem przez Lwów, do południowych Niemiec przez Pragę, do Wiednia przez Kraków, a do Berlina przez Kijów. Jeździłem nie tylko sam, ale i z różnymi towarzyszami podróży, przyjaciółmi i przyjaciółkami, którzy potem stawali się tak intymnie bliscy, że mogło się wydawać, że w drodze na zawsze połączyły nas popełnione wspólnie grzechy. Zresztą tak właśnie było. Jeździłem z Perfeckim, Indrykiem, Irwanem (często ich mylą – i to nie dlatego że są podobni, lecz dlatego że obaj są na „I"), z Lidką, Irką, Jarką, Czajką i Żadanem, z Miśkiem, Barbarą, ze wszystkimi martwymi kogutami, z kilkoma innymi Lidkami, z Neborakiem, Niną, Liną, Aliną, Ulianą, Iloną, Lenką, Ołenką, Ołeną, z Moniką i Andrzejem, Tarasem i jego dziećmi, z Józefem i jego braćmi.

*

W kwietniu dziewięćdziesiątego drugiego roku wróciłem z Bawarii na długie sezony w piekle, wyposażony w czarne ubrania i poczucie nevermore. Miałem ze sobą prawie skończoną *Moscoviadę*, a w moim wnętrzu kiełkowało to, co niedługo miało przyjść na świat jako zakochano-naiwny *Wstęp do geografii*. Jeśli chcesz, możesz uważać go za przedmowę – powiedzmy do *Perwersji*. Chociaż i tak nie czytałeś ani jednego, ani drugiego. No i – wróciłem. I zaczęło mnie łamać z przedawkowania ojczyzny, denerwował na przykład brak automatów z papierosami, Jak można żyć w kraju, gdzie w nocy nie kupisz kondoma?

Najgorzej złożyło się z ojcem – musieli go operować, informacja o tym nie zdążyła zastać mnie w willi „Waldberta", w domu była to więc wiadomość numer jeden: „myślałam, że umrze". Tak naprawdę zostało mu jeszcze równo pięć lat – był wtedy znów koniec kwietnia, trochę zielonej trawy na szpitalnym podwórku, wszędzie ciepły kurz, „kwitnienia drzew najczulsza pora". Pobiegłem do szpitala z nieszczególnie dorzecznym i wielce wodnistym sokiem z mandarynek w słoiku, wciąż stały mi przed oczami miliony ton cytrusów i multiwitaminowe cysterny błogosławionego Zachodu – jak to możliwe, żeby ich tu nigdzie nie było? Co to za kraj, ta ojczyzna? Szpital pogrążony był w daleko posuniętym pierwszym stadium rozpadu. Nikt nie wymagał od gości, by zarzucali na ramiona białe fartuchy, nikt w ogóle niczego nie wymagał i niczego nie pilnował, i nie wiedział, korytarze pełne były przeciągów i kurzu. Przechodziłem z jednej sali do drugiej, aż go znalazłem, bladego i bardzo wychudłego. Mogłem zobaczyć kształt jego kości policzkowych, nigdy się nie domyślałem, że ma je aż takie. Wysilił się i spróbował zażartować: „No, jak tam Bawarki – wielkie cycki i prawie bez tyłków?". Gdyby tego nie zrobił, mógłbym nagle zacząć chlipać. Chociaż do czterdziestki było mi jeszcze w ogóle aż strach jak daleko. Ale tym razem wszystkiego zebrało się po prostu za dużo – rozpaczy, pożegnania, spotkania, jego

i mojej beznadziei. Najgorsze, że potwornie chciało mi się natychmiast nakarmić go łyżką. „Panie, daj mi ją donieść" – tak powinienem był się modlić. Byliśmy zmuszeni jakoś się nawzajem rozweselić. Jego łóżko stało przy oknie, na parapecie leżał numer „Suczasnosti" – okładka z portretem wielce zadowolonego z siebie pucułowatego jegomościa, prezydenta naszej ojczyzny. To znaczyło, że w środku powinny być *Rekreacje*. Poględziliśmy o tym i owym, pokazałem mu kilka fotek z willi, jeziora i Wenecji, z przyzwoitości obejrzał każdą z nich. Potem pomilczeliśmy i znów poględziliśmy, jeszcze raz prawie o tym samym. Kiedy wstałem, żeby już iść, skinął na czasopismo i powiedział: „Podobne do Remarque'a". Wynikało z tego, że mnie mocno pochwalił.

Remarque należał do autorów, których jego pokolenie czytało najwięcej. Wszyscy jego przyjaciele czytali Remarque'a, Jacka Londona i Dreisera. Na *Trzech towarzyszy* Remarque'a były w bibliotekach zapisy. Musieli z mamą losować, kto będzie czytać pierwszy.

À propos, dlaczego ja to wszystko mówię?

Mój ojciec był pierwszym człowiekiem na świecie, który pokazał mi drzewo ginkgo. To był dla mnie wstrząs – wyobrazić sobie, że ono może pamiętać dinozaury i że jest chińskie. Ale przede wszystkim to słowo, słowo jako takie – „ginkgo"! Poza tym pokazał mi katalpę i opowiedział, że ona pochodzi z Meksyku. W naszym mieście katalpy rosną w kilku miejscach, tak po prostu przy ulicy. Drzewa to była jego rzecz, żył drzewami, właściwie bardzo wieloma drzewami, zbiorowiskiem drzew, lasem. Pod koniec lata zaczynała się pora zielników. Tak naprawdę mieliśmy zbierać listki przez całe lato – by we wrześniu wyglądały na dostatecznie ususzone. To było wakacyjne zadanie z botaniki. Jednak, jak wszyscy normalni uczniowie, odkładałem to do ostatnich dni sierpnia. Ojciec wracał z kolejnego wyjazdu służbowego do

gospodarstw leśnych i wysypywał przede mną na stół pełną torbę wszelkiego pachnącego listowia. To było jak złośliwy botaniczny żart: zasypać mnie po uszy tymi niezliczonymi liśćmi, z którymi tak czy inaczej nie umiałem sobie poradzić. I w końcu dzięki niemu przynajmniej potrafiłem rozpoznawać – osika, grab, kruszyna.

Nawet w snach widział siebie jako mojego przewodnika po świecie drzew. Pewnego razu mało nie pozdychaliśmy ze śmiechu: przyśniło mu się, że chodzimy po jakimś leśnym parku i pokazując mi kolejny egzemplarz, informuje, że to „dąb urzędowy". We śnie to nie było żartem. We śnie często zabierał mnie ze sobą na różne przyrodnicze przechadzki. Kiedyś mu się śniło, że we dwóch wychodzimy na zalaną blaskiem polanę i tam pasie się absolutnie dziwne stworzenie – z całkiem rozgałęzionymi jelenimi rogami, ale wielkości kanapowego pieska. „Jakiś niedorobiony ten jeleń" – mówi do mnie we śnie.

Drugą jego rzeczą było opowiadanie historii. W tym sensie stał się dla mnie w latach dzieciństwa posłańcem samego Świata Zewnętrznego – w tych historiach skupiało się wszystko, co chciałem wiedzieć o ludziach, zwierzętach i roślinach. Jego życie pełne było przygód, szczególnie za młodu, kiedy jeździł konno po lasach i oddawał śmiertelne strzały z karabinu do kłusowników – tak sobie przynajmniej to wyobrażałem. Po latach nasze role niemal zupełnie się odwróciły: w jego życiu było coraz mniej wydarzeń, aż przestało się w nim cokolwiek dziać. W moim było ich coraz więcej i teraz to ja miałem być opowiadaczem. To znaczy posłańcem otaczającego nas świata – znacznie większego, znacznie bardziej zewnętrznego – coraz częściej bywałem ja. Tym razem w szpitalu starałem się opisać „Waldbertę", układ pokoi, balkonów, wieży widokowej, charakter miasteczka, moje próby dogadywania się z miejscowymi za pomocą szkolnego niemieckiego, brzegi jeziora, nieruchome łabędzie na

wodzie, perspektywę przeciwległego brzegu, tajemniczą śmierć Ludwika II i oczywiście park, w którym chyba przeważała sosna alpejska. Mówię „chyba", bo naprawdę zupełnie nie byłem pewien, że te sosny są rzeczywiście alpejskie, ale udawałem, że jestem przekonany, że tam rosły właśnie one. Uściślał: „*Pinus halepensis*, sosna alepska, u nas niekiedy mówią na nią żerep". Bez wątpienia przypomniałby sobie jakąkolwiek łacińską, a potem i miejscową nazwę – problem był nie z nim, ale ze mną: nieszczególnie zapamiętywałem tę roślinność, przecież nie zamierzałem pisać sprawozdania czy przygotowywać referatu naukowego na temat: „Regionalne osobliwości flory strefy przejściowej w warunkach podalpejskich Górnej Bawarii", wystarczało mi, że ona, ta roślinność, jest „wiecznie zielona". Na jednej z fotek widać było porosły „wiecznie zieloną" drobnolistną masą parkowy mur i od razu powiedział: „Oczywiście – *Hedera helix*". Pozostawało mi odbijać to sobie na historii kultury. Wiele opowiadałem o duchach – podobno po willi i jej okolicach prowadzało się ich naraz kilka, z różnych epok i terenów. Niektórzy z nas wymyślali na nie różne pułapki, tworzyli systemy wzajemnie odbijających się małych lusterek, łączyli je najcieńszymi nitkami z wyciętymi z papieru, przypominającymi gwiazdy, symbolami. Chodziło o to, żeby rano zastać ślady nocnych przejść z piętra na piętro, z piwnic na wieżę i z powrotem. Ojciec demaskował te opowieści, wykazując mój brak obeznania: duchy nie znoszą wzajemnej bliskości, są potwornie egocentryczne, kilka duchów jednocześnie w jednej willi – to niesłychana rzadkość na granicy absurdu. Poprawiałem się i mówiłem, że tak, że rzeczywiście, że ani razu żadnego z nich jednak nie zobaczyłem, no, chyba że cały ten nocny harmider przy pralkach w piwnicy, który raz na trzy tygodnie robiła Brudna Praczka. Poza tym starałem się opowiadać mu o Wenecji, ale kiepsko mi to wychodziło – ogólnie rzecz biorąc i beze mnie wiedział, że to miasto na wodzie. Prawdziwych historii nie mógłbym jednak opowiedzieć nawet jemu. Teraz już tak, wtedy nie.

* * *

Co nieco mu jednak opowiedziałem.

Jakoś latem dziewięćdziesiątego trzeciego wypuściliśmy się z Indrykiem w kilkudniową podróż do Czernihowa z nieznajomym kierowcą Nykołą. Chodziło o to, żeby przewieźć całą kupę rzeczy, przede wszystkim jakieś resztki mebli, od rodziców Niny do naszego pustego mieszkania na Objezdnej. To była czysto prywatna umowa – Nykoła pracował w kolumnie transportu ciężarowego, tym razem wiózł do Czernihowa sześć kontenerów z farbą, z powrotem miał wracać na pusto, więc umówiłem się z nim, że napakujemy te jego kontenery naszymi stołami, szafami i krzesłami. Płaciłem za wszystko, wpadła mi gruba paczka inflacyjnych kupono-karbowańców, których każdy tysiąc co minutę tracił na wadze, trzeba było się ich czym prędzej pozbyć, więc opcja z wynajęciem ziła do Czernihowa i z powrotem wydawała się nie taka znowu głupia. Indryk i tak musiał się kiedyś dostać do Czernihowa, zaczynał tam swoje projekty z teatrem, dlatego zgodził się dotrzymać mi towarzystwa. To była prawdziwa wyprawa na Wschód – pełna wszelkich średniowiecznych niebezpieczeństw. Nykoła był jednak młotem, mimo kilkudziesięciu lat spędzonych za kierownicą na długich trasach zachowywał się jak kompletny nowicjusz. Ledwie wyjechaliśmy z Franka, a okazało się, że w jego przyczepie nie działają hamulce. Często gubił drogę, raz po raz wymyślał jakieś absurdalne powody nieprzewidzianych przystanków, plótł wszelkie ciemniackie geograficzne bzdury, głowa mu opadała i momentalnie zasypiał za kierownicą. Jego ciężarówka okresowo gasła z nieznanych mu przyczyn. Na „reno" mówił „renault", a na „peżo" – „peugeot". Poza tym, najbardziej dbał nie o to, jak dojechać do ostatecznego celu, ale jak sprzedać za walutę dwie beczki kradzionej ropy jakiemuś przypadkowemu zagranicznemu tirowcowi. W Tarnopolu wydumał, że zwabi na nią młodego Greka, ten

zapłacił mu siedemdziesiąt niemieckich marek za pierwszą pięćdziesięciolitrową beczkę. Nykoła poczuł się szczęśliwy, ale nie na długo – przebieg dealu z Grekiem pilnie śledzili ze swojej łady miejscowi chłopcy. Idiota Nykoła przeprowadził „akt kupna-sprzedaży" w najbardziej widocznym miejscu – w biały dzień na stacji benzynowej. Ledwie Grek odjechał, ledwie idiota zaczął po raz trzeci przeliczać i oglądać pod światło różnokolorowe niemieckie *Geldscheine*, a podeszło do niego dwóch i poinformowało, że to ich teren. Swoje żądanie „podziału" motywowali całkiem prosto i zrozumiale: „To tarnopolski reket, zbieramy na herbatę dla zony". Następnie odebrali Nykole trzydzieści marek, wsiedli z powrotem do swojej łady i pojechali w siną dal, wszyscy w czarnych okularach i chińskich dresach. Cały ten epizod przesiedzieliśmy z Indrykiem w kabinie. Zapytałem Nykołę, na co teraz czekamy. Odpowiedział, że oni zaraz wrócą, bo są mu winni pięć marek – nie mieli reszty. Roześmialiśmy się z Indrykiem nerwowo. Najdziwniejsze, że po godzinie ci chłopcy rzeczywiście wrócili i naprawdę oddali pięć marek – słowni ludzie, nie pogadasz. W ciągu kilku następnych godzin jazdy Nykoła zapiekle dyskutował sam ze sobą: „Czterdzieści dojczmarek za pięćdziesiąt litrów ropy – to normalnie czy mało?". Drugą beczkę opylił Anglikowi dopiero w drodze powrotnej, gdzieś pod Żytomierzem. Tym razem Nykoła był ostrożny i sprytny. By sprawa przebiegła bezpiecznie, jak zawsze językiem gestów zażądał od swojego zagranicznego klienta, by zjechał z szosy na polną drogę, i zaciągnął nas i angielskiego drągala-zabijakę z kierownicą po prawej stronie aż pod jakiś, z daleka całkiem partyzancki, las. Anglik kupił ropę za pięćdziesiąt dolarów, Nykoła miał powody do zadowolenia, ale nie dawał tego po sobie poznać, stary wyga. Przejechaliśmy wszystkiego jakiś tysiąc kilometrów i spędziliśmy w kabinie pół setki godzin. Już mówiłem o tym, że on często zatrzymywał się bez wyjaśnienia i gdzieś znikał, zostawiając nas, byśmy „popilnowali samochodu". Pod Kijowem nieomal kupił od posterunkowego z drogówki nowiutkiego, prosto

spod igły kałasza, świeżo z Naddniestrza, nacięcia na kolbie świadczyły o tym, że posterunkowy zdążył jednak zaspokoić się na „jebanych Mołdawianach". Nykole mówił: „Kup, słyszysz, tanio dam, to dla ciebie nieobchodimiejsza wieszcz, ty ż postojanno w drodze, mało to wszystkiego". Kraj w tym czasie rzeczywiście sprawiał wrażenie absolutnie nieurządzonego, puszczonego samopas i groźnego. Wracaliśmy drogą północną, za Równym daliśmy na południe i gdzieś w okolicach Buska czy Oleska, kiedy Nykoła kolejny raz na parę godzin utknął pośród bezludnej wieczornej szosy, dopadł nas jeszcze jeden reket. Ci przyjechali mocno pogruchotanym fordem, nieźle narąbani i w odróżnieniu od tych spod Tarnopola, rosyjskojęzyczni. Jednemu z nich chodziło wyłącznie o to, żeby pogadać, siedliśmy z nim w kucki nad rowem i wypaliliśmy po kilka papierosów, przedstawiłem się – Iwan. Zawsze tak robię, kiedy nowy towarzysz nie bardzo mi się podoba. Zapytał mnie: „Ty czio, Wania, biznies-men?". Drugi wciąż wpychał nos do kontenerów, to znaczy chciał, żebyśmy mu pokazali, czy naprawdę są puste. Ciekawe co by było, gdyby dopiął swego i Nykoła musiałby je pootwierać? Jak zareagowaliby na te stoły i krzesła z Czernihowa? Nykoła spazmatycznie zasysał benzynę – ustami przez szlauch, to ich mocno cieszyło. A Indryk zdecydowanie im się nie podobał: podejrzany typ, nie chce gadki, wywyższa się. Rzecz pachniała gównem i krwią, uratowało nas tylko to, że byli jednak pijani, nieuważni i tak w ogóle to jechali do Buska na tańce. Dali nam godzinę, żeby się stamtąd zabrać, zanim nam te kontenery przetrzepią. Ich ford jak oszalały pognał przed siebie, unosząc ich coraz dalej od nas. Nykole z radości udało się odpalić silnik, ale potem jeszcze dwie godziny pluł benzyną. Kiedy o drugiej w nocy przekroczyłem próg domu, ojciec układał w kuchni pasjansa. Nie pamiętam, czy opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami, czy tylko w ogólnym zarysie, ale pamiętam, że długo siedzieliśmy przy herbacie z wódką.

*

Za to wiosną dziewięćdziesiątego czwartego – to pamiętam na sto procent – ze szczegółami opowiadałem mu, jak nie udało mi się dojechać do Fryburga. Ha, wyobraź sobie, jak fantastycznie pięknie się wszystko zaczynało: kwiecień, słońce, Lwów, Baszta Prochowa i w niej już drugi dzień czekamy na wyjazd na „Dni Lwowa we Fryburgu". Przy czym prawie przepuściliśmy na koniak i kawę wszystkie zapobiegliwie zaszyte w podszewki naszych błazeńskich płaszczy zapasy na drogę – to w końcu Baszta Prochowa, siedzisz w niej i naprawdę jak na prochu, nie pić się nie da. My – to martwe koguty, ja i kilku „działaczy kulturalnych". Do tego prawie pół setki ludzi już drugi dzień nas głośno odprowadza. I wszyscy już drugi dzień pijemy kawę z koniakiem, i rozmawiamy o tym, jak fajnie, że razem pojedziemy do Fryburga, i jak my tam zagramy ze sceny wszystkie nasze hity. I wreszcie zdarza się cud – autobus jednak podstawiają, pakujemy się z wszystkimi naszymi gitarami i bębnami i po długim krążeniu przez miasto obieramy ostateczny kurs: Gródek – Sądowa Wisznia – Szehynie – Medyka. I to naprawdę „ostateczny" kurs, bo przed nami granica i Przemyśl. A Fryburg od Przemyśla na wyciągnięcie ręki – tam wszędzie Europa, „lasy i góry, góry i lasy, bo przecież Europejczyka stworzyły góry i lasy, lasy i góry" i tam w Europie odległości zaczną mieć całkiem inne relacje z czasem.

À propos, w tamtych latach wciąż jeszcze odwiedzał nas John Siddhartha, „wędrowny więzień z Nottingham". Zgodnie z legendami, odsiedział swoje w niemal wszystkich europejskich więzieniach, francuskie porównywał z holenderskimi, a szwajcarskie ze szwedzkimi i każde z nich miało swoje niezaprzeczalne wady, chociaż żadne nie miało zalet. John Siddhartha mógł być narkotykowym kurierem, a mógł być zwyczajnym uciekinierem od zachodniej nudy, do nas w każdym razie przyjeżdżał w roli wolontariusza jakiejś dobroczynnej organizacji medycznej, która wspomagała ukraińskich diabetyków insuliną i jednorazowymi

strzykawkami. Tak naprawdę John Siddhartha po prostu znalazł sobie kraj, w którym było mu dobrze. Na pewien czas zrezygnował nawet ze swojego wcześniejszego pomysłu, by umrzeć i być pochowanym w Indiach – na rzecz Ukrainy. Poza tym mówił, że jakby ich Nottingham Forest miał kiedykolwiek zagrać mecz przeciwko naszemu Uraganowi, to on na pewno kibicowałby właśnie temu drugiemu. Chciałby to zobaczyć! Jego mizerna jak na Zjednoczone Królestwo emerytura w naszych warunkach była szaleńczo astronomiczna, a on sam – antropomorficzny worek do jej przewozu. Dlatego do pewnego momentu nie miał problemu z najlepszymi przyjaciółmi, chociaż myślę, że przede wszystkim chodziło mu o przyjaciółki. John Siddhartha kursował między Nottingham i Frankiem z całkiem przewidywalną regularnością. A więc – każda taka podróż z jednego końca na drugi wychodziła go dziesięć dolarów. Właśnie tyle kosztowało połączenie między Frankiem i Przemyślem. Całą resztę drogi, czyli dziesięć razy dłuższy dystans pomiędzy Przemyślem i Nottingham, pokonywał autostopem i nie płacił za to ani centa. Tę dygresję zrobiłem po to, żebyś lepiej zrozumiał, co to takiego miasto Przemyśl z naszej perspektywy „tamtego świata". To taki punkt geograficzny, od którego wreszcie zaczyna się autostop, rozumiesz? Autostop jako sposób życia i model cywilizacyjny.

I tak do tego magicznego punktu zbliżamy się tym muzyczno-koniacznym autobusem. Przy czym ja nawet nie domyślam się, że w moim paszporcie brakuje pewnego, kurwa, stempla. Nie, ja niczego się nie domyślam, jestem rozradowany – przede wszystkim dlatego że tak pięknie nam się z kumplami jedzie. Aż mój paszport trafia do rąk ukraińskiej pograniczniczki, jakiejś Tatarki czy Uzbeczki. Obraca go tak i siak, kartkuje dwa, trzy razy cały od pierwszej do ostatniej strony i wreszcie ze słabo ukrywanym zadowoleniem mówi: „Muzikanty, da? Artisty? Wot i budietie szczas tanciewat'" – Muzycy, tak? Artyści? No, to teraz zatańczycie. I być może,

gdyba cała ta wesoła delegacyjka nie poszła po tych słowach w zaparte i naprawdę grzecznie dla niej zaśpiewała, i – why not? – może nawet zatańczyła, to ona może by mnie wypuściła bez tego, kurwa, stempla. Ale jednak stało się odwrotnie, to znaczy wszyscy odwołali się do środków uczciwego obywatelskiego oburzenia, no i ona postanowiła do końca wykonać swoje służbowe obowiązki. Oni jej nawet prawo o języku urzędowym przypomnieli! Więc miała absolutne podstawy naszkodzić w wyznaczonych przez inne prawo granicach. W ten sposób wszyscy pojechali dalej, a mnie wysadzono z rzeczami i w towarzystwie nieznośnie obsypanego piegami młodego, niezdarnego żołnierza odprowadzono do powrotnego autobusu do Lwowa. Autobus był przepełniony wściekłymi i poszarpanymi „mrówkami" ze wszystkich regionów ojczyzny, więc całą drogę stałem w przejściu pośród jakichś ich toreb z resztkami nieświeżego prowiantu, słuchałem ich rozmów o bezczelności celników, szaleńczym kursie dolara i niewozmożnoj żizni i jednocześnie plecami czułem, jak z każdym kilometrem coraz bardziej oddała się w niedostępność jedna z fatamorgan tego świata, zwana Europą, wszystkie jej miasta, kamienie, mosty, zapachy, góry i lasy. Ale najgorsze było nie to, że nie wiedziałem, jak teraz bez pieniędzy dostać się ze Lwowa z powrotem do Franka. Najgorszy był powrót bez podróży, hańba samozwańczego Odyseusza, skasowany w ostatniej chwili przez jebnięcie astronauty międzyplanetarny lot na Wenus.

Zdaje się, że nigdy więcej taki powrót mi się nie zdarzył. Kiedy późną jesienią dziewięćdziesiątego czwartego przyniosłem ojcu skórzane pantofle kupione na portowym bazarze między Grecją a Turcją, zapytał mnie, dlaczego nie jestem w fezie. Czasami się powtarzał. W dziewięćdziesiątym drugim mówił, że spodziewał się zobaczyć mnie w krótkich spodniach na szelkach i w getrach. Miał szczególną słabość do filmów animowanych i nigdy nie opuszczał dobranocki. Ale jeśli film był, nie daj Boże, lalkowy, a nie rysowany, mogło to

mu zepsuć nastrój. Dla niego istniały tylko filmy rysunkowe, innych nie było. Nie, ani trochę nie popadał w zdziecinnienie – on po prostu nigdy nie przestał być dzieckiem, to zupełnie co innego. Wszyscy Turcy tego świata musieli nosić fezy, wszyscy Bawarczycy – krótkie spodnie na szelkach. Od światowego ładu nie wymagał rzeczy niemożliwych – jedynie tego, by odpowiadał jego dziecinnym wyobrażeniom.

* * *

W dziewięćdziesiątym piątym dwukrotnie przeciąłem Czechy i Słowację z zachodu na wschód. Obydwa kraje nie wymagały jeszcze wtedy wiz tranzytowych. W obu wypadkach chodziło o to, żeby minimalnym kosztem wrócić do domu z Bawarii.

W Norymberdze zagraliśmy z kogutami koncert w ruinach zbombardowanego przez Amerykanów – właśnie tutaj pasowałoby słówko „Amerykańców" – kościoła i pociągiem dowlekliśmy się do Pragi. Nie muszę znów opowiadać ci o Pradze i o języku czeskim ze wszystkimi jego zdrobnieniami typu „smrtička". Z drugiej strony, tamta Praga i tak już nie istniała, tak jak nie istniałem dziesięcioletni ja. Pragę lat dziewięćdziesiątych lubiłem za zupełnie inne rzeczy: za absynt w kawiarni „Blatouch" i za przesiąkniętą zapachem moczu i zupy z soczewicy piwiarnię na Žižkovie, której nazwy nie pamiętam, bo przyszło mi zapijać piwo szklanką wódy – żeby udowodnić czeskim kolesiom, że Ukraińców nic nie przestraszy. Ale to jeszcze inna historia. W Pradze nasza banda rozdzieliła się, dalej na wschód jeszcze tego samego wieczora puściliśmy się tylko ja z Miśkiem Barbarą, reszta zatrzymała się na dłużej. Kupiliśmy bilety na jakiś pełznący nocny vlak z Pragi do Koszyc i obłożyliśmy się w nim, niczym rzecznymi kamieniami, butelkami zimnego piwa z bufetu. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, ciągnęliśmy piwo za piwem i milczeliśmy. Do naszego przedziału dosiadali się od czasu do czasu jacyś

czescy robole, oni też milczeli, ale wszystkiego tylko jedną, dwie stacje, i wysiadali w swoich, na przykład, Podiebradach. Pamiętasz, jaki wydłużony był ten kraj, Czechosłowacja? Taki jak Austria, a może i dłuższy. Tylko że potem się skończył, ale pociągi zostały, szczególnie te, które kursują wzdłuż horyzontalnej osi wschód–zachód. Wszyscy wiedzą, że teraz tak Czechy, jak i Słowacja to malutkie, „typowo środkowoeuropejskie kraje" – to co pewien poeta-seksuolog w Moskwie nazywał „sriedniejewropiejskaja driebiedien'". A jednak, kiedy wleczesz się takim czesko-słowackim nocnym robotniczym pociągiem wzdłuż horyzontalnej osi zachód–wschód, nic na świecie nie wydaje ci się malutkie. Rano obudziło nas słońce, piekło w nieco zniekształcone przez piwo i pociągowy sen fizjonomie. Do przedziału znów wbiło się trochę robotników, ale sądząc z tego, że wyglądali zupełnie jak nasi, byli to już chyba Słowacy. Charakterystyczne dla nich było także to, że sączyli właśnie słowackiego mnicha i palili słowackie marski. Też dosiadali się na jedną, dwie stacje i wysiadali, leciutko się kiwając przez pierwsze i nieostatnie poranne piwo. Wjechaliśmy w góry i starałem się poznać to, co być może próbował poznać mój ojciec wtedy, latem siedemdziesiątego roku, moje oczy stały się jego oczami, inaczej być nie mogło. Góry zdawały mi się zdumiewająco wysokie, u nas takie nie bywają, poza tym przewlekliśmy się pod jakimiś szarokamiennymi ruinami ogromnego zamku – wszystko się zgadzało, to była jego, ojca, trasa. Do Preszowa dojechaliśmy dopiero przed południem i tam powłóczyliśmy się, praktycznie nie rozmawiając, jeszcze kilka godzin w oczekiwaniu na pierwszy lepszy autobus do Użhorodu. To była maksymalnie rozciągnięta w czasie podróż: wszędzie, na każdej stacji, przychodziło nam cierpliwie wyczekiwać jej kontynuacji, żaden dyspozytor nie zadbał o naszą wygodę, wszystko to mogło trwać tygodniami – tak jakbyśmy naprawdę przemieszczali się bez celu, dla samej tylko ulotnej wieloetapowej przyjemności zmiany dworców i stacji. Z nadejściem nowej nocy znaleźliśmy się w przedziale następnego pociągu – tym

razem był to Użhorod–Charków, wiadomo że po jego wagonach zazwyczaj kręcą się karaluchy i myszy, pierwsze widziałem, drugie znam tylko z opowieści. Do Lwowa została jeszcze cała noc, rzuciliśmy nasze torby na górną półkę i wyszliśmy na korytarz ze swoimi butelkami – teraz obołoni. Za oknem coraz szybciej zapadał zmrok, czy aby nie w rytmie przyspieszania naszego pociągu, ale i tak zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak na polach za Użhorodem, płynnie przeskakując z kukurydzianych gąszczy do kartofli, operuje kilka watah, wszyscy mieli worki i wyglądali na nienagannie plastycznych, po prostu doskonałych w swoim planowym pustoszeniu działek. Mężczyzna z sąsiedniego przedziału mówił: „Patrzcie, patrzcie, co wyrabiają, jak kradną, to pasożyty cygańskie". Nasze życia kolejny raz się rozmijały – nas czekała noc w pociągu, jeszcze jedne góry niewidoczne w mroku, mozolne pokonywanie przełęczy i przebudzenie we Lwowie; ich – napełnione zdobyczą worki, zniknięcie w kukurydzianej gęstwinie, skradanie się w ciemności w kierunku błysków ognisk i... namiętne romanse przy akompaniamencie gitary aż do świtu. To żart.

Jak się okazało, to była próba, wstępne badanie trasy w towarzystwie instruktora milczka. Jeszcze tego samego roku jesienią po raz drugi przejechałem tą samą drogą – no, niemalże tą samą. Jednak tym razem byłem sam i to nie mogło się nie odbić na przebiegu podróży. Jak długo trwała? Trzy noce i dwa dni?

Pierwsza z nocy minęła w pociągu pomiędzy Monachium i Pragą bez żadnych wydarzeń – jeśli nie liczyć pary chamowatych czeskich pograniczników, którzy nalegali, bym wywrócił kieszenie i pokazał całą swoją gotówkę. Może przypuszczali, że przedzieram się do Pragi w wyłącznie jednym celu: by umrzeć z głodu pod mostem. Poza tym, zwracając się do mnie, uparcie nie chcieli przejść z łamanego rosyjskiego na łamany niemiecki. Zresztą rozeszliśmy się

bez wzajemnych pretensji. Cała moja gotówka ukryta była w wewnętrznej kieszeni czarnej dżinsowej kurtki – nieco ponad trzysta marek, honorarium, które dostałem za czytanie w rezydencji jakiegoś trochę skąpego zakonu rycerskiego. Zmuszony byłem pomachać kilkoma banknotami przed ich czułymi nosami – i czescy pogranicznicy, Pepik i Pepik, odczepili się.

Następnie był dzień w Pradze, przechadzki po Kampie – zdaje się z Muraszkiem, próby dostania biletu bezpośrednio do Lwowa i porażka z nimi związana. Późnym wieczorem ledwie zdążyłem dobiec do tego samego nocnego pociągu do Koszyc i przez drzwi, które właśnie automatycznie się zamykały, wepchnąć się do wagonu. Wciągnąłem nosem wagonowy zapach – tak, zdaje się, to był on, ten sam, *nasz* – tylko tym razem musiałem jeszcze rano przesiąść się na słowackiej stacji Kysak. Pomyślałem: tylko żeby nie zaspać i nie dojechać do Koszyc. Jakoś nie pamiętam, żebyśmy się z Miśkiem tam przesiadali latem. Chyba to był jednak inny pociąg. Ale bardzo podobny do swego poprzednika – równie długi i ciągnący się, równie przesiąknięty piwem i dymem, też początkowo czeski, a potem słowacki.

Różnica polegała na tym, że wtedy wsiadali do niego milczący robotnicy, a teraz – krzykliwi. To znaczy nie tyle robotnicy, ile gastarbeiterzy – z Zakarpacia. Więc przespać stacji Kysak nie miałem możliwości, przespać się jej po prostu nie dało. Od czasu do czasu zwalali się do mojego przedziału, żeby napalić się jak należy. To znaczy pili w swoim, a palić przychodzili do mojego, „kulturniejsi ludzie". Pozostaje tylko domyślać się, dlaczego wybrali właśnie mój przedział. Czyżbym wyglądał na aż tak samotnego? Któryś z nich czasami zerkał w moją stronę, ale żaden ani razu nie zagadał. Przypuszczam, że mieli mnie za palanta Czecha, który i tak nie skuma ich rozmów. To były rozmowy całkiem zaufane. Powiedzmy, jeden pochwalił się swoimi kradzieżami w supermarketach –

kostka mydła, puszka sardynek, składany nożyk, takie tam, wszelkie drobiazgi, „sriedniejewropiejskaja driebiedien'", ale i z tego był dumny. Na to ich przyjaciółka, ponad swój wiek zachrypła i pewna siebie szprycha, radziła mu, żeby był trochę ostrożniejszy, ponoć w wielu supermarketach towary są już zabezpieczone elektronicznie, „złapią – i leżysz". Na co ten ją uspokoił, że w *swoim* nie wydziwia, tylko w innych dzielnicach – tak, jakby o to chodziło. Na papieroska zawsze wpadali z jakiegoś powodu we trójkę – dwóch gości i ta lala. Przy czym goście byli za każdym razem inni, a lala zawsze ta sama, jeszcze dwa lata wcześniej mogła uchodzić za tak zwaną tancerkę, nie wiem. Oczywiście, wszyscy goście mieli na nią wielką ochotę, ja zresztą też – była z tych, przy których od razu staje. Cały czas starali się więc jakoś ją złapać, przeciągnąć po niej ręką albo przynajmniej dotknąć. Ona coraz bardziej ochryple, gasząc nerwowo niedopałki, wymawiała swoje „zostaw", ale od czasu do czasu chodziła z którymś z nich do toalety. Wyobrażałem sobie, jak tam, w środku, on wsuwa swoje szorstkie pokryte odciskami dłonie pod jej skórzaną kurtkę, jak rozpina jej guziki i dyszy w ucho, jak ona tymczasem opuszcza pokrywę klozetu i sadza go na niej, władczo kładąc mu ręce na ramionach, jak on posłusznie siada, a raczej osuwa się, obejmując rękami kolumnę jej ciała i jednocześnie ściągając z jej ud zbędne dekoracje, co pozwala jej usiąść na nim, jak on od razu wchodzi w jej śliskawą ciepłą szparę, jak to wszystko się odbywa – minutami, nie dłużej – jak niemal jednocześnie krzyczą, a potem po kolei się podnoszą i zapinając już własne ubrania, starają się na siebie nie patrzeć. Powtarzało się to sześcio- albo siedmiokrotnie, z krótkimi przerwami, piciem w jednym przedziale i paleniem w drugim – za każdym razem szła do toalety z innym. Wystarczało tylko wyciągnąć rękę i brać. Tym razem wszyscy wracali do domu z pieniędzmi, każdy wziął „dolę" od swojego pana i władcy, tym razem im się poszczęściło, żaden reket nie odebrał im ani dolara, żaden policjant też nie, więc wszystkim było

dobrze, wszystkim chciało się więcej, wszystkim chciało się coś kupić, coś od tego życia dostać, z czegoś skorzystać, coś wziąć – nie będziesz przecież wiecznie zapierdalać jako tępa niewolnicza siła robocza dla skrajnie zbezczelniałych Czechów. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy oni wyglądali na bardzo dobrych starych znajomych, sąsiadów czy jakichś półkuzynów: jedna brygada, jedna rodzina, grupa z tej samej wioski. Ucichli dopiero o świcie, przed Kysakiem, odcięło ich od systemu zasilania i momentalnie pozamierali na siedzeniach w swoich przedziałach, w wykręconych pozach barokowych męczenników i z rozdziawionymi ustami. Lali więcej nie widziałem – albo wyskoczyła na którejś stacji, albo przeszła do innego wagonu. Albo się po prostu przywidziała – im i mnie.

Tak więc wszystkiego tego nigdy ojcu nie opowiadałem. Nie opowiedziałem też o budynku stacji w Kysaku i jak tam było zimno w środku października, o siódmej rano, w oczekiwaniu na następny vlak – do Preszowa. Za to opowiedziałem mu o Preszowie – o tym, jak źle jest wędrować samemu, kiedy zmuszony jesteś na długo się zatrzymywać w nieciekawych dla ciebie miejscach, to znaczy naprawdę mogę, oczywiście, zgodzić się tylko z tym, że to nadzwyczaj przyjemne miasto, właśnie tak – „przyjemne", jak przyjemny miejscami bywa Franek, to znaczy nic nadzwyczajnego, ale miasto „niezwykle przyjemne", tak – zgadzam się, jeśli chodzi o Preszów, ale w nim przyszło mi zrobić mnóstwo okrążeń wokół dworca autobusowego i to była niemal rozpacz. Po pierwsze, musiałem chodzić, żeby nie zasnąć po dwóch pociągowych nocach i praskim dniu. Po drugie, musiałem chodzić, by w ten sposób pogonić czas. Robiłem więc kółka. Do autobusu do Użhorodu pozostawało ponad pięć godzin. Pani z informacji powiedziała, że lepiej jechać do Michaloviec, a stamtąd do Użhorodu są autobusy „każdyj czas". Do autobusu do Michaloviec zostawały dwie i pół godziny. Wybrałem Michalovce.

*

I tego nie pożałuję nigdy w życiu. To znaczy chciałem powiedzieć, że tego nigdy w życiu nie zapomnę, dlatego nigdy w życiu tego nie pożałuję. Wyobraź sobie dworzec autobusowy – koszmarny kocioł, dolinę płaczu i zgrzytania zębów, przepełnioną wszelkim gastarbeiterskim ludem, wszyscy z niezliczonymi torbami, mężczyźni i kobiety z niewątpliwie zakarpackimi stacjami docelowymi, obywatele kraju Ukraina, sto razy oszukani i okradzeni, ale tego, okazuje się, wciąż nie dość. Nadal można było ich oszukiwać i okradać, po wszystkich na świecie panach pracodawcach, reketierach i policjantach istnieli jeszcze miejscowi „gangsta" – kilkudziesięciu cygańskich chłopaków w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, którzy pojawiali się to tu, to tam, urządzali całkiem nieźle zorganizowany kipisz, potrącali, grozili, odwracali uwagę, sięgali do kieszeni, pruli nożami torby i ubrania, odciągali na bok, by się z nimi rozprawić, samotne gapy, chociaż tak naprawdę gap jako takich już nie było – wszystkie gapy sto razy oszukane i okradzione, już sto razy nauczyły się, jak nie być gapami – a jednak. W wewnętrznej kieszeni mojej czarnej dżinsowej kurtki wciąż jeszcze spoczywało skąpe rycerskie honorarium, za które miałem zamiar utrzymywać nas wszystkich przez następne kilka miesięcy. Byłem cudownym celem ataku, po prostu idealnym: jechałem sam, nie mogłem liczyć na niczyją pomoc, nawet noża przy sobie nie miałem, za to miałem dojczmarki, moja kurtka była rozpięta, kieszeń na wysokości wyciągniętej dłoni – pozostawało wyciągnąć rękę i brać. Oczywiście, mógłbym przynajmniej zapiąć się na wszystkie guziki – z jakiejś chociaż minimalnej zapobiegliwości, ale tym z pewnością właśnie przyciągnąłbym ich uwagę. Dlatego tak stałem, blefując – nie odwracając oczu, kiedy spotykaliśmy się spojrzeniami i jednocześnie nie świdrując żadnego z nich wzrokiem, żeby nie prowokować. Ale każda minuta tego oczekiwania stała się dla mnie już nie minutą – to było sześćdziesiąt sekund, potwornie długich sekund, przy czym aż sześćdziesiąt, wyobrażasz sobie? Do autobusu do

Użhorodu pozostawało półtorej godziny. I przez cały ten czas nikt się do mnie nie zbliżył. Czyli egzamin niewzruszoności zdałem. Być może zbudowałem wokół siebie przezroczystą ścianę nie do przebicia. Być może po prostu zebrałem siły i stałem się na półtorej godziny niewidzialny. Możliwe i to, że po prostu nie brali mnie pod uwagę, jako miejscowego, takiego sobie słowackiego kolesia, wędrownego nauczyciela muzyki i wierszowania, przejezdnego pisarczyka, słowackiego, a nie „ruskiego". A ich ofiarami stawali się wyłącznie „ruscy". Słowaków ci kolesie przeważnie nie ruszali – nie tyle z poczucia patriotyzmu, ile ze względu na policję.

Chcę powiedzieć, że w tych czasach na wszystkich dworcach i stacjach Środkowo-Wschodniej Europy miejscowa policja miała układ z bandziorami w sprawie naszych gastarbeiterów i „mrówek". Można było z nimi robić, cokolwiek się chciało, niewskazane było tylko zabijanie, bo od tego było za dużo smrodu. Policja wymagała jednego – żeby przypadkowymi ofiarami nie stawali się jej podopieczni rodacy. Dlatego rosyjscy reketierzy na dworcu autobusowym Warszawa Zachodnia byli tak ostrożni, jeśli chodzi o Polaków. W połowie lat dziewięćdziesiątych kilka razy miałem okazję przekonać się o tym, że obronić udaje się tylko w jeden sposób – nie zważać na próby skłonienia cię, byś rozgadał się po rosyjsku, podejmowane przez podesłanych przez nich ludzi. Pamiętam, jak z Indrykiem dobre dwie godziny włóczyliśmy się po tym warszawskim dworcu autobusowym, rozmawiając ze sobą wyłącznie po polsku. Ktoś za nami łaził, ktoś nas podsłuchiwał. Podchodziliśmy do kiosku z gazetami – i już ktoś stał za naszymi plecami. Do automatu telefonicznego – znów ten ktoś. Siadaliśmy na ławce w poczekalni – i obok pojawiał się jeszcze ktoś, ale znów jasne kto. Mieli dość rozgałęzioną strukturę ze zorganizowanym podziałem ról i obowiązków. Nazywali się „atriadom Sierogo", chodzili zawsze z klamkami, mieli na koncie kilka trupów, które od czasu do czasu na leżąco wynurzały się w przejściu podziemnym

z dworca autobusowego na kolejowy. Zanim odebrali pieniądze kolejnej ofierze, wyjaśniali, że ich zadaniem jest ochrona „grażdan esengie" przed polskimi kieszonkowcami i za to od „grażdan", którymi się opiekują, należy im się dwadzieścia procent. Ogólnie rzecz biorąc, była to geopolityka: Rosjanie, którzy grabią Ukraińców, broniąc ich przed Polakami. Więc tego ranka trafiliśmy z Indrykiem pod ich opiekę. Była późna jesień, szósta rano, ciemno i zimno za oknami, a my ledwie co wysiedliśmy z autobusu z Kałusza i – wyobrażasz sobie? – dwie godziny ględziliśmy o zasadniczych różnicach między erotyką i pornografią wyłącznie po polsku. Nasze warszawskie rejsy z Indrykiem to szczególna historia. W autobusie niepostrzeżenie wypijaliśmy minimum półtorej butelki na dwóch. Na tym świecie jest całkiem niewielu ludzi, z którymi tak dobrze by mi się ględziło po pijaku o wielce istotnych sprawach – na przykład o granicach Pisma Świętego, tych, gdzie przestaje ono być pismem *świętym* i przemienia się w message pop kultury. Tak naprawdę wypijaliśmy w tych autobusach aż tyle wódki również po to, żeby nabrać pewności w spotkaniu z rosyjskimi reketierami. Nasza polska wymowa trochę na tym cierpiała, niezupełnie dobrze wychodziły nam dyftongi, za to wyraźnie przybywało emocjonalności i stawaliśmy się bardziej przekonujący, poza tym do tego stopnia wyraźnie intonowaliśmy, pomagając sobie gestami, że reketierzy wreszcie się odczepiali. Zaczynali wierzyć, że jesteśmy Polakami. Zresztą my sami też zaczynaliśmy w to wierzyć.

* * *

No dobrze – wracamy do jesieni dziewięćdziesiątego piątego. Wciąż jeszcze stoję na dworcu autobusowym w Michalovcach i wokół mnie, ale zawsze obok, paraduje cygańska brygada. I trwa to bezgraniczną wieczność, aż pojawi się nasz użhorodzki autobus. Do tego staje się oczywiste, że jest nas – tych, którzy pragną nim pojechać – ze trzy razy

więcej, niż zdoła pomieścić. A może po prostu cały problem tkwi w nadmiarze bagażu – jego niezliczonych tonach. Co oni wozili w tych czasach, pojęcia nie mam. Jedzenie? Kryształy? Szwajcarskie zegarki? Sztuczne diamenty? Autobusowy szturm trwa z pół godziny, mnie w mojej kuloodpornej kapsule o dziwo udaje się przecisnąć. Przy czym Cyganie nie przestają żartować – obstępują autobus i napierając na niego rękami i ramionami, z radosnym rechotem bujają nim to w jedną stronę, to w drugą. Nie mogę nie wspomnieć: kiedy w siedemdziesiątym siódmym moskiewski Spartak wyleciał do niższej ligi, przyjechali do Franka i grali ligowy mecz z naszym Uraganem. Po jego zakończeniu nasi kibice urządzili ich autobusowi mniej więcej to samo. Pamiętam nieco spłoszoną facjatę Jewgienija Lowczewa w oknie. Był w tym czasie weteranem drużyny, kluczowym graczem reprezentacji, mistrzem sportu klasy międzynarodowej. Ale wtedy wyraźnie się obsrał, niczym zasmarkany nowicjusz. Chociaż nie o tym mówiłem. Nasz szofer musiał nieznośnie długo trąbić i ze wszystkich sił truć tych pojebów spalinami, aż wreszcie ruszyliśmy przy akompaniamencie ich zwycięskiego buczenia.

Do Użhorodu dowlekliśmy się razem z ciemnością. To znaczy nie – tak naprawdę pełzliśmy jej na spotkanie, czekała na nas w Użhorodzie, na placu przed dworcem. Nasz autobus znów na wstępie trafił w samo centrum wydarzeń – tym razem opadli go jacyś użhorodzcy krętacze, zrobili potworny ścisk przy bagażnikach i cwanie w ciągu paru sekund powyciągali z kieszeni i ukrytych skrytek jeszcze kilka portfeli. W odpowiedzi rozległy się ze wszystkich stron przekleństwa i płacze kobiet. To trochę niedobre uczucie: całkowita ciemność, ludzka masa, przekleństwa i płacze kobiet, pełen rozkład gnilny, jeśli mam być szczery. Przedarłem się przez ich krętacki, bezczelny żywy mur z nazbyt spóźnioną myślą, że wystarczy, by ktoś tylko wyciągnął grabę i wziął. Ale i w tym wypadku wszystko uszło mi na sucho, usłyszałem za plecami

udawanie obrażone, na podwyższonym rejestrze „Mużczina, nie tołkajsja" i nie oglądając się, wyrwałem do przodu w kierunku błędnych świateł stacji kolejowej.

Teraz trochę o świetle. Przez wszystkie te lata, praktycznie do końca dziewięćdziesiątych, w naszych miastach miały miejsce jesienno-zimowe wyłączenia prądu, o czym już wiesz z listów Karla-Josepha Zumbrunnena. Wyjaśniano to tym, że niby w ten sposób można zaoszczędzić mnóstwo energii. We Franku robiono to pięć razy na tydzień, ale każdego dnia w innej części miasta, u nas na Objezdnej we wtorki. Można było się przyzwyczaić i – spójrzmy prawdzie w oczy – niektórzy z nas nawet polubili te wieczory z przesiadywaniem w kuchni – ze świeczkami, błękitnymi gazowymi odblaskami i zimą za oknem. Uznaliśmy nawet, że najlepiej właśnie w takie wieczory skrzyknąć kumpli i urządzać posiadówki – świeczki, lampy gazowe i niebieskie języki płomieni kuchenki tworzyły atmosferę, wódka – nastrój. Należało przeczekać i wytrzymać, na tym polegała szczególna jazda mieszkańców oblężonej przez siły zła fortecy.

Jednak nigdy, ani razu nie słyszałem o wyłączeniach prądu na dworcu. Każda oszczędność energii miała swoje granice i tereny, których nie obejmowała: dworce, szpitale, więzienia. Co stało się tego wieczora w Użhorodzie – nie wiem. Być może to, co w języku technicznym określa się słowem „awaria", jakieś „uszkodzenie linii", coś w tym rodzaju. Możliwe, że to coś innego – mój osobisty film drogi, znowuż ze mną w roli głównej, musiał trwać. W każdym razie, użhorodzki dworzec kolejowy całkowicie pochłonęła ciemność i tylko w okienkach kas migotały wspomniane świeczki. Było diabelnie surrealistycznie i trochę gotycko. W poczekalniach i korytarzach, jak w królestwie cieni, błąkały się przejezdne dusze. Ale w większości podróżni pozasypiali na ławkach, gdzie od czasu do czasu ktoś krzyczał – przez sen? „W związku z zaistniałą sytuacją" kupienie biletu do Lwowa

okazało się niemożliwe. Do Lwowa czemuś nie, a do Stryja – tak. Zgodziłem się na Stryj. Babka w kasie dosłownie „wypisała" go wielkimi krzywymi literami i z jakiegoś powodu nagle się rozzłościwszy, zamknęła okienko, gwałtownie zasłaniając je firankami.

W ten sposób trzecia noc tej podróży dzieli się na dwie niemal równe części. Pierwsza z nich mija w plackarcie – tam rzeczywiście udało mi się je zobaczyć... karaluchy – w wagonie pociągu Użhorod–Charków. Leżę na bocznej kuszetce i z przymusu słucham wzdychań jakiejś niewidocznej żienszczziny do poziomu życia w Czechach: „Nu szto wam skazat', oni poczti kak w Giermanii żiwut'" – no, co tu gadać, całkiem jak w Niemczech żyją. Poznajesz – tak, to Lili i Marlena w jednej osobie. Zasypiam z myślą, że jak porównuje, to znaczy, wszystko widziała i wszystko wie, i wszędzie bywała, i wszystkiego zaznała: i Czechy, i Giermania, żona oficera, majorowa, emerytura w wieku czterdziestu dwóch lat, dodatek za wszystkie niebezpieczne misje, wczesne klimakterium, dziesiątki książeczek oszczędnościowych, które straciły jakąkolwiek wartość, komu to przeszkadzało, wsio razwalili, sojuz nieruszimyj – no i tak dalej, zasypiam, zapadając się w kombinację wszystkich tych ruin minionego świata, na których i tak nic powstać nie może, oprócz tych samych ruin. Zasypiam po uszy nimi zasypany, ciężko mi się pod nimi oddycha, ale już nie mogę nie zasnąć – to jednak trzecia pociągowa noc, nie budźcie mnie do Stryja.

Druga połowa zaczyna się od tego, że mnie budzą i wytaczam się na bezludny peron stacji Stryj. Jest jakaś piąta rano – czas, kiedy wszystkich na świecie zmaga śmiertelny czapajewski sen. Ja do nich należę, jestem taki jak oni, jak wszyscy na świecie – i tak nie mogę się obudzić, jednak nawet przez sen łapię jedyną możliwą furę i umawiam się ze śpiącym kierowcą, żeby skoczył ze mną do Dołyny za dziesięć dojczmarek. W Dołynie mam szansę złapać za ogon

„czerwoną rutę" do Franka. „Czerwona ruta" – to spalinowy podmiejski z tych, o których wspominałem jako o najpowolniejszym z cudów kolejowego geniuszu. Więc pędzimy ze Stryja do Dołyny, wciąż się nie budząc. Śpimy jeden obok drugiego – kierowca za kierownicą, a ja obok, w fotelu pilota. Ale kierowca zna drogę nawet z zamkniętymi oczami. Ma tylko trzy kwadranse na to, żeby „czerwona ruta" nie uciekła mi sprzed nosa. Praktycznie lecimy i ja jestem jednym z pilotów. Śpię, patrzę – dookoła nas lasy, lasy i góry, Gorgany, góry i lasy, właśnie ten krajobraz musiał kiedyś zrodzić człowieka europejskiego, ale gdzie on teraz jest, ten człowiek, diabli wiedzą?

Wyobraź sobie, zdążyliśmy. Wybiegłem na peron w Dołynie w tej samej chwili, kiedy zza budynku stacji uderzyło pierwszymi promieniami słońce i – w pełnej z nim synchronizacji – zza zakrętu torów kolejowych wytoczyła się, niczym czerwona dupa, „czerwona ruta". I to była radość. Mało takich radości trafiało mi się w życiu, takich jak ta. Kiedy padłem na drewniane zapaskudzone siedzenie wewnątrz jej czerwonego wagonu, należałem do najszczęśliwszych sukinsynów tego świata. I te dwie godziny do Franka, cały ten czas, kiedy tłukliśmy się przez nasze żółto-czerwone, jesienne, czarne banderowskie lasy, nie przestawałem być szczęśliwy.

* * *

Powiedziałem to dlatego, że moje powroty są dla mnie tak samo ważne jak moje wyjazdy.

Dlaczego do dziś pamiętam to z tyloma szczegółami? Dlatego że przy pierwszej okazji miałem opowiedzieć o tym ojcu. Czyli niezwłocznie porządkowałem to wszystko w głowie, ustawiałem na miejscach, splatałem nitkami i obwiązywałem czerwoną wstążką. To jak ze snami – trzeba je

zapamiętywać od razu, w chwili przebudzenia. Później nic dobrego z tego nie wyjdzie i trzeba będzie zmyślać, a to nieuczciwe. Więc miałem opowiedzieć o tym ojcu, i to przy pierwszej okazji, ale pierwszej okazji nigdy nie było. A druga i trzecia już mnie nie interesowały.

Najgorszy z moich powrotów zdarzył się w Wielkim Tygodniu dziewięćdziesiątego siódmego roku. W poniedziałek poniosło mnie do Winnicy, znalazłem się tam we wtorek, siedzieliśmy do późna w pracowni Rybaczuka. Diabli wiedzą dlaczego, wieczorem dużo rozmawialiśmy o starzeniu się i śmierci, nadzwyczaj rzadko nam to się zdarza przy wódce, nie, wódka to w ogóle napój filozoficzny, to znaczy przy niej gadamy o tym też, ale bardzo rzadko zdarza się tak, że tylko o tym mówimy: starzenie, śmierć, samobójstwo Majakowskiego, kompleks trzydziestosiedmioletnich. Potem spałem w tej pracowni, a rano przyszedł do mnie ze „złą nowiną" Wiktor. Pognaliśmy na dworzec, ale autobus do Frankowska już odjechał, innego nie było, następny miał być jutro, równo za dobę. Taksówkarz podjął się dogonić ten, jedyny możliwy, zgodziłem się – żeby nie stać w miejscu i nie wariować przez samo to tępe stanie. Autobus dogoniliśmy w Litynie, tam ma pierwszy przystanek i zdążyłem wskoczyć ze słowami „Do Franka proszę". Potem były te długaśne godziny w autobusie, częste przystanki na całej Wyżynie Podolskiej, wysiadanie i wsiadanie różnych wiejskich babek w gumiakach i brezentowych płaszczach, brudne pola, wzgórza, pasma lepkiego śniegu na czarnej ziemi i zimne zacieki na szybach, temperatura za oknem plus pięć – nie więcej, chociaż w tym czasie (koniec kwietnia, do majowych świąt było już niedaleko, do Wielkanocy jeszcze bliżej) powinno być trzy razy cieplej, jeśli nie cztery. Tak w każdym razie o tym mówili pasażerowie tego autobusu. A ja nijak nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że mój ojciec od wczoraj *umiera na oiomie.*

*

Tego roku w środę była jeszcze zimnica z deszczem i śniegiem, a w piątek już upał, ponad dwadzieścia. Ale w piątek ojciec już nie żył. W poniedziałek kąpaliśmy go z mamą w wannie, dla mnie to było po raz pierwszy w życiu, dla niej, jak sądzę, też. W styczniu poślizgnął się, upadł i poważnie się potłukł, po czym nie mógł chodzić. Przeleżał trzy miesiące i miał wszystkiego dosyć. W poniedziałek dwudziestego pierwszego kwietnia zaprowadziliśmy go do wanny i wykąpaliśmy w letniej wodzie, właśnie tak – w letniej, nie w ciepłej. W wannie zrobiło mu się lepiej i zdołał nawet pożartować: „Życie ludzkie – jak kawałek mydła, co dzień się zmywa". Podchwyciłem temat: „Życie ludzkie – jak paczka papierosów, codziennie się wypala". Spodobało mu się i rozwinął dalej: „Życie ludzkie – jak worek z gównem, każdego dnia się wykrusza". Mama zażądała, by nie plótł głupstw. Pozostały nam potajemne mrugnięcia okiem. Życie ludzkie – jak krem do golenia, ile tam w tej tubce. Życie ludzkie – jak szorstka myjka, choćby nie wiem ile trzeć, wciąż mało. Życie ludzkie – to kąpiel rozkoszy, choćbyś nie wiem jak śpiewał, pora do domu. Potem odprowadziliśmy go do pokoju i położyliśmy do świeżej pościeli. Wyraźnie się rozweselił i kolejny raz spróbował: „Jeszcze trochę – i poniesiecie mnie na rękach". Mniej więcej tak się wyraził. Siedziałem obok i odpowiadałem na jego pytania o prezentację w Kijowie, gdzie wydali mi dwie powieści w jednej książce. Jeszcze tego wieczora miałem jechać do Winnicy. Zdaje się, że tak się właśnie rozstaliśmy jako wielcy przyjaciele.

Następny raz zobaczyłem go równo tydzień później, w poniedziałek dwudziestego ósmego. Ale to już było „przewiezienie ciała" – z kostnicy do domu. Leżał w garniturze i pod krawatem. Charakteryzatorzy z kostnicy całkiem przyzwoicie wykonali swoją robotę: twarz nie odstraszała, przeciwnie – uderzała czystością i spokojem, kolor skóry sam by nazwał całkiem zdrowym.

*

Jeszcze nikogo w tym życiu nie traciłem tak jak jego. Myślę, że traciłem bardzo wielką część siebie.

Jak go widzę? Dla mnie to co najmniej kilka dosyć różnych postaci.

Kiedy byłem dzieckiem, czasami przynosił całe wybuchy ekstremy. Jego skłonność do gatunku przygodowego nigdy nie zasypiała na długo i szczególnie głośno budziła się, gdy się napił. Ze swoich kilkudniowych leśnych wypadów często wracał niekiepsko urżnięty i zanim poszedł spać, urządzał ponure spektakle na temat „dzisiaj w lesie zabiłem człowieka". Przeważnie to byli kłusownicy, te jego ofiary. Niektórych zabijał strzałem ze strzelby, innych zakłuwał nożem. Jednego z nich tak długo ścigał konno – jego ulubiona kobyła nazywała się Noczka – że ten wreszcie padł na przybrzeżne kamienie i skonał na zawał serca. Wszystko to było absolutnym kłamstwem, całkowitym zmyśleniem, ale w ciągu pierwszych lat ich życia małżeńskiego mama za każdym razem brała to na wiarę i słuchając jego nieszczególnie dobrze wyartykułowanej nocnej historii o kolejnym podziurawionym z karabinu kłusowniku, uderzała w płacz. Siedemnastoletnie dziewczę, nie taki kit jej można było wcisnąć. *Uspokajał* ją słowami o tym, że jutro przyjdą i najprawdopodobniej go aresztują. Mama płakała jeszcze głośniej, on tragicznie wychodził na werandę zapalić i tam zasypiał w stareńkim wiklinowym fotelu. Na mnie podobne rzeczy działały równie źle – ale tylko do pewnego wieku. Kiedy miałem jakieś osiem, dziewięć lat, przestałem dopatrywać się w tych opowieściach czegokolwiek więcej, niż fantazji wypuszczonych na wolność przez alkohol. Ja sam też taki byłem – i to nawet bez alkoholu. To znaczy, były dla mnie zrozumiałe te wszystkie „straszne historie". Ale nigdy nie zapomnę, jak całego sparaliżował mnie lęk, kiedy pewnej nocy przynieśli go do domu jacyś ludzie i jak stał, w mundurze, położyli na łóżku. Potem zdjęliśmy mu buty i cichutko poszliśmy spać.

Ale kiedy tylko zgasiliśmy światło, przemówił – i to całkiem przytomnym głosem. Powiedział: „Jutro w tym domu padną trzy strzały". I po krótkiej pauzie dodał: „Nie, cztery". Czwarty, należy rozumieć, przeznaczał dla siebie.

Bezwarunkowo, po pijaku zawsze szukał przygód. Nasze powroty do domu z różnych gościn, przeważnie z Matejki, od rodziców mamy, nierzadko zmieniały się w totalne zmagania z nim i powstrzymywanie go. Trzeba go było trzymać za ręce – w każdym przechodniu widział złoczyńcę albo chama i od razu rwał się, by dać mu nauczkę. Twierdził, że kiedy uczył się w technikum, uprawiał boks i zawsze zwyciężał na ringu. Nie sądzę, by to była prawda. To znaczy, prawdą było to, że trenował boks – swoją leworęczną prawostronną gardę demonstrował nienagannie. Najbardziej prowokowały go grupy młodych i głośnych ludzi, już z dala od nich łapaliśmy go pod łokcie i z całych sił ciągnęliśmy na drugą stronę ulicy. Babcia z jakiegoś powodu była wielce sceptycznie nastawiona do jego pogróżek, uważając, że on tylko się przed nami „popisuje". Swoją macierzyńską powinność – ochrony moralnego oblicza syna – spełniała całkiem sprawnie. Dlatego mówiła, że jakby szedł sam, to nic podobnego by się nie działo. To że nie miała racji, stawało się oczywiste minimum kilka razy, kiedy wracał do domu z podbitym okiem, rozkwaszonym nosem albo rozciętym łukiem brwiowym. Mama za takie skrajności mocno się obrażała i na długo przestawała z nim rozmawiać. Czasami oświadczała, że składa o rozwód. Funkcje miłosierdzia tak czy inaczej spoczywały na babci – to ona ratowała jego twarz ciepłą wodą, okładami i leczniczymi maściami.

Lubił broń i całkiem nieźle strzelał – zanim zaczęły mu się trząść ręce. Ale w tych czasach już nikt nie dałby mu żadnej broni. À propos, opowiadałem już o tym, jak strzelaliśmy z jego pistoletu do orzecha? To było jesienią sześćdziesiątego ósmego, kiedy wzięli go do wojska z powodu „wydarzeń

czechosłowackich". Na odgłos wystrzałów przyleciała milicja – najprawdopodobniej dworcowa, z jakiegoś powodu nazywali ją liniową, niczym jakiś kozacki pododdział. Ojciec odmawiał oddania im broni i na wszystkie ich żądania odpowiadał: „Ja sam jestem milicjantem, milicjantem lasu". Wtedy oni zaczęli wzywać żandarmerię wojskową, ale tam dyżurował właśnie przyjaciel ojca z tego samego pułku. Wszystko zakończyło się zawieszeniem broni i wstrzymaniem ognia.

Więc widzę go przede wszystkim takiego. Późne lata sześćdziesiąte, początek siedemdziesiątych.

Ale czas czynił go innym.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych mocno odpuścił i zmienił się – nie bez pomocy tego dobrowolnie przymusowego leczenia w psychiatryku. Ta rzecz mocno go przyhamowała – to właśnie z nim zrobiła.

W osiemdziesiątych zmienił się w rzetelnego pracownika ciepłowni: noc w pracy – dwa dni w domu – dzień w pracy – noc w domu – jakoś tak. Pasjanse, krzyżówki i telewizyjna wieczorna bajka. Wieczorna paćka. Do tego czasami pozwalał sobie trochę zaszaleć, ale już całkiem inaczej, bez przegięć: ciche rozpijanie wina w samotności. Co prawda, jeśli byłem w domu, wołał mnie do towarzystwa. W latach osiemdziesiątych panowała między nami równowaga, obydwaj w równej mierze byliśmy dla siebie opowiadaczami i słuchaczami. Nie wątpię, że odbijał sobie na Sofii i Tarasie – to oni do czasu, do pewnego momentu odziedziczyli prawo do wysłuchiwania krwawych fabuł z postrzelonymi kłusownikami, którzy z wyprutymi flakami mogli wlec się dziesiątki kilometrów przez zimowy las, pozostawiając na śniegu drogowskazy czerwonych pasm.

*

W dziewięćdziesiątych został emerytem. Pewnego razu z Krakowa przyjechał stryj Roman, był piętnaście lat starszy od ojca, ale w dziewięćdziesiątych wyglądali na rówieśników i strasznie lubili razem chodzić do centrum miasta – pytlować z innymi emerytami o polityce. Wydawało im się, że tylko oni mogą uratować Ukrainę. Zresztą, właśnie tak było. Stryj Roman miał całkiem pobłażliwe i ogólnie rzecz biorąc pozytywne wrażenia spowodowane tym, co się u nas wtedy działo, ojciec natomiast – wielce krytyczne. Przede wszystkim nie podobał mu się żaden z prezydentów, ani pierwszy, ani drugi. Stryj przekonywał go, że na wszystko przyjdzie właściwa pora, cudowne jest już to, że w ogóle mamy prezydenta, jakiegokolwiek. Ale ojciec obstawał przy tym, że władzę powinni przejąć nacjonaliści. Groził, że zapisze się do OUN, chociaż jednocześnie przyznawał, że w tym celu musiałby być jakieś dwadzieścia lat młodszy. Kiedyś obaj przyszli odwiedzić nas na Objezdnej – w jednakowych płaszczach i kapeluszach, dwaj detektywi z powojennego wschodnioeuropejskiego serialu. Stryj przeżył ojca, ale tylko o pół roku. Gdzieś *tam* niebawem znowu się spotkali – bokser i tenisista, żartownisie-dowcipnisie, pierwsza rakieta i złota rękawica.

W chwili kiedy mój ojciec fatalnie dla siebie poślizgnął się i upadł nieopodal frankowskiego bazaru, nie było mnie z nim. Przyszedłem do nich dopiero wieczorem – zobaczyć, co się stało. Ale i tak widzę ten upadek, tę rozmazaną po śniegu krew. Ojciec mógł mieć jakieś początki hemofilii: o ile pamiętam, jego krew krzepła okropnie wolno, trzeba było nad tym starannie popracować. Mnie krzepnie momentalnie, jesteśmy z ojcem różnej krwi, jakkolwiek by to było dziwne. I tak – widzę ten upadek, wykrzywioną w bólu twarz ojca, jego zakrwawiony nos. Z bólu nie może się podnieść i tak siedzi, kurcząc się na śniegu. Dookoła kręci się para młodych ludzi, on i ona, przekupnie z bazarowego namiotu, obok którego to wszystko się stało. Ktoś mówi, że niby już wezwali

karetkę, grupa gapiów powoli się rozprasza. Dziewczyna wyciera krew z twarzy mojego ojca, ale nijak nie może jej zatamować, chusteczki jedna po drugiej nasiąkają czerwienią, rzuca je na ten brudny śnieg i biegnie do namiotu po nową paczkę. Bardzo się stara, bardzo chce pomóc „starszemu panu". W którymś momencie on dotyka wargami jej wąskiej zwinnej dłoni i mówi: „Dawno mnie już takie rączki nie głaskały". Dziewczyna się śmieje.

Niebawem opowiadam tę historię kumplom, siedzimy w nocnej kawiarni „Blues", jutro mam wyruszać do Wiednia, jadę z ważną misją, ojciec prosił, żebym przejechał się na Riesenradzie, specjalnie dla niego, powtarzam jego frazę: „Dawno mnie już takie rączki nie głaskały", Jarosław García nalewa jeszcze po jednym i mówi: „Twój tata jest taki sam jak ja", a potem dodaje: „Uważaj, możesz go już nie zastać". Chce mi się powiedzieć: „Co ty gadasz, kurwa, na stłuczony tyłek się nie umiera", ale milczę, bo jestem przesądny. Niebawem okazuje się, że Jarosław García w tej chwili myli się tylko o kilka tygodni. Dlaczego tak mu się powiedziało? Dziwne. Tak jak dziwne jest i to, że połowa moich kumpli, obecnych teraz w kawiarni „Blues", będzie nieść ciało ojca na pogrzebie. Bywają takie chwile. Jak to nazwać – wtargnięciem sensu? Powrotem z przyszłości?

Mimo to Jarosław García jednak się pomylił: zdążyłem do Wiednia i z powrotem – to trwało tylko jakiś miesiąc, do tego jeszcze najkrótszy w roku. Dlatego mogłem opowiedzieć ojcu o Wiedniu. Nie doszedłem w nim jednak do diabelskiego młyna, szczerze mówiąc, nawet nie wybierałem się w jego stronę, co za fantazje! Chociaż dla ojca to był jedyny powiązany z Wiedniem obiekt, jedyny związek z samym sobą w Wiedniu – nie Stephansdom, nie Cafe Central, nie Hofburg, nie Schönbrunn, nie opera, nie jakakolwiek inna ogólnoturystyczna powinność, a właśnie on, diabelski młyn w Praterze, no i jeszcze, jeden czy dwa schrony przeciwlotnicze,

ale zupełnie niezidentyfikowane. Zresztą on nie był turystą, chyba że z przypadku, ale przede wszystkim był uciekinierem. Uciekinierzy mają inną topografię – zaplecza dworców, zastawione barakami pustkowia, poczekalnie w komendanturach, bramy piekła.

Dlatego starałem się opowiadać tak, by niczego nie żałował. Mówiłem: „Ha, Wiedeń – to tylko dźwięk, do tego nie całkiem przyzwoity, powierzchnia – do tego jeszcze nieźle wytarta, bo naprawdę to taka nieprzebita małomiasteczkowość, że aż chce się wyć. Ich świadomość pojebana tysiącem wzajemnie sprzecznych kompleksów, dlatego oni do dziś nie wiedzą, kim są: Austriakami czy nazistami. Jakby naprawdę to nie było jedno i to samo – w każdym razie w jakichś osiemdziesięciu procentach. Głośno żądają, żeby tak jak oni wyznawać Mozarta i Rilkego, i równie głośno odżegnują się od Habsburgów i Hitlera. Chociaż, nawiasem mówiąc, ich kombatanci wcale się nie wstydzą wychodzić do ludzi z hitlerowskimi odznaczeniami. Nigdzie nie spotkałem tyle fałszu, nawet we Lwowie. A to ich skąpstwo, tak fenomenalnie wcielone w niczym, oprócz snobizmu, nieusprawiedliwionej drożyźnie! Ta skłonność do rozdrabniania życia na malutkie, wielkości filiżanki do kawy, łyczki! To udawane delektowanie się ciasteczkami! Ten obyczaj podawania wina w achtelach! Wyobrażasz sobie – jedna ósma wina? Nigdy nie mają niczego dostatecznie dużo – ani wina w kieliszkach, ani ciepła w mieszkaniach. Ani w ogóle ciepła – ciepła jako takiego. Jaka tam nieznośna lekkość – nieznośna depresja! I to w najlepszym razie, bo przeważnie zwykła nuda. Wyobrażasz sobie wszystkie te fraki, te walce, odkryte ramiona, wachlarze, modry Dunaj i serce wielkiej utopii, a naprawdę...". Tutaj się zatrzymałem, żeby znaleźć wyjątkowo niszczycielski obraz i wbić ostatni gwóźdź. Ojciec wykorzystał okazję i wstawił: „A naprawdę – wszystko to gówno warte". I dodał: „Jak powiedziałby pan Palivec". To było nasze hasło – zgadnij skąd.

* * *

Chociaż jeśli mam być szczery, to w Wiedniu nie było mi aż tak źle. Mieszkałem w dziesiątej dzielnicy wśród imigrantów z Bałkanów i Turcji, więc nawet nie wyobrażałem sobie, jak w rzeczywistości wygląda prawdziwa wiedeńska depresja. Nie chodziłem na bale w operze i nie jeździłem fiakrem, przemieszczałem się głównie piechotą – z dziesiątej dzielnicy do osiemnastej, a stamtąd do pierwszej. Jeśli chodzi o diabelski młyn, to skłamałem ojcu, że spełniłem jego wolę, niby że się przejechałem, niby że wybrałem pewną niedzielę i udałem się do Prateru, kupiłem sobie bilet za całe osiemdziesiąt szylingów. Cenę wziąłem nie z sufitu, ale z polskiego przewodnika Pascala. Zalewałem, że to było jedyne wartościowe zdarzenie, mówiąc, że tylko z tego powodu nie starłbym Wiednia z powierzchni ziemi, niech sobie wegetuje.

Ta podróż do Wiednia była ostatnią „za jego życia", to znaczy ostatnią, o której mogłem mu opowiedzieć. O wszystkich dalszych chętnie bym opowiedział, ale już nie miałem komu.

* * *

Powiedzmy, na pewno opowiedziałbym mu o meczu piłki nożnej w Mukkuli. To w Finlandii. Byliśmy drużyną reszty świata i graliśmy przeciwko Finom. Naprawdę, tak oni, jak i my uważaliśmy się za pisarzy i na tym polegał cały dowcip. I jeszcze na tym, że to wszystko działo się białą nocą, a boisko, bramki, piłka i komentator były prawdziwe. Z zachwytem kopaliśmy naszych przeciwników po nogach, oni odpowiadali nam tym samym, zresztą to my odpowiadaliśmy, bo zaczęli Finowie – w większości młodsi, głupsi i bardziej zacięci. Ostateczny wynik 5:5 nie odpowiadał naszej znacznej taktycznej przewadze. W składzie Finów grały dwie dziewczyny – właśnie one strzeliły nam większość goli. Pięć minut przed końcem przegrywaliśmy dwiema bramkami, ale Irlandczycy

uratowali sytuację dwoma strzałami głową – w osiemdziesiątej siódmej i osiemdziesiątej dziewiątej minucie. Potem zmywaliśmy krew, pot i smarki w saunie, tłoczyliśmy się w łaźni parowej, wybiegaliśmy z niej i rozpaczliwie wskakiwaliśmy do lodowato zimnego jeziora. Przypominaliśmy kawalerię, nasze fińskie przyjaciółki podniecone parskały na brzegu niczym kobyły. Ranek zastał nas wśród sosen, byliśmy potwornie pijani i półprzytomni z powodu komarów.

Mógłbym też opowiedzieć mu o Sztokholmie. Nie tyle o mieście jako takim i nawet nie o zakochanej parze hotelowych złodziei, i nie tyle o płatnych kanałach porno i kupie zużytych strzykawek w ich pokoju, ile o szefie policji, który mnie po tym wszystkim przesłuchiwał. Miał zupełnie nie policyjny, ale raczej medyczny wygląd – z tak udawaną uwagą u nas umieją słuchać tylko psychiatrzy. Na koniec, co prawda, sam się trochę rozgadał, zapewniając mnie o tym, że Szwecja tak mocno się zmieniła przez „imigrantów z biednych krajów świata". Wydawało mi się to tłumaczeniem. Ale moi złodzieje żadnymi imigrantami nie byli – i wyszło to na jaw kilka dni później.

Oczywiście, pod koniec tego samego dziewięćdziesiątego ósmego roku nie powstrzymałbym się przed opowieścią o Nowym Jorku. Jeśli i tak, jedyne co robiłem, to wszystkim i wszędzie opowiadałem o Nowym Jorku, nie mam więc wątpliwości: ojciec też zmuszony byłby słuchać o nim tygodniami od rana do wieczora. Z Nowym Jorkiem jest jak z wojskiem: wracasz i nie możesz o *tym* nie mówić, dostajesz szajby, masz ochotę się wywnętrzyć. Co więcej: jeszcze w ogóle w nim nie byłeś, jeszcze nawet do niego nie dojechałeś, a już przeczuwasz to, jak wszystkim na świecie opowiesz o tym pociągu z New Haven na Grand Central i o wielce gadatliwym młodym Murzynie w twoim wagonie, jak on bez przerwy coś miele swoim wielkim jak u cielaka językiem i jak przez cały czas wydaje ci się, że zwracając się

afrykańskim głosem do swojej towarzyszki podróży, wciąż powtarza „ukraine, ukraine" i trochę rzadziej „russia, russia". Myślisz: po kiego diabła, czego on od nas chce, od nas i naszych północno-wschodnich sąsiadów, zaczynasz wsłuchiwać się z coraz większym napięciem, aż wreszcie kapujesz: to twoje własne rymy, twoje fonetyczne haluki, twoja semantyczna paranoja, bo naprawdę on tak często powtarza zupełnie nie „ukraine", tylko po prostu „train", co w pociągu nie jest niczym dziwacznym. Zagadkowa pozostaje tylko pseudo-Russia: „ruction"? „eruption"? „corruption"?

Właśnie taki napad nieprzerwanego mówienia miał Długi – zdawało się, że właśnie złamał ośmioletni ślub milczenia i go poniosło. Mówię „ośmioletni", bo mniej więcej tyle czasu mieszkał w Nowym Jorku w momencie naszego spotkania. To znaczy zachciało mu się nagadać za wszystkie te lata. Szliśmy z jego mieszkania – na jakiej było wysokości, dokładnie nie pamiętam, ale gdzieś na Upper West Side, na jednej z osiemdziesiątych albo siedemdziesiątych ulic – w każdym razie szliśmy na dół: przypominam sobie, że najpierw był Columbus, a potem już Times, to znaczy szliśmy z góry na dół, pijąc po drodze na zmianę piwo i tequilę, robiliśmy przystanki we wszystkich barach i pubach na Broadwayu, które tylko znał, i całe jego osiem lat, „those years, those fucking years", szło razem z nami: szukanie pracy, światła galerii w Soho, restaurowanie ikon, Dowłatow i jego śmierć, Brodski i jego śmierć, miłość i jej śmierć, rozstanie z Ingą – moją utraconą siostrą (shit! jak oni śmieli?! rozwieść się?! bez mojej wiedzy?!), samotność, piwo, chlanie, striptiz, masaż, sztuka afrykańska, totalitarna uralska sekta, nadejście świętego proroka Wissariona, plaga jego agentów, jego fanatyków, próby zamienienia w zombi, próby uwolnienia. Tak zeszliśmy na sam dół i znaleźliśmy się w porcie starego miasta, skąd patrzyliśmy na wodę, żaglowce i Brooklyński most, kiedy Długi wyjaśniał mi szczególną eschatologiczną misję Nowego Jorku: „W tym mieście Bóg zbiera grzeszników

z całego świata, a potem nas wszystkich od razu zgładzi – jednym skoncentrowanym uderzeniem, ulewą ognia". Zaśmialiśmy się, dodał: „Widzisz, jakie tu jest niebo?".

I tak, opowiadałbym o niebie. O niebie nad wszystkimi miastami, przez które przejechaliśmy latem dwutysięcznego roku – o niebie nad Lizboną, Madrytem, Bordeaux, Paryżem, Lille, Brukselą, Dortmundem, Hanowerem, Malborkiem, Kaliningradem, Wilnem, Rygą, Tallinem, Petersburgiem, Moskwą, Mińskiem, Warszawą, o niebie nad Berlinem. Przez całą czterdziestopięciodniową podróż nie zdarzyły nam się dwa jednakowe nieba, wyobrażasz sobie? Teraz, czytając ponownie moje ówczesne zapiski, zdaje się, zaczynam rozumieć, jak wyjaśnić te niebiańskie odmienności – chodziło przede wszystkim o trawę: „Palili ją prawie wszyscy, pamiętając o szczególnych demiurgicznych własnościach tego najłatwiejszego sposobu wniknięcia w inne. Można przypuszczać, że całe plantacje poszły z dymem podczas naszej podróży. Spustoszyliśmy nie tylko Pakistan, Afganistan i Dolinę Czujską u podnóża Ałtaju; nawet w okolicach Jeziora Bodeńskiego zebraliśmy bogate żniwo. Lekkość, niezwykła lekkość panowała wokół. Nasze wagony wypełnione były lekkością, nasze walizy unosiły się niczym latawce na wietrze, szaloną wesołość wzbudzało ostre hamowanie pociągu, który i bez naszej pomocy mylił stacje i tory, czasem przeistaczając się w aeroplan, czasem w wypakowanego po brzegi zamrożonym drobiem TIR-a, innym razem stając się żółtym cygarem okrętu podwodnego"*. Dodam o niebie nad Berlinem. Tym razem z ABo i jego ówczesną KaBo spaliliśmy w trójkę szalenie efektywnego papierosa, działo się to w zaułkach Tachelesa, tam różni alternatywni ludzie wiecznie lutują piwo z butelek i dzielą się dymem – sam wiesz. Naszym celem stał się powrót do hotelu „Unter den Linden", w zwyczajnych okolicznościach nie zajęłoby

* Tłum. Ola Hnatiuk.

to nawet dziesięciu minut. Jednak okoliczności zmieniły się w kierunku niezwykłym. Kiedy szliśmy na skróty podwórkami do Friedrichstraße, robiło się nam coraz śmieszniej na samą tylko myśl, że właśnie idziemy podwórkami. Wyobraź sobie tylko ten paradoks – idziemy podwórkami!

(Mniej więcej tak jak w listopadzie dziewięćdziesiątego czwartego, kiedy z Neborakiem ogłupiali sunęliśmy niemal nocnymi Atenami i każdego napotkanego pytaliśmy: „Do you happen to know where is American embassy", chociaż sami nawet nie wiedzieliśmy, po jaką cholerę o to pytamy, a potem, skorzystawszy z przypadkiem niezamkniętej bramy do ogrodu, zabrnęliśmy na finał jakiegoś wykurwiście drogiego przyjęcia na marmurowym tarasie czyjegoś pałacu, mężczyźni przechadzali się w smokingach z trzy razy młodszemi od nich partnerkami w wieczorowych sukniach z rozcięciami, sytuacja pachniała niewyobrażalną kasą, szczytami mafii, właścicielami statków i niewolników, któryś z lokajów zaczął się na nas krzywo gapić, energicznie walnęliśmy po szampanie, skubnęliśmy sobie na drogę po winogronie i niespiesznie sunęliśmy do wyjścia, w razie czego stuprocentowo gotowi wyjaśnić każdemu, że tak naprawdę „We're just looking for American embassy").

Mniej więcej tak było i tym razem w Berlinie, pod jego niebem, gdzie szliśmy na skróty. Ale niebawem nasze waciane nogi wstąpiły na Weidendamski most, pod nami płynęła Sprewa, słońce świeciło w oczy, ani na moment nie zwalnialiśmy kroku i ani na krok nie zbliżaliśmy się do wiaduktu kolejowego nad Friedrichstraße. Dreptaliśmy nieznośnie długo i energicznie rozcinaliśmy powietrze wymachami rąk, już dawno powinniśmy znaleźć się w naszym hotelu, ale ten Weidendamski most nijak nie mógł się skończyć, zresztą porządnie zacząć też się nie mógł – dlatego że odległość pomiędzy nim i prostopadłym do niego wiaduktem kolejowym, zupełnie się nie zmniejszała i sądząc ze wszystkiego,

zmniejszać się nie mogła. Dopiero wtedy zrozumiałem, co jest nie tak, i zduszonym głosem powiedziałem: „Hej, ale my przecież drepczemy w miejscu". Ten domysł przynajmniej coś wyjaśniał – chociażby to, dlaczego do nas tak serdecznie trąbiły wszystkie samochody.

Tak – to było niebo wieczności. Właśnie tym razem udało nam się na krótką chwilę znaleźć się w wieczności. Wyskoczyliśmy z czasu. Wiadukt kolejowy przed nami nie zbliżał się ani na krok, wody Sprewy przestały płynąć, słońce zatrzymało się w zenicie, czas nie istniał. Gdyby te ćwoki w samochodach na nas nie trąbiły, nie wskoczylibyśmy do niego z powrotem. Chociaż to właśnie oni nas uratowali, przecież wieczność jest koszmarna, oni nas wyciągnęli, po prostu nas z niej wyrwali swoimi klaksonami. Być może, o to właśnie chodzi: kiedy tylko ktoś zabierze się do umierania, trzeba na niego trąbić z całych sił – prosto w ucho. Ale wyobraź sobie ten koszmar – z całych sił starasz się iść, a wciąż stoisz w miejscu!

Co ma z tym wspólnego mój ojciec? Nie wiem. Wszystko. To ważne, że on jest poza czasem, a ty i ja na razie jeszcze tu. To ważne i bardzo szkoda – przede wszystkim dlatego że odkąd odszedł, nie mam komu opowiadać. Niech to diabli, mam takie wrażenie, jakbym zostawiał te wszystkie historie na jakieś ostatnie lata! Ale on odszedł i ostatnie lata nigdy nie nastaną. Nie, i tak niektóre rzeczy opowiadam – Ninie, Sofii, Jarosławowi, przyjaciołom, tysiącom ludzi. Ale w jego osobie straciłem słuchacza numer jeden, to jasne.

Z biegiem czasu chyba coraz bardziej się do niego upodabniam. Tak naprawdę wszystko mam inne: inny kolor włosów i oczu, inny – jak to się nazywa? – genotyp. Nigdy bym nie uwierzył, że mogę, zmieniając się, stawać się coraz bardziej do niego podobny. Zresztą nikt się tego nawet nie domyśla. Zauważam to tylko ja – kiedy przypadkowo kątem oka łapię

się w lustrze: oho, to on, to on! Ledwie to był on, gdzie się podział?

Kiedy miałem dwadzieścia lat, czytałem Jogi Rama-Czarakę – jak już wiesz. Jego książce zawdzięczam, a raczej zawdzięczałem skończony całościowy obraz świata. Przez nią wszystko się z wszystkim we mnie powiązało, znalazłem w niej kilka stwierdzeń, na których nie mogę nie polegać do dziś. Powiedzmy, o tym że każdemu człowiekowi przypadają tylko te cierpienia, które jest w stanie znieść. Jesteś z góry zabezpieczony przez wyższą wolę przed tymi cierpieniami, których byś nie wytrzymał. To niezła rzecz – żyć z taką świadomością. Ona powstrzymuje lęk. Jest u niego jeszcze o karmie i wędrówce dusz. Zwykliśmy podśmiewać się z tych łańcuchów ponownych narodzin – no, żyłeś jak świnia, to świnią się staniesz. A ty szczurem. A ty trawą. A ty poetą. A ty słoniem albo mędrcem. Najgorszy wydawał mi się finał: osiągnąwszy doskonałość, więcej się nie rodzisz i więcej tu nie wracasz. Zlewasz się z Nim, stajesz się atmanem, połączonym w Brahmanie i z Brahmanem. Właśnie to zdawało mi się najstraszniejsze: przestać się rodzić, stracić siebie *takiego*, stracić to indywidualne *ja*, stracić siebie w każdym lustrze. I jako zakończenie – całkowite zlanie się i rozpuszczenie w Czymś Największym. Po diabła mi ono, to wieczne błogosławieństwo Czegoś Największego, jeśli przy tym tracę siebie?

I tak, Rama-Czaraka wymyślił taką sztuczkę, która mnie w tych czasach i przekonała, i mocno ucieszyła. Pisze, że żadna strata „ja" nie nastaje. Tak naprawdę chodzi o Orkiestrę, to znaczy o połączenie się z Orkiestrą i rozpuszczenie się w Symfonii, gdzie każdy będzie wykonywać swoją i tylko swoją partię, partię swojego „ja" na swoim jedynym instrumencie. Byłem szczęśliwy, dowiadując się o tym, słowo honoru.

*

Przyszło mi przeżyć jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, by znów się ocknąć i tym razem zapytać o coś innego: okej, dziewczęta i chłopcy, Symfonia – to pięknie, to wspaniale. Tylko co mam robić, jeśli nie chcę grać właśnie tej symfonii? Innej symfonii? Jakiejkolwiek symfonii? Co wtedy? Co dla mnie wymyślicie?...

7. Hottentottenpotentatentantenatentatentäter

Największy żal przychodzi rano. Budzisz się – i rozumiesz, jakie potworne jest wszystko. Pisałem o tym w którymś z wierszy, ale ty i tak go nie znasz.

To pewnie dlatego, że cały czas oglądasz się na sny.

Jak zgadłeś?

Też to znam.

A, no tak – zapomniałem, że jesteśmy rówieśnikami. Chociaż wiek, moim zdaniem, nie ma tu nic do rzeczy. Odkąd pamiętam siebie, towarzyszyła mi ta poranna melancholia. Co za debil wymyślił, że niby ranek to jasna i radosna pora?

Nie wiem. To wasze wymysły. Poetów.

Rano strasznie nie chce mi się wracać do rzeczywistości. Dlatego przez pewien czas ze wszystkich sił staram się wskoczyć z powrotem w ostatni sen. Potem jeszcze ta wiosna, znowuż ta wiosna, ta śmierć. Wiosną uaktywniają się myśli o śmierci.

Pod awitaminozę?

I pod śpiewy czarnych kosów – właśnie tak jak teraz. Będą dalej śpiewać – nawet później, kiedy to się już stanie. Popatrz. Tak naprawdę wszystkie te tak zwane hotele, czy raczej pensjonaty po tej stronie Stuttgarter Platz – to same tylko – jak to się nazywa? – domy schadzek. Pokoje wynajmuje się na godziny.

Skąd ta pewność?

Pewności nie ma żadnej. Ale sam spójrz na wszystkie te szyldy, żaluzje, ciemnoczerwone żylaste serca. Wieczorami przechadzają się tu łysi, przypakowani hotelowi chłopcy. Dbają, żeby tutejszych dziewcząt nikt nie obrażał. A zresztą, cholera ich wie, o co oni tak naprawdę dbają. Którejś nocy wracaliśmy z Rostkiem i on od razu rozpoznał wśród nich dwóch frankowskich bandziorów. Obydwaj odeszli

jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Jednemu wpakowali kulę w brzuch, a drugi też jakoś podobnie skonał. Honorową śmiercią. I okazuje się, swoje pozagrobowe życie wiodą w Berlinie. Hotelowy interes.

Lubisz tu mieszkać?

Pewnie. To przyjemne miejsce. W kwietniu, kiedy dopiero co tu przyjechałem, pod tymi drzewami nieustannie polegiwała jeszcze dość młoda kobieta. Z szopą ognistych włosów, cała w jakiś szmatach. Cały swój dobytek trzymała w takim wielkim wózku z supermarketu, cała góra różnych łachmanów.

Zadawałeś się z nią?

Monika zaczęła żartować, że powinienem się z nią poznać. „Może się zaprzyjaźnicie", mówiła. Wyobraziłem sobie, jak od czasu do czasu zapraszam ją do mojego mieszkania – żeby przeprała sobie wszystkie niezliczone ciuchy. Początek powieści.

Napisanej?

Nie. Na szczęście. Jest strachliwa i dzika, cała aż drży pod moim dotykiem. Stopniowo powraca jej pamięć. Jest wdową po miliarderze, ofiarą intryg i medyczno-psychotropowych eksperymentów. We dwójkę odkrywamy jej potworną tajemnicę. Happy end. Kiedy tylko Monika z Andrzejem wyjechali, ona przepadła. Tak jakby nigdy jej nie było. Tak jakby ją zabrali – jakaś policja czy sanitariusze, czy coś takiego. Zawsze pod tamtymi drzewami, wyobrażasz sobie? Leżała tam na swoich zawszonych kocach – w dzień i w nocy.

Może nie mogła chodzić?

Może mogła latać. Masz bilet? Ja w każdym razie kupię dla siebie.

Mój jest w porządku. A tobie radzę wziąć całodzienny. Jest ważny do trzeciej w nocy.

Oho! Zamierzamy hulać do rana?

To tylko propozycja.

Na tym peronie często spotykam Rosjan. To znaczy ludzi, którzy mówią po rosyjsku. Ruscy Niemcy. Teoretycznie to

najgorsze, co może być, takie połączenie. Mało tego, że Ruscy, to jeszcze Niemcy. Zgroza! Szczególnie dla poranionej środkowoeuropejskiej duszy. O, słyszałeś, co tamta dziewczyna z puszką piwa powiedziała do swojego chłopaka?

Nie dosłyszałem.

I dobrze, że nie. Bo zadrżałbyś, przynajmniej wewnętrznie. Zresztą, nic dziwnego, że oni wiecznie się tu kręcą – na dole jest przecież ich sklep, całodobowy. Supermarket „Putin". Oni wszyscy mają z nim jakiś związek. Coś wywożą, coś przywożą. A kilka miesięcy temu zdarzyła mi się dziwna rzecz.

Co takiego?

To było jakoś tak przed południem. Ktoś zadzwonił z ulicy do mojego mieszkania. Chociaż na nikogo nie czekałem. Ale w tym nic nadzwyczajnego nie było – czasami robią tak różni kurierzy pocztowi. Nie mają klucza do bramy, a pocztę dostarczyć i tak muszą.

Jasne, nie musisz tego tak dokładnie wyjaśniać. Jednak to nie była poczta.

Nie, nie poczta. Podniosłem słuchawkę domofonu i zapytałem kto tam.

No i?

Kobiecy głos. Ale miałem wrażenie, że nie jest sama, że jest z nią jeszcze kilkoro ludzi – taki ledwo dosłyszalny szmer wokół.

Co odpowiedziała?

Mówiła po niemiecku z bardzo mocnym rosyjskim akcentem. Rozumiesz, nieomylnie rozpoznaję akcenty. Rosjanin zamiast „haben" zawsze powie „habien", a zamiast „Polizeioffizier" – „palicajaficer". Podobnie umiem odróżnić niemiecki Polaków od niemieckiego Włochów. Czy Turków. Mam fonetyczno-ortofoniczne ucho. Jestem Orfeuszem.

W ogóle jesteś geniuszem. Ale co powiedziała ta kobieta?

No, rzuciła coś w rodzaju pytania, czy przypadkiem nie mówię po rosyjsku, bo niby szukają kogoś, kto mógłby im coś tam przetłumaczyć. Z rosyjskiego na niemiecki. Dziwne, nie? Wyobraź sobie grupę ludzi, którzy chodzą od domu do domu

i czytają nazwiska mieszkańców przy domofonie na dole. I jeśli znajdą jakiekolwiek mniej więcej słowiańskie, to starają się nawiązać kontakt.

I jak się zachowałeś?

Całkiem po niemiecku ryknąłem „nein kann ich nicht" i odłożyłem słuchawkę. Pewnie to byli jacyś złodzieje. Szukają swoich i robią listę. Jakbym był jakimś wypasionym nielegalnym, toby mnie mieli na haczyku. Dokąd jedziemy?

Zaczniemy od Friedrichstraße. Chciałbym cię czymś trochę ugościć. Intensywnie pracowaliśmy całe sześć dni i zasłużyliśmy na parę dobrych machów.

A te smakołyki, to co – tam tak po prostu rozdają, na Friedrichstraße?

Nie tak po prostu, ale to nie powinno cię interesować. Ja zapraszam. Mówiłeś coś o swojej czułej środkowoeuropejskiej duszy?

Nie brałem udziału w tym podziale świata.

Ale, wiesz, świat musi być jakoś podzielony. No, chociażby dlatego że lubimy, by był różnorodny. Na tym, być może, polega sens istnienia granic – chronią odmienności i powstrzymują ostateczne ich niwelowanie. Ci, którzy ich strzegą, nawet nie wiedzą, jakiego bogactwa tak naprawdę pilnują. I całkowita utrata granic czy w ogóle linii podziałów – to przede wszystkim utrata tożsamości.

Tylko że przy obecnym podziale moja tożsamość może być rozkrojona, odcięta od samej siebie. Rozumiesz, znaczną część mnie pozostawiono tam, po tamtej stronie świeżo odmalowanej kurtyny, mogę ją tylko drapać paznokciami, które mimowolnie czasami przemieniają się w pazury. Zdaje się, pasuje nam jakikolwiek pociąg, one wszystkie jadą stąd do Friedrichstraße.

Do Friedrichstraße i dalej na wschód. Wsiadamy.

Odcięto mnie od Pragi, Budapesztu, Krakowa, niedługo odetną mnie od Dunaju, Bałkanów i Transylwanii. I taki podział nijak mnie nie urządza, bo wypycha mnie z własnego domu. Dokładniej mówiąc, zabroniono mi bez pozwolenia wchodzić do niektórych pokoi. Pamiętam, jak w tym „Media

Markcie" wielka grupa Polaków gwarnie ładowała na wózki sprzęt audio, dziesiątki, setki wież. Dlaczego? Po co? Z wyglądu przypominali przebranych w turecki dżins szlachciców z *Ogniem i mieczem*.

Uważasz się za Europejczyka?

Uważam się za mieszkańca Europy Środkowo-Wschodniej, czyli prawdziwego Europejczyka, ale innego, z doświadczeniem istotnie odmiennym od tego, które przyjęło się uważać za europejskie. Moje doświadczenie jest doświadczeniem *Europejczyka okupowanego*, mam na myśli nie tylko te czołgi w Pradze w sześćdziesiątym ósmym, chociaż je też.

Ale co to takiego, ta twoja Europa Środkowo-Wschodnia? Rozumiem, wszystko to miało pewien sens dwadzieścia i więcej lat temu – Miłosz, Kundera, Havel, Conrad. Po co ci to dziś?

Masz rację. To jedna z moich złud. Ostatnio jedyne co robię, to bronię się przed natrętnym pytaniem: „A co to takiego?". Jeszcze trochę – i przy słowach „Europa Środkowo-Wschodnia" zacznę łapać za pistolet. Wiesz, tutaj w tych okolicach Savignyplatz, dla mnie zaczynał się Berlin. „Terzo Mondo", dziwki w kozakach. Opisałem to w *Perwersji*, której nie znasz. Lubię tę stację. Ale wiesz, co czasami myślę?

Ciekawe.

Wszystko jest dla ciebie ciekawe? Że to wszystko złuda. Nie tylko Europa Środkowo-Wschodnia jest złudą, ale i ta stacja Savignyplatz, Berlin, wszystko wokół nas. No – zaraz ruszymy dalej. Tam po prawej stronie, na ścianie jednego z budynków zawsze widzę takie graffiti – RCB – czyli Reagan, Clinton, Bush. Namalowani są tam ci trzej chłopcy, tacy jak z kreskówki, z jakimiś, kurwa, pistoletami w dłoniach. Reagan ma jeszcze kowbojski kapelusz. I tak, jeśli pewnego dnia okaże się, że ich nie ma, to będzie dowód. Dowód na to, że to wszystko – złuda, a reżyser to nikczemnik i w końcu się sypnął, po prostu zapomniał wmontować ich tym razem do mojego codziennego wideoklipu.

Teraz nie zapomniał.

A co, byli?

Przed chwilą obok nich przejechaliśmy.

To znaczy, ten świat – to nie złuda. Na razie. Niepokoją mnie też mocno te okna mieszkań nad samymi torami, po lewej. Jak to jest, ciekawe – mieszkać i zaglądać z okna swojego domu do środka wagonów? I te wagony mijają cię bezustannie, w dzień i w nocy? Niezła byłaby taka wieczność, hę?

Do wieczności jeszcze zdążysz. Wróćmy do twojej Europy Środkowo-Wschodniej.

Czasami mówię, że to tak naprawdę Nowy Jork. Czasami, że to taki słup w okolicach karpackiego Rachowa, geograficzna fikcja, odkryta jeszcze przez cesarsko-królewskich geometrów, z których jeden nazywał się chyba Józef K. Tak. Dojeżdżamy. Berlin Zoo.

Jakieś szczególne wspomnienia?

Zawsze szczególne. Tutaj najmocniej pachnie Berlinem. Czyli najtańszym piwem i kloszardami.

Dlaczego, mówiąc o Berlinie, zawsze wspominasz żebraków i bezdomnych?

Przecież wcale nie zawsze! Ale to jedno z najtrwalszych wrażeń. Nie można ich nie widzieć. W tym sensie Berlin to bardzo średniowieczne miasto, pełne błogosławionych i kalek. No tak – proszę. O, ten zaraz będzie proponował nam swoją gazetkę. Nie mam zamiaru jej kupować, zupełnie mnie nie interesują wiadomości z życia bezdomnych.

A u was jest ich mniej?

Diabli wiedzą! U nas też jest ich dość. Ale u nas przynajmniej nie wydają własnych gazet. I nie starają ci się ich wcisnąć. Tutaj są znacznie bardziej natarczywi, bo ogólnie wszystko jest znacznie bogatsze niż u nas, oni więc jakby wystawiają za to swój rachunek. Tutaj oni mają pretensje, a u nas nie.

Podobają ci się niemieckie pociągi?

Niezłe są. Szybkość i cisza, sterylność. Ładne zapachy. Dlaczego pytasz?

Mijaliśmy jakiś intercity. Pytam, żeby nie milczeć.

Jasne. Wiesz, z początku bardzo mnie przyciągał ten zoologiczny kanał. Zdawało mi się, że powinny w nim krążyć

aligatory – tak to przynajmniej wygląda latem. Niczym odnoga Missisipi. To, jak rozumiem, część Landwehrkanal?

Właśnie tak. Pływałeś po nim?

Raz. Od Jannowitzbrücke do Schlossbrücke – zwyczajna turystyczna trasa. Na górnym pokładzie siedziała jakaś setka Amerykanów, którzy dopiero co wysiedli z samolotu i wszyscy momentalnie pozasypiali. Ale nawet przez sen raz po raz zgodnie schylali głowy, kiedy przepływaliśmy pod mostami. Słuchaj no, dlaczego na Tiergarten zawsze wsiadają wariaci?

Tacy jak ten?

Tego widzę pierwszy raz, ale tu zawsze ktoś taki wsiada.

Ten jest dosyć znany. Zaraz ogłosi następną stację i zabroni wszystkim się wychylać. Uważa się za kogoś w rodzaju maszynisty i jednocześnie konduktora. Widzisz, ma na szyi gwizdek.

Kiedyś na Hackescher Markt do wagonu wsiadł wariat, który głośno kłócił się sam ze sobą w niezrozumiałym języku.

Całkowicie niezrozumiałym?

Najczęściej po brzmieniu mogę ustalić, jaki słyszę język. I jeśli zupełnie nie udaje mi się rozpoznać, to uważam, że to albański. Ale tamtym razem to nie był nawet albański.

I co dalej?

Rzucał sobie samemu jakieś druzgocące uwagi. Równie ostro na nie odpowiadał. I coraz bardziej się rozpalał. Jego krzyki przeszkadzały mi skupić się na myślach o sprawiedliwości społecznej.

To i o takich rzeczach czasami myślisz?

Dlaczego by nie? Potem na Friedrichstraße wsiedli chłopak i dziewczyna, usiedli naprzeciwko mnie. Oboje byli bardzo wysocy, jak tyczki, młodzi i strasznie chudzi. Słuchali muzyki z jednego walkmana i milczeli. Przy czym aż wcisnęli się jedno w drugie, każde ze swoją połową muzyki, ze swoją słuchawką. Byli tacy delikatni i tacy nieważcy, że odrzuciłem jakiekolwiek wątpliwości: to była miłość. Inaczej być nie może. Przeżyją razem szczęśliwe długie życie i umrą tego samego dnia. Stacja Bellevue. Skąd te francuskie nazwy?

Historyczna pozostałość. Emigracja hugenocka.

Gdzieś tu, w tych wężowych domach z pomarańczowej cegły mieszka Michael Angele. Z jego książki wynika, że Kafka właśnie w Berlinie ostatni raz w życiu uprawiał seks.

Suchotnikom naprawdę rośnie libido – im dalej, tym bardziej. Są przez cały czas podnieceni seksualnie.

Natomiast Beate Pinkerneil, opowiadała mi, że Goethe pierwszy raz uprawiał seks w Rzymie. W tym czasie był już po czterdziestce.

Po czterdziestce – i pierwszy seks?

Rozumiesz, wszystko, czego do czterdziestki zaznał z kobietami, kończyło się niepowodzeniem. W związku z tym uznał, że to z powodu genialności. Po prostu mu nie stawał, rozumiesz?

I stąd, powiedzmy, ten werteryzm?

Pewnie tak. Ale w czterdziestym pierwszym roku życia udał się do Rzymu – i niespodziewanie dla siebie samego całkiem nieźle zerżnął jakąś obecnie bezimienną dziwkę z wielkimi jak arbuzy cyckami i ciepłą gościnną pochwą. Nie wykluczam, że z ust mocno czuć jej było czosnkiem. Tak Werter umarł po raz drugi.

Oczywiście – te pyszne rzymskie kurtyzanki spocone pod pachami...

Otóż to! Od tego momentu to zupełnie inny Goethe, jakiś taki Goethe 2. Czy raczej Casanova 1. Koleś, który do samej śmierci – czyli przez całe czterdzieści trzy lata – nie przepuszczał żadnej spódnicy, wyobrażasz sobie?

Łyknij jeszcze kapkę i się uspokój. Dlaczego tak się tym ekscytujesz?

Dlatego że to fenomenalne – taka siła ludzkiego ducha! Naprawdę przecież zawsze chodzi o ducha, nie? O, restauracja „Paris-Moskau" – po prawej, na dole. Nigdy tam nie byłem. Fajna jest?

Mówią, że zgodnie z pomiarami geograficznymi, właśnie tu jest środek drogi pomiędzy Paryżem a Moskwą. Z dokładnością do jednego milimetra.

Czyli tak naprawdę to tu jest Europa Środkowa? Nigdy w życiu!

Inaczej mówiąc, twoja Europa Środkowa jest nie tu, bo to przede wszystkim – Europa komunizowana.

Lepiej powiedzieć – to ta Europa, którą próbowano uczynić Rosją. To że starano się ją komunizować, nie jest takie istotne. Dla organizmu takiego jak Rosja, to w ogóle nie ma znaczenia – czy jest komunistyczna, monarchiczna, czy na przykład policyjno-oligarchiczna. Istotniejsze jest dla niej co innego – pragnienie bycia imperium. Być wielką, większą, jeszcze większą, największą.

A nie wydaje ci się, że ją demonizujesz, że to twój, a nie jej, Rosji, problem?

Pewnie tak właśnie jest. Słuchaj no, w jaki sposób mogłem się domyślić, że ta kurewka z idealnie opiętymi tylnymi półkulami okaże się Rosjanką?

Słyszałeś, jak rozmawia z koleżanką.

Nic podobnego! Dopiero potem usłyszałem, jak mówi, najpierw był tylko sygnał – „Rosjanka". Może to jakiś szczególny wyraz twarzy. Wiecznie niezadowolona, wiesz, taka trochę nadęta mina. À propos, co sądzisz o jej tyłku?

Też trochę nadęty. Twoja wizja, zgódź się, zorientowana jest niemal całkowicie na przeszłość. Niech tam nie taką daleką, niech tam nawet nie jakąś „austro-węgierską", ale wciąż przeszłość. Co z teraźniejszością, co z przyszłością?

Przeszłość jest tak aktywną cząstką naszego *teraz*, że aż niezręcznie mi cię przekonywać do czegoś zupełnie zrozumiałego. Kiedy wreszcie przestaną rozkopywać ten przeklęty Hauptbahnhof?

Przekonuj, nie zmieniaj tematu.

Słuchaj. Mnie – takiego, jaki jestem – po prostu by nie było, gdyby mój pradziad pewnego dnia nie przybył do Galicji z rumuńskiej Bukowiny czy z Rachowa koło centrum Europy, nawet nie wiem skąd. Gdyby inny mój pradziad nie przywędrował z czeskich Sudetów, gdyby jego córka w latach dwudziestych nie uczyła niemieckiego w mazurskich wio-

skach w Polsce, gdyby jej mąż nie zginął pod koniec wojny ostrzelany z radzieckiego samolotu, gdyby jego syn po wojnie nie był przymusowo repatriowany za pozwoleniem sojuszników Stalina gdzieś aż z Austrii, gdyby podczas służby w Armii Czerwonej nie zaczął pisać wierszy, i to czemuś po rosyjsku, gdyby jego żona nie była młodsza od niego właśnie o dziesięć lat...

Nawet to jest ważne?

Wszystko to – jest to tak nierozerwalne, to taki wzajemnie uwarunkowany łańcuch, że wystarczy naruszyć go tylko w jednym miejscu – i koniec, nie wyłoniłbym się z tej całej złożonej i delikatnej, a czasem i brutalnej mieszaniny, z całej tej chemii. Ale chodzi nie tylko o mnie. Beze mnie nie istniałby ani ten s-bahn, ani berlińskie stacje, ani sam Berlin, ani cały ten świat i – kto wie? – być może, nawet i ty.

To wszystko utopia. Ta twoja Europa Środkowo-Wschodnia – to też twoja prywatna utopia.

Zapewne. Jednak utopii nie warto traktować ze zbytnią wyższością. Każdy z nas jednak ma z nimi jakiś związek. Pisanie jako takie jest jednym z najbardziej utopijnych projektów. Czasami to ma dalekosiężne skutki. No, tak właśnie myślałem – kontrolerzy. Czasami oni kamuflują się tak ostentacyjnie, że od razu ich rozpoznasz. Twój bilet jest w porządku?

Nic się nie martw. I rozkoszuj się panoramą po prawej – z Reichstagiem i Bundestagiem.

Tylko po co tam, nad Reichstagiem, aż cztery flagi państwowe? Co, jedna to za mało?

Tak jest bardziej symetrycznie. Cztery strony świata.

Słuchaj, a nie może być tak, że to tak naprawdę inercja historii?

Co dokładnie? Flagi?

Kontrolerzy w komunikacji. Przecież w końcu zbliżamy się do Friedrichstraße, tak?

Tak. I tam wysiadamy.

A Friedrichstraße – ostatecznie przecież to granica. Może to nie kontrolerzy, ale pogranicznicy?

Nie tam, nie sądzę.

A ja jestem prawie pewien, że to tak jest. To sprawdzanie biletów jest tak naprawdę ukrytą formą kontroli granicznej.

Zauważyłem u ciebie obsesyjną skłonność do myślenia i mówienia o granicach. Dostrzegasz już je nawet tam, gdzie nie ma ich w pobliżu.

To dla ciebie ich nie ma, a dla mnie są. W moim paszporcie nie znajdziesz żywego miejsca – tyle razy uderzono go stemplem. A przedtem na wylot prześwietlono. To tak, jakby ktoś nie wpuszczał mnie do mojego domu. Ktoś taki, kto ma wielce ogólne wyobrażenie o tym, co się ze mną dzieje i kim jestem.

A kim jesteś?

No tak – tylko w naszym wagonie czwórka na gapę. Jak dobrze, że nie zapomniałem skasować mojego! W Wiedniu by to nie przeszło – tam na początek zabierają ci paszport. Niby po to żeby tylko się przekonać, że naprawdę jesteś *gościem stolicy*, obcokrajowcem. A naprawdę, żebyś nigdzie nie mógł dać drapaka. Bo kim ty jesteś bez paszportu? Kim ja jestem, pytasz?

Właśnie tak. Wysiadamy.

Jestem tym, który pragnie wiecznie przemieszczać się w poszukiwaniu wolności.

A może lepiej dla ciebie byłoby po prostu wyemigrować? Przekroczyć granicę raz i na zawsze? Rozerwać ten, jak to nazywasz, wzajemnie uwarunkowany łańcuch? I w końcu wygrać dla siebie tę wolność, to swobodne przemieszczanie się?

Przemieszczanie się rzeczywiście jest tego warte. Szczególnie jeśli chodzi o nasycanie życia bodaj kilkoma życiami, czyli prze-życiami, chodzi zatem o zwalnianie i wydłużanie czasu. Ale podobają mi się nie tylko wyjazdy, tak samo podobają mi się powroty. Aha, jaka Mulateczka!

Co to w twoim wypadku znaczy – powrót?

Dziwne – teraz sam sobie przeczę – jednak podoba mi się wszystko takie, jakie jest. Podoba mi się ta ostentacyjnie wytężona kontrola paszportów, ich prześwietlanie i uważne

oglądanie. Podoba mi się niezmienne pytanie celników o ikony i narkotyki. Podoba mi się udawanie, że niby je potajemnie przewożę. Podoba mi się bycie partyzantem. Albo kiedy mój telefon podsłuchują specjalne służby. Nie podoba mi się, kiedy najbliżsi przyjaciele giną w tak zwanych wypadkach samochodowych, ale podoba mi się, że ich, tych przyjaciół, tak wysoko oceniono. Zresztą zgódź się: prawdziwa wolność jest nie wtedy, kiedy jest, ale wtedy, gdy jej bardzo pragniesz.

A ja myślę – że wtedy, kiedy wolności jest tak dużo, że jej po prostu nie zauważasz.

Też ciekawa myśl! Idziemy na dół? Teraz już tylko ty prowadzisz – przecież nie wiem, gdzie, do diabła, kręci się twój dealer.

Tak, na dół – potem Friedrichstraße na lewo.

Do Oranienburgerstraße? Może jeszcze i do Tachelesa zajdziemy?

To mniej więcej tam. Pokażę ci, gdzie na mnie poczekasz.

* * *

Co, małpa się nie pokazała?

To jakiś niezrozumiały dla mnie idiom.

W czasach mojej lwowskiej, studenckiej młodości to znaczyło „nic z tego?".

Ach, no tak. W takim razie tak właśnie jest. Małpa się nie pokazała. On czasami znika, ten ciemny Asyryjczyk. Ale jest jeszcze inna możliwość. Inny dealer. Co prawda, trzeba w tym celu pojechać aż na Ostkreuz.

Podróż na Wschód.

Tak właśnie. To logiczne. Po manowcach Wilka Stepowego.

Wiesz, jaka fraza Hessego podoba mi się najbardziej? „Lasu nie opuścił już nigdy".

Na zawsze rozpuścić się w czymś wielkim? W lesie?

W pralesie. Pralas – to też ocean. Kiedyś znałem jednego białoruskiego poetę, nazywał się Anatol Sys, miał bandycką

fryzurę i złoty łańcuch na piersi. Jego fani, studenci z Mińska, jeździli z nim na wszystkie jego występy. Tak jakby był jakąś drużyną piłkarską. Miał taki wers – „Lies hieta bol'sza, cziem lies".

Dobrze powiedziane. Proponuję pójść przed siebie do Hackescher Markt.

I tak właśnie zrobimy, staruszku.

Tymczasem będę dalej wypytywać cię o Europę.

A co to jest?

O, to właśnie jest pierwsze pytanie – co to jest?

To taki pęd Azji, coś na kształt półwyspu, który uważa się za kontynent. Przy czym o ile z jego zachodnim brzegiem praktycznie wszystko jest jasne, to jeśli chodzi o wschodni, istnieje strasznie dużo różnych idiotycznych koncepcji. A pytanie: *„gdzie kończy się Europa?"*, nie zmienia się automatycznie w *„gdzie zaczyna się Azja?"*.

I gdzie ona jest, twoim zdaniem, ta wschodnia granica?

Na prawym brzegu Renu. Bo tak mówił Konrad Adenauer. Za płotem ogrodu Metternicha. Bo tak mówił książę Metternich. Albo – na wschód od wyobrażonego muru berlińskiego. Chociaż nie taki on wyobrażony, jak może się nam zdawać.

Czyli teraz jesteśmy w Azji?

Tak. Idziemy tą Oranienburgerstraße niczym przez pustynię Gobi. Czujesz to chrzęszczenie piachu między zębami?

Istnieją jeszcze inne warianty wschodniej granicy?

Pewnie, że tak! Ile tylko chcesz. Powiedzmy, zachodnia granica byłego zeteserer. Albo międzyrzecze Dunaju i Donu. Pardon Dniepru i Dniestru. W każdym razie międzyrzecze, Mezopotamia. Jeśli brać pod uwagę grzbiet Uralu, to trudno ocenić, czy przechodzi przed, czy już za nim. Bo jeśli tak, to możliwe, że granicą jest wybrzeże Oceanu Spokojnego. Europa od San Francisco do Władywostoku, możesz to sobie wyobrazić.

Nie mogę. Ale zapalimy – to mi się uda.

Miejmy nadzieję. Moim zdaniem, Europa jest wszędzie tam,

gdzie mieszkańcy uważają, że są w Europie. Lepszej definicji nie znajdziesz. Nawet kiedy zapalimy.

To jakaś bardzo prosta definicja.

Dlatego jest słuszna. W Chinach nikt się nie uważa za Europę, w Arabii Saudyjskiej czy Wenezueli pewnie też nie. Ale w Argentynie trochę tak. Albo w East Village na Manhattanie. Michael – ten, który mieszka z Susanne – mówi, że w Argentynie wszyscy nienawidzą tanga i taksówkarze, krzywiąc się, włączają je w swoich wozach wyjątkowo, tylko dla zidiociałych obcokrajowców. Sami słuchają Bacha, kantat i suit. Wiesz, od dawna chciałem komuś zadać takie pytanie: dlaczego ta synagoga nazywa się „Nowa"? Istniała jakaś poprzednia – stara?

Ta „Nowa" tak naprawdę nie jest nowa, ma gdzieś ze sto pięćdziesiąt lat. Ale właśnie niedawno ją odbudowali po pogromie w trzydziestym ósmym. Dlaczego pytasz?

Spróbuję napisać w mojej nowej powieści scenę, jak dwóch przyjaciół idzie przez Berlin Oranienburgerstraße. Muszą o czymś rozmawiać. Mijać Nową Synagogę i nie zająknąć się o niej, to raczej niemożliwe. To znaczy możliwe, ale czytelnicy będą mieli pretensje. Jak można było iść obok niej i nic o niej nie powiedzieć?

Masz już tytuł dla swojej nowej powieści?

Tajemnica. Zmień temat.

Do czego mógłbyś porównać Europę?

Na przykład do *wspólnego domu*. Ktoś już ją tak nazywał, nieprawdaż?

Gorbi.

Otóż to. Ten dom ma dosyć wymyślną architekturę, to prawdziwa mieszanka epok i styli, którą jako całość mógł zaprojektować tylko jakiś maniakalny Super-Gaudi: mnóstwo poziomów, kondygnacji i zakamarków, a także skrzydeł, mansard, wykuszy, balkonów, tarasów i galerii. Od strony południowej oplata go dzikie wino i laur, ale czasami wiatr niesie jeszcze wciąż czerwony afrykański piasek. Od północy natomiast jest niemal wiecznie zasypany lapońskim

śniegiem. Na dachach i rynnach – miliony sopli. Północne pomieszczenia ogrzewane są ciepłem gejzerów.

A co ze wschodem i zachodem?

Jego zachodnia połowa jest przeważnie przystosowana do życia i zadbana, korytarze, sale i pokoje aż błyszczą po kolejnym euroremoncie. Ale w tym samym czasie jest w niej do tego stopnia sterylnie, że strasznie chce się urządzić jakąś pijacką burdę. Wschodnia połowa przedstawia się raczej jako ruina z powybijanymi oknami i powyrywanymi z zawiasów drzwiami. Hulają po niej przeciągi i tornada, niosąc stepowe zielsko. Kiepsko jest z ogrzewaniem i dostarczaniem wody, a w kuchniach ohydnie czuć gotowaną kapustą i samogonem. Obie części są na swój sposób przepiękne.

Przepiękne? Więc Europę można lubić? Za co?

Kpisz czy o drogę pytasz! A chociażby za to, że do dziś mówi tak wieloma językami. Czyli była i jest rozsadnikiem fonetycznych, syntaktycznych, idiomatycznych, akustycznych, a to znaczy, że i poetyckich możliwości tego świata. To więcej niż biblioteka, to Surowiec, to ludzkie historie opowiedziane w tysiącu dialektów. Chociaż same historie są tylko cztery. Tak mówił honorowy Europejczyk Borges. I niekoniecznie trzeba rozumieć ich treść – znacznie ważniejsze jest, by czuć ten szum, to huczenie i szeptanie, niemilknące tło dźwiękowe. Słuchaj, chodź trochę się cofniemy! Tu niedaleko. Walnąłbym jakąś kawę w „Café Orange".

Spełnimy każdy twój kaprys.

To nie kaprys. Od kiedy w październiku dwa tysiące trzeciego roku przyprowadziłem tu OK, już nie mogę tak po prostu przejść obok tego miejsca. Potem pół dnia umierałem.

Umierałeś?

Tej jesieni po prostu się zwaliłem. Żyłem od jednego ataku serca do drugiego. Łaziliśmy z OK po Berlinie, niemal nie puszczając swoich dłoni. Było w tym coś przejmującego.

Kto to jest OK*?*

To nie powinno mieć dla ciebie znaczenia. Powiedzmy tak: w jej towarzystwie zaspokajałem częściowo swoje ojcowskie,

częściowo braterskie instynkty. To był trochę film, a trochę sen.

I dlatego serce nie wytrzymało?

Chodzi właśnie o to, że wytrzymało. Ale z jakim wysiłkiem! W tej kawiarni posiedzieliśmy z godzinkę, dosłownie nie milknąc. W ogóle nie milkliśmy – chyba tylko na dwie, trzy godziny w nocy. I tak – walnąłem sobie dużą kawę, do której zapaliłem pierwszego tego dnia papierosa. Po dziesięciu minutach wszystko się zaczęło.

Co takiego?

Strach. Bicie serca. Chociaż wciąż zabawiałem OK żartami. Potem rzuciłem się od stolika do toalety z nadzieją, że chociaż trochę poleżę w niej na wykafelkowanej podłodze, żeby wszystko ucichło.

Syndrom Artura Pepy?

Coś w tym rodzaju. Poleżeć na wznak – i odpuści, tak sobie myślałem. Ale tam nie było jak się położyć, bo cały czas ktoś wchodził i wychodził. A w jedynej zdatnej do leżenia kabinie zasiadł jakiś pierdziel-czempion. Wyobraziłem sobie, że kiedy położę się przy umywalce, to pierwszy lepszy dureń od razu wezwie pogotowie albo policję. Zaczną szukać strzykawek, przesłuchiwać. Tego już naprawdę bym nie wytrzymał. Dlatego tylko patrzyłem na siebie w lustrze i starałem się dłonią uspokoić to łupanie w środku. To znaczy, położyłem rękę na sercu – tak to się nazywa.

Nie miałeś przy sobie żadnych leków?

Atenobene. Wtedy łyknąłem to po raz ostatni. To nie najlepszy środek. Zaczyna działać dopiero po godzinie. Jeśli jednocześnie leżysz na plecach i dostajesz od świata wyłącznie pozytywne sygnały – motylki, ptaszki. Śpiewy czarnych kosów. W takim wypadku działa pozytywnie. Zapiłem wodą z kranu i wróciłem do OK.

I wtedy zacząłeś umierać?

To taki emocjonalny zjazd. Świat robi się potwornie przerażający. Wydawało mi się, że trzeba jak najprędzej się stąd zrywać. Całe wnętrze kawiarni przenikało na wskroś żółte

światło i w nim – wyobrażasz sobie? – te smugi dymu tytoniowego. To po prostu nie do zniesienia: promienie słoneczne, smugi dymu, zapach kawy, szelest gazet. To jak surmy dnia ostatniego.

Nie widzę żadnej analogii.

Jeszcze czego! Ty tego nie możesz zrozumieć. Potem poszliśmy do Hackescher Markt. Udawałem, że myślę o swoich sprawach. A naprawdę ledwie mogłem podtrzymywać rozmowę. Wciąż jeszcze miałem nadzieję ukryć, że rozsadza mnie od środka.

Co zamawiamy?

Ja oczywiście dużą kawę. Jak ona się tu u nich nazywa? Große Tasse Kaffee. Od tej pory zawsze ją tu zamawiam. I tak, z Hackescher Markt ruszyliśmy s-bahnem na zachód, bo chciałem pokazać OK Charlottenburg. Savignyplatz, a potem Stutti, różne takie. Ale przed Lehrter Bahnhof szepnąłem jej na ucho: „Niedobrze mi, wysiadamy na następnej stacji". Najgorsi byli ci pasażerowie z ich wyciągniętymi bezlitosnymi facjatami. Jak jeden mąż patrzyli na mnie, nie mrugając, i wszyscy swoimi zaciśniętymi ustami wciąż powtarzali: „A ten zaraz upadnie i zdechnie".

Psychoza.

Widzisz, jak świetnie się na tym znasz! Na Lehrter Bahnhof znowu usiedliśmy na ławce. Najpierw siedzieliśmy na Hackescher Markt i OK mówiła: „Myśl o czymś ładnym, błagam cię, myśl o czymś ładnym". Doprowadzało mnie to do szału, szczególnie to jej „błagam cię".

Przestraszyła się – nic dziwnego.

Obok nas przejechało kilka następnych pociągów. Siedzieliśmy na ławce i staraliśmy się nie dać nic po sobie poznać, ale wszyscy pasażerowie tak samo patrzyli na nas z okien.

Może rozkoszowali się wami?

Ha! Strasznie dowcipne! Nie, patrzyli z chłodnym współczuciem i lekką pretensją – dlaczego ona jeszcze nie wzywa lekarza. Ten koleś za chwilę wyciągnie kopyta, a ona tylko głaszcze go po ręku i to wszystko, polska idiotka.

Psychoza się nasila.

Na to wygląda. Ale z pociągami było lepiej niż bez nich.

To znaczy?

Kiedy zostawaliśmy na tej ławce sami, na środku wiecznej budowy na Lehrter Bahnhof. W całkowitej pustce. Trwało to za każdym razem trzy, cztery minuty, potem podjeżdżał następny pociąg. Kurczyłem twarz w krzywy uśmiech, żeby te facjaty w oknach nie wytrzeszczały się na mnie tak pożegnalnie. Dawałem do zrozumienia, że ze mną wszystko w porządku, kein problem. Potem zamarliśmy, przysłuchując się syrenom karetki pogotowia. Powiedziałem: „Tym razem to nie po mnie". Ona powiedziała: „Przestań". Tak naprawdę bała się bardziej niż ja.

To zrozumiałe.

Sama w obcym mieście. Przewodnik za moment stoczy się pod ławkę. A tu – syreny. Gdzieś na Invalidenstraße. No tak – Invalidenstraße, całkiem udana nazwa. One nas ruszyły z miejsca, te syreny. Znów wsiedliśmy do s-bahnu – byle tylko ich nie słyszeć. I jakoś dowlekliśmy się do Zoo, wtedy ostatniej stacji.

Dopiero tam odpuściło?

A skąd! OK znów posadziła mnie na ławce i przyniosła z kiosku mineralną z czekoladą. To znaczy mineralną osobno i czekoladę osobno – rozumiesz. Kiedy po nie poszła, kręciłem głową – starając się odwracać wzrok od bezdomnych. Ale oni przez cały czas przechwytywali moje spojrzenie. To zresztą nie byli żadni bezdomni.

A kto?

Przebrani agenci FSB. Zdawało mi się, że namawiają się po rosyjsku. A w Berlinie bezdomni nie mówią po rosyjsku. Więc to byli agenci, a nie bezdomni. Interesuje cię to, co opowiadam?

W ogóle to tak. Muszę wiedzieć, jak to z tobą jest, jeśli zaraz ma się znowu zacząć to samo.

Nigdy nie wiadomo. Nic się nie zacznie.

* * *

Mówiłeś o jakichś czterech historiach. O co chodzi?

Według Borgesa istnieją w ogóle cztery historie. Wszystkie inne – to tylko warianty tych czterech.

I jakie cztery historie opowiada Europa?

Licz na palcach. Pierwsza – o wygnaniu albo ucieczce, o wymuszonym przesiedleniu z jednej Europy do drugiej. O tym, jak całe miasta wywożono pociągami na zachód, a inne – na wschód, o deportacjach i ewakuacjach. Które przeważnie są jednym i tym samym, tylko z różnych przyczyn inaczej się nazywają.

Druga?

Druga – o szukaniu korzeni, śladów, ruin i pozostałości, o nielegalnych powrotach wygnańców. O tym, jak rozpoznają swoich po tajemnych znakach i przeżywają. Natomiast trzecia jest lustrzanym odbiciem drugiej.

Dlaczego?

Bo trzecia jest o odcinaniu się od korzeni i zacieraniu śladów, o iluzji wyzwolenia, o jego niemożności. O snach, które i tak się śnią. A czwarta o Europejskiej podróży do Ameryki, o *rozszerzonej Europie* świadomości, czyli pamięci i nadziei.

Spodobało ci się w Ameryce?

Raczej tak niż nie. Teraz przyjęło się mówić o niej źle – na wszelki wypadek.

Ale dlaczego mówisz, że Ameryka to rozszerzona świadomość Europy?

Pamiętasz, pisałem o srebrnym pierścieniu z inicjałami M. A.

No tak. Należał do twojego dziadka.

Właśnie tak! Muszę przyznać, że jesteś czytelnikiem obdarzonym fenomenalną pamięcią. Dała mi go babcia na czternaste urodziny. Wyobrażasz sobie, mój ojciec nigdy go nie nosił – powinien go dostać następny spadkobierca, i tak co pokolenie. Zdjęto go z palca dziadka w chwili, gdy ten był już martwy. Przypuszczam, że od razu, bezzwłocznie – póki

dało się go jeszcze ściągnąć z palca. Więc to nie był taki sobie zwykły pierścień.

Ale co ma do tego Ameryka?

A to. Nosiłem ten pierścień przez całe dwadzieścia sześć lat. W tym czasie pewnego razu zdarzył się koszmar: zgubiłem go. Byliśmy studentami i zapierdalaliśmy w polu. Długaśne rządki kartofli, które ciągną się od nas aż po horyzont. Zbieramy te ziemniaki za traktorem i napełniamy nimi kosze.

Nie to chciałem usłyszeć.

Nie śpiesz się. Nagle zauważam, że pierścień przepadł. Po prostu zsunął mi się z palca – i koniec. Wyobrażasz sobie te hektary czarnego pola? To tak samo, jak płynąć po oceanie i cisnąć go, ten pierścień, z górnego pokładu w morską głębinę. To znaczy wszystko przepadło!

Rozumiem.

Nic nie rozumiesz! To znaczy nie możesz sobie wyobrazić mojej rozpaczy. To było tak, jakby stać na dachu drapacza chmur i wypuścić z rąk dziecko.

Rozumiem.

I nagle słyszę, jak Jurek Kurmyszew – który szedł w moim rzędzie gdzieś pięćset kroków za mną – krzyczy: „Piwo, Jurek, mam u ciebie duże piwo!". Odwracam się i biegnę do niego, jeszcze nawet nie wierzę w to szczęście. A on – patrzy na mnie – „Dwa piwa, nie, trzy, nie, skrzynkę piwa, nie, skrzynkę piwa i butelkę wódki!". Jakim cudem wyczuł ten malutki kawałeczek srebra w przeoranej grudzie?

Czyli skoczył na główkę z górnego pokładu w wody oceanu i...

...i kiedy dziecko leciało w dół, na wysokości pięćdziesiątego piętra złapał je Batman-cudotwórca. To było cudowne.

Aha, i w tym widzisz związek z Ameryką?

Ależ nie. Po prostu minęło jeszcze dwadzieścia lat i znów zgubiłem ten pierścień. I tym razem na zawsze. Myślę, że przez to, że zdążyłem właśnie napisać o nim i nawet wydać tę historię w książce. I od razu go zabrakło. Pochłonęła go Ameryka, stan Pensylwania.

Jak to się stało?

Żebym to ja wiedział! Po prostu łypnąłem na serdeczny palec – a pierścienia nie ma. Potem jeszcze całe dziewięć miesięcy miałem nadzieję, że go znajdę. Ale nawet kiedy ostatniego dnia razem z Michaelem Naydanem rozkręciliśmy wszystkie nasze pożyczone meble, nigdzie go nie było. Dlatego mówię, że Ameryka – to taka sobie rozszerzona świadomość Europy. Rozpuszcza w sobie europejską pamięć i ją neutralizuje. Nie gardząc również konfiskatą dowodów rzeczowych. Nigdzie na świecie nie widziałem na drogach tylu zabitych przez samochody i rozmazanych po asfalcie zwierząt. Najczęściej saren. Potem mi się śniły.

Czyli amerykańskie sny – to dzikie zwierzęta, które próbują przeciąć highway?

Muszą. To instynkt rozrodczy. Samce i samice z jakiegoś powodu przeważnie znajdują się po różnych stronach autostrady.

A co się śni Europie?

Pamiętasz Romę Woronycz?

Jak ją zapomnieć?!

We śnie widziała swoje piersi znacznie większe, niż były naprawdę. Tak właśnie jest z Europą. W swoich snach widzi się znacznie większą, niż jest naprawdę. Widzi się rzeczywiście *rozszerzoną*, kolorową, muzułmańską, indyjską, chińską, afrykańską, przedcywilizacyjną. Czyli chaotyczną, inną, Nie-Europą, Ameryką, Rosją.

I Rosją też?

To staje się jej prawdziwym koszmarem – uciekanie przed sobą samą, naruszanie własnych granic i paniczne budowanie nowych, ale nie tam i nie tych – jak to zawsze bywa w snach. Słuchaj, może by wziąć butelczynę brandy na daleką podróż do Ostkreuz? Tutaj na Hackescher Markt muszą sprzedawać jakiś alkohol.

To nie problem.

Mhm, ja też tak myślę. No tak. W swoich najstraszniejszych snach Europa do dziś widzi obce armie na ulicach podbitych

miast. Staje się kobietą i wciąż pragnie dokądś uciec przed pijanymi żołnierzami gwałcicielami.

Uciec przed żołnierzami?

Tak, od ich męskiego, nieznośnie ostrego zapachu. Możesz sobie wyobrazić smród starych żołnierzy?

Szczególnie jeśli chodzi o pachwiny.

I o wojnę trzydziestoletnią. O stare żołnierskie pachwiny z czasów wojny trzydziestoletniej.

Koszmar!

Pewnie. A ty jeszcze pytasz, co jej się śni.

* * *

Powiedz no: te gejowskie flagi, wywieszone z tylu okien – czy to czasem nie kapitulacja?

Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

Czyli to zwycięska demonstracja wolnych ludzi w wolnym państwie?

Coś takiego. Prawie zgadłeś.

Péter Zilahy teraz mieszka w Rzymie. Całkiem niedaleko Campo de' Fiori. To ten sam plac, gdzie spalili Giordana Bruna. Jest tam nawet jego pomnik – w kapturze opuszczonym na oczy. Ale tam spalili nie tylko jego. Tam w ogóle palili. Jednak niesamowite jest nie to, że w ogóle palili, ale to, że w dziewięciu dziesiątych to byli geje – ci, których palono. To znaczy, wyobrażasz sobie, jak dużo gejów było w średniowieczu! Jak ryzykowali, spotykając się w tym życiu, rozpoznając swoich. I potem ta konspiracja nie na życie, ale na śmierć, te tajemne schadzki w jakichś najciemniejszych śmierdzących kloakach! Mało który z nich umierał naturalną śmiercią, wszystkich pochłaniał ogień.

To Giordano Bruno też?

Do pewnego stopnia. On w każdym razie był przedstawicielem wielce niebezpiecznej mniejszości. Tak jak i inny Bruno – Schulz.

W obozach koncentracyjnych ich kolorem był różowy.

A powinny być wszystkie kolory tęczy.

To nie jest śmieszne.

Wiem. To znaczy wybacz, jeśli niechcący naruszyłem poprawność polityczną. I do tego poruszyłem twoją orientację.

Nie chodzi o mnie. Ja raczej – jak to nazywacie – jestem normalny.

Hetero.

Chociaż czasami odczuwam w sobie zadatki na biseksualistę.

Ha! Zadatki! Ładnie powiedziane. No i jest Aleksanderplatz. Zwykle tutaj wysiadałem z ekspresu z lotniska, kiedy przyjeżdżałem z Jüterboga na jeden dzień do Berlina. Dalej szedłem piechotą – Karl-Liebknecht-Straße, Unter den Linden, no i tak dalej. Albo przesiadałem się w U2 i jechałem jeszcze jedną stację do Klubu Polskich Nieudaczników.

To ci, którzy położyli cię na kanapie?

Położyli na kanapie, przykryli pledem, przynieśli wodę mineralną i zgasili światło. I tylko OK siedziała przy mnie w całkowitej ciszy. Miała skrzydła, chociaż z naszej dwójki z jakiegoś powodu mnie uważała za anioła. Ale to nie ma znaczenia, ważne, że siedziała przy mnie i dookoła stopniowo zagęszczał się mrok – aż wreszcie udało mi się zobaczyć jej niewielkie skrzydła. I tak zostałem uratowany. Moje życie uratowali polscy nieudacznicy z decydującym udziałem OK. Uważaj, znów wszystko rozkopane, znów jakaś, kurwa, budowa. Ale jaki ogromny ten plac! Niech to diabli, to miasto dobrze nie skończy.

Ale je lubisz, nieprawdaż?

No tak, pewnie. To jedno z moich centrów. Moich i Europy.

Twojej Europy? Jest ich więcej niż jedno? Gdzie leżą?

Wszędzie tam, gdzie przebiegają jej granice. Tam gdzie Europa myśli, że się kończy, tam jest jej centrum. Przede wszystkim w Indiach, gdzie zgodnie z odwiecznymi opisami i halucynacjami, Piekielna Otchłań niczym nie różni się od Bram Nieba – chodzi tylko o dwa warianty tej samej próżni.

Co nazywasz próżnią?

Próżnią nazywam próżnię. A jeszcze centra na Bliskim Wschodzie, na Kaukazie, w Karpatach Wschodnich. Chociaż o Karpatach Wschodnich wszystko wiesz, nie muszę znowu powtarzać tego zawołania – *stałe, dokładne, wieczne miejsce*. Na pewno jeszcze w Kraju Basków, w Maroku, w Transylwanii, w Pensylwanii. Tam jest nawet takie rusińsko-karpackie miasteczko – Centralia. Ziemia pod nim jest strasznie gorąca. To dlatego że w jej wnętrzu pali się już pół wieku węgiel. I nikt nie może zgasić tego pożaru.

Ale dlaczego nazywasz to miejsce jednym z centrów Europy?

Dlatego że tam mieszkają Łemkowie. Przynieśli swoje centrum ze sobą – tak jak swoją drewnianą cerkiew. Centra Europy są wędrowne, przemieszczają się razem z ludźmi. Przepraszam, że używam tego słowa – ale to jak serce. Ono jest w środku.

W środku czego?

Być może pierwszej lepszej ryby. Z tych, które umieją z wysiłkiem pracować płetwami i pokonywać słodki opór prądu – tylko po to żeby nie wiedzieć czemu przebijać się ze swoich mórz i oceanów w górę rzekami do ostatniego w ostatnim z lasów czarnego jeziora, już niemal bagna. Popatrz, jaka cudowna para.

O kim mówisz?

Właśnie wsiedli, na Jannowitzbrücke.

I co dalej?

Widzę to już nie pierwszy raz. Właśnie takie połączenie: starsza szacowna dama z młodziutkim Murzynem. Są kochankami, bez żadnych wątpliwości.

To cię interesuje?

Jak to nazwać – neokolonializm? Drugie zniewolenie Afryki? Czy odwrotnie – Europy? Ktoś kogoś jawnie zniewala – tylko kto kogo?

Naprawdę często to widzisz?

Tak, po prostu nie mogę nie zwracać uwagi. To jakaś moda: starsze konserwatywne damy i czarni młodzieńcy. Częściej widuję tylko starszych panów z malutkimi Thai girls. Starość

kupuje młodość. Oni nawet między sobą nie rozmawiają. Myślę, że chodzi tu tylko o pieniądze.

Ależ jesteś domyślny! Ja też tak sądzę.

I właśnie dlatego, kurwa mać, nigdy nie zauważyłem czegoś przeciwnego – powiedzmy, stara Murzynka z młodziutkim białym.

Ale teoretycznie i to jest możliwe.

Jestem całkowicie za. W ogóle jestem za równością i sprawiedliwością. Ostbahnhof?

Tak. Jedziemy jeszcze dwie stacje.

W dziewięćdziesiątym trzecim wysiedliśmy z pociągu z Kijowa i od razu obstąpiły nas punki z ognistymi irokezami i włochatymi psami. Było nas z dziesięciu – i wszyscy to ukraińscy poeci. Niektórzy w czapkach z króli, bo działo się to w grudniu.

Agresywni? Ci punkowcy?

Nie, co ty – pokojowi. Po prostu poeta Mykoła Samijlenko przysmażył w przejściu podziemnym jakiegoś naszego termojądrowego papierosa bez filtra. Rzucili się na zapach. Chcieli, żeby podarował im paczkę.

I podarował?

Oni wciskali mu jakieś swoje – proponowali, żeby się zamienił. A on tylko łypał na nich, ogólnie rzecz biorąc, dość nieporadnie. Stary człowiek, bohater ruchu oporu, partyzant. Ich pies skakał przednimi łapami na jego ramiona i ogon mało mu się nie urwał od machania.

To znak miłości.

Niby tak. Ale starego to bardzo spinało. Wtedy przyszedłem mu z pomocą.

I jak – pomogłeś?

Wciąż powtarzał: „Jurko, Jurko, przetłumacz im, co ja chcę powiedzieć, dobrze?".

I co to miało być?

Mniej więcej coś takiego: „Jurko, Jurko, przetłumacz im, że w czasie wojny ich napierdalaliśmy!".

Ha, i przetłumaczyłeś?

Nie, mój niemiecki wtedy nie był jeszcze tak błyskotliwy.

Rozumiem. I na tym się rozstaliście?

Rozstaliśmy się w przyjaźni. Co prawda przypomniałem sobie, że to było nie tu. Nie na Ostbahnhofie, ale na Lichtenbergu. Nasz pociąg z Kijowa z jakiegoś powodu puszczają tylko do stacji Berlin-Lichtenberg. Nawet ten Ostbahnhof nie jest dla nich dostatecznie wschodni!

Za to z Lichtenberga można bez przesiadek dojechać do Saratowa i Astany.

I to nie może nie cieszyć. Odizolowano nas na najbardziej wschodnich granicach Berlina. Diabli nadali, znowu kanary!

Rzeczywiście pełno ich w Berlinie. Tak rozwiązuje się problem bezrobocia. Don't worry. Już się was nie da odizolować.

Jesteśmy wszędzie. W tym wagonie połowa pasażerów mówi po rosyjsku. A druga połowa – po polsku.

Z wyjątkiem Wietnamczyków.

Ich teraz nie bierzemy pod uwagę. Jeśli uznać, że Ukraina leży gdzieś pomiędzy tymi dwiema nacjami, to ten wagon, uśredniając, mówi po ukraińsku. To skrzyżowanie.

Czego z czym?

Jednej Europy z drugą.

I gdzie to krzyżowanie się odbywa?

Za każdym razem gdzie indziej: na lotniskach, dworcach, w metropoliach. W berlińskich knajpach i na amerykańskich uniwersytetach, a także w więzieniach, na poligonach, na wojnie czeczeńskiej.

Oho, nawet tam?

Wszędzie, gdzie przebiegają wododziały i rozłamy cywilizacyjne. Warschauerstraße. Wysiadamy na następnej?

Tak, Ostkreuz. Stąd Türrschmidtstraße w kierunku Nöldnerplatz, ale nie do końca. Zresztą to nie twój problem. Mówiliśmy o krzyżowaniu Europ.

Jedno z nich zdarzyło się w zimnym Kijowie pod koniec dwa tysiące czwartego roku – jedyne co robiliśmy, to pomagaliśmy sobie nawzajem wystać na tym mrozie. To znaczy

śpiewaliśmy, skandowaliśmy i trzymaliśmy się za ręce. I dzieliliśmy się z naszymi przeciwnikami ciepłymi ubraniami i gorącym jedzeniem.

Pięknie to brzmi.

Trzymaliśmy się za ręce, żeby nie pogubić się w tłumie. Było nas z milion. Dwa tygodnie święta – w dzień i w nocy. Staliśmy się Brazylijczykami w czasie karnawału. Czuliśmy się niewymownie szczęśliwi i bezpieczni. Niebawem stało się jasne, że byliśmy o włos od rozlewu krwi. Uratowała nas ochronna warstwa Europy – grubości włosa.

Gotów byłeś umrzeć?

Jeśli powiem „tak", i tak mi nie uwierzysz.

Ale chcesz powiedzieć „tak"?

Jeśli mam być szczery – tak.

* * *

Co ci się najbardziej podoba w Berlinie?

Strasznie lubię psy. Berlińskie psy – to absolutna inteligencja. Nawet bez alkoholu mógłbym ucałować każdego z nich.

Spróbuj, na przykład tego.

Nie chcę obrazić właściciela. Dziwne. Przy całej swojej miłości do psów zawsze piszę o nich coś złego. To jakieś nieporozumienie, ale robię to – jak przyjęło się w takich wypadkach mówić – z godną zazdrości konsekwencją.

Więc, to nie przypadek.

W *Rekreacjach* szczuję całą wściekłą zgrają Grzesia Chromolskiego. Przechodzi, brodząc przez Rzekę, a one zostają, dławiąc się bezsilnym szczekaniem na drugim brzegu. Porównuję je do weteranów enkawude. Zgroza!

Byłeś pogryziony w dzieciństwie?

Nie przypominam sobie. Raczej nie. Chyba że przez pchły Drużka. W dzieciństwie miałem Drużka. Od czasu do czasu puszczał się biegiem i przepadał na całe tygodnie. Ale zawsze wracał całkiem zapchlony. Babcia urządzała mu za to kąpiel gazową. Wyobrażam sobie, jak go to drażniło, ten

zapach nafty. Węch psa jest tysiąc razy bardziej czuły niż ludzki, wyobrażasz sobie?

Tak naprawdę w ich nosach jest czterdzieści razy więcej receptorów niż w waszych. To znaczy naszych.

I jak on to znosił, biedaczysko! Sztynk od niego był jak z rafinerii. Wszystkie okoliczne dziewczynki odwracały się jak od mechanika. I nawet nie chciały pokręcić przed nim swoimi tylnymi częściami. Dobra – następna była *Moscoviada*.

Pojawiają się w niej jakieś proimperialne *psy, które szczekają w środku nocy na moskiewskich podwórkach.*

No tak, widzisz – znów, kurwa, negatyw! W *Perwersji* wściekle rzucają się na łańcuchach, zobaczywszy nieznajome dwunogi na pilnowanym terenie.

Tam jeszcze jest rottweiler.

A ty skąd wiesz?

Czarny rottweiler w zapaskudzonych pracami remontowymi korytarzach nocnego Casa Farfarello. On też jest na łańcuchu.

Przyjemnie mnie zaskoczyłeś. A w *Dwunastu kręgach*?

Jakieś wyobrażone bulteriery i ich wyobrażone szczekanie. Chociaż one, jak się okazuje, to tylko jedna z możliwości rozwoju opowieści. I z niej jednak rezygnujesz.

Naprawdę przyjemnie mnie zaskakujesz! No, stary, aleś obeznany, jestem z ciebie dumny.

Chodzi mi o to, żeby znać ciebie.

Dziękuję!

Pamiętasz, czego się najbardziej bałeś w dzieciństwie?

Oho! W takim razie daj mi jeszcze łyknąć. Jak długo mamy siedzieć na tej głupawej ławce?

Aż pojawi się chłopak zielarz. Zaczekamy jeszcze z pół godziny, nie dłużej.

Okej. Pierwszego dnia niby wiele różnych rzeczy ci naopowiadałem o dzieciństwie. Szczególnie o tym, czego się najbardziej bałem. Masz wszystko nagrane, posłuchasz sobie.

Ale nie całkiem wszystko.

Oczywiście, każda opowieść musi stanowić swoisty wybór.

Interesują mnie głębokie warstwy, pierwsze lata życia. Dlaczego wiecznie śnią ci się jacyś wędrowni dziadowie z workami i laskami.

Oho, i takie rzeczy wiesz!

Piszesz o tym w Środkowowschodnich rewizjach.

Chyba ktoś taki kiedyś naprawdę biegł za mną. Nie pamiętam. Być może mnie dogonił. Może mnie dogonił. Mogłem upaść, a potem potoczyć się zboczem wzgórza w dół, cały w zielonym soku z trawy. Mogłem się toczyć i widzieć nad sobą potworną kudłatą głowę z wytrzeszczonymi oczami.

Piwnica. Całkowicie ciemna piwnica.

To znaczy?

Idź za moimi znakami. Krzaki agrestu, alejki wysypane żwirem, pokryte różowymi płatkami i bielone krawężniki.

Zapach chloru. Nieznośny smród chloru z piwnicy.

Groziła, że nieposłusznych będzie zamykać w tej piwnicy na noc.

Mówiłem już o tym, czy po prostu się domyślasz?

Jeszcze o tym nie mówiłeś. Jeszcze powiesz.

* * *

Tym razem się udało. Mamy. Jednak obawiam się, że to ostatni raz.

Co, śledzą go?

Na to wygląda. Tych dwóch typów, co niby grali w tryktraka. Tacy sobie bezrobotni Turcy.

Co mu za to grozi?

Kara jest dosyć surowa. On ma tam, zdaje się, nie tylko trawę. Lepiej o tym nie myśleć i spadać jak najdalej stąd.

Dokąd teraz?

Spróbujemy uciec na zachód. Ładnie brzmi?

Brzmi dosyć tradycyjnie – jak w westernie. Przesiadamy się do okrężnej?

Tak. Pojedziemy z Ostkreuz na Westkreuz.

Czyli przeskoczymy z krzyża na krzyż. Ze wschodu na zachód.

Właśnie. Potem jeszcze jedna stacja do Grunewaldu – i rozpłyniemy się w lesie.

Lasu nie opuścił już nigdy.

Herman Hesse?

Harry Haller. Popatrz, to oni znowu.

Ci sami?

Albo bardzo podobni do tamtych. Przynajmniej w tym samym składzie. Saksofon, akordeon, gitara.

To mogą być inni. Teraz w Berlinie są setki, jeśli nie tysiące takich cygańskich triów. Zawsze w tym samym składzie. Zdarza się jeszcze co prawda trąbka. Albo tamburyn. Ale saksofon musi być obowiązkowo.

Niech to diabli, ileż saksofonów! Zawsze marzyłem, żeby zarabiać na życie muzyką. Pójdę o zakład, jak tylko ruszymy, zaczną grać Bregovicia.

Skąd ta pewność?

Zazwyczaj uczą się nie więcej niż jednej, dwóch melodii. Biorą pod uwagę to, że przejazd między dwiema sąsiednimi stacjami s-bahnu trwa średnio od dwóch do pięciu minut. Tego czasu ledwie wystarcza na jedną melodię plus przejść się po wagonie, by zebrać pieniądze. Na stacji przeskakują do innego wagonu. Tam zaczynają od zera, bo publika też jest od zera. Czyli znów grają jedną i tę samą melodię. Druga zostaje w zapasie. Tylko jak oni to wytrzymują – sto tysięcy razy dziennie zagrać *Ederlezi*! À propos. Przeżyłem na tym świecie aż trzydzieści dziewięć lat, nim pewnego dnia trafiłem do Budapesztu. Ale zawsze jakoś go sobie wyobrażałem, ten Budapeszt – zanim do niego trafiłem. Jakieś nocne pasaże z samotnymi latarniami i takimi stareńkimi knajpami, w których wiecznie przesiadują Cyganie z gitarami, sączą czerwone wino i śpiewają *Ederlezi*. Całkowity kicz!

I wreszcie tam trafiłeś...

I wszystko okazało się dokładnie takie. Wyobrażasz sobie, wszystko – pasaże, samotne latarnie i kiedy gdzieś o północy Péter zaprowadził mnie do jakiejś knajpy, to tam przy jednym ze stołów siedziało z piętnastu Cyganów z gitarami.

I sączyli swoje czerwone wino i wyśpiewywali *Ederlezi*. No, jak to, kurwa, może być?

Nie powinno cię to aż tak drażnić. Przecież mówisz, że niby sam marzyłeś, by zarabiać na życie muzyką.

To prawda. Ale za każdym razem inną. Nie taką. W latach szkolnych marzyłem o podziemnym studiu nagrań. Chciałem wydawać pirackie albumy, a także propagandę wojny, przemocy i pornografię. Nie gram na żadnym instrumencie, jak wiesz.

Oni też. Tak naprawdę to nie są żadni muzycy.

O tym wiedzą wszyscy. Dlatego prawie nikt nie daje im żadnych pieniędzy. Ale i tak po jakimś euro od wagonu udaje im się wytrząsnąć. Euro od wagonu – to od siedmiu do dziesięciu euro od pociągu. Czemu tak długo stoimy?

To w końcu Ostkreuz. Stacja przesiadkowa.

Wątpliwe, żeby to – weźmy maksimum – dziesięć euro z jednego pociągu mogło im wystarczyć do przeżycia.

Pewnie nie wystarcza. Tak naprawdę handlują dziećmi, prostytutkami i narkotykami.

A muzyka w pociągach to tylko dla przyjemności? Pięknie! Wśród nich są tak zwani płaszczuni. Specjalizują się wyłącznie w zabójstwach na zamówienie. I to wyłącznie księży. Może za księży jest inny cennik. Słuchaj, zaraz dojdzie do tego, że trzeba będzie ich pozaganiać do jakichś obozów i dobrze zdezynfekować.

Ruszamy.

No, to uwaga! Słuchamy *Ederlezi*! W gorszym wypadku – *Bubamary*!

Jak na moje ucho, to coś całkiem innego.

Czyżby? O shit! Nie, tylko nie to! Kto ich nauczył tego gówna? Czyżby w ich Macedonii czy Albanii też wszystkim odbiło? A ja miałem zamiar dać im dwadzieścia centów!

To przypomina Fale Amuru.

A także *Podmoskowskije wiecziera*, *Katiuszę*, *Kalinkę* i *Oczi cziornyje*. Jak długo będą trwać te tortury?

Do Treptower Park, przecież sam wiesz. Jesteśmy już blisko.

Czyli wybraliśmy drogę południową?

Na oko jest trochę bliżej. Do tego możemy zrobić pełne koło.

Nie zrobimy, dlatego że nie starczy nam alkoholu. Już nam go nie starcza. Nie, daleki jestem od tego, żeby wymagać od nich jakiegoś tam Gustava Mahlera, ale jak dobrze, że wreszcie się skończyło! Aha, pewnie, ten dziadek w typie dysydenta nie mógł im nie sypnąć trochę miedziaków! Nic tylko były agent Stasi!

Nie bądź aż taki złośliwy!

To przedstawienie dla ciebie! Jak to, nie rozumiesz? Pod nami Sprewa?

Oczywiście.

A co znaczą ci dwaj wielcy kolesie, którzy stoją po kolana w wodzie, niczym Golem i Goliat? Niczym Sacco i Vanzetti? Erich i Maria? Niczym Piotr i Paweł?

To chyba my. To nasz pomnik. Chociaż tak naprawdę jest ich nie dwóch, ale trzech.

Szkoda, nie zdążyłem się przyjrzeć.

Stąd i tak nigdy nie widać, że naprawdę jest ich trzech. Mogę zadać niespodziewane pytanie?

Wszystkie twoje pytania są niespodziewane – umówiliśmy się. Przeważnie udaje ci się znienacka mnie podejść.

Spróbuję raz jeszcze. Czego najbardziej chcesz od życia?

Oho, a ja nawet nie zdążyłem zauważyć, że ty już – jak by to powiedzieć – popłynąłeś. No, dobrze, w takim razie pytaj o jego, życia, sens. Zdaje się, już dojrzałeś i do takich rzeczy.

Mam w torbie jeszcze jedną butelkę. Pełną.

To strasznie przyjemna wiadomość. Oddaj pustą temu kloszowi z napisem „Army of Lovers" na kurtce. Mocno ci podziękuje. Rozumiesz, kiedy zaczynamy formułować takie pytania i – co gorsza – odpowiadać na nie, nie możemy uniknąć wpadania w falset. Jak na przykład: życie to sekundy i są w nim takie, które kocham. I z nimi chce się być, ale tak, żeby i odchodziły, i wracały. Nie śmiem czegoś jeszcze chcieć od życia, bo właśnie tym obdarowało mnie do

oporu, niczym jakiegoś tam Goethego. Pozostaje mi stopniowo napełniać się wdzięcznością, niczym pęcherz moczem. À propos, jak długo jedzie się do Westkreuz? Nieźle by było gdzieś się odlać.

A gdzie teraz jesteśmy? Sonnenallee. No, to w takim razie mniej niż pół godziny.

No i znów przekraczamy granicę państwową. Chociaż po diabła pytam, i tak to wiadomo. Kiedy tylko do wagonu wchodzą ci tak zwani kontrolerzy, to znaczy, że znów jesteśmy na granicy.

Poprzednim razem wsiedli na Ostbahnhofie. I żadnej granicy tam nie było.

To znaczy, że jeszcze będzie. Jeśli już tam wsiedli, to coś znaczy.

O czym ty mówisz?

Żartuję. Dlaczego nie spytasz, który z Berlinów podoba mi się bardziej – Wschodni czy Zachodni?

A który?

Nigdy nie mieszkałem we Wschodnim. Z wyjątkiem kilku hoteli, ale w hotelach się nie mieszka, w hotelach się zatrzymuje. Słuchaj, byłem po prostu oszołomiony, kiedy dowiedziałem się, że ten podział istniał wcześniej niż mur. Czyli, że to miasto już przed pierwszą wojną światową dzieliło się na dwa Berliny. Z których jeden był proletariacki i obdarty, Wschodni, a drugi – burżuazyjny i wykurwiście bogaty, Zachodni.

Wszystkie miasta są podzielone w ten sposób.

Na Wschodnie i Zachodnie?

Na górne i dolne. Neukölln.

Neukölln – to Kreuzberg?

Neukölln – to Neukölln. Kreuzberg zaczyna się bardziej na zachód. Zahaczymy o niego na Hermanstraße.

Szkoda, że nie zwróciłeś uwagi na Ninę Hagen.

Gdzie, na peronie?

Nie, na billboardzie. Tam było napisane Nina Hagen & The Capital Dance Orchestra. Nie, naprawdę upadek muru ber-

lińskiego tylko przyspieszył dojście do władzy Hitlera, jak o tym słusznie napisał Indryk.

Nie bardzo rozumiem.

To wymaga rezygnacji z myślenia liniowego. Zwróć uwagę na Lankijczyka. Już siedem minut bez przerwy nawija przez telefon. Jego rozmówca musi chyba być wyjątkowo zgodną i cierpliwą osobą. Jeśli po tamtej stronie on w ogóle ma jakiegoś rozmówcę. Nie możemy wykluczyć, że po prostu udaje – dla ciebie i dla mnie, na przykład. Ale jak metafizycznie brzmi – „po tamtej stronie!". Chociaż chyba w takich wypadkach trzeba mówić jak Antonycz – „na drugim brzegu".

Najprawdopodobniej nagrywa się na sekretarkę.

Już siedem, gdzie tam – osiem minut?! Co, *Ramajanę* nagrywa?

Niech to zostanie jego tajemnicą. Naprawdę wszystko doskonale – Tempelhof.

Boże, jaka pustka! Taka wyrwa – i to w samym środku Berlina. Stąd latają jakieś samoloty?

W każdym razie lądują na tym polu.

Kiedy Lopez mówi, że mieszka w Tempelhofie, to od razu wyobrażam sobie jakieś hangary i pas startowy, i jak co wieczór przekrada się przez dziurę w żelbetonowym murze i co wieczór niebacznie drze spodnie o drut kolczasty. I potem krótkimi skokami – żeby nie trafić w światło ruchomego reflektora – przeczekując, leżąc za krzakami, w końcu dostaje się do swojego noclegu i płochliwie, po zajęczemu, zasypia na zestawionych do kupy skrzynkach w jakimś schronie przeciwlotniczym, a rano budzą go pierwsze samoloty, już gdzieś o szóstej.

Kim jest Lopez?

Być może cię z nim poznam. Warto, żebyście się poznali. Mam wrażenie, że trafiliśmy do epoki wczesnego przemysłowego kapitalizmu.

A to niby dlaczego?

A ja też nie wiem „niby dlaczego", ale spójrz na ten teren za oknem. I tak nie zdołasz mi wyjaśnić, o co tu chodzi w tym

całym industrialu. Bo nigdy nie interesowałeś się starymi fabrykami.

Ale interesuje mnie to, że ty się nimi interesowałeś.

Jak to się nazywało – Pappestraße? Nie widzę tam żadnej topoli.

Papestraße. Nie miało ich tu być.

Rozumiesz, to że się nimi interesowałem – to trochę za słabo powiedziane. To jak wieczne déjà vu. W dzieciństwie potajemnie łaziliśmy na teren sześćdziesiątej trzeciej fabryki i staraliśmy się zakosić stamtąd różne graty. Do samopałów na przykład. Bez wątpienia naszym wrogiem numer jeden był pan Kajda, tamtejszy stróż. Kładliśmy się w porosłym zakurzonymi łopianami rowie i śledziliśmy każdy jego krok. Tam był jeszcze staw i hodowali w nim jakieś rachityczne karpie. Pan Kajda lubił powędkować i zapominał wtedy o całym świecie. A my w tym czasie zdążaliśmy zajebać mnóstwo drutu i żelastwa.

Co to jest „samopał"?

Pistolet własnej roboty. Jakby się mocno postarać, można było zabić z niego człowieka.

Czym strzelał?

Robiliśmy takie specjalne hacele z drutu. Kiedy się nimi trafiło, można było wywołać bolesny szok. No tak – popatrz, jak pięknie tam pod nami, na dole, te tory, ta zieleń między nimi, ten mech! Najbardziej lubię, kiedy zieleń przedziera się przez metal, obrasta go, owija, kiedy trawa zajmuje przemysłowe ruiny.

To Schöneberg.

Jasne. Ile jeszcze stacji?

Do Westkreuz sześć. Wytrzymamy.

No tak – pan Kajda, stróż, nigdy w życiu nie zdołałby nas sam dogonić, bo miał drewnianą nogę. Czy jakąś tam inną, nie wiem. W każdym razie protezę. Ale jego suka, ta czarna Aza z wiecznie wiszącymi do ziemi cyckami! To ona przegryzła udo młodszemu Twardochlebowi.

Teraz rozumiem.

Co takiego?

Temat psów. Dlaczego są u ciebie zawsze złe.

A, to! Jednak jesteś psychoanalitykiem? Czy chodzi ci o coś innego?

Staram się zadawać ci pytania, których sam sobie nie zadasz.

Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony. Jesteś prawdziwym kolegą. Za to trzeba wypić.

* * *

Dlaczego wciąż milczysz?

Staram się nie przeszkadzać w otwieraniu się twoich wspomnień.

Słuchaj, jakie może być otwieranie, kiedy właśnie weszła ta sama Mulateczka, która była wcześniej na Friedrichstraße!

Jesteś pewien, że ta sama?

Możesz mi wierzyć – ja ci to mówię! Niech to diabli, dlaczego wciąż wpadamy na tych samych ludzi?

To niekoniecznie jest ta sama. Wiesz, ile w Berlinie jest Mulateczek?

Masz mnie za idiotę. Przecież ja nie tak po prostu gapię się na tyłki – ja je zapamiętuję! Przyjrzyj się uważniej – przypomnisz sobie. Możemy nawet przesiąść się do przodu, bliżej niej.

Ale ona siedzi.

No to co?

Jej pośladków na razie nie widać. Jak ją rozpoznam?

Za to jest potylica. Półobrót głowy. Jeśli do niej zagadasz, będzie pełen obrót.

Zagadać do niej?

Pewnie. Nie wątpię, że nie spuszcza z nas oka. Możesz sobie wyobrazić, żeby w mieście, które ma kilka milionów mieszkańców...

Niecałe cztery.

...dziękuję, żebyś w takim mieście dwa razy w ciągu dnia –

a gdzie tam, w ciągu dwóch, trzech godzin trafił na tę samą nieznajomą osobę? Przy czym w tak oddalonych miejscach, jak Friedrichstraße i Innsbrucker Platz?

To Bundesplatz.

Tym bardziej. Jestem przekonany, że ona z jakiegoś powodu jedzie za nami. Powinieneś do niej zagadać.

Dlaczego ja, a nie ty?

Dlatego że ona mnie rozgryzie po akcencie. Po moim środkowoeuropejskim akcencie. Kiedy György Konrád znienacka wszedł do sali i usłyszał, jak czytam fragment *Dwunastu kręgów*, od razu przecież zapytał: „A kto tu tak piłuje po lembersku?". Ty, ty powinieneś do niej zagadać.

I co dalej?

Zaproponuj jej seks. Robiłeś to kiedyś we trójkę z Mulatką?

A, o to ci chodzi.

Przede wszystkim chodzi mi o poznanie prawdy. Kto ją podesłał... Dlaczego cały dzień się koło nas kręci. Takie rzeczy najlepiej wyjaśnia się w łóżku. Weźmiemy ją w krzyżowy ogień pytań.

Zdaje się, że wysiada.

Dlaczego?

Nie wiem. Po prostu dojechała na miejsce.

A my?

My jedziemy dalej. To dopiero Heidelberger Platz.

Nie rozumiem. W ten sposób nas zgubi!

Nie zgubi. W ogóle nie jesteśmy jej potrzebni.

Czyżby to inna?

Popatrz sam. Teraz masz możliwość zobaczyć, jak pójdzie peronem. A dokładniej, jej pośladki.

Miałeś rację. To inna. Teraz nie mam żadnej wątpliwości.

* * *

To stacja Grunewald.

Wiem, nie musisz powtarzać. Poza tym przeczytałem przecież jej nazwę na peronie.

I ten las to Grunewald.

Fantastycznie. Wejdziemy do niego?

Tak. Byłeś tu już kiedyś?

Nie przypominam sobie. Może we śnie. Albo w dzieciństwie. Trochę tu podobnie jak na przedmieściach Pragi, tylko świerszcze nie zabrzmiały jeszcze w przydrożnej trawie.

Początek kwietnia, za wcześnie na świerszcze.

A jak ci się podoba ta piwodajnia w prowincjonalnym stylu? „Landkneipe" – to mówi wszystko!

Parę kroków stąd jest jeszcze „Waldklause".

Ale ładnie – Waldklause! Waldeinsamkeit, leśna samotność. Ludwig Tieck napisał taką jedną straszną bajkę – *Jasnowłosy Eckbert*. Pojawia się w niej cudowny ptak, który umie śpiewać ludzkim głosem. I co noc śpiewa o Waldeinsamkeit, dopóki ten sukinsyn Eckbert nie ukręci mu głowy. Możesz sobie wyobrazić, że kiedyś tłumaczyłem Ludwiga Tiecka?

Chyba tylko wyobrazić. A ten plac nazywa się Schmetterlingsplatz.*

Ha, no pewnie – jakże bez Nabokova? Tylko wewnętrznie zbliżam się do tego, żeby powiedzieć, że to pewnie nabokowskie miejsce, a on sam jest tuż-tuż – ze wszystkimi swoimi motylami.

Pójdziemy prosto Dauerwaldweg, a potem lasem na skróty.

Na skróty dokąd?

Zobaczymy. Jeszcze ci się spodoba.

Jak na razie podoba mi się to, że przecinamy powietrze w tych samych współrzędnych co młody Nabokov. Wyobrażasz sobie – jakieś osiemdziesiąt lat temu jego ciało z siatką na motyle i w panamie przemieszczało się w dokładnie tej samej przestrzeni.

O ile sobie przypominam, nieszczególnie lubił Berlin.

Ale i tak czasami trafiał do jednego z otaczających go lasów. Na przykład do tego. Słuchaj, tutaj mieszkają niebiedni ludzie.

* Plac Motyli (niem.).

Oczywiście. Sosnowe aromaty i tak dalej. Jeziora. Waldeinsamkeit. To trochę kosztuje. Południowy zachód tego miasta cały jest taki. Dahlem, Zehlendorf, Grunewald.

Wannsee.

Tak i Wannsee też.

Niech to diabli, i ktoś tu mieszka! Jeden mój znajomy, poeta, kiedy tylko widział jakieś szczególnie seksowne sztuki, z tych, które można spotkać tylko w Kijowie, wykrzykiwał: „I ktoś ją jebie!". Teraz mam podobne odczucie. I ktoś tu jeszcze mieszka!

To poczucie nazywa się zazdrość, jeśli się nie mylę.

No, chyba nie. To znaczy nie – nie mylisz się.

Zazdrościsz właścicielom tych willi?

Ale nie systematycznie. Innymi słowy, pozazdrościłem – i zapomniałem. Nie było mi sądzone w tym życiu stać się właścicielem. To znaczy nigdy nie będę już w skórze właściciela. Sądząc ze wszystkiego, wyciągnąłem jakiś o wiele szczęśliwszy los. Ale niestety, nie zostanę tym, kim nie zostałem.

Mówiliśmy już o czymś podobnym.

Trudno znaleźć coś, o czym byśmy jeszcze nie mówili przez te siedem dni. À propos, jestem ci za nie niezwykle wdzięczny.

My pleasure. Bardzo mało mówiliśmy o magii. Chociaż masz z nią związek.

Związek? Mam wrażenie, że zaraz przebiegnie nam drogę lisica. Pięknie by było, nieprawdaż? W tym świetle przed zmierzchem mogłaby się wydawać złocista.

Widzisz ją? Tam przed nami?

Oho! Co, naprawdę? Naprawdę lisica?!

Przecież powiedziałem – każdy twój kaprys!

Tylko nie przekonuj mnie, że to przypadek.

To – przypadek.

Nie, ale jak punktualnie – co do sekundy! Przebiegła – i znowu znikła! Jak złotawa zjawa. Poczekamy na nią tutaj? Może znów się pojawi?

Nie warto. Po raz drugi się nie pojawiają. Poza tym dobrze by było, żebyśmy doszli do jeziora, zanim się ściemni.

Do jeziora? Idziemy nad jakieś jezioro?

Tak. Chcę ci pokazać moje jezioro. Przetniemy ten kawałek lasu i wyjdziemy na szosę, a potem poboczem pójdziemy na lewo.

Prowadź mnie więc, tajemniczy nieznajomy!

Tylko nie depcz mi po piętach, proszę cię. Na pewno znajdziemy wszystko, czego ci trzeba.

* * *

Ale cisza. Jak słodko pachnie trawa.

Naprawdę jest niezła. Jeśli spojrzeć o tam, nad jeziorem, po przeciwnej stronie, trochę wyżej jest ekostacja. Obeszliśmy ją z prawej, kiedy wychodziliśmy na ten brzeg.

Ekostacja. Okostacja. Oko – stacja. Jazda.

A nad nią, na górze, widzisz kulistą białą budowlę, tak?

Ha, przypomina wielką piłkę futbolową.

Początkowo to miało być obserwatorium.

Albo biały meczet. Co to jest naprawdę?

Jeszcze tam wejdziemy. To najwyższa góra w Berlinie – sto dwadzieścia metrów nad poziomem morza.

To po prostu jakaś Howerla! Jak się nazywa wasza Howerla?

Teufelsberg.

Czarcia góra.

Właśnie tak. Dopal do końca, skręcam jeszcze jednego.

Jeśli chcesz, zaraz pójdę po wodzie. Aż mnie telepie na myśl, że wszystkie tutejsze jeziora, to roztopione odłamki lodowca. Woda jest pewnie potwornie zimna.

O tej porze owszem. Ale latem kwitną w niej lilie wodne. Całe wyspy nenufarów – tam i tam. W słoneczne dni wyleguje się tu pełno ludzi, przeważnie całkiem gołych.

Ach, no oczywiście – FKK! Opalone kobiety z pokolenia lat sześćdziesiątych z obwisłymi cyckami i siwymi krzaczkami na kroczach, takie sobie pomarszczone Janis Joplin. I ich

partnerzy z długimi do kolan, ale już bezwładnymi członkami i z kucykami na potylicach w stylu Francisa Rossiego. Wiem, widziałem.

A czegoś ty nie widział?

Nie naśmiewaj się. Lepiej daj mi jeszcze chociaż łyczka. Strasznie zaschło mi w ustach. Zawsze tak po paleniu.

Pociągnij sobie. Kto to jest Francis Rossi?

Jaki Francis Rossi?

Dopiero co wspominałeś o jakimś Francisie Rossim.

No tak, coś bardzo znajomego. Ale kim on jest? Jak nazywa się to jezioro?

Teufelssee.

Czarcie jezioro.

Właśnie tak.

Ubiegłego lata wybrałem jeden z najgorętszych dni i przyjechałem tutaj na rowerze.

Ciekawe.

Zupełnie się nie spodziewałem, że będzie tu tyle ludzi. Oblepili po prostu wszystkie brzegi swoją golizną. Najstarsi z nich dosyć otwarcie zajmowali się pettingiem o tam, na tamtej trawie. Przeważnie siedemdziesięcioletni dziadkowie z babciami. Nazywam ich tamci z lat sześćdziesiątych. Za młodu postanowili nigdy nie dorosnąć. Stąd ten publiczny petting nad jeziorem. Zabawy starych dzieci w rajskich sadach przemijania. Nie, wszystko byłoby nieźle, gdyby nie oblazła siwizna stref genitalnych.

To chyba nie twój przypadek?

Mój przypadek? Nie, nie mój. Ja mógłbym być ich synem. Jestem młody, przecież wiesz.

Zdaje się, że postanowiłeś to samo co oni. Nigdy nie dorosnąć.

Mylisz się. Postanowiłem coś trochę innego. Nigdy się nie zestarzeć.

A oni?

A oni rzeczywiście nigdy nie dorośli. To im się udało. Ale się zestarzeli. I to jest przykre.

To ma jakikolwiek związek z wiecznością?

Tylko ten, że teraz mam wielką ochotę spróbować iść po wodzie.

Nie utrzymasz się, zapewniam cię. To nie ta sytuacja, kiedy wystarczy być magiem.

Odmówiłem bycia magiem, nie czepiaj się mnie. Być może właśnie w tym jeziorze pochowany jest największy dowód mojej odmowy. Na dnie jeziora, wessany przez czarny muł.

Dowód twojej odmowy?

Podarunek od pani Creabeeg z Ameryki. Wpadła na mnie w czerwcu, też ubiegłego lata. Kiedyś w nocy, gdy przypadkowo, w półśnie, przeciągnąłem ręką po jej ciepłych plecach, nagle się obudziła i zaczęła mówić o tym, że – okazuje się – przywiozła mi jeden magiczny prezent. Podobno dostała go od pewnego iluzjonisty w Las Vegas.

Jak się nazywał – Iron?

Widzisz, i ty go znasz!

Po prostu zgadłem. To dosyć rozpowszechnione wśród szarlatanów nazwisko. A raczej pseudonim.

Ąnyway. Podobno oddał tę rzecz jej, pani Creabeeg, bo podczas jego seansu wypromieniowywała tyle energii, ile on jeszcze nigdy w życiu… Słowem, takich energetyków jak ona, nigdy wcześniej nie spotykał.

Co to było?

Ha, rzecz, taka maleńka. Nie chciałem na nią patrzeć, kiedy zdecydowanym ruchem wyciągnęła ją skądś z takiego sobie futeralika wielkości połowy pudełka zapałek.

To w końcu nie wiesz, co to było?

Tylko z ustnych opisów pani Creabeeg. Wolałem nie patrzeć w tamtą stronę.

I co to było?

Pozwól mi nie odpowiadać. Zresztą, spróbuj sam zgadnąć.

Hm, myślę, że to była taka miniaturowa ludzka ręka z ledwie rozczapierzonymi palcami.

Tak, i podobno widać było na niej żyły i krążyła nimi krew. Strasznie misterna robota. Według tego hipnotyzera Irona,

wyprodukowana została – będziesz się śmiać – w laboratoriach Trzeciej Rzeszy.

Po co?

Nie wiem, nie pytałem. Robiłem wszystko, żeby porzucić ten temat. Absolutnie mi się nie spodobał. Spodobałoby ci się przebywanie w nocy w jednym łóżku z wariatką?

Dlaczego wydawało ci się, że jest wariatką?

Ciągle wracała do tej ręki. Że to prezent od niej. Że muszę go przyjąć, bo władanie tą rzeczą daje strasznie wielką moc. To groza jakaś – ona wciąż tylko powtarzała to swoje „strasznie wielką moc", shit!

Ale ty odmówiłeś?

Wiesz, jest mi dobrze i bez tego. Nie potrzebuję żadnej obcej mocy, rozumiesz? Już jej nie potrzebuję. Żyję w zgodzie ze światem i jest mi w nim świetliście, a nie ciemno.

I wtedy się odczepiła?

Znikła gdzieś na cały dzień, wieczorem powiedziała, że wyrzuciła tę rzecz do jakiegoś jeziora. Do dziś jestem bardzo szczęśliwy, że tego nie chciałem.

Ale chciałeś być wieczny, nieprawdaż?

O wieczności wiemy tylko, że jest potwornie zimna. To próba autocytatu. Naprawdę tam jest jakoś inaczej. Wiesz, mnie bardzo w niej niepokoi co innego.

W wieczności?

Tak. Kiedy z Beate Pinkerneil i jej chłopakami z telewizji, operatorem i dźwiękowcem, wreszcie znaleźliśmy na cmentarzu Janowskim grób Antonycza, to zza chmury wyszło słoneczko. Nienawidzę zdrobnień, ale tu inaczej nie powiesz. „Słońce" tu nie pasuje – wyjątkowo „słoneczko". Trzy razy kręcili, jak podchodzę do tego grobu i w całkowitym szoku gładzę odrąbaną szyję Antonycza.

Odrąbaną? Szyję?

Ustawiono tam jego popiersie, rozumiesz? Ale było z jakiegoś względnie drogiego metalu czy stopu, coś w rodzaju czarnego brązu. Jest taki? Jacyś pojebańcy pewnej nocy odpiłowali mu głowę. Przecież słyszałeś o tym, że w na-

szym kraju kradną metale? I to nie tylko kolorowe. Wszędzie, gdzie tylko mogą.

Mało mnie to interesowało. Ale teraz będę wiedział. Jeszcze łyka?

Koniecznie, dziękuję. I tak, Beate bardzo przydało się to do filmu. Ten zapuszczony zakątek cmentarza Janowskiego i zarośla paproci, i moja zszokowana ręka, która rysuje jakąś taką zagubioną i niewidzialną linię na spiłowanej metalowej powierzchni. I wtedy ona pyta mnie, czy chcę być wieczny? A ja jej odpowiadam, że wieczność jest po prostu nie do zniesienia. Najprawdopodobniej jest nie do zniesienia.

I dlatego jesteś gotowy z niej zrezygnować?

Poczekaj, to jeszcze nie koniec historii.

No to opowiedz do końca. Ostatni mach?

Merci. Minęło kilka miesięcy i Beate dzwoni do mnie. Gdzieś tak we wrześniu, bo minęło parę miesięcy od momentu, kiedy to wszystko kręciliśmy na Janowskim. Czyli gdzieś we wrześniu.

Jasne. Idź dalej – zrób krok nad wrześniem.

Tak, we wrześniu. Dzwoni Beate i opowiada o ośmiosekundowym mężczyźnie.

O kim?

Że niby niedługo leci do Anglii robić film o ośmiosekundowym mężczyźnie.

Ale kto to jest?

Nie przerywaj mi – i bez tego jestem mocno rozproszony. Tak. Ja się koncentruję, a ty nie przerywaj. To taki mężczyzna, z przeszłości, zdaje się, muzyk czy ktoś taki, dyrygent albo pianista. Zdarzyło mu się coś bardzo rzadkiego. Niech to diabli, to ty przed chwilą powiedziałeś „wirus"?

Milczałem.

Ale masz rację – to jak wirus, który uderza w mózg. Czyli, eee, centralny system nerwowy. Jego pamięć trwa osiem sekund, a potem ją traci. Potem znowu powraca, ale znów tylko na osiem sekund. Wyobrażasz sobie – cała twoja wiedza o świecie, wszystko, co w tobie jest, ale trwające tylko osiem

sekund?! Potem to tracisz, a potem znów wraca i znowu te osiem sekund pełnej świadomości, a potem znowu wpadka, i tak bez końca. No, to znaczy z końcem, bo kiedyś jednak umrze. Ale nie chodzi nawet o niego, ale o to, co powiedziała Beate.

W czasie tej rozmowy telefonicznej?

W czasie tej rozmowy telefonicznej, tak. Spytała: „Juriju, pamiętasz, jak na tym cmentarzu mówiłeś, że wieczność jest nie do zniesienia". „No i co?" – mówię. „Pomyślałam sobie o tym mężczyźnie z ośmiosekundową pamięcią, a jakby to naprawdę była wieczność? Jak nie do zniesienia byłaby TAKA wieczność?".

Oho! Nie kontynuuj. Mam wrażenie, jakby ktoś walił mnie porządnym młotem dokładnie w ciemię.

Po prostu trzeba wstać i iść stąd. Tutaj jest chyba złe miejsce.

* * *

Słuchaj, ta biała zjawa, do której tak chcemy dojść, no, czyli to niby obserwatorium – co to jest naprawdę?

Naprawdę? Dobre pytanie. Amerykańska stacja nasłuchu radiowego. Stąd przechwytywali radiogramy Rosjan. To znaczy czerwonych. I pilnowali swoich korytarzy powietrznych.

A teraz?

A teraz nic tam nie ma. Pustka. Ruina. Od dzieciństwa ciągnie cię do ruin, czyż nie?

Tak. Mógłbym to powtórzyć za Danilem Kišem.

O widzisz. To chyba tu. Od szosy na lewo i... No i jest: wyasfaltowana ścieżka.

Wydaje mi się, że to nie asfalt pod nogami. Tylko grubaśna warstwa waty, po której stąpamy.

Warstwa waty? A może warstwa ubitego gęsiego puchu?

Albo warstwa rozkołysanego gorącego sera. Coś w tym rodzaju. Moje nogi wpadają w coś miękkiego i grzęzną w tym. Moje nogi są po kolana w serze.

Dobrze, że tylko w serze. Aha, rozwidlenie! Ogród o rozwidlających się ścieżkach, jak u Borgesa. Którą wybieramy?

Lewą.

Tak właśnie myślałem. Stąd wchodzi się dziesięć minut, nie dłużej.

My dłużej.

Masz jakieś problemy?

Serce mi się rozedrgało. Słuchaj, to jakaś dzika mieszanka – to co paliliśmy. Chętnie poleżałbym gdzieś na boku. Kilka minut i wszystko minie.

Nie, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Ziemia jest jeszcze za zimna. Tydzień temu wszędzie leżał śnieg. Zapomniałeś?

Okej, idziemy. Zresztą, wcale nie jest stromo. Jaka, mówiłeś, jest wysokość tej góry?

Sto dwadzieścia metrów i połowa jest już za nami.

To nawet nie góra, to takie sobie lekkie podwyższenie terenu, pagórek.

To nawet nie pagórek – to nasyp. To przysypane ziemią ruiny czterystu tysięcy berlińskich budynków. Serdecznie zapraszamy do Welthauptstadt Germania!

Nie całkiem rozumiem.

Po wojnie zwozili tu gruz z domów Zachodniego Berlina. Tutaj je pochowano.

To znaczy, że stąpamy po ludzkich jękach.

Właśnie tak, mój przyjacielu, właśnie tak.

Te ruiny i tak wyłażą spod ziemi. Co wypycha je na powierzchnię, dlaczego te kawałki cegieł wciąż się ruszają? Niczym kawałki świeżo porąbanego mięsa, kurwa mać.

Latem szaleją tu rowerzyści na góralach. Przy sprzyjającym wietrze latają lotnie. Można puszczać latawce. Można zjeżdżać na desce. To popularne miejsce.

Co mamy zamiar tu robić?

Okaże się. To znaczy zobaczymy.

* * *

W dzieciństwie, jak już wiesz, miałem pewne problemy ze sprawnością fizyczną. Najgorzej było z przełażeniem przez płoty. Pewnego razu wyrwała za mną Czarna Mańka. Nie wiem, jak się naprawdę nazywała – taka gruba szalona baba, która na zawiązanej na głowie chustce nosiła jeszcze oblazłą zimową czapkę. Latem też. Nie znosiła gwizdania, mogła bez zastanowienia rzucić kamieniem w tego, kto gdzieś w pobliżu zagwizdał. Pewnego razu sunęła dokądś przy naszej szkole, akurat w czasie długiej przerwy, gdy my wysypaliśmy się na ulicę Franka. I wtedy Hrynia – był ze cztery lata starszy ode mnie i swego czasu pokazał nam wszystkim swojego penisa ze ściągniętym napletkiem – więc ten sam Hrynia przejmująco zagwizdał, a potem jeszcze z radością wrzasnął na całą ulicę „Czarrrrrrrrrrrrrna Mańka". Zatrzymała się jak wryta i wytrzeszczyła na nas oczy. Po czym Hrynia z wyrzutem spojrzał na mnie i – tak żeby jak najwyraźniej usłyszała – powiedział: „No, czemu przezywasz nieszczęsną kobietę?". Skapowałem, że czasu na dochodzenie sprawiedliwości po prostu nie ma – trzeba biec. Czarna Mańka zmieniła się w automat zemsty – momentalnie nabrała z klombu pełne garści drobnych kamieni i rzuciła się za mną. Uciekałem przed nią wzdłuż muru, naszego szkolnego muru, i było dla mnie jasne, że jak tylko spróbuję przez niego przejść, dogoni mnie i złapie. Dosyć łatwo to sobie wyobrazić: jak mnie z niego ściąga, wali mną o ziemię, a potem przyciska kolanem klatkę piersiową. Mogłem liczyć tylko na to, że tam dalej w murze pokaże się jakaś szpara, przejście, i przez nią prześlizgnę się do środka, na szkolne podwórko, a ona nie. I tak gnałem przy tym murze, któremu nie było końca, zdawało mi się, że to będzie trwać wiecznie, i słyszałem za sobą tupanie jej gumowych gównołazów. Nie wykluczam, że tym razem obiegłem naszą szkołę dookoła cztery czy pięć razy. A co z nami, też będziemy wiecznie iść po obwodzie tego muru?

Zwróć uwagę na te fantastyczne białe kule, wszystko razem nie przypomina mi nic innego, tylko fallusa z jajami. Nie tak dawno

anteny były jeszcze na miejscu. Znajdziemy, na pewno znajdziemy to przejście, tę szparę. Chcę, żebyś trafił na terytorium.

* * *

.Ten mur ma ze dwa metry wysokości. Plus drut kolczasty rozpięty na górze. Dwunastoosobowa grupa dywersyjna pokonuje takie przeszkody w mniej niż dziesięć sekund. Jeden podsadza drugiego, trzeci włazi na ramiona czwartemu i tak dalej. Bezszelestnie i szybko. Szkoda, że nas jest tylko dwóch.

W moim wypadku w ogóle byłem sam.

Ale przebijemy się tam, zobaczysz.

A to jest chronione? Kręcą się tu jacyś strażnicy?

Oficjalnie uważa się, że tak. Ale o tej porze ich tu nie ma.

Boże, jak dużo elektrycznych świateł tam daleko na dole! To wszystko, to wciąż Berlin?

Widok na północ. Gdzieś mniej więcej w tym kierunku jest stadion olimpijski.

Nigdy tam nie byłem.

Warto zobaczyć.

Wiesz, wiele jest takich miejsc, w których jeszcze nie byłem. Znacznie więcej niż wszystkich innych. Muszę je zostawić na następny raz, na nowy początek.

O czym mówisz?

Ty tego nie zrozumiesz. Podłoga, deski w brudnym ciemnoczerwonym kolorze, mocno podrapane deski, szpary między nimi. I kiedy pełzniesz po tej podłodze w swoich grubych flanelowych spodniach, widzisz głowy dorosłych gdzieś wysoko nad sobą, niemalże na niebie. Przeciętny wzrost dorosłego człowieka – *aż do nieba.* Ale dorośli nie mogą być tacy wiecznie.

To znaczy?

Od pewnego momentu zaczynają się zmniejszać. Mieć piętnaście lat, potem trzynaście, potem siedem, potem zaczynają chodzić do przedszkola. Potem stopniowo tracą mowę, przestają chodzić. Potem po prostu oddychają i śpią, i koniec –

taka sobie grudka żywej substancji. Oddychanie, sen i mrok. Wtedy można znowu zaczynać rosnąć.

I tak bez końca?

I tak co osiem sekund.

* * *

Ha, a jeśliby po prostu wejść w tę bramę? Nie na darmo przecież ma wyłamaną kłódkę! A my, idioci, chodzimy pod murami i szukamy szpary! Jak myślisz?

Czytaj, co tam jest napisane. BETRETEN. DER BAUSTELLE VERBOTEN.*

A na tym?

*FICKT EUCH!***

O właśnie.

Więc nie masz nic przeciwko?

Po jakiego diabła mnie tu przyprowadziłeś!

Wiedziałem, że się co do ciebie nie mylę.

* * *

Kurwa, żadnej całej szyby i tylko potłuczone szkło pod nogami!

Nie tylko. A druty? A gruz?

Kawałki betonu. Puszki po piwie. Szminka, tusz i krew. Nie wątpię, że zużyte kondomy.

Ty wiesz lepiej.

Ja nic nie widzę.

* * *

O piwnicach więc. Najbardziej baliśmy się tej przeklętej kierownicy administracyjnej. Zawsze groziła piwnicą. Z niej, jak

* Budowa. Wstęp wzbroniony.

** Pierdolcie się!

już mówiłem, nieznośnie śmierdziało chlorem. Tym, którym zasypuje się doły kloaczne. Albo masowe miejsca pochówku w czasie zarazy.

Wapno?

Nie, chlor. Wrażenie było takie, że cały chlor całego świata zwieziony był do tej jej piwnicy. Mówiła, że tam mieszka wielka zgraja szczurów. Jeśliby zamknąć dziecko na noc, to rano zostanie z niego tylko szkielet. Będzie leżał na papierowych workach nabitych żrącym chlorem. Kiedy przechodziłem przy tych *schodach w dół*, starałem się nawet nie patrzeć w ich stronę.

Ile tam było stopni?

Mogło być ze dwadzieścia. Nigdy ich nie liczyłem. Dwadzieścia stopni w dół.

Okej. Odnotowujemy dwadzieścia. Dwadzieścia stopni w dół. A potem?

A potem pewnie drzwi wejściowe. Mówię ci przecież – odwracałem głowę w przeciwną stronę. Wolałem patrzeć na krzaki agrestu, alejki wysypane żwirem, trawiaste gazony pokryte różowymi płatkami i otoczone bielonym krawężnikiem. To znaczy, nie przyglądałem się, jak tam jest i co. Wystarczyło wiedzieć, że one są – te schody i te drzwi.

Do tej pory się ich boisz?

Jak by to powiedzieć? Trochę za dużo mam lat, żeby bać się czegoś takiego jak piwnica. Czy schody do niej. Co tak łopocze?

Poszycie. Tutaj wszystko opięte jest takim białym materiałem. Ci, którzy wchodzą na samą górę, zrobili w nim nożami wycięcia, żeby z góry patrzeć na nocny Berlin. To po prostu strzępy, urywki. One łopoczą na wietrze.

Skąd wziął się wiatr? Przez cały czas była cisza.

Zmiana pogody. Początek kwietnia. W nocy może spaść śnieg.

Oho! Jak mówią w radiowych prognozach, wiatr silny, chwilami porywisty. Znacznie gwałtowniejszy, moim zdaniem. Słuchaj, to naprawdę ludzkie głosy czy mi się wydaje?

Efekt szumu. Wiatr przez te dziury dostaje się do środka wieży i robi się echo.

Ale ja słyszę głosy!

Jesteś zbyt wrażliwy. Wierzysz, że naprawdę tutaj i naprawdę teraz ktoś może być?

Tak naprawdę ta wieża to taki megafon, który wyrasta spod ziemi. To podziemne głosy. Tak pewnie mówią ruiny. My przecież nigdzie nie znikamy, a szczególnie nasze głosy.

Dobrze być poetą. Na wszystko znajdzie się odpowiednia metafora jako wyjaśnienie.

Metafora – to środek komunikacji. Jak długo mamy jeszcze wchodzić?

Sądząc po łopocie w górze, całkiem niedługo.

Ale wszystkie te krzyki brzmią z dołu. I tylko z dołu. Wchodzimy czy schodzimy?

Co to dla ciebie za różnica? Już mówiłem – to nie żadne krzyki, to efekty szumowe wiatru.

Nie, gdyby to były efekty szumowe, jak mówisz, wiatru, to dobiegałyby z góry. Stamtąd, gdzie wiatr szarpie strzępy i przez nacięcia wdziera się pod napletek wieży. A to zupełnie co innego, to głosy z dołu, i robią się tak wyraźne, że niebawem zacznę rozróżniać niektóre z nich.

A może nawet wszystkie?

Nie od razu wszystkie. Wśród nich są takie, których nie słyszałem ze dwadzieścia lat.

Ale wszystkie przyszły do ciebie. Czekają w twojej piwnicy. Przyjdzie ci jednak do nich zejść.

Samemu? A ty?

Beze mnie. Zebrali się wyłącznie dla ciebie, tych kilkuset ludzi tam na dole.

Chcesz mnie porzucić?

Poczekam tu, aż zejdziesz. Masz tylko dwadzieścia stopni, sam tak zdecydowałeś.

Boże, jaki harmider! Co oni tam robią, chleją?

To dla nich wielka radość – zobaczyć się z tobą. Nikogo nie pomiń.

Daj mi latarkę. Tam jest zupełnie ciemno.

Ciemno ci? To zamknij oczy. Zaczynam odliczanie. Od dwudziestu w dół. Będę tu stać. Usłyszysz, będę głośno liczył. Będę stać w tych drzwiach.

Nie zamkniesz ich? Z tamtej strony? Otwarte drzwi – to niepojęta radość.

Całkiem pojęta.

Kiedy mam otworzyć oczy?

Powiem kiedy. Usłyszysz. I wtedy zostaniesz sam. Idź, nie oglądając się, na razie jestem za twoimi plecami.

Z kim mnie zostawiasz?

Przestań się krzywić, idź. Dwadzieścia.

Dziewiętnaście.

Osiemnaście. I zobaczysz wodę.

Siedemnaście.

Szesnaście. I zobaczysz brzeg.

Piętnaście.

Czternaście. I zobaczysz niebo.

Trzynaście.

Dwanaście. I usłyszysz każdy głos.

Jedenaście.

Dziesięć. I rozpoznasz każdego z nich.

Dziewięć.

Osiem. I będziesz bardzo szczęśliwy.

Siedem.

Sześć. Bo nikt nigdzie nie zniknął.

Pięć.

Cztery. I nigdzie nie zniknie.

Trzy.

Dwa.

Amen.

...

Ty, słyszysz? Dwa! No, dlaczego się zatrzymałeś? Jeszcze tylko krok i – koniec, błysk! Zrób jeszcze jeden krok, słyszysz, ty?

* * *

Jak to się czyta?
Co masz na myśli?
Nazwę stacji. Ky, igrek, es, a, ky.
Pewnie to się czyta „Kysak". Jakaś kocia nazwa, z kreskówki. No i jedziemy dalej. Co szczególnie mi się podoba – u nich pociągi nie marudzą na stacjach tak długo jak u nas. Jedni pasażerowie wysiadają, inni wsiadają – i do przodu, po jakiego diabła stać.
I w wagonie tak czyściutko, nie to co u nas.

Tato, ile jeszcze do Pragi?

Jakieś osiem, dziewięć godzin, cały dzień do samego wieczora.
Ponad dziewięć godzin. Dobrze, że już nie musimy się przesiadać.

Cały dzień, fajnie! Lubię jechać. Mógłbym tak jechać i dziesięć dni. W tych górach można kręcić filmy o Indianach.

W naszych górach też.

Ale te góry są dziksze. I o wiele wyższe. I są w nich skały, a u nas nie ma.

Po prostu nie wiesz. Jeszcze pojeździmy razem – pokażę ci u nas takie skały...
W tym roku pewnie obrodziły jagody. Dwa lata temu w lasach pod Pragą pełno było jeżyn.
Jak na jeżyny, trochę za wcześnie. A poziomki pewno już wysypały. Chociaż kto je tam wie? Wszędzie jest inaczej.

Mama, a pamiętasz – tam jeździły takie długaśne pociągi i wszyscy ludzie wieźli z lasu jagody?

Jeżyny, wtedy pełno było jeżyn. W piątek po południu wyjeżdżają za miasto – zbierać w lesie jeżyny. W niedzielę pod wieczór wracają, tam po prostu szpilki nie ma gdzie wepchnąć w ich wagonach, a to tylko połowa ludzi, bo druga połowa jedzie swoimi samochodami.

I motocyklami. Albo kutrami po Wełtawie. Jeden taki pociąg w niedzielę wieczorem się wykoleił, pamiętasz?

Nie zmyślaj.

Co, ja zmyślam? Tato, mama zapomniała. Dwupiętrowe wagony powywracały się do góry kołami. Wszyscy ludzie byli

całkiem czarni od zgniecionych jagód. Ktoś napisał w gazecie, że to był pociąg z Murzynami.

Pamiętam! U nas informowało o tym albańskie radio. Sto tysięcy afrykańskich partyzantów w lesie pod Pragą. Coś takiego.

Jaki jeden, taki drugi. Chociaż trochę się zdrzemnijmy. Oczy mi się kleją po nocy w tej rzeźni do Czopa.

Nie chcę spać. Chcę wyglądać przez okno.

A ja kupię sobie w restauracyjnym butelkę piwa, czeskiego. Zobaczymy, za co je tak wychwalają.

I dla mnie kofolę. Albo lemoniadę. Ale lepiej kofolę.

Koniecznie musimy ci kupić w Pradze nową kurtkę, letnią. Taką, jaką widziałam dwa lata temu. Dobrze ci w jasnoniebieskim.

A mi kowbojskie spodnie, żeby było dużo kieszeni! Mama, ty śpij, jak chcesz, nie będziemy hałasować. Albo w ogóle nie będziemy – tak jakby nam zaszyli usta. W Pradze jest takie muzeum i wystawiają w nim zupełnie malutkie ludzkie głowy, jak piąstka, ale prawdziwe. Kiedyś to byli żywi ludzie, wyobrażasz sobie? Wszystko mają na miejscu – oczy, nos, uszy – ale usta mają zaszyte taką grubą nitką.

Może za życia zbyt dużo gadali.

Może. Już milczę, mamo. Po prostu mam taki nastrój, nie mogę się uspokoić. Myślę, że nam się strasznie poszczęściło w życiu, prawda?

Spis treści

Przedmowa, jedna z możliwych | 7

1. Mój martwy przyjaciel Radu Teodor | 15

2. Suita na Jethro Tull i orkiestrę | 60

3. Piosenka o niezniszczalności materii | 105

4. Nocne powaby linotypistek | 150

5. Sędzia daje pograć | 196

6. Boże, daj mi donieść tę łyżkę do ust | 245

7. Hottentottenpotentatentantenatentatentäter | 286

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel./fax +48 18 353 58 93
e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl
ewelina@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma
ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa
tel./fax +48 22 632 83 74
e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: d2d.pl
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków
tel./fax 012 432 08 52

Druk i oprawa: OPOLGRAF SA
ul. Niedziałkowskiego 8–12, 48-085 Opole
tel. 077 454 52 44

Wołowiec 2008
Wydanie I
Ark. wyd. 15,7; ark. druk. 21,5

„Prawie całą jesień 2005 roku, z krótkimi przerwami, spędziłem w Berlinie. Właśnie w tym czasie, gdzieś pod koniec września, po raz pierwszy odezwał się do mnie nieznany mi wcześniej krytyk literacki i dziennikarz Egon Alt" – tak zaczyna się nowa, napisana „zamiast powieści" książka Jurija Andruchowycza.

Tajemnica to wywiad rzeka (i „porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy wchodzicie"). Prowadzi go tajemniczy Egon Alt – dziennikarz i przewodnik, który wiedzie poetę przez kręgi przeszłości. Rozmowy trwają siedem dni. Mają zostać opublikowane po śmierci Andruchowycza, lecz pojawia się pewna niespodziewana okoliczność…

Czy niemiecki rozmówca w ogóle istniał? A jeśli tak, to może wcale nie umarł? Dlaczego nie udaje się znaleźć jego grobu? Kim był lub jest? Szpiegiem? Demonem? Choć to wszystko sekret, usłyszymy przejmujący dialog o stawaniu się i byciu poetą, ojcem, patriarchą Bu-Ba-Bu i wielu ważnych sprawach. Te historie układają się w przewrotny bildungsroman. W siedem dni można stworzyć świat, można też wypić sporo alkoholu, zanurzyć się w dymie i mgle, w Berlinie i przeszłości, pogadać… O tej całej Tajemnicy.

czarne.com.pl

Nie przepadam za wywiadami, szczególnie tymi z gatunku „rzeka". Zazwyczaj z powodu mało rozgarniętego lub nadgorliwego pytającego są nudne albo z racji narcystycznych skłonności odpytywanego dowiadujemy się jedynie, jaki jest wysoki i przystojny. Andruchowycz wybrnął z tej sytuacji – znalazł, a właściwie został odnaleziony przez rozmówcę doskonałego. Nierealny Egon Alt nie popisuje się, nie usiłuje za wszelką cenę zagadać bohatera, ale przede wszystkim słucha, co ten ma do powiedzenia. Andruchowycz opowiada – jak na narcyza przystało – głównie o sobie, robi to jednak jak nikt inny, snuje piękne i ważne historie: o dziewczynach, poezji, muzyce oraz o wątpliwych urokach pobytu w wojsku. A w tle Berlin i „wesołe papieroski".

Bartosz Waglewski / Fisz

Andruchowycz nie czeka w Tajemnicy *na przyszłego rozmówcę i jakiś wywiad rzekę. Ukraiński pisarz, poeta i eseista wykonuje mistrzowskie, bo wyprzedzające, powieściowe pchnięcie i sam staje się rozmówcą i rozmową, równocześnie jest źródłem pytań, gwałtownym nurtem wspomnieniowych obrazów i rozumiejącym ujściem opowieści. Można* Tajemnicę *czytać jako wiarygodną, autobiograficzną odsłonę w formie opowieści o ZSRR i Ukrainie, Europie i świecie lat 60., 70., 90., dzieciństwie, służbie wojskowej, utracie dziewictwa, narodzinach poety. Ale nie dajmy się zwieść, tu „chodzi o panowanie nad światem", tu chodzi o zwycięstwo spotykających się po raz pierwszy słów. I dlatego autor* Moscoviady *i* Perwersji *przekracza rzekę tradycyjnej powieści. Brawurowa i odkrywcza książka. Nie mam pytań.*

Roman Kurkiewicz

Pierwsze Radio Informacyjne TOK FM
PLAYBOY EDYCJA POLSKA
Gazeta.pl
panorama Kultur www.pk.org.pl
Notes

czarne

cena 35 zł

ISBN 978-83-7536-033-2

9 788375 360332